

Helena Sekuła  
WSTĘGA KAINA  
WIELKI SEN  
Warszawa 2007  
Redaktor serii  
Grzegorz CIELECKI  
Projekt okładki i logo serii  
Rafał BARTLET  
Skład i łamanie  
Anna LEWANDOWSKA  
© Helena SEKUŁA  
ISBN 978-83-923649-4-8  
Wydawnictwo WIELKI SEN  
Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa  
tel. 0-502-322-705  
www.mord.of.pl, prezesik13@wp.pl  
Druk i oprawa: Sowa - druk na życzenie® www.sowadruk.pl  
tel. 022 431-81-40

- Dzień dobry - Bogusz od niechcenia przy-  
cisnął kolbą drylingu porządnie złożone na trawie koszu-  
lę i spodnie Obcego.

Natknął się na tego człowieka przypadkiem i raczej do-  
myślił niż rozpoznał kogo spotkał. Głupka od Artystki. Na  
imię miał Piotr, ale podobno sam siebie nazywał Minstre-  
lem. Wtedy jeszcze Bogusz nie wiedział, co owo miano ozna-  
cza. Obserwował, jak tamten wychodzi z Rzeki. Nic w jego  
wyglądzie nie zdradzało, chciwie wypatrywanych przez Bo-  
gusza, znamion choroby psychicznej czy debilizmu.

Obcy przystanął na brzegu brązowy od opalenizny,  
szczerpy, kształtny, pięknie umięśniony, zawahał się, po  
czym ruszył wprost na intruza stojącego między nim a je-  
go ubraniem.

- Przepraszam pana - spoczęły na Boguszu brunatne  
oczy o wyrazie właściwym krótkowidzom i niektórym zwie-  
rzętom.

- Spokojnie - Bogusz się nie odsunął. Po raz pierwszy  
w dziennym świetle i z tak bliska miał okazję obejrzeć bra-  
ta Artystki. Niepodobny do niej. Czarnowłosa, chłopięcy.  
Tylko niebieska smuga wygolonego zarostu zdradzała  
mężczyznę. Z dziesięć lat młodszy od Artystki, ocenił.

- Jestem spokojny.

- Skąd to masz? - Bogusz dotknął jego barku. Na mie-  
dzianej skórze pieniały się jaśniejsze zgrubienia o poszar-  
panych brzegach. Tatuaż blizn znaczył piersi i ramiona.  
Głupek milczał.

- Szramy od noża. Majcher, finka, albo zwyczajny try-  
bownik. Kto ciebie tak pokrajał, człowieku?

- Wrogowie Silenzia.

- Czym się naraziłeś wrogom, jak mu tam, Silenzia?

Głupek nie odpowiedział.

- Kim jest Silenzio?

- Był moim przyjacielem.

- Już nie jest?

Milczenie.

- Mieszkał z wami?

- Chcę się ubrać, proszę pana.

- Poczekaj, porozmawiamy. Jeszcze nie powiedziałeś dlaczego już nie przyjaźnisz się z Silenziem - Bogusz wciąż nie zdejmował strzelby z odzienia głupka.

- Przepraszam pana.

Zanim Bogusz zdążył ochłonać, znalazł się pod sąsiednim drzewem niespodzianie ujęty pod boki i przestawiony jak zawadzający przedmiot. Głupek skoczył w gąszcz, chwytając w biegu ubranie, chwiały się tylko jałowce zdradzające ślad jego ucieczki.

W jakiś czas później Bogusz ujrzał Artystkę. Nie widziała go za zasłoną drzew. Karmiła łąbędzie nad Rzeką. Wielkie ptaki, przysadziste i ciężkie, kolebały się człapiąc po brzegu, jadły z jej rąk.

W tamtym czasie nad łąbędziami z Wielkiego Jeziora zawisło niebezpieczeństwo. Za bardzo się rozmnożyły, ich nadmiar może spowodować zakłócenie ekologii wód - argumentował ktoś z centrali niewidzący dalej swego nosa. Nawet nie wiedział, skunks jeden, czym się ten ptak żywi, myślał, że rybami. Bić, planowo oczywiście, pierze sprzedawać za waluty wymienialne.

Bogusz pamiętał, co mówiła jego matka dawno temu: najszlachetniejszy puch, delikatniejszy od gęsiego, mają łąbędzie, a najlepszy pod skrzydłami. On jednak nigdy nie zapragnął poduszki z łąbędzich piór.

- Bogusz pomóż - ochroniarze znad Wielkiego Jeziora wpadli w panikę. Memoriał jeden, drugi, trzeci. łąbędź niemy, ginący gatunek, zanika w Europie.

łąbędź niemy. W górze Rzeki żyje para. Co roku wodzą młode. Z gotowymi do ataku skrzydłami czuwa samiec nad spokojem piskląt. Małymi, groźnymi oczyma śledzi pojawiające się czółno, jakby bronił przystępu do nadbrzeżnej skarpy umocnionej ciosem z podniesioną z ruin dawną pańską siedzibą, olśniewającą bielą pod czerwoną dachówką.

Bogusz obronił łąbędzie. Ośmieszył ów projekt i ignorancję jego twórców, wykazał szkodliwość i nieopłacalność przedsięwzięcia. Dopiero wtedy Ona go zauważyła. Jego. Pierwszą osobę w Sarniej. A chociaż składała podpis pod każdym apelem domagającym się bezpieczeństwa dla ptaków, z początku Bogusz nie odgadł w niej nieprzejednanej ochroniarki. Pewnie dlatego, że sam

opowiedział się po tej samej stronie.

Kiedy się zorientował i zaczął kręcić bat na Artystkę, już jadł i pił przy jej stole w niezwyklej izbie pod belkowaną powałą z kuchnią licowaną renesansowymi kaflami, siadywał w berżerach krytych jedwabiem, w wielkim salonie pod antycznym pajakiem z kryształowych sopli, mimowiednie sumując wartość porcelany, obrazów, instrumentów muzycznych złożonych w oszklonych szyfonierach pośród poczerwieniałych ze starości mahoni, stapał po cennych dywanach, a Ona nie omieszkała objaśnić, co leży pod nogami: buchara, sziraz, tebriz.

- Skopiowane z reliefu - powiedziała o kobiercu osłaniającym ścianę od fryzu po posadzkę z wyobrażeniem postaci w luźnych strojach. Wtedy jeszcze nie wiedział, kogo przedstawia owa trójca.

Ona lubiła, niby od niechcenia, komentować swój skład staroci. Kultura. Pierwszego wieczoru miała na sobie suknię z mory koloru dymu, pod wpływem światła splot jedwabiu falował, układał w ruchome słoje. Na szyi, na palcach, w uszach i na przegubach nosiła turkusy. Orfeusz, Hermes i Eurydyka, nazwała tamtych z gobelinu. Imiona niewiele mu powiedziały. O Orfeuszu słyszał, że to starożytny muzykant, Eurydyki były na płycie Anny German... Kto ma takie piękne oczy? Eurydyka... Po tej prezentacji w salonie dokładnie sprawdził i dopiero się dowiedział. Mitologia.

6

7

Dlaczego człowiek niezorientowany w przedpotopowych opowieściach ma braki w kulturze, natomiast jeżeli je zna, nic nie ujmuje ignorancja w zakresie statyki, na przykład. Bogusz zna statykę, statyka jest jego zawodem, lecz Ona nie zaliczyła fachowej wiedzy na jego dobro, jakby prowadziła Wielką Grę w telewizji. Nie możesz brać udziału w dziedzinie, z której jadasz codzienny chleb. Na jej Kulturze też jeszcze farba nie obeschła, obnosi do niczego nieprzydatne wiadomości, jak swoje suknie z lionskich jedwabi i srebrne ozdoby z Orno. W każdym razie jemu niepotrzebne, mógłby żyć nic o nich nie wiedząc, nie potykać się o umowne wartości jak o przeszkody zastawione w mroku.

- Wyzwoleńcy - tym mianem określiła ludzi takich jak Bogusz pewna intelektualna pani.

Zapamiętał jej nazwisko i znienawidził, nie chcąc przyznać jej racji. Publikacją - próbującą usprawiedliwić, bronić i wyjaśnić osobowość chłopów, jacy w przyśpieszonym procesie przemian społecznych zmienili swój status - poczuł się osobiście znieważony, chociaż nie utożsamiał się z tym środowiskiem, uważając za kogoś lepszego, ponieważ wiódł się ze szlachty. Jednak przynależąc do pierwszego pokolenia, które opuściło wieś, nie zgadzał się na

ów portret, za mało piękny, za mało godny, a w jej interpretacji jeszcze bardziej dosadny, jeszcze bardziej raniący jego miłość własną.

- Nie ma nic gorszego od przemądrzałej baby, a już baba pismak! - gdyby od niego zależało, nie wydrukowano by ani litery z wywodu intelektualnej pani.

- Jesteś gorszy niż beton, jesteś beton zbrojony - napadła na niego córka.

- Znów rozdajesz etykiety - wiedział, czym ją pognębić.

- Mam to po tobie - usłyszał jak wtedy, gdy powiedział o wypchanych petrodolarach arabskich pastuchach panoszących się po warszawskich knajpach, kupujących obsługę, dziewczyny, taryfiarzy. Zwyczajnie, był wściekły, wyczekał się na kolację podaną jak z łaski, miał trudności z dojazdem na lotnisko, wokół obłapiały się dziwki ze smagłymi chłopakami, we wszystkich taksówkach parku-

8  
jących pod hotelem były liczniki opłacone przez Arabusów. Ale ona nie darowała. Zrobiła aferę. Zarzuciła ojcu rasizm.

- Znam cię. Jestem do ciebie podobna. Widocznie to się dziedziczy jak rysy twarzy, podatność na pewne choroby, kolor oczu. Napracowałam się, żeby wyplenić swoją ksenofobię, jednak coś pozostało i jeszcze czasami dolega jak miejsce po odciętej kończynie.

Wtedy się pogniwiali. Nie rozmawiali ze sobą przez kilka miesięcy. Oboje uparci. Mam to po tobie! I okrutna ciekawość bezstronnego świadka, jakiegoś przyrodnika obserwującego ojca jak wymierającego owada. Jego dziecko. Jego krew. Powinien mieć syna, wielu synów, może byłoby inaczej. W niej nie ma przyjaciela, tylko wiecznego prokuratora. Nie można żyć stale na sali sądowej. Coraz częściej przed nią ucieka. Może źle ją wychowali?

Miała wszystko, albo prawie wszystko, ani razu nie była naprawdę głodna, nigdy nie zaznała śmiertelnego strachu będącego udziałem jego pokolenia i do późnej młodości nie zarobiła ani grosza. Zamiast solidnego zawodu studiowała etnografię. Z bandą takich samych obszarpańców w dolarowych niby-szmatach łąziła po wioskach, szukając ich wczorajszego dnia i to jej wystarczało.

Może jednak trochę jej zazdrościł. Przedłużonej młodości, swobody, nieliczenia się z układami. Ciekawe jak długo wytrwa w swoich poglądach na życie, jeśli przestanie jej zwozić kosztowne gałgany, fundować zagraniczne wycieczki i dokładać do śmiesznie niskiej pensji, myślał mściwie, lecz zwoził, fundował, podtykał. Może imponowała mu taka inna, nie pędzona pragnieniem posiadania, zrobienia kariery, i podświadomie bronił się przed utratą złudzeń. Polowała na jego potknięcia. Jakiś zwyrodniały instynkt myśliwski objawiający się tylko w tropieniu ojca. Łowów na zwierzynę nie znosiła.

- Śmierdzi mordem - pociągała nosem podczas rzadkich, coraz radszych przyjazdów do Sarniej. Inaczej niż w dzieciństwie, kiedy nie dawała się stąd zabrać, urządzając dzikie awantury pod koniec ich urlopów. Zawsze była rozpuszczona. Ja nie miałem, niechaj moje

9

dziecko ma wszystko. Wtedy jeszcze nie mieli daczy i w ogóle na dorobku. Nie chcieli więcej dzieci, żeby nie płodzić dziadów. Jedno dziecko jak jedna koszula, mawiała, jego, Boguszowa matka. Nie doczekała wnuczki hodowanej jak paniątko. Aniela powiadała, że za jej młodości dzieci Sarniej skiego dziedzica ani połowy tej swobody nie miały co mała Bogusza.

Aniela.

Czyżby bywając codziennie u Artystki, często tam nocując, nie zorientowała się w rodzaju więzów łączących rodzeństwo. Może tylko udaje, nie chce wiedzieć, najlepszym wyjściem w jej sytuacji jest nieświadomość. Korzystniej opowiadać legendy o szlachetności Artystki, która poświęciła życie swojej sztuce i nieudanemu bratu. Ten brat, nazywający siebie Minstrelem, chociaż w dokumencie zapisane Piotr, nigdy nie pokazywał się w salonie, nigdy nie wychodził do gości.

Z czasem Bogusz zapomniał, czy na początku powodowała nim tylko ciekawość, czy już poczucie zagrożenia, lecz uparte zainteresowanie jej życiem najpierw objawiło się pragnieniem obejrzenia siedziby, jakby tutaj, wewnątrz nowo wzniesionego dworu, pośród rzeczy sprowadzonych z całego świata, ona ukrywała tajemnicę i cenę sukcesu. Dobrze pamięta, kiedy to się zaczęło.

Siedział w salonie, mimo woli szacował wartość poszczególnych przedmiotów, dodawał sumy, słuchając i nie słuchając, patrząc i nie patrząc na jej palce krzątające się pośród czarnych bemoli. Nagle poczuł prąd powietrza, pod przyssaną powiewem tkaniną z wyobrażeniem mitologicznych postaci dostrzegł obrys futryny.

Gobelin zasłania drzwi, wtedy jeszcze nie pomyślał: ukryte drzwi. Z czasem pod wpływem wciąż tej samej nieposkromionej ciekawości zaczął się zastanawiać nad rozplanowaniem pomieszczeń i jeszcze nie rozumiejąc po co, porządkował w pamięci ich domniemany rozkład.

Nadal nie rozeznawał się we własnych zamiarach, niczego z początku nie projektował. Pod wpływem nagłego zamysłu zaimprovizował atak lumbago. Nigdy nie cierpiał

10

na ową dolegliwość, lecz od dawna potrafił przekonująco udawać. Hexenschuss, w jego odczuciu to określenie brzmiało bardziej elegancko. Choroba niemal idealna, przydatna w różnych okolicznościach, miała i tę niewątpliwą zaletę, że nawet lekarz rzadko potrafił przejrzeć

umiejętną symulację.

Zagrał dobrze, stworzył wiarygodne pozory i pozostał na noc u Artystki w jej zabytkowym domu niedawno podniesionym z martwych, zawsze zamkniętym i strzeżonym, otwierającym się tylko przed gronem ludzi z pokrewnych zawodów. Ułożyły go w wąskim alkierzu, gdzieś na głębokim zapleczu budynku, pewno w dawnej izbie czeladnej z oknem podzielonym szprosami na sześć kwater, za którymi po czubach miodrzewi wtaczał się cynobrowy księżyc. Bogusz wsłuchany w ciszę udawał, że śpi po środku znieczulającym, pastylkę wypluł ukradkiem, i czekał pełni nocy, aby przekroczyć ukryteprzejście pod gobelinem z mitologicznymi postaciami, chociaż wcale nie spodziewał się ujrzeć tego, co zobaczył.

Wstał, kiedy na posadzce leżał cień okiennej ramy, ukośnie wydłużony prostokąt z repliką szczeblin, odbicie faliście załamywało się na bosych stopach, czuł śliski, chłodny parkiet, później matową, zimną powierzchnię kamiennych płyt sieni, ale wielki salon był zamknięty na klucz. Po omacku trafił w jakiś korytarz, aż znalazł się w pomieszczeniu bez okien, najpewniej szatni z wielością luster. Ze wszystkich stron ruszyła ku niemu niewyraźna postać uwita z gęstszego mroku, on sam. Przeżył moment grozy, zanim pojął, że to tylko zwierciadlane odbicie. Szukając dalszej drogi, uchylił rąbek portiery. Niewidoczny z głębokiego cienia, zobaczył pokój, dokąd również wiodły drzwi schowane za makatą w wielkim salonie.

Stąd ukrywany kochanek mógł słuchać jej popisu przed gośćmi i czekać na nią w przepastnym łożu ze szczytami pikowanymi jedwabiem, aż trudno zauważyć, gdzie kończy się posłanie, a zaczyna kołdra, tak samo delikatnie różowa, tylko z mankietem kremowej koronki od strony zagłówka. I wszędzie podobna tkanina, zasłony w oknach udrapowane w poprzeczne fale, ściany, sufit

11

wybite ową połyskliwą materią, abażur na nocnej lampie rozświetlającej mrok, całe pomieszczenie wymodelowane w jednakowej fakturze o tej samej barwie, jak wnętrze konchy. Pośród atłasów dwa nagie ciała osrebrzone poświatą zachodzącego księżyca.

Sypialnia Vedety z ubiegłego stulecia, raczej utrzymania bogatych mężczyzn, pomyślał: dziwki, albo jeszcze dosadniej, jakiejs Nany czy podobnej postaci z serialu oglądanego w telewizji. Ale porównanie przyszło później, nie wtedy gdy opuścił draperię odgradzającą garderobę. I sam już nie wiedział, czy ogarnął wszystko spojrzeniem zza uchylonej kotary, czy nałożyły się szczegóły zasłyszane w czasach, gdy nie upłynął dzień bez doniesień o dworze: kładą stiuki, sztablatury, posadzki, przywieźli meble, instrumenty, świeczniki.

Ukryty w ciemności przekradł się z powrotem. Zasko-

czony widokiem tej pary, uderzony przepychem sypialni, zarejestrowany obraz jak fotografię uniósł w pamięci. Nie starczyło miejsca nawet na zdziwienie. Dopiero po powrocie do alkierza zdobył się na stwierdzenie. To Ona. Artystka ze swoim ukrywanym bratem.

Zgroza. Oburzenie. Potępienie. Grał przed samym sobą. Tak naprawdę nie go nie obchodził ów związek zakazany przez Boga i ludzi. Liczyło się jedno. On wiedział. I mógł tej wiedzy użyć przeciwko niej i użyje, jeśli nie znajdzie czegoś bardziej ważkiego. Ale ten jej brat, ten zdeprawowany głupek, sam pomagał kręcić bat na Artystkę, sam wpadł Boguszowi w ręce.

Natknął się na niego przy paśniku w pobliżu bagiennych jezior. Śpiewał jakąś gniewną pieśń bez słów i gołymi rękoma rozwałął wiatę, żłób, wyrywał korytka z lizawkami. Niedawno znajomy Bogusza, polifonik, przypadkiem usłyszał brata Artystki w lesie. Powtarzał frazę kosa już przetworzoną w oryginalną melodię. Gość Bogusza był zdumiony, lecz nie udało mu się zobaczyć śpiewaka z bliska. Bogusz nie miał wrażliwego ucha, nie wiedział czy to, co tamten wykrzykuje, jest godną uwagi kompozycją. Zresztą głupek zamilkł, gdy tylko zauważył obcego.

12

Przez chwilę Bogusz zawahał się, czy wyjść na odkryty teren. Przecież to szalenie, pomyślał widząc jak ten człowiek wyrywa, rozbija, łamie ostoję służącą dokarmianiu dzikich zwierząt. Dotychczas nie wierzył opowiadaniom, że oni tam we dworze nie używają lewarka, brat Artystki małego fiata za zderzak unosi. Teraz się przekonał. Podobno jest łagodny, mimo tej swojej mocy muchy nie skrzywdzi, lecz tutaj zachowywał się niczym furia. A ręce majak kleszcze, przypomniał sobie uścisk dłoni głupka, kiedy stanął między nim a jego ubraniem i wypytywał o blizny.

- Przestań! - wyszedł na polanę, nie mógł beczynnie patrzeć na zniszczenie, wszystko się w nim burzyło.

Brat Artystki odrzucił trzymany właśnie kolek i ruszył w kierunku Bogusza, ale tym razem on nie dał się zaskoczyć. Miał flintę i zrobił z niej użytek.

Obniżył lufę i pociągnął za spust. Pocisk ryje ziemię, pryskają szpilki, suchy mech, grudki próchnicy, głupek podskakuje, Bogusz strzela, głupek znowu podskakuje, w Boguszu opada mordercza furia, żeby się zupełnie od niej uwolnić jeszcze raz odwodzi kurek, brat Artystki zwala się na podszycie i nieruchomieje jak przewrócony manekin.

- Ty, nie udawaj - przypada Bogusz, szuka tętna, odeszła go cała złość.

Budzi się niezadowolony z siebie. Źle wypadło. Nie chciał zrobić krzywdy, może tylko w jednej, jedynej mrocznej chwili, krótszej niż myśl, ale przecież nic złego nie stało się temu szaleńcowi.

Głupek ma ciepłe ręce, wyczuwalny puls, pod puchową kurtką, pod mocno sklepioną piersią pokrytą tatuażem blizn zwyczajnie bije serce. Zemdlał ze strachu? Trzeba wody, wytrząsa z myśliwskiej torby manierkę, dopiero widok płaskiego pojemnika obszytego zamszem przypomniał o koniaku. Przytknął tamtemu flaszkę do ust. Na brodę pociekł złocisty płyn, ogrzany zapachniał winnicą, słońcem, dębiną. Boże! Marnować taki trunek. I nikt się nawet nie dowie, co za napitek rozlewał po tym głupku, a najmniej głupek, chociaż podobno był we Francji, lecz nawet jeśli był, z pewnością nie spijał Philippona.

13

Ciężkie młoty kują w skroniach, ucisk w ciemieniu. Skoczyło ciśnienie. Bogusz nie może sobie przypomnieć, czy brał proszek, świetną patentowaną pastylkę firmy Sandoz, wyrównującą obieg krwi. Sprowadza je ze Szwajcarii. Pokrzepiony napojem brat Artystki mruży oczy i przygląda się Boguszowi, jakby go nigdy przedtem nie widział. Jest oszołomiony, apatyczny, słaby. Bogusz pomaga mu usiąść.

- Pociągnij jeszcze, dobrze ci zrobi - prawie nie żałuje dostającego trunku, znowu podając manierkę.

Głupek przysysa się do szyjki.

- Dosyć, to nie woda - Bogusz odbiera flaszkę, głupek przymyka powieki.

Bogusz wymyśla sobie bezgłośnie. Jak mógł aż tak nad sobą nie zapanować. Sam sobie odebrał punkt. Zaprzepaścił poważny atut, do tego jeszcze musi niańczyć głupka. Może on wcale nie jest nierozgarnięty, może tylko udaje? Następna wiadomość o Artystce dotarła do Bogusza z gazety. Aby nie utracić przynajmniej biernego kontaktu z językiem, Bogusz czytywał angielskie i francuskie pisma. Tam natknął się na notatkę o nowej pani na Sarniej. Nasta. Głosił tytuł i nic więcej poza imieniem. Nasta pod Nike z Samotraki w Luwrze. Nasta śpiewa. Nasta w przytułku sióstr Franciszkanek w Coirentin-sur-Marne pod Paryżem składa kolejną ofiarę na rzecz upośledzonych.

Jakby brakowało ubogich krajowych przygłupów, ona musi wspomagać francuskich. Reklama - ocenił Bogusz intencje Artystki i nigdy nie odgadł, co się za tym kryło. Z biegiem czasu z właściwą sobie metodycznością, bez pośpiechu, czynił poszukiwania ciemnych miejsc w przeszłości tej kobiety. Skoro nawet Bogusz je ma, każdy musi mieć. Zaczął od źródeł, od rodzinnych stron Artystki.

- W telewizji jej nie pokazywali, pewno nie taka znów znacząca - młodzi prawie nic nie wiedzieli o sławnej krajance. Starsi niechętnie wspominali bosą, zawsze głodną Nastkę Radziejów, która po latach, wystrojona jak wielka pani, przyjechała na pogrzeb ojca i zabrała ze sobą Idiotę, pozostawiając należną mu część spadku matce i Marynie, najstarszej z rodzeństwa.

- Daleko są moje dzieci - wymamrotała jej matka.

Wyschnięta kukielka z twarzą jak skórka razowego chleba, zawinięta w fałdzistą spódnicę z samodziałowego pól sukna, materiału jaki za jej młodości tkano tylko w najmniejszych gospodarstwach; najpewniej świata trzymały się jeszcze dłonie. Duże, zgrubiałe, poprzecinane niebieskimi żyłami z rozetami zwędłej skóry na rozdętych stawach, bezrobotne spoczywały na podłożu.

- We świecie moje dzieci, nie pomnę od jak dawna - zapadłe oczy uroniły łzę, nie spojrzały na Bogusza.

Ona pewno w ogóle go nie widziała, tylko swoje dzieci. Spoglądała na nie z oddalenia, z głębin czasu poprzez przeżyte dni i lata, zanim zostały poczęte, zanim powstało ziarno na ich siew. I ten czas przeżyty przez nią, tylko przez nią, utrwalony w zmarszczkach, odmienił, stworzył inną twarz, spod której niekiedy przezierało jej najpierwsze oblicze: niedostępne, nieodgadnione, nieznane. Spoglądała zza setek, tysięcy godzin, niepojęta, nieważna, niepotrzebna swojemu potomstwu, oni także wciąż bardziej obcy, bardziej dalecy, bardziej niezrozumiali i nic nie umiała powiedzieć o tamtym umarłym czasie, sama w pół nieżywa z gasnącą świadomością, beczynna, zajęta swoim przemianami. I tylko jak wspomnienie, wielokroć gnieciona i wygładzana koperta z doszczętnie zatartym adresem.

- Tam żyją moje dzieci, u zakonnic żyją moje dzieci, we Francji.

2.

Pod kępą arcydziegła leżało dziecko sarny.

Płowozłote z oczyma koloru owocu tarniny spoczywało pośród wysokiej trawy. Migotliwy cień podobniejszego krzewom potężnego ziela gasił walor sierści, przesiany przez liście słoneczny pył tańczył gniadymi plamami, stapiając się z maścią koźlęcia.

Tak Puszcza skrywa bezbronnych. Przed złym okiem człowieka, przed ślepiami rysia, przed drapieżną źrenicą ja-

14  
strzębia przelatującego nad leśną łąką, oprawioną w rudy masyw chojarów pocących żywicę pod czapami z kobaltu. Dziecko sarny było samo.

Minstrel natknął się na nie przypadkowo. Wszedł z mrocznej gęstwiny i oślepiiony słońcem brodził pośród kwitnącej polany. Jasna zieleń trawy przypominała kamienie, jakimi Nasta niekiedy przyozdabiała uszy i ręce. Graniaste oka łamią na okruchy promienie i sieją światło. Nie lubił tych twardych, przejrzystych gładyszy. Zazdrościł, że mogą siedzieć uczepione uszu Nasty, więc się nad kiściami dłoni i wokół szyi Nasty, wpojone w złociste kręgi opasywać palce Nasty. A Minstrel nie może, nawet gdyby Nasta pozwoliła. Jest za ciężki i za duży, aby mógł huśtać się jak kolczyk albo leżeć w wycięciu sukni na piersi.

Piersi Nasty. Przenika go nostalgia i pewno dlatego rozbiegają myśli na całą wieczność. Nie zna pojęcia czasu. Chwila, dzień, noc jest ciągiem dziania się rozdzielonym interwałami. Zmęczeniem myśli rozkołysanych jak dzwon albo pustą równiną, albo niebytem, albo bolesną kakofonią dźwięków, albo snem bez snu. Zmiennymi obrazami zamkniętymi w Minstrelu, jakby miał zepsute kino wewnątrz siebie.

Zdarzenia ze snów bez snu Minstrel odróżnia od przeżywanego rzeczywistości. Dostrzega zmiany zachodzące w otaczającym świecie, czuje je całym sobą, jakby był tylko wzrokiem albo słuchem, albo poręczą fotela, na której spoczywa dłoń Nasty. Lecz czas nie ma z tym nic wspólnego. Nie kojarzy się z listkami brzozy najpierw wyglądającej jak przezroczysty szal Nasty, później spowijający drzewo gęstwina. Nie ma wpływu na pachnącą żywicą, lepkie świerkowe przyrosty brudzące ubranie, za co łaje Aniela. I nie ma żadnego związku ze śnieżną okiścią otulającą iglaste łapki, jak białe futro ramiona Nasty. I nie ma związku ze zmarszczkami na twarzy Nasty, które ona starannie zaciera mastyksem, przeglądając się w psyche oprawnym w srebrny filigran.

Lustra.

W ciemności mierzchną, ich płaskie, srebrzyste oblicza zaciąga martwota; pozbawione odbicia świata, który jest ich bytem, sensem i radością istnienia, trwają puste, smutne, na wpół umarłe, póki nie dotknie ich pierwszy promień dnia, znowu przywracając życiu.

Tak śpiewają zwierciadła. Ich pieśń opowie Naście. Siostrze Agnes nie opowie. To sprawa doczesna. Siostra Agnes nie jest doczesna, nie będzie rozmawiała z Bogiem językiem luster, płochą muzyką. Do wymiany myśli z Bogiem najlepszy jest Händel, Beethoven, Haydn - uczyła siostra Agnes.

Ona nie zna życia luster ani ich duszy. Skąd może wiedzieć skoro nie ma nawet najmniejszego, nawet takiego, jakie można ukryć w kieszeni. Zakonnice gardzą zwierciadłami i w całym opactwie są tylko dwa. Jedno w zakrystii, służy kapelanowi podczas ubierania się do mszy. Drugie wisi w korytarzu przy szatni, sędziwe i zamglone, w którym One sprawdzają tylko czy równo upięły welony. Raz na dzień. Rano.

I pewno zaraz chciałyby wiedzieć, od kogo Minstrel słyszał o kryształowych taflach w złożonych ramach ozdobionych figurkami spaśnych nagusów z łukami w rękach i kołczanami przerzuconymi przez plecy, nagich, tłustych Puttach w marmurowej sieni Domu Lalek z opowieści Silenzia, podobnych aniołkom gołym i złotym fruwającym pośród tralek balustrady otaczającej cantorie, gdzie panoszył się Potwór przemawiający urzekająco pięknie niezmiernym bogactwem odcieni. Jego głos ogarniał i przenikał całą istotę

Minstrela. W takich chwilach wyzwolony i szczęśliwy szybo-  
wał pod sklepieniem transeptu, a jego nieważkie ręce auto-  
matycznie poruszały miechy na platformie chóru.

- Manuały są z hebanu i kości słoniowej - mówi siostra  
Agnes, pieszcząc bladą, wiotką ręką rzędy czarnych i żół-  
toszarych klawiszy.

- Zęby - szepcze Minstrel.

One nawet nie są takie straszne. Duże przednie sieka-  
cze. Ale ono ma także kły. Wypełniają połowę galerii za-  
wieszanej nad kruchtą, szczerzą szeregi srebrzystych  
kłów, krótszych, dłuższych i olbrzymich sięgających ma-  
lowideł stropu. Niesamowite, śpiewające. Z całą emporą

16

17

wyzłoconą i wielobarwną są rozwartą gębą monstra, czy-  
hającego na Minstrela. Prowadzony przez siostrę Agnes,  
sparaliżowany grozą i nieprzeparcie pociągany pragnie-  
niem usłyszenia śpiewu Potwora, wchodził, mały Jonasz,  
w paszczę wieloryba, by kalikować. Ledwo odrosły od zie-  
mi, sięgający brodą klawiatury.

Gra świerszcz. Rozsypuje tony jak okruchy słońca  
przesiane przez liście arcydziegła.

Siostra Agnes umiała zwabiać dźwięki i zamykać  
w znaczkach, kijankach z ogonami. Nasta też więzi je  
w czarnych kropkach pośród smolistych krech przecinają-  
cych białe karty niczym ścieżki danieli na olsach. Podob-  
nie zamyka jego, Minstrela, na klucz w pokoju, gdy się na  
niego gniewa lub gdy przychodzą goście.

Kiedy był mały, tak mały, że wciąż trzymał się habitu  
opiekunki, nie chciał, aby zmuszono do niemoty melodie,  
więc protestował, płakał, nawet krzyczał, zanim nie prze-  
konał się jakie to niegroźne.

- Muzyka jest językiem, a nuty alfabetem, pismem słu-  
żącym tej mowie - wyjaśniała siostra Agnes.

Siostra Agnes brzydziła się kłamstwem, siostra Agnes  
nie oszukiwała i sprawiedliwie traktowała innych, jednak  
nie udało jej się przekonać Minstrela. Wprawdzie gdy  
podrósł przestał wyczytniać brewerie, ale pozostało uprze-  
dzenie do partytury.

- Nuty tu tylko odpoczywają, jak w łóżku. Albo się ko-  
chają, albo śpią. Zaraz je obudzę - powiedziała kiedyś Na-  
sta i otworzyła pianino.

Nasta żonglowała prawdą jak tresowana foka piłką na  
nosie, którą Minstrel widział w kopenhaskiej Tivoli, Nasta  
cofała obietnice, Nasta fałszywie świadczyła, Nasta dopro-  
wadzała do rozpaczki zmiennymi nastrojami, a jednak jej  
wyjaśnienie uznał za właściwe i piękne, chociaż rozumiał,  
że nie było prawdą.

Pieśń znowu wypełniła przestrzeń tak samo jak przed-  
tem. Snuła się spod palców Nasty nawet żywiej i pełniej,

pewno dobrze jej zrobiło wylegiwanie na pięciolinii i pewno kocha jak Minstrel ręce Nasty na kremowej klawiaturze

18  
rze, potrafiącej opowiedzieć wszystko, czego Minstrel nie umie wysłowić. Dlatego darzy uczuciem instrument, objaśniający za Minstrelela niewypowiedzialne, chociaż jego dłonie są ciężkie, duże i brzydkie - gdzie im do rąk Nasty smagłych, jakby zawsze nasyconych słońcem, z różowymi opuszkami, cielesnych. Gdzie im do dłoni siostry Agnes przypominających lilie nazywane przez Anielę kwieciem Świętego Józefa, gdy układała w wazonie świetlicie blade kielichy i ustawiała na komodzie pod obrazem wiszącym w starej chacie, którą zbudował pradziad Anieli.

Kiedy Minstrel bał się jeszcze bezgłowych potworów, próbował je naśladować, ale zęby Minstrelela nie chciały śpiewać. Omal ich sobie nie wyłamał przymuszając do wydawania dźwięków. Taki był niemądry. Cierpliwie tłumaczyła siostra Agnes, że to niemożliwe, oswajała z instrumentami, pokazując co mają w środku i jak rodzą głos.

Polubił potwory.

Potrafią wypowiedzieć świąty ukryte wewnątrz Minstrelela, wtedy Nasta wszystko rozumie, chociaż zdarza się nie pojmując zwyczajnej mowy, szczególnie jeśli on wpada w złość. Lecz kiedy Minstrel z pomocą Potwora opowiada coś nowego, ręka Nasty szybko biega po pięciolinii, roniąc czarne krople.

Nasta także próbowała nauczyć Minstrelela usypiania tonów na papierze, żeby potrafił rysować, rozumieć i odczytywać owe kijanki i esy floresy nazywane kluczem wioolinowym, i on nawet bardzo chciał i bardzo się starał, ale nic z tego nie wyszło, chociaż Nasta się na niego gniewała i nie pragnęła go kochać.

- Mój ty matolku - westchnęła kiedyś już bez urazy i przegarnęła mu włosy na czole.

Zrozumiał. Nie będzie dłużej nękania czarnymi ziarnami wyrastającymi na białym kartonie jak sporysz na zbożu. One nic go nie obchodzą i wcale ich nie potrzebuje.

Bez nich zawsze słyszy jak śpiewają kamienie, cudzoziemskie miasta i trawa, drzewa, domy. I każdy przedmiot jeśli się w niego wczuć, przemawia swoim jedynym, jemu tylko właściwym głosem. A czasami te głosy łączą się we wspól-

19

na pieśń, najczęściej kiedy Minstrel jest szczęśliwy, albo przygnębiony albo zły, albo gdy czuje jak bardzo kocha Nastę, albo kiedy jej nie lubi, bo czasami wprost jej nie znosi, nie przestając odczuwać, wielkiej aż bolącej miłości.

- Ty moje największe kochanie, podła, przewrotna kobieto! Krzyżu, Golgoty - mówi jej czasami w oczy, dodając różne nowe słowa do przyswojonych kiedyś od Silenzia, po czym kładzie się twarzą do ściany, bo gdy naurąga Naście,

robi się chory i cierpi w nim wszystko, zwłaszcza niezborne nagle myśli ranią, jakby Minstrel nosił kolczasty wieńiec wewnątrz głowy.

- Nie bluźnij! - napomina Aniela, jeśli on mówi o swojej cierniowej koronie, w taki sposób odpowiadając na pytanie: dlaczego gniewa się na jedzenie, milczy jak niemo-wa i co widzi ciekawego na ścianie, w którą wpatruje się przez cały dzień?

Wciąż gra świerszcz, sypie migotliwe nuty, Minstrel budzi się z nieśnionych snów i już wie, co robi.

Nazbiera traw o odcieniu ozdób wieszanych na sobie przez Nastę, będzie go za to kochała. Dawno zauważył, Nasta darzy uczuciem i bardzo dba o zielone kamienie. Minstrelowi nawet ich dotykać nie wolno. Nasta opasuje sobie nimi szyję, ręce, przypina na ramieniu, a gdy je zdejmuję troskliwie układa w wymoszczonym jedwabiem pudełku zamykanym na klucz. No, przynajmniej także je zamyka jak i Minstrela, a wypuszcza rzadziej. To trochę łagodzi niechęć do graniastych, zarozumiałych gładyszy.

Schyla się ku źdźbłom, ale ich nie zrywa, kładzie na wznak i słucha, jak śpiewają rośliny. Cała łąka podzielona na głosy wtóruje świerszczowi i coraz wyraźniej rysuje się melodia. Minstrela ogarnia pieśń polany.

Świerszcz wie temat, kontrapunktuje brzęczenie zabłąkanego w jasny ranek komara, rozbrzmiewa odpowiedź w interwale. Żdźbła, liście, owocniki spletają prymy, tercje, seksty... nony i decymy, aż wreszcie wszystkie głosy łączą się w całość, w której ginie i znów odżywa pieśń świerszcza.

Ucicha. Wtedy Minstrel spostrzega kozłę. Sponad umilkłych traw wystaje brązowa mordka. Oczy jak dwie śliwki

20

tarniny, patrzą na człowieka. Minstrel zastyga. Jeszcze nigdy nie widział z tak bliska dziecka sarny. Podglądał daniela idącego przed świtem pić wodę ze strumienia. Na mszarach nieraz spotykał łosia niemal twarzą w twarz i Minstrel udawał zdechłego żuka, żeby taka wspaniała, piękna osoba nie musiała sromotnie uciekać. Uczył się.

Obserwował jak łoś stawia badyle obute w kapciaste racice, godnie i pewnie poruszając się po zdradliwych kępach.

- Niebezpieczne! - przestrzega leśniczy, ilekroć z żoną przychodzą zaproszeni przez Nastę. Minstrel podsłuchiwał.

A leśniczy jak nikt zna Puszcę, bo to niezwykły leśniczy.

- Z powołania, i nietrunkowy - chwaliła Aniela. - A ty nie chodź na Czarcia.

Ale Minstrel musiał sam zbadać, aż doświadczył owej grozy.

Wokół czterech leśnych jezior, czarnych oczu ziemi, zalega podstępna łąka. Piękna. Puszysta niczym sierść zielonego królika. Tak stroi się topiel, jedwabiste futro ugina się pod ciężarem człowieka, nawet można się na nim po-

huścić, jeśli się dość głęboko nakłuje rosochem, sika brunatna maź. Raz Minstrel nadto zawierzył torfom i noga wpadła mu po biodro. Dalej zaczyna się oparzelisko na Czarciej Łapie.

Początek bierze w miejscu, skąd ziemia patrzy na świat przepastnymi źrenicami. Złe uwalilo się przed oczyma ziemi, daleko wyciągnęło jedną łapę. Po jej krawędzi można się przedostać do wysokopiennego lasu, widocznego na horyzoncie, pewnego miejsca pośród mokradeł, chociaż owej łapy nigdy nie ujrzysz, jedynie wyczujesz stopą. Bieda w tym, że Złe prostuje albo podwija pod siebie jedną lub drugą kończynę i bagienny bród chytrze się przemieszcza.

- Tak Złe wciąga ludzi w trzęsawisko bez śladu i ratunku. Nie chodź tam nigdy więcej, bo przepadniesz jak ruda mysz, zaś nasza artystka umrze z rozpacz - wieszczyła Aniela ściągając z Minstrela unurzane w szlamie odzienie, ale jego wyprawę zachowała w sekrecie.

Nasta zajęta budzeniem świata na pięciolinii, nawet się nie domyśla, że o szarówce Minstrel ucieka przez okno

21

z zamkniętego domu, by uczyć się od łosia stąpać skroś grani Czarciej Łapy, w oparach chłonnego bagna.

- Po żurawiny na Czarcia można chodzić dopiero, kiedy skuje mróz - przestrzegala żona leśniczego, jakby Nasta naprawdę wybierała się zrywać te czerwone jagody zwabiające ludzi w największe grzęzawisko. Tak zginął Obcy, co zaufał podstępemu kozuchowi traw, tam niebędącemu już nawet kozuchem tylko cienką skórą, maskującą topiel.

Naście nie grozi niebezpieczeństwo. Nastę nie interesuje zbieranie owoców Puszczy. Nasta tam nie chodzi. Mówi, że nie ma czasu ani potrzeby, skoro mieszka w lesie.

Ogród Nasty jest duży, pełen starych drzew i młodych sadzonek. Przychodzą do niego zajęce, czasami kuna, łasi-ca, ale nigdy jeleni, daniel czy dziecko sarny.

- Nie bój się - Minstrel wyciąga ramiona, zaniepokojony sarniuk podnosi się na zadnie nogi i prostuje przednie. Czasami z niewiedzy ludzie marnują zwierzęta. Minstrel w samą porę przypomina sobie, co Naście opowiadał leśniczy. Samotne dziecko sarny wcale nie znaczy: opuszczone. Matka z całą pewnością znajduje się gdzieś w pobliżu, może nawet w tej chwili już widzi Minstrela opodal małego i serce jej pęka z obawy.

Koźłęcia nie wolno dotykać. Sierść zatrzyma obcą woń, pachnącego człowiekiem matka może porzucić. Minstrel wycofuje się z powrotem w gęstwą trawy. Omal nie wyrządził strasznej krzywdy swojemu bratu. Siostra Agnes mówiła, że zwierzęta są młodszymi braćmi, czego nauczał święty Franciszek z Assyżu.

Na szczęście nie podpełzł jeszcze zbyt blisko i nie gła-

skął sarnięcia, matka go nie opuści i ono nie zostanie sierotą. A dziecko sarny jakby zrozumiało Minstrela. Znowu legło w maskującym cieniu arcydziegła.

Gdzie ona jest?

Minstrel rozgląda się uważnie i wreszcie odkrywa sarnę. Pasię się na skraju polany. Na tle lasu jej ruda sukienka zlewa się z barwą pni i usypisk zeschniętych sosnowych kolek.

22

Sarna unosi głowę i zastyga, nieruchoma jak otaczające drzewa. Bada ukazując jaśniejsze od okrywy podgardle. Skok. Wolta. Miga lustro, beżowa łata podogonia.

Grzmi salwa.

Puszcza odbija zwiłokrotniony pogłos. Pod sarną załamują się nogi, pada na kolana, dźwiga, niezbornym truchtem uchodzi ku pobliskiej ścianie boru. Rozwija za sobą czerwoną wstążkę. Daleko, na przeciwległym skraju wynurza się mężczyzna. Minstrel widzi, jak unosi do oczu flintę. Mierzy.

- Nie, nieee!!! - krzyczy Minstrel i biegnie na ratunek sarnie. W zamęcie, jaki w nim powstaje, huk i poszum następnego strzału odbiera bez związku z pierwszym. Widzi jedynie, jak zwala się ciało barwy młodego kasztana, jeszcze tylko przez chwilę chwieje się na uniesionej szyi szlachetna głowa i powoli kloni ku ziemi zasłanej igliwiem. Oprawca zbiega w morze rozkrzewionych ziół, Minstrel przypada do zwierzęcia, ale nic już nie może dla niego uczynić. Sarna umiera. Nieprzerwanym strumykiem toczy się krew po jej boku, wsiąka w podszycie, tam już krzątają się polśniewające malachitem żuki czyściciele. Z szeroko otwartych oczu sarny płyną łzy.

Myśliwy wciąż jest jeszcze daleko. Nie jest sarną, nie umie śmigać po łące, nie jest nawet tak szybki jak Minstrel. Ustał i brnie przez wzburzone trawy; zielem szczepionym wzajem koronami, mietlicą kurzącą kwietnym pyłem, pokrzywą, ostem i pnączem powoju stawia polana opór zabójcy.

Minstrela ogarnia strach. Bezbronny, widoczny, łatwy cel, jak sarna. A chociaż odległość nie pozwala rozpoznać rysów tamtego człowieka, Minstrelowi wydaje się, że widzi złe oczy i grymas wściekłości na twarzy ociekającej potem. Ucieka.

Nieco otrzeźwia głęboki cień pod kopułą starodrzewu, ale gęstwa podszycia nie budzi zaufania. Trzask suszu pod stopą, szmer świerkowych łapek, szelest jeżynowych pędów, w jego odczuciu brzmią głośno, więc z pewnością wskazują kierunek, a śladem podąża tamten okrutny morderca sarny.

23

Plecy, ramiona, obolała głowa, całe ciało woła o kryjówkę. Wpełza pod szatę młodej jodły, falbaną rozpostartej na

mchach. Skulony na boku z kolanami podciągniętymi pod brodę udaje nieżywego żuka.

Dziecko sarny, musi ratować dziecko sarny!

Nie jest w stanie się ruszyć, nie może się zdobyć nawet na wyciągnięcie ręki, aby odchylić zasłonę z kolących kitek.

Jest martwy, żyją w nim tylko uszy i wewnętrzne oczy. Po-  
przez pieśń lasu słyszy dźwięk motoru i ludzkie głosy, pod  
zaciśniętymi powiekami wciąż płacze umierająca sarna.

Z duktu o kilka kroków od jego schronienia, wytacza  
się samochód i zatrzymuje przy ubitym zwierzęciu. Dwaj  
mężczyźni wrzucają kasztanowate ciało do bagażnika.

- Przynajmniej wiesz, kto to był?

- Nie. Wyprysnął z traw i pomknął w las. Pewno ktoś  
z robotników leśnych. Spał, chyba po wódce. Wyrwał  
i kwiczał, jakbym do niego strzelał. Omal nie wpakował  
się na linię.

- Mógł cię rozpoznać.

- Był za daleko i miał słońce w twarz. Zresztą, nieważne.

- Czy to nie czub od Artystki?

- Bardzo możliwe - przyznaje Bogusz.

- Podaj mi z łaski swojej nóż. Jest w mojej torbie.

- Nie marudź, Henryk! Zaraz zaczniesz się upać, zaparzy  
mięso w kufrze.

- Muszę zdjąć warstwę ziemi z farbą, Wiktor.

- Przysyp szpilkami, wystarczy.

- Lepiej zrobić porządek, nie zostawiać krwi.

Kto mówi o nożu, kto mówi o krwi?... Krew... utopione  
dokumenty tożsamości. Tożsamości, śmieszny dźwięk...

Silenzio znaczy milczenie, a Silenzioso milczek.

- Majaczy - szepcze drugi głos.

- Ratujcie Silenzia - krzyczy, lecz słowa wydobywają  
się z jego ust niegłośniejsze niż tchnienie i on sam ledwo  
je słyszy.

- Nie martw się o niego, wszystko będzie dobrze - mówi  
głos, jakby uspokajał dziecko.

Bardzo jest zmęczony, ale przecież musi przestrzec,  
zbiera wszystkie siły, pokonuje bezwład warg, stara się  
mówić głośno i wyraźnie.

- Dom Lalek, La Comte, Carlo, Szef... wrogowie Silen-  
zia - zapada w bezwład jak w puch. Dobrze jest spoczywać  
w białej pustce, w której nie ma żadnych musów, pra-  
gnień ni lęków. Dobrze jest czuć dotyk dłoni zbierającej  
deszcz, a może rosę, z jego twarzy.

- Silenzio jest bezpieczny. Możesz spokojnie zasnąć.

Resztę opowiesz, kiedy będziesz silniejszy.

- ... stan krytyczny. Wszystko w ręku Boga - pochyla  
się głowa w białym kornecie ze sztywnymi skrzydłami,  
szeleści krochmalone płótno.

Znowu biel.

Biel poraża oczy. Lepiej trzymać je zmrużone, najlepiej

wcale nie otwierać, chociaż i tak przenika przez zamknięte powieki. Płyta oślepiającego kamienia uciska pierś, nie pozwala oddychać. Uwolnić się od tej barwy, powrócić. Dokąd?

- ... siostrze, tlen.

Poza śnieżną równiną jest tylko ciemność, z której się wydobywa. Stoi na krawędzi wirującej tarczy przenoszony na zmianę w biel lub mrok gęsty jak wojłok. Woda zalewa usta, twarz oblepiają zwiedłe liście opadłe z drzew, oplątuja łodygi grążeli, zasnuwa rzęsa. Brak tchu.

Powietrza!

Zaczerpnąć trochę powietrza, chociaż na jeden oddech, nie krztusić się zgniłą wodą. Silenzio... Silenzioso... Rozpada się świadomość, opuszcza ciało, tuli się jeszcze w końcach palców, ucieka w źdźbła nienazwanego ziela zerwanego w głębinie przez szamoczące się ręce rozpaczliwie pragnące oparcia... Zanika rozmywany nieruchomą tonią. Nawet go nie poniesie z nurtem, tylko rozmiękczy, przetrawi, wchłonie jak zdechłego ślimaka, martwą żabę, jak śniętą rybę.

- Aqva vita...

- Ma dość... zostaw małego.

24

25

- La Com te, Carlo, Szef, Dom Lalek - czy powiedział dostatecznie wyraźnie, żeby one, kimkolwiek są, zrozumiały?

- Jedenaście pchnięć... Beznadziejne... Silny organizm... Wykrwawienie... Bez zmian... Nie ma kontaktu... Bóg jest miłością... Nasta jest największą miłością. Nie bluźnij!

Niknie złota twarz Nasty, oddala postać obrysowana niteczką jasności, jakby wydzielaną przez świetliste włosy okrywające ramiona. Odwraca się i podąża za zakonnica. Mniszka z dłońmi wsuniętymi pod brzegi czarnego fartucha z alpaki oddala się bezszelestnie, długa, ciemnoniebieska spódnica płynie nad kamienną posadzką jak suknia lalki poruszanej ukrytym mechanizmem. Biel uskrzydłonego czepca zlewa się z bielą nagich ścian korytarza. Perspektywę zamyka od podłogi po łuk sklepienia krzyż z czarnego drewna z rzeźbionym wizerunkiem storturowanego ciała boskiego syna.

- ... ucisz serce swoje, wyrzuć zeń nienawiść, chciwość i pychę. Mea culpa... Mea maxima culpa!

Wszystkie winy świata zmywa głos organów. Przezroczyste ręce siostry Agnes snują pieśń.

- Sonata Beethovena, opus sto jedenaste tonacja c-moll, napisana w roku tysiąc osiemset dwudziestym drugim. Ostatni utwór kompozytora - mówi głos.

- Dotknięty matolectwem? - zastanawia się inny głos, dawniejszy.

Z pewnością uwaga nie dotyczy Beethovena.

Sonata wypełnia przestrzeń. Siostra Agnes rozmawia z Bogiem. Niewidoczna siostra Agnes ukryta pod malowanym stropem za balustradą empory, gdzie pośród złotych tralek fruwać złote aniołki dmące w złote trąby Putta tłuste i nagie, tak je nazywał Silenzio, wspominając Dom Lalek. Tony są coraz głębsze, coraz ciemniejsze, płyną jak nurt mrocznej, wzburzonej rzeki.

- Organy są królem instrumentów i instrumentem królów - mówi głos.

26

Kościół Saint Pierre w Souvigny. Fragment z dwunastego wieku z romańskimi łukami, Bazylika Notre Dame w Paray-Le-Monial wzniesiona staraniem opactwa Cluny. Zachowało się prezbiterium z dwunastego stulecia, kościół Notre Dame La Grandę w Poitiers... Kuchnia opactwa w Fontevrault zbudowana na planie wielokąta, wieże charakterystyczne dla tego czasu, pokryte głowicami w kształcie sosnowej szyszki... Kościół z granitu Saint Pierre w Solignac... Gotyk Primaire - objaśnia głos.

Rayonnant... flamboyant - mówi głos.

Pinakle, kwiatony, manswerki, wimpergi... Chartres, Amiens, Reims... Sante Chapelle i Notre Dame w Paryżu... Pieta Awiniońska - monotonnie czyta Nasta.

- Gotyk to także mentalność, powinnaś stać się kobietą tamtego czasu, musisz porozmawiać z mediewistą - żąda głos.

Tłum kłębi się, biega - fotografuje - drepcze - fotografuje - zadziera głowy ku filarom rozkwitłym kielichami wsporników łączących się w łuki sklepienia - fotografuje - wspina się spiralą schodów, sto osiemdziesiąt dziewięć stopni, wyłobionych niezliczonymi stopami od stuleci wstępującymi tędy pod samą więźbę hełmu wieży, pod samo niebo - fotografuje.

Nikt nie słyszy pieśni piaskowca, granitu, twardzieli, nikt nie słyszy, jak grają donżony Carcassonne, łupki na koronie murów Poitiers, wiatr w przyporach Reims, tylko on, Minstrel! Przeświecone słońcem witraże kładą na kamienie posadzki purpurę, fiolet, zieleń... Kamień śpiewa. Nikt nie słyszy, jak śpiewa kamień, kolorowe szkło, scalający je ołów.

Primaire!

Nasta śpiewa pieśń gotyckich katedr, stołpów kaszteli Akwitanii, warowni Prowansji, pieśń skalnych ciosów, które uwięziły dusze muratorów i zakleły na zawsze w wysmukłych wieżach, kamiennych koronkach, barwionym szkłem. Nasta stoi nieruchomo z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała w ciemnofioletowej tunice. Jedwab spada hieratycznymi fałdami i ściele się sztywną draperią wokół nóg.

27

Punktowiec wydobywa ostry kontrast z załamań tkaniny i upodobnia do rzeźby.

Scena wygaszona.

W smudze matowego światła padającego z góry, bladym złotem pełga głowa, proste włosy okrywają ramiona, spływają na piersi. Nasta nie nosi żadnej biżuterii. Jak jedyny klejnot sięgający kraju sukni leży przed nią na podłodze barwna plama o nasyconym walorze, refleks fioletu, purpury, zieleni, niby odbicie prześwietłego witraża.

Nasta śpiewa w Języku d'oc, starym języku minstreli Prowansji i Langwedocji. Kończy ostatnią pieśń z pierwszej części gotyckiego tryptyku, sala huczy oklaskami, wołaniem o bis. Nasta nie bisuje, nie kłania się, nie uśmiecha, nadal stoi nieruchomo i jest w niej coś ze strzelistości średniowiecznej madonny i pogańskiego bóstwa z ciała i krwi pulsującej pod marmurem.

Rayonnant!

3.

Z początku Bogusz puścił mimo uszu wiadomość o kupieniu przez Artystkę dworskiej ruiny. Nazwisko nic nie mówiło, w telewizji nigdy go nie słyszał. Nowinę przyniosła Aniela, ta chytra dworóska, która jak głodny pies pobiegła po lepszą kość, ani pamiętając o dobrodziejstwach. Wdzięczność chamów ma krótką pamięć. Zapomniała, kto ją ratował, gdy nie mieli co jeść ze swoim garnczarem. Biedy chadzają parami. Mężowi cofnięto zezwolenie na sprzedaż wyrabianych skorup. Proceder straszył nowo powstałego Sekretarza niekontrolowanym bogaceniem się jednostki, skąd wiało grozą odrodzenia się hydry kapitalizmu. Żonę zakwalifikowano do kategorii sługusów minionej warstwy wyzyskiwaczy i wyrzucono z kuchni stołówki Komitetu w Gawrze, jako element politycznie niepewny. Aniela przyjechała do Warszawy. Bogusz ratuj! I Bogusz ratował.

- Trzeba podchodzić dialektycznie, a ta dworóska, lokajska jej dusza, klasowo obca. Wiecie towarzyszu je u nas kadra partyjno-kierownicza, je Bezpieczeństwo, je Milicja. Nie daj Panie Boże, jakiego nieszczęścia - podsumował Sekretarz.

Bogusza nie raziła prostota podziału. Wówczas podobne kryteria personalne obowiązywały wszędzie. W jego ministerstwie też. Tylko skala była inna.

Przysłany ze świata gawrzański Sekretarz niedawno nastał, ludzi nie znał, zawodu nie miał, wielkim umysłem nie grzeszył, wykształcenia nie posiadał. Ideologicznie podszkolony na przyspieszonych kursach, sprawował swój urząd ze świadomością zbrojnych oddziałów podziemia wciąż jeszcze obecnych po dookolnych ostępach, pod presją kategorycznych nakazów podawanych z góry i ob-

sesyjną troską o swój autorytet.

Stałe zagrożenie życia z jednej strony, pozycji służbowej z drugiej, obowiązek programowej czujności i brak kompetencji uczyniły zeń szczególnego rodzaju człowieka. Bogusz go rozumiał i podzielał przekonanie, że z dwojga złego lepiej wyrzucić dziesięciu niewinnych niż przeoczyć jednego wroga. I coś mu z tego pozostało. Nadal oceniał klasowo, jeśli mu się ktoś naraził.

Za Aniełę gotów byłby poręczyć, jednak nawet nie próbował przekonać Sekretarza, że Aniela nikomu nie zatruje zupy. W takiej aurze, każda niestrawność żywionych przez dawną dworską posługaczkę mogła ją przemianować z elementu obcego na wrogi i sprowadzić nieszczęście także na protektora.

Czerpał doświadczenie z niedawnej przeszłości. Po ucieczce z Błot przed niechcianą konspiracją, zaczął się w mieście jako milicjant plutonu operacyjnego. Kierownik kantyny, etat cywilny, sprowadził do bufetu cytryny. Pierwsze cytryny po wojnie, bodaj wydebione z darów UNRRA. Większość ich, młodych, przeważnie wiejskich chłopaków, razem z nim, Boguszem, jeszcze nigdy nie kosztowała egzotycznego owocu. Rzucili się kupować, dzielono po kilogramie, jedli łączywie nurzając grube plastry

28

29

w torebkach z cukrem. Nazajutrz połowa oddziału dostała wysokiej gorączki, bóleści i ostrej biegunki.

Aresztowano kierownika kantyny podejrzanego o wrogą działalność, który, niewykluczone, w zмовie ze światowym imperializmem podsunął zatrute cytrusy Zbrojnemu Ramieniu Demokracji, jak w przemówieniach nazywał milicję oficer polityczny. Analiza nie wykryła toksyn w cytrynach, ani w strutyach ofiarach zamachu. Po trzech dniach dolegliwości ustąpiły samoistnie.

- Chłopaki żarli jak wilki i się przeżarli niezwyčajni delikatesu - orzekł szef sanitarny.

Dochodzenie umorzono, kierownika kantyny wyjęto z ciupy, a chociaż już nie chciał, przywrócono do pracy. Pomny owych doświadczeń, Bogusz nie próbował kwestionować podejrzeń dotyczących prawomyślności Anieli, lecz nie pozostawił jej bez pomocy. Krakowskim targiem załatwił pracę na koloniach letnich, skąd po dwóch sezonach też ją zwolniono, jako klasowo niepewną była pańską kucharkę w sarniejskim dworze.

Tak naprawdę Aniela we dworze nigdy nie dochrapała się prawdziwej posady, przez cały czas pomagała przy grubych robotach kuchennych. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Podział przebiegał prosto. Folwarczni i dworscy. Folwarczni, czyli fornale, ci, owszem, bliscy nowej rzeczywistości. Dworósy to sługi, posłuszne narzędzie dziedzica,

psy łańcuchowe o ztraconym instynkcie swojej warstwy, kłające rękę, która chce ich wyzwolić z uwięzi.

Kadrowiec potrzebował miejsca dla swojej teściowej.

W masywie sarniej skim o pracę dla kobiet było i pozostało trudno. Tym razem powiadomiony Bogusz zadziałał szybko i skutecznie. Kadrowca utemperowano.

Na tym nie wyczerpała się życzliwość Bogusza. Kiedy Garnarczowa została z sierotą na karku, kto się zatroszczył? Bogusz. Raz, dwa, gminną opiekę społeczną uruchomił, potrzebującą wskazał. Pewno, z tego powodu kosztów ani ryzyka ani trudów nie poniósł, akurat w Gawrze naczelnikował jeden z Boguszów, ale nie wiadomo czy kto inny sięgnąłby chociaż po telefon, żeby nic nieznaczącej

30

kobiecie rentę opiekuńczą przysposobić. Lecz cham zostanie chamem.

Bogusz wie się ze szlachty. Jeszcze dziadek Bogusza nazywał się Bogusz-Boguszewicz, ale jak chrzcili Boguszowego ojca, kumowie się spili i do status animari poddyktowali tylko partykułę. Tak ród został pozbawiony podstawowego członu nazwiska.

Bogusz nie przywiązuje wagi do reliktyw, niechaj się jednak rozżłości na kogoś z sarniejskich albo pohorzańskich, myśli o nich: chamy! I próżno tłumaczyć, że cham to zachowanie, stosunek do innych, nie kondycja, nie warstwa społeczna.

Bogusz urodził się w Błotach Szlacheckich. Zaścianek leży na grądzie pośród mokradeł. Gospodaruje na torfach, piaskach i podmokłych łąkach nazywanych popławami. Wokół Puszcza. Kąt deskami zabity, z dala od głównych dróg i węzłów komunikacyjnych. Do świata nadal mają dalej niż Sarnia. Muszą okrążyć bagna. Dawniej przeprawiali się, jak i sarniejscy, brodem poniżej młyna wodnego, później, jeździli przez most za gumnami sarniejskiego dworu.

W tamtych czasach mieli czteroklasową szkołę powszechną i poczucie lepszosci, które i teraz dochodzi do głosu. Czerpali je ze swojego szlactwa. Na sarniejskich, pohorzańskich spoglądali z wyższością. Chamy. Nie, w oczy tego nie mówili, chyba w wielkiej kłótni. Częściej wojowały dzieci.

- Idą chamy granicą, piją siki donicą. Idzie szlachta miedzą, masło sobie jedzą - śpiewały umorusane oberwańce z Błot Szlacheckich, wytykając umorusanym oberwańcom z Sarniej, że miedzę nazywają granicą.

Sarniejskie dzieci głęboko dotknięte zawartością owej donicy, odcinały się rymowanymi uwagami z dziedziny konfekcyjnej.

- Te szlachcice z błotniaków gubią słomę z chodaków.

A sitowiem jak odzieniem okrywają przyrodzenie.

W większości i jedni i drudzy z braku butów zimą sie-

dzieli w domu. W letnie niedziele i ci z Błot, i ci z Sarniej szli do kościoła w Gawrze, niosąc trzewiki w rękę  
31

i wzuwając je dopiero przed opłotkami kościelnej wsi, z której po wojnie najpierw uczyniono powiat, a następnie siedzibę gminy.

I chamy i szlachta masło jadali rzadko. Stanowiło towar przeznaczony na sprzedaż. Opędzało się za nie najpilniejsze potrzeby. Mydło, zapalki, naftę.

Każda kobieta trudniła się jego wyrobem. Zlewała mleko w ładyszki i stawiała w chłodnym sklepu.

Śmietanę zbierała łyżką, gdy uskładała kilka litrów, tukała gęsty płyn w drewnianej maślnicy, póki nie oddzielił się tłuszcz. Wydobywała blade grudy i płukała z resztek maślanek wygniatając kopyścią, by w masie nie pozostała ani kropla, bo łatwo kisła i psuła smak. Wymyte masło zaprawiała sokiem z marchwi, co nadawało mu ową złocistą barwę, i formowała w gomółki. Owinięte w liście dzikiego chrzantu i wilgotne lniane szmatki, wraz z serami, jajkami i śmietaną nalaną we flaszki, układała w koszu, opasywała go płachtą i troczyła do pleców końce zgrzebnego płótna wiążąc przez pierś, na krzyż.

Boguszcza matka, jak i inne kobiety, szła do Grodziszcz boso, niosąc obuwie w rękę. Wychodziła o pierwszych kurach, żeby zdążyć na rano. W dni targowe objuczone łubami wieśniaczki nadciągały ze wszystkich stron, rzędami stawały na rynku.

Ludzie przebierali, grymasili, targowali się. Masło chude, bo za mało żółte, ser za wilgotny, śmietana za kwaśna. Czym wyżej wznosiło się słońce, tym niżej spadały ceny. Masło miękło w upale, kipiała burząca się śmietana, twaróg pocił serwatkę.

Grodziszcz było siedzibą starostwa. Miało sąd powiatowy i grodzki, komisariat policji, więzienie, szpital, cztery kościoły, synagogę, cerkiew i meczet, gimnazjum, pięć cmentarzy każdy innego wyznania, trzy kancelarie adwokackie i trzech lekarzy z prywatną praktyką. Miało hipotekę, rejenta, dwie restauracje, dwie cukiernie z bilardem i szachami, oraz jedną kawiarnię, gdzie obnosiły modne toalety i kapelusze znudzone panie z establishmentu, wtedy nazywanego elitą.

32

Składało się Grodziszcz z jednej brukowanej, bardzo długiej ulicy. Zaczynała się hotelem George, a kończyła tiumną. Twardą nawierzchnię i zwartą pierzeję posiadały jeszcze cztery przecznice, reszta to były niebrukowane drogi, krzywe zaułki z kępami łopuchów, mniszków i dzikiej koniczyny, przytulonych pod płotami, wydeptane trakty błotniste w jesienne słoty, pylące latem kurzawą, krzyżujące się skroś ogrodów z drewnianymi domami.

Ludzie żyli z ziemi, tartaku, nieliczni z kolei. Żydzi w niepojęty sposób utrzymywali się z handlu, chociaż jaki taki ruch panował w ich kramach i warsztatach tylko dwa razy w tygodniu, podczas targu.

Miasto nie miało mocy wchłonąć towaru dostarczonego przez kobiety ze wsi. Starły się sprzedać go za pół, nawet za ćwierć ceny, byle nie wracać z pełnymi jukami. Musiały pozbyć się nabiału przed południem, później rynek pustoszał.

Zmęczone i rozczarowane, bo nigdy nie uzyskały tyle na ile miały nadzieję, robiły konieczne zakupy i z pozostałą garścią niklu w gałganku, rzadko ze srebrną monetą, wlokły się z powrotem, drżąc w marszu. O zachodzie docierały do domu. Daleko na spotkanie wybiegały dzieci. Kobiety sięgały do kobiałek, dzieliły pszenną bułkę i poduszczyki, albo raczki, tanie cukierki w różowo zielone paski, nadziewane jabłkowym powidłem lub chrupką masą. Gościniec, oczekiwany przez cały dłużący się dzień. To chałupnicze przetwórstwo przynoszące nędzny zarobek pamiętał z rodzinnego domu proboszcz gawrzański. Ziemie probostwa świeciły przykładem, gumna plebanii można było na wystawie pokazywać. Maszyny ułatwiały najcięższe prace. Wszystkie poruszane siłą końską. Na takim areale traktor i motor elektryczny kalkulowały się znacznie drożej niż utrzymanie parobka i dwóch najprędniejszych belgijskich wałachów. Takie to były czasy, Na co dzień Kanonik obowiązki duszpasterskie odprawiał szybko.

- Idźcie pomodlić się pracą, też Panu Bogu wielce jest miła - wyganiał z ławek zapóźnione dewotki. Zamykał za 33

staruchami kościół i dołączał do pracujących ludzi. Tylko koloratka odróżniała go od innych chłopów.

Miał swoją słabość.

W całej parafii para bułanków Kanonika była najpiękniejszym końskim zaprzęgiem. Równać się z nimi mogły tylko dworskie deresze. Proboszcz powoził sam. Jeździł ostro. Ogiery pruły piersią powietrze, ledwo muskając ziemię kopytami. Gęsto nabite miedziane ćwieki na uprzęży z podkładką z zielonego filcu lśniły jak sierść kłusaków. Nad nimi obłokiem płynęły w pędzie długie, jasne grzywy. Łabędzie nie konie. Podobne rumakowi świętego Jerzego na obrazie w ołtarzu.

Proboszcz zagonił parafię do budowy mleczarni.

Zaczął od perswazji, lecz kiedy zabrakło cierpliwości wybrał komitet budowy po jednym z każdej wioski. Skarbnikiem nazaczył Boguszowego ojca. I począł wyciskać pieniądze.

Patronował fantowym loteriom, oprocentował strażackie zabawy, niemałe dotychczas, wzrosły niepomiernie

opłaty za śluby, chrzty i pogrzeby zamożniejszych, bo biednych grzebał za co łaska albo i za Bóg zapłać. Pochówki były wyjątkiem. Żadnego dziecka za darmo wodą chrztu nie skropił, nikomu rąk stułą nie związał.

- Wódki na poczęstunek mniej kupisz - powiadał każdemu, kto usiłował cokolwiek wytargować na sakramencie. Sarniejski pan prześmiewał się, że proboszcz jest utajonym zwolennikiem Malthusa. Ludzie zachodzili w głowę, kto zacz ten przybłąda, którego ich duszpasterz popiera z bolesnym uszczerbkiem dla kieszeni parafian.

Kanonik nigdy nie stosował jednolitej taksy. Wełnę swoim owieczkom przycinał indywidualnie, lecz teraz z każdej strzyży odprowadzał pewną część do kasy komitetu.

- Pijawka! - sarkali ludzie za plecami plebana.

W niedzielę, na sumie przed kazaniem sam chodził z tacą i skarbonką.

- Tu grosz świętego Piotra, a tu na mleczarnię! - żadnej mszy nie przepuścił. Zbierał na budulec i urządzenie. Robociznę mieli dać parafianie bezpłatnie.

34

- Ciemnoto! - grzmiał z ambony, bo szybki był w gniewie, kiedy jego owieczki znów czegoś nie zrobiły albo nie dary. Opodatkował parafian półtora złotego od krowy, płatne jesienią po zbiorach. Po Świętym Marcinie, porze wypłacania ordynarii, zasług i regulowania wszelkich należności, mylord zaprzężony w bułanki śmigał od przysiółka do przysiółka, proboszcz ścigał haracz. Nikt się nie wykręcił. A gdy rozpoczęto budowę, na penitentów przedwielkonocej spowiedzi posypały się niezwykłe umartwienia.

- Kyrie elejson! Za pokutę synu odmówisz jedno Zdróż, i przywieziesz furę kamienia.

- A kto będzie łamał, ojciec duchowny?

- Chryste elejson! Ty robaczku, ty.

- Za dużo ojciec duchowny, moja krzywda.

- Nie targuj się bezwstydniku ze swoim pasterzem! Pan nasz wygnał przekupniów ze świątyni jerozolimskiej, bacz, aby ciebie to nie spotkało. Odejdź w pokoju i nie grzesz więcej. Amen - podawał stułę do ucałowania i wychylony z konfesjonału kiwał na następnego, a kiedy nikt nie oczekiwał, wychodził i zagarniał stadko spośród penitentów wikarego. Nie było ucieczki przed plebanem.

Cieślom z parafii urządził oddzielne rekolekcje. Przez trzy poranki tłoczył w nich nauki z Pisma świętego podnoszące etos pracy, czwartego dnia wyspowiadał i porozdziałał robotę. Aż wiosną trzydziestego siódmego poświęcił mleczarnię. Drewniany budynek z solidnymi piwnicami i gankiem.

Bogusz ledwo od ziemi odrósł, a na całe życie zapamiętał tamto święto. Ojca w wyblyszczonych cholewach, w czarnym ubraniu, białej koszuli i szafirowej sukiennej

czapce z lakierowanym daszkiem, nazywanej maciejówką. Jak na odpust zbiegli się przekupnie, rozstawili stragany, porozkładali niezwyczajny towar. Obwarzanki duże, małe i całkiem malutkie. Z kminkiem, z makiem, polukrowane na zielono, na różowo, z polewą ściętą jak zamróz na szybie. Z drążków zwisały bicze białych, ciemnych i tęczyowych cukierków nanizanych na sznurki, w blaszanych pudłach wabiły feerie landrynek, karmelowe zwierzęta, grzy-

35  
by i owoce. Dostał wtedy od ojca cukrowego koguta, tutkę nadziewanych raczków i taką samą torebkę pestek z dyni. Nie lada zaszczyt spotkał komitet budowy. Kanonik wydał dla nich obiad na plebanii. W takim charakterze znaleźli się tam po raz pierwszy.

- Proboszcz prosi na poczęstunek, panie Bogusz - odnalazł ich w cizbie kościelny.

Wojna zastała Bogusza małym chłopcem. Zdążył zdać do trzeciego oddziału czteroklasowej wszechnicy w Błotach. Później, szkoła, która nigdy nie miała budynku, przestała istnieć. Z braku ciała pedagogicznego. Nauczycielka jako żona chorążego, czyli rodzina kadry pańskiego wojska, ukrywała się, zagrożona zsyłką na białe niedźwiedzie, jak wówczas tutaj zwykło się określać podobne sytuacje. W roku czterdziestym w uruchomionej szkole w Sarniej Bogusz przerobił jeszcze jeden oddział, który znów nazywał się: drugi. Oprócz arytmetyki, pisania i czytania zdążył posiąść wiedzę o alfabecie wyrażanym cyrylicą, podczas trzech w tygodniu lekcji rosyjskiego. Językiem wykładowym pozostał polski. Administracyjnie cały masyw sarniejski przypisano do zachodniej Białorusi.

Ludzie z Błot, chociaż w większości ledwo piśmienni, nie marzyli dla potomstwa o magistrach, doktoratach, katedrach. Te ambicje zrodziły się dopiero w następnym pokoleniu, po wojnie, lecz jedno wiedzieli, potrzeba ich dzieciom nauki pisania, czytania i rachunków i nie można z tym czekać do lepszych czasów. Ale dopiero w drugim roku niemieckiego panowania, Błota spotężyły się na Nauczyciela. Z powodu działalności żył na lewych papierach, zdrowiej wypadało zniknąć z wojewódzkiego miasta, które nie było znowu takie duże. Liczyło trochę ponad sto tysięcy mieszkańców bezlitośnie trzebionych wywózkami i rozstrzelaniem. Ludzie w ogóle stępieli już na zagrożenie. Śmiercią karano za baniak samogonu, za kilogram drożdży, śmiercią obwarowano zakłucie wieprza, domowe wyprawianie skór, gotowanie mydła, mielenie mąki bez asygnaty. W tych okolicznościach zajęcie nauczyciela, który w razie czego łatwo mógł nurknąć w trzciny albo w las, nie stwarzało większego problemu. Kął deskami zabity, od świata oddzielony topielą, w ten zły czas miał swoje dobre strony. Do Błot można było dostać się jedynie leśną drogą z Sar-

niej. Bezpieczne ścieżki przez bagna, dostępne pieszym, znali tylko miejscowi.

I tak dzieci dołączyły do konspiracji.

Dyżurowały dwójkami. Jedno na dole, gotowe pobiec z ostrzeżeniem podanym z drzewa. Drugie zasiadało na topoli rosnącej koło krzyża, skąd jak na dłoni widać było to oddalone miejsce, gdzie gościniec niknący w lesie biegł nagim terenem okrążając jezior trzęsawiska, by ponownie zagłębić się w Puszczy przed opłotkami wsi. Istniały trzy odmiany niebezpieczeństwa. Ciężarówka z żołnierzami, żandarmskie beemwu z Gawry i najmniej groźny wolant landrata z sarniejskiego dworu.

Nigdy jeszcze dzieci z Błot nie były tak pilne w nauce. Dwójkę przeżywały jak nieszczęście. Eliminowała delikwenta z dwóch czujek. Lekcje odbywały się codziennie w innej chałupie, codziennie też kolejny dom przejmował obowiązek żywienia pedagoga.

Kobiety miały swoje ambicje, gotowały dla niego oddzielnie same odświętne potrawy, nie bacząc na zużycie tłuszczu, jajek i mąki. Nie pożałowały plastra kumpiaka, kindziuka, czy suszonej kiełbasy, przechowywanych w komorze albo w świronku na sianokosy, żniwa, kopanie kartofli oraz wielkie okazje.

Zdawałoby się na takim wikcie ten wynędzniały inteligent powinien poprawiać się jak tuczona gęś, a on nic. Pozostawał chudy niczym ziemniaczany lęt. Albo ma suchoty, albo solitra, albo biednieje ze zgryzoty o rodzinę, orzekły błotniańskie szlachcianki. Przyczyny nie dowiedziały się nigdy. Nauczyciel wpadł przypadkiem w czasie obławy zastawionej nie na niego przed rogatkami miasta, gdy wioził bliskim swoje honorarium, płacone w naturze co kwartał. Odtąd w Błotach przestała działać oświata.

Wraz z okupacyjnym terrorem w Błotach zaczęło się życie podziemne, chociaż o zróżnicowanym zaangażowaniu. Powszechna była tylko wiara w powrót Niepodległej.

36

37

Do wsi poczęli docierać jej najpierwsi emisariusze, wędrowni handlarze. Razem z farbą do wełny i partu, sodą jadalną i tą do wyrobu mydła, sacharyną, nićmi, igłami, zapalkami i inną drobnicą wymienianą na jajka oraz tłuszcz, oferowali przepowiednie Nostradamusa i Świętej Brygidy, a także odpowiednio tańsze ostatnich proroków.

Komu zależało na wieszczbie pewnej, polecano sławną mniszkę i wielkiego wizjonera. Każdemu zależało! Jak już mieć wiadomość, to z pierwszej ręki, spisana do wiersza. Tę formę literacką przedkładano w Błotach nad prozę. Przypominała pobożne teksty z kantyczki. Kogo było stać, bez targów opłacał ową dobrą nowinę trzydziestoma parami jajek taka miara kurzego nabiału obowiązywała w puszczań-

skich przysiółkach, albo czterema funtami słoniny lub sadła odważanymi na bezmianie, starej, ręcznej wadze wyrabia-nej w ubiegłym stuleciu w mieście Odessie. Masła trzeba było dać w zamian półtora raza tyle. Przez całą wojnę cenio-no je znacznie mniej niż solidny wieprzowy tłuszcz. Nieza-możni składali się na zakup i później kolejno czytano po chatach, a gdy kończyli ostatni, znów zaczynali pierwsi. Większości najbardziej odpowiadał ten sposób konspi-racyjnego uczestnictwa. Siali, zbierali, ukrywali bydło przed rekwizycjami, pędzili samogon, jak umieli oszuki-wali Niemca na przymusowych dostawach i czekali aż skręci kark bez ich pomocy, bo że skręci nikt nie miał wątpliwości. Tę pewność gwarantowaną przez Brygidę i Nostradama utwierdzała wiara w mroźne przestrzenie rosyjskie, skąd nie powróciła zwycięsko żadna armia, od-kaąd sięgała ich pamięć, ich ojców, dziadów i przekaz pra-dziadów. Stateczni gospodarze, mający coś do stracenia, nie angażowali się osobiście. Dawali leśnym spyżę, przyo-dziewek, samogon, w ostateczności schronienie, wspiera-jąc z ochoty albo z musu.

Młodzi ku utrapieniu ojców przeważnie należeli. Co młodszym rodziciele próbowali wybijać udział w ruchu oporu końskim ogłowie, lejcami albo i czymś cięższym. Bali się. Paraliżował straszny los Wigajni i Czerwonego Krzyża wybitych za pomoc partyzantom niemal do nogi i zrównanych z ziemią. Poza tym zaczęto wysiedlać wioski w sarniejskim masywie i stateczni łudzili się, że jeśli będą potulni, zła dola ominie Błota. Ominęła. Front pożerał re-zerwy, zanim Niemcy się obejrzel, brakowało im sił do ta-kich operacji na tyłach.

Z początku różne podziemne organizacje walczyły o rząd dusz w Błotach i w całym masywie sarniejskim. Wszystkie odbierały przysięgę na krzyż i orła i to budziło zaufanie. W Błotach wiedziano, należy wystrzegać się ate-istów, Masonów i Bolszewików.

Za pierwszej Polski żadne ugrupowanie zbytnio nie za-biegało o zwolenników pośród puszczańskich ludzi, a oni się nie garnęli. Wystarczała Sodalicja Mariańska i Trzeci Zakon Świętego Franciszka przy parafii w Gawrze. Jedy-nie Narodowcy ułowili po trochu w każdej wiosce. W nie-dziele kładli zielone bluzy, przepasywali skórzanymi pasa-mi, zbierali się na łąkach pod Pohorą, odrabiali coś w ro-dzaju musztry połączonej ze szwedzką gimnastyką, moco-wali się, markowali kijami walkę na bagnety. Potem pili wódkę, sprowadzali muzykanta i urządzali zabawę. Cza-sami tancerze rwali z płotów sztachety, bywało, szły w ruch kłonicy, ale nie za politykę, tylko za dziewczynę al-bo jakoweś uchybienie na honorze zbytnio wydelikaco-nym przez gorzałę.

Nie tylko Narodowcy urządzali tańce. Oprócz pójścia na

sumę stanowiły jedyną odświeżającą rozrywkę młodzieży.

Wówczas w Błotach na całą wieś przypadł jeden rower, jeden gramofon, ani jednego radiodbiornika.

Sołtys prenumerował gazetę ludową, przeważnie służyła robieniu skrętów z machorki, bo bibułka Solali kosztowała drogo, używano jej od wielkiego szyku. Nie było elektryczności, dotarła do Błot dopiero w latach sześćdziesiątych. Musiało minąć trzydzieści lat z okładem, zanim pokonała odległość dzielącą Błota od Gawry.

Do Narodowców przysyłano od czasu do czasu pismo: Narodowiec. Zamieszczało rysunki przedstawiające bolszewika z nożem w zębach, szatańsko uśmiechniętego, tłustego Żyda z garbatym nosem i pejsami zakręconymi

38

39

w grajczary, siedzącego okrakiem na pękającym worze pełnym pieniędzy, do którego skapują jak pot złotówki z wyschniętych i obszarpanych do nagości Polaków. Z podpisów i krótkich czytanek wynikało niezbicie, że wszystkiemu złu, ciemnocie, nędzy, zacofaniu i epidemiom winni są Żydzi, Masoni, Bolszewicy i rodzima Komuna.

Bolszewików nie widziano tu od pierwszej wojny światowej, o tutejszej komunie w Błotach nie było słyhu ni dychu, o Masonach też nie wiedzano co za jedni, pozostawali Żydzi.

Na zew swych naczelników w wigilię Trzeciego Maja Narodowcy kładli zielone bluzy, opasywali rzemieniem, na głowy nadziewali furażerki, dosiadali szkap i jechali do wojewódzkiego miasta, łączyli się z kompanionami przybyłymi z innych okolic, krzepili wódką i tłukli szyby w żydowskich sklepach, przewracali stragany, tratowali rozsypane towary, chwyтали starców, obcinali im brody, wyrostkom golili pejsy, kobietom zdzierali peruki.

Puszczańscy Narodowcy, uczestnicząc w owych wyprawach, koło Grodziszczka przekradali się polnymi drogami. Nie chcieli, aby ich jako narodową banderę, przyodzianą w uniform, zobaczyli tamtejsi Starozakonni.

To byli swoi Żydzi. Znali się z nimi od dziecka. Wstydzili się. I gdzie poza Grodziszczem dostaliby na kredyt kortowe portki, uprząż, czapkę, kto uszyłby kozuch, zrobił nowe przyszwycy do cholew, które służyły jeszcze dziadkowi, gdzie kupiec bławatny, z poczekaniem do Świętego Marcina, odmierzyłby chociażby tego zielonego drelichu z jakiego mieli poszyte trencze organizacyjne i gdzie zbyłyby produkty ze swoich gospodarstw. Kto telepałby się do Błot po jednego byczka, owieczkę czy parę gęsi i kto przywiózłby czyhuny- żeliwne garnki i inne statki na wymianę za szmaty, len i pakuły. Komu sprzedaliby skłusowaną zwierzynę i baranie skóry.

- W każdym krzywdzonym człowieku męczycie Chry-

stusa, krzyżujecie go i zabijacie od nowa - napominał niedzielami gawrzański kanonik, ale przeciw Narodowcom nigdy nic nie powiedział.

W okupację jeden z Narodowców nosił gazetkę. Wzywano w niej w szeregi konspiracji, pisano podniośle o zbrojnym czynie w imię białego orła i Częstochowskiej, mówiono o Niemcach i Rosjanach jako dwóch odwiecznych wrogach. Niemcy wprawdzie grabią, wywożą, niszczą i mordują, ale mają jedną zasługę. Oczyszczili Polskę z Żydów. Raz z taką czytanką na zadrukowanej kartce, przyszedł do Boguszów. Ojciec Bogusza posłuchał, pokiwał głową, uniósł czapkę, podrapał się po ciemieniu, z powrotem nadział maciejówkę i wziął się do skręcania papierosa, przypalił krzesiwem, bo zapalki stały się drogie i trudne do zdobycia.

- Więcej do mnie takich papierów nie noś.

- Jak chcecie - odął się tamten.

- To musi ty mydło wziąć?

- Ostańcie z Bogiem - mruknął Narodowiec i jakby go zdmuchnęło za próg.

Z Gawry dotarła wiadomość o mydle z Żydów. Podobno mieli wydawać na kartki. Kiedy więc w kooperatywie w Sarniej pojawiło się nie czarne, gliniaste, ciężkie, jakie co kwartał przydzielano dotychczas, tylko lekkie, zielone cegiełki z wytłoczonymi literami, które wieść gminna odszyfrowała jako pierwsze litery niemieckich słów znaczących: czysty żydowski tłuszcz, ludzi ogarnęła zgroza. Nikt nie wykupił ani kawałka. Narodowiec też nie.

W Błotach, podobnie jak i w innych wsiach, gotowano mydło własnym przemysłem. Kto nie miał dość tłuszczu, żeby je robić, prał w ługu, od tej pory kartkowego nie wykupiono już ani kostki bez względu na wygląd.

Jednego Narodowca zabito z wyroku organizacji podziemnej. Podobno donosił o ukrywających się Żydach na posterunek w Gawrze. Później przebąkiwano o niewystarczających podstawach podejrzeń, jeszcze później, że w ogóle pomyłka. Sprawę pogrzebano solidarnym milczeniem. Pozostała na rachunku konspiracji puszczańskich przysiółków.

Wykonawcy wyroku pochodzili z Sarniej. Przewodził im Starszy z Pohory, stryjeczny sołtysa z Błot. Taka to i była konspiracja. Pośród krewnych, powinowatych, sąsiadów,

40

41

znajomych. W Błotach wszystko wiadano, gdzie się co u kogo dzieje, kto gdzie należy albo kogo wspiera. Konfidentów nie było. Za jednego, jedyne odpowiedziałyby cała wieś. Błota o tym wiedziały, nieustannie nosiły w pamięci, los każdego jest losem wszystkich. Tedy żarli się między sobą, łagodzili, rozsądzali i przecinali spory, gniewali i obrażali, czasami bili, lecz nic z ich swarów nie wy-

chodziło poza wieś. Po lasach siedziały silne oddziały partyzanckie, i ta świadomość mocno podpieraała. Pomagała utrzymać pion moralny. Sądy leśnych były szybkie i bez apelacji. Kar rozróżniały dwa rodzaje: wyciory i czapa. Przysięgę na ryngraf złożył młody Bogusz przed Starszym z Pohory, kiedy ukończył czternaście lat. Młodszych nie brali. Został mianowany kolporterem. Bardzo mu się nazwa podobała. Brzmiała jak: kanonier albo jeszcze lepiej. Rozczarowała istota funkcji. Polegała na tym, że brał gazetkę na Pohorze od Mańka, z którym za czasów cztero-klasowej wszechnicy kopali szmaciankę na łągach.

- Czy już gotowe niebieskie borsalino - prawil, jak sądził, bez sensu, ale cóż robić, tak kazano mówić. Skąd mógł wiedzieć, że twórcą hasel był czapnik z Grodziszczca.

- Nie. Ale jest Eden - odpowiadał Maniek z kamienną twarzą, jakby nigdy w życiu nie widział Wiktora Boguszków.

- Szary Eden!

- Nie. Ale jest szary Eden - jeszcze raz recytował Maniek niespeszony pomyłką.

- Jak długo ci będę podpowiadał, duraku! - złościł się Bogusz. Właściwie to łamie regulamin. Po takim kulawym odzewie powinien odejść ani spojrzawszy. Ale ponad jego siły było wracać bez prasy. A znowu skarżyć na Mańka do Starszego z Pohory za jedno słowo, głupio. Prosić o zmianę hasła na łatwiejsze jeszcze głupiej. Obaj wyjdą na durnowatych.

- Jak Boga kocham, złożę raport - straszyl.

- Wiktor, bądź człowiek - prosił Maniek. - Chodź, mam suszone gruszki - w przewidywaniu awantury, ponieważ w żaden sposób nie potrafił zapamiętać szyku słów, zawsze coś podbierał matce na spotkanie z wymagającym kolegą.

42

- Nie biorę haborów - podkreślał swoją nieprzekupność Bogusz.

- Ja tylko tak - smutniał Maniek, zwieszał głowę i bosą nogą wiercił dziurę w darni.

Bogusz wielkodusznie godził się na suszone gruszki, czy co tam akurat Maniek miał i uczył swojego kontakta.

- Szary popiół, szary kot, szary dzień, szara mysz. Zapamiętaj! Za dwa tygodnie, na następnym spotkaniu słyszał:

- Nie. Ale jest myszaty Eden.

Drugiego punktu instrukcji Bogusz nie mógł wykonać. Rozkaz bowiem stanowił, aby gazetkę głośno przeczytał domownikom i zaufanym sąsiadom. Już on niemal czuł na własnej skórze, jak jego tato słucha! Mógł walczyć z całą potęgą niemiecką, ale nie ze swoim ojcem.

Z tatą jak z żywiołem, nie da się wygrać, więc swoje zadanie wypełniał sumiennie, ale w miarę możliwości. Znalazł słuchaczy zastępczych. Kolegów. Ojciec jednego z nich, najbliższy sąsiad Bogusza, pędził wyrób dla

odbiorców z miasta. Nazwy bimber, jeszcze tu nie znano i nigdy się nie przyjęła. Pod jego kotłem nie wygasało palenisko. Nad produkcją na zmianę czuwała cała rodzina. Kiedy dyżur miał rówieśnik Bogusza, przemykały do niego podrostki. Wszyscy już nieraz pokosztowali samogonu, uważali się za dorosłych i starych konspiratorów. Przecież siadywali na topoli, wypatrując niebezpieczeństwa i oblewali łzami dwójki, które im wytrącały kolejną czujkę. Przed tym audytorium Bogusz miewał swoje lektoraty. Dukał tekst, nie rozumiejąc co czyta. Niewyćwiczony umysł nie lepił słów w zdania, nie wyławiał sensu. Cały wysiłek szedł w złożenie liter i możliwie płynne ich wypowiedzenie. Jego słuchacze podobnie nie rozumieli, ale żaden by się do tego nie przyznał nawet na mękach. Poza tym wystarczało im co wiedzieli.

Polska to był biały orzeł, Częstochowska, Ostrobramska, amarantowo-biała chorągiew i jeszcze mowa. W pieśni, którą znali, jest przecież: nie damy pogrześć mowy. Rośli jak płonki. Bez szkoły, bez książek, bez znajomości dziedzictwa rodzinnej ziemi, bez wiedzy o świecie.

43

Dzień po dniu słyszeli o bezprawiu, gwałtach, grabieżach, mordach. Wniosek narzucał się sam. Kto ma siłę, ten wszystko może. Chcieli mieć siłę, moc wszystko. Najpierw wyzwolić Ojczyznę, potem zdobyć miejsce dla siebie, albo jedno przy drugim, za jednym zamachem.

Szumiało Polską po leśnych gorzelniach, przy szklance samogonu pod falbankę. Wieś odstawiła kieliszki, pito głębokim szkłem. Przy bulgocących kociołkach pospołu siadywała ciemnota, bieda, powszedniość umierania i zgoda na zabijanie. Małolaty uczyły się nowych znaczeń: wachać kwiatki od spodu, zasiać na kimś pietruszkę, kogoś zasunać, dać w czapę, albo jeszcze krócej c z a p a. A więc można i tak. Przystawiali inne spojrzenie na ludzkie życie. Kres podziemnej działalności Wiktora położył stary Bogusz. Nie uszły uwadze wyprawy szczawika. Zadana robota niezrobiona, a chłopiec gdzieś znika. Do tego nocami. Później kręci. Zaniepokoił się na dobre stary Bogusz. Konspiracja, samogon albo jedno i drugie.

Do najbliższej gorzelni trop szedł obok. Pogadał z sąsiadem. Nie brakuje miary destylatu na dyżurach młodzika? Ale co można pewnego powiedzieć, gdy się przerabia zacier z metra razówki. Pierwszego upędu może być czterdzieści litrów, a może i czterdzieści pięć.

Produkcja sąsiada mieściła się na Czarciej Łapie, grądzie pośród oparzeliska. Przeszło trzy godziny ostrego marszu od wioski. Ci co szli dyżurować wychodzili za widna i wracali o poranku. Żeby skontrolować szczawików, starzy wybrali się dopiero podczas pełni księżyca. Światło im w lesie niepotrzebne, wyrosli w nim, znają jak własne opłotki, ale przez

grań na trzęsawisku bezpieczniej przy niebieskiej latarni. Powiadają, nocą czort dla wygody łapę prostuje albo położenie poprawia, bo go od jednostajnego leżenia w pazurach mrowi i bród bagienny odsuwa niemało, niewiele, dla ludzkiego spojrzenia niewidocznie, ale czarną nocą może się pomylić nawet tutejszemu. I przepadłeś, człowieku bez ratunku. Grań wąziutka i chybotliwa, nawet konno nie przejeźdźesz. Tylko pieszy przejdzie i zwierzę za sobą przeprowadzi, jeśli dobrze zna przesmyk. Aparatura, statki na bra-

44

hę od granicy bagniska na końskim grzbiecie noga za nogą, kopyto za kopytem przybyły. Tak samo wędruje mąka na zacier i gotowy wyrób z powrotem.

Zajęcie ryzykowne, popłatne i mozolne. I dwadzieścia godzin bez przerwy trzeba równomiernie żar utrzymywać, zanim kropla po kropli braha odda destylat, najpierw parą gorzelaną błędzący po miedzianych wąpiach urządzenia, a potem jeszcze raz to samo, żeby był klarowny jak krynica i w moc urósł.

Trawi człek noce pod wiatą lada jaką. Najadają się na nim komary, meszka. Opar z mokradeł aż do kości przenika. Wokół las wysokopienny, podszycie gęstwiną rozbuhaną, rozplenioną na wilgoci, wszelki powiew tamuje.

I w tym stojącym powietrzu wisi gęsty zapach ledum, rośliny nazywanej bagno. Owo stężenie wywołuje bóle głowy, nawet lekkie oszołomienie, nudności, czasami wymioty. Niektórzy do niego przywykają i staje się im nieszkodliwe, inni nie mogą. Jedno wiadomo. Na Czarciej Łapie nie-dobrze jest wypić zbyt wiele. Oczywiście, jak ze wszystkim, kto więcej, kto mniej, ale każdy własną miarę musi zachować. Bo i zamroczenie tu ciężkie jak otrucie, i pochmiel okrutny niczym choroba. Widać Czort z oparzeli-ska podobnie jak gawrzański kanonik nie uznaje pijusów. Kobiety z Błot jeszcze i teraz za nic na uroczysko nawet za dnia same nie pójdą. Do niedawna i poniektóry mężczyzna, chociaż się nie przyznawał, diabłą kolebkę omijał. Ale odkąd gorsze strachy nastąpiły; ludzie wolą nocować chociażby na Czarciej niż w biały dzień przejść pod gawrzańskim posterunkiem żandarmów. Z nudy, z nierób-stwa widać, różne figle ich się imają. Już lepiej nogę złamać niż stać się przedmiotem żandarmskiego humoru. Złe, co ich dziadów wodziło po trzęsawiskach i różne inne straszności czyniło, teraz stało się starym poczciwym diabliskiem. Może z wiekiem złagodniał, może podupadł na siłach, a może zaległ przygnębiony w melankolię popadł. Ludzie prześcignęli go w szataństwie.

Przebywszy bagienną grań, nie zdradzając się nawet szelestem, zatrzymali się ojcowie za ostatnimi szańcami

45

zarośli. Na wyciętej łysinie, pod wiatą słomianymi kulika-

mi poszytą, siedziało z dziesięciu wyrostków. Wiktor Boguszów przy świetle stajennego fanara kończył czytać patriotyczny kawałek. Szczawik sąsiada nalewał do musztardówki samogon. Mętnawy jeszcze, z pierwszego upędu. Inni zwyczajem podpatrzonym u starszych zwijali skręty albo obierali dymkę i odkrawali kromki z bochna razowca.

- Niech żyje wolna ojczyzna - powiedział wyrostek ze śmiertelną powagą, łyknął zawartość naczynia, otarł usta rękawem kapoty, odetchnął i długo wachał chleb, zanim oderwał kęs, włożył do ust i zagryzł cebulą.

Szkło mieli jedno. Kolejno obeszło wszystkich.

Sąsiad począł wyciągać pasek ze spodni. Bogusz się sprzeciwił. W panice, jaka powstanie przez ich wtargnięcie, jeszcze się który utopi w bagnie. Nie. Zapamiętają sobie wszystkich i zawiadomią ojców. Niechaj każdy własnego karcia.

Nazajutrz czarny ranek nastał dla podziemia z Czarnej Łapy. Wiktor Boguszów brał w goły zadek z trzech przyczyn. Za konspirowanie, za wciąganie innych, za picie gorzały. Do dzisiaj skręca się z upokorzenia na wspomnienie tamtego. Z rozkazu ojca trzymany przez dwóch starszych braci jak cielę do cechowania, przemocą pozbawiony portek i wypięty na taborecie. Przeżywał wszystkie męki bezsilności, nienawiści, poniżenia. Ale później pozostał już tylko ból razów zadawanych rzemiennymi lejcami, słabość własnego ciała, które nie chciało być bite, robiło się uległe i gotowe spełnić żądanie oprawcy. Kto mu dał gazetki?

A jakby żandarmi męczyli? Przez opar cierpienia zamajaczyła babka Michalina, nieżyjąca już ojcowa matka. Obyczajem wszystkich błotniańskich kobiet chodziła boso. Kiedyś straszliwie rozbiła o kamień duży palec u nogi. Opuszka rozpękła się krwawą szczeliną, oderwany paznokciec oblaźł niczym skorupa z orzecha, obnażając żywe mięso, i dyndał na włóknie. Z bólu babka aż przysiadła na ziemi. Drżącą dłonią wyszukała gałązki krwawnika, lecz zanim pogmiotła je i obłożyła ranę, ofiarowała swoje cierpienie Bogu, jak srebrne wotum, bicz koralu albo wianki z siedmiu ziół na Zielną. Teraz Bogusz za przykładem Babki Michaliny zniósł dla Polski wielkie wały i nikogo nie wydał.

- Ojciec już dosyć, nie bij! - rozplakała się matka.

- Lepsze bite niż zdechłe.

- Dzieciaka zakatujesz, przestań! - matka uczepliła się ręki ojca.

Splątał się rzemień, czerwona pręga sparzyła ramię matki. Ojciec odrzucił lejce.

- Nieumyślnie - zamruczał.

Matka najpierw zajęła się uprzężą, zabrała przed oczu ojca. Wiktor dźwignął się ze stołka kaźni. Bracia milczeli. Stary Bogusz nie był okrutnikiem. Synów chował surowo, ale ich nie maltretował. Żaden nie pamiętał takiej łaźni

w swoim życiu, jakiej poddany został Wiktor. Szkoda im było szczawika. Kiedy opadła napędzana strachem furia, ojciec też go pożałował i poczuł niemy wyrzut całej rodziny. - Inni na gorzałce nazywają, ja nie chcę takiego zarobku, nie chcę synów narażać i do łatwej wódki wzwyczajając. Z ziemi, z pracy ma człowiek czerpać, nie z cudzego pijaństwa. Za dwie krowy jednego z was od przymusowych robót wykupiłem, partyzantom spyżę daję, najstarszy chłopak na przepadłe gdzieś w lesie już drugi rok znaku życia nie daje. Dosyć mojej ofiary! Więcej nikogo z was nie dam żadnemu podziemi. Pamiętajcie! Wasza sprawa orać, siać, hodować. Przysparzać, nie niszczyć. I bez was dość tych co pustoszą. Ja chcę mieć dzieci, nie groby! - bardzo się wtedy ojciec rozżalił.

Gazetkę Bogusz spalił, zanim chwycił lejce. Wiktor przeżywał męczarnie. Nie mógł wykonać trzeciego punktu instrukcji. Następnego dnia odnieść prasę do kontaktu w Wigajnach. Będzie musiał o utracie zawiadomić Starszego z Pohory. I co mu powie, ojciec dał po tyłku? Za nic. Lepiej umrzeć. Lepiej pójść na uroczysko i utopić się w bagnie.

O brzasku cała wieś z dobytkiem uciekała na błota. Obudziły ich strzały, gęste jak ścieg na maszynie, potem uderzył w niebo psi chorał i buchnęła luna nad lasem. Płonęły Wigajny.

46

47

Przypadł do ziemi i płakał. Pachniało wilgocią, butwiejącym drewnem, miętą, dzikim szczawiem i szczególnym zapachem bagiennych traw. Nigdzie indziej las tak nie pachnie. Pod policzkiem czuł szorstkość pogniecionej choszczki, poruszany jego oddechem chwiały się kwiatek nazywany tysiącznikiem, przed oczyma miał krzaczek łochyni, chroniło go mokradło.

Niewiele brakowało, aby tego wszystkiego już nigdy nie zobaczył. Gdyby nie ojciec, teraz byłby w Wigajnach. Zabijany, mordowany, rozstrzeliwany, palony. Śmierć otarła się o niego i spadła na sąsiednią wieś. Czuł jej bliskość. Po raz pierwszy doznał grozy i rozpaczy umierania. Trząsł się i nie mógł powstrzymać łez. Leżał skulony na zielonym kożuchu uwitym nad topielą przez korzenie roślin i każdym włóknom czuł swoje ocalałe istnienie. Jest. Żyje! Puszcza odbrzmiewała echem salw.

Bogusz nie poszedł więcej do Mańka i tak skończyła się jego kolporterska robota. Nikt się o niego nie upomniął, jakby nigdy nie powtarzał rotę przysięgi za Starszym z Pohory. Przypomnieli mu o tej przysiędze później.

Po wojnie zbiesili się ludzie. Zakotłowało w Błotach. Jedni nic nie mieli przeciw nowej Polsce, chyba tylko, że orzeł bez korony, drudzy prawdziwej wyglądali, inni przy-

jęli jak dopust boży, żywioł, któremu poddać się trzeba, oswoić się z nim i żyć jak się żyje ze słońcem, upałem, mrozem, jeszcze inni jak ojciec Bogusza woleli każdą własną od najlepszej obcej władzy. Trzeba orać, siać, hodo-  
wać, wytrzebione pogłowie odrodzić na soczystych łąkach tęskniących za bydłciem, mleczarnię w Gawrze uruchomić, gościniec poprawić przez czołgi i ciężki sprzęt różnych armii sześćioletnią wojną rozjeżdżony, bo bagno zaczyna garb twardego gruntu przejadać, w czas nieokiełznane rozhula się i oddzieli Błota Szlacheckie od świata. Budować, przysparzać, a nie ganiać po lasach z gwerem jedni za drugimi, drogi sobie przestępować, zabijając jeden drugiego, jakby za mało krwią ziemia broczyła przez długie wojenne lata. Jeśli tak dalej pójdzie pannom mężów za-  
braknie, przysiółki się wyludnią, polami perz zawładnie,  
48

niekoszone łąki zdziczeją, zagarnięte przez łakome wdzia-  
ry. Ale ludzie jakby się blekotu objedli, szalejem popijali. W Puszczy wciąż jeszcze oddziały, wprawdzie nie tak liczne jak w wojnę, ale starczy wieś w szachu trzymać. Swoi niby wrócili, lecz broni nie zdali, arsenały po wykro-  
tach gotowe do użycia. Ci odpuszczeni do domu niby gospodarzą, ale jedną nogą w lesie, tamci co z ostępu wyjść się nie godzą, tych też zupełnie uwolnić od siebie nie chcą. Siej, koś, zbieraj, świnie, bydło hoduj, jeść potrzebujemy, ale bądź gotów na wezwanie. Rozkaz święta rzecz, Na krzyż, na orła, na Częstochowską przysięgałeś, jak się nie posłuchasz kula w łeb. Prawo wojenne obowiązuje. Czas bieży, kruszą się oddziały, o nowy nabór coraz trudniej, topnieją więc jak marcowy śnieg, ale są bezwzględniej sze, coraz gorsze. Psieją. Nocami ci najzjadlejsi przy-  
chodzą, spyżę biorą jak własną, nie tylko nie płacą, ale nawet płacić nie obiecują. Dla wolnej ojczyzny. Prawdziwej. W dzień Urząd przyjeżdża i dochodzenie prowadzi, chłopów do turmy bierze jak leci. Wszyscy, powiada Starszy Urzędu, jesteście w bandzie albo bandzie sprzyjacie. Już inaczej leśnych nie nazywają, przysiółek też mówi o nich nie tak jak w wojnę: leśni, tylko Nocni. Reakcyjna wieś! Była w nocy banda? Była. Karmiliście! A jak inaczej, przecież broń mają, biją. za lada opór. To czemuście nie podesłali kogo, żeby Urząd powiadomić? Nie podesłali i nie podesłają. Bo jakże wydać swojego. Niejeden z Błot, z Sarniej z Pohory, z Gawry jeszcze zbrojno się nosi w ostępie zaszyty, mniej już może z dobrej woli, bardziej ze strachu. Wyjdzie, Urząd go capnie albo zatłuką swoi. No to kto we wsi Judaszem się stanie, pójdzie i powie: bierzcie mojego brata, ojca, syna, męża, narzeczonego. Jęczy wieś jak w dybach. Nocami Nocni, w dzień Urząd się sroży, jakby chłopami w bierki grali. I jedni biją, i dru-

dzy. I jedni dobytek biorą i drudzy. Jedni dla dobra Ojczyzny i drudzy dla dobra Ojczyzny. Do więzienia w Grodziszczu taszczą jak popadło. Bez rozeznania, na oko. I tak ani dbając ani wiedząc, jednoczą wieś w solidarnym oporze.

49

Znów wszystko przysiółek rozstrzyga między sobą, łącznie z karą śmierci. Ani pary, ani żalu, ni słowa do Rządowych. Słuchy chodzą, że będą Puszczańskich wysiedlać.

Zwłaszcza Błota Szlacheckie. Siedlisko czarnej reakcji.

Paskudny, ciemny żywioł, wrogo do nowej Polski nastawiony. Tak mówią o zaścianku ci z Urzędu.

Niemożliwe. Niemiec tego nie zrobił, mieliby uczynić swoi! Tacy to i swoi, bolszewicy, przed żadną niegodziwością się nie cofną, chłopą za nic mają. Już się osobistych żalów uzbierało po obu stronach, zażęgła nienawiść. Jedni zawzięli się na hardą wieś, drudzy gotowi bodaj widłami zadźgać każdego, kto śmiałby wyzuć ich z dziedzictwa.

Uciekają młodzi mężczyźni na Ziemie Odzyskane.

Przeczekać. Niektórzy pozostaną, wrosną tam na zawsze. Jak z otwartej tętnicy bluzga siła wsi. Wycieka na wszystkie strony.

Tylko wieczór dzień skryje, znowu Nocni. Skaranie boskie. Nie dadzą, żyć. Czy tylko jedna sarniejska Puszcza na świecie. Pracować nie można, mężczyźni więcej w ukryciu na bagnach niż w polu. Czujki z topoli przy krzyżu na przedpiersiu wsi nie złażą, pilnują czy nie nadjeżdża Urząd.

Niektórzy Nocni do cna zepsieli. Jacy tam Nocni. Zwyczajne zbóje!

Błotniańscy wszystkich rozumów nie pojedli, W tym mętliku już rozeznąć się nie umieją, kto komu sprzyja, a kto tylko w oczy świeci, ale nikt im nie wmówi, że pocztę ograbić, sklep ogołocić, pieniądze na wypłatę ludziom z mleczarni zabrać, dla narodu lepiej. A cóż to za witezie ze sklepową, zlewniarką, poczciarzem wojujący. Nie żadna walka z obcą mocą narzuconymi rządami, zwyczajne zbójowanie. Zaś to, co uczynili za Rzeką, o pomstę do nieba woła. Nauczycielkę zabili. Za co, za uczenie dzieci?

Chyba już koniec świata następuje, jeśli za edukowanie odbierają życie młodym, kształconym pannom. I jakież Madej na taką bezbronność rękę podniósł, kim jest ten, co ukryty po lasach mordowaniem szanowanych osób jednych przeciwko drugim judzi? Bo jak świat światem, nikt z puszczańskich ani w górnym, ani w dolnym biegu Rzeki nie ukrzywdził kapłana, nauczyciela czy lekarza.

Na panią ze szkoły sarniejskiej nikt palca nie zakrzywi.

I śmierć każdemu, co by tknąć próbował. Aby uchronić od złej przygody, swoi Nocni poczęli pilnować przed cudzymi Nocnymi. Ani słowa o tej opiece Mądrej Pannie. Mogłaby się jeszcze bardziej bać, a i opinię u Rządowych mogłaby

utracić. Jeszczeby nie daj Bóp Urząd pomyślał, że ona także Nocna.

Kobiety się o nią zatroszczyły. Każda dała garść puchu z drobnymi piórkami, pierzynę narządziły, żeby zimą pod swym cienkim kocykiem z UNNRY nie zamarzła. Gdzie u kogo świeżyna, czy chleb, czy pieroga pieką, o nauczycielce pamiętają. Ona najuboższa z całej wsi. Jej miesięczna pensja tyle warta co cena kilograma masła na rynku w Grodziszczu. Wiedzą, jakie ma wynagrodzenie. Jej honory przysyłają na pocztę w Gawrze, tutaj przywożą okazją, bo listonosz nie ma roweru, jakby miał, też z Gawry nosa by nie wystawił. On człowiek Rządowy. Swoi go nie skrzywdzą, ale już nie wiedzieć kto w Puszczy zaległ i każdy dla nich zdrajca, kto z państwowej kasy lafę bierze. Puszczańscy nie dadzą nauczycielce uświerknąć, a ona niechaj im dzieci oświeca, niechaj będą od ojców uczeńsze, bo ciężko jest żyć niepiśmiennemu. Owszem, baczą, czego ich potomstwo uczy, czy przeciw rodzicielom nie judzi, czy do wspólnego kotła, wyparcia się wiary i do kołchozów nie namawia.

Przelana krew ludzi podzieliła, chociaż po jednej i po drugiej stronie taka sama. Chłopska. Czerwona. Puszczańscy nigdzie nie chodzą po sprawiedliwość. Sami się rozprawiają, sami bronią przed łupieżcami, których coraz więcej. Czego jak czego, ale gwerów nie brakuje. Nawet wyrostki błotniańskie umieją złożyć i rozebrać każdego gnata. Obojętne, ruski, niemiecki, czy po tamtej Polsce. Na Rządowych wilkiem patrzą.

Janka od Boguszów-Dziewiarzy z milicjantem mundurowym, formacji mniej znienawidzonej od Urzędu, jak dziewczyna z chłopakiem pogadała. Nie tam, żeby po ką-

50

51

tach jakie obłapki. Przez płot sobie zęby posuszili. Janka od dawna w oko mu wpadła, więc jak Kabewu do przysiółka jechało, razem z nimi się zabrał, aby przy okazji z dziewczyną się zobaczyć. Za to u ludzi opinię straciła. Bładź! Obniosły kobiety. Mężczyźni spluwali gdy obok przechodziła. Życia między swoimi nie miała. Musiała wynieść się ze wsi.

Dwóch z Błot znikczemniało ze szczętem. Niesławą rodzinę okryło. Jak pamięć ludzka sięga, żaden błotniański szlachcic złodziejstwem się nie parał. Teraz się doczekali. Dwóch braci na zbój się puściło. Starszy żonaty, ojciec dzieciom. Drugi ze szczawia dopiero wyrósł, siedemnaście lat. Zwyczajne koniokrady. Szlachcice jęli się chamom szkapy uprowadzać. W głowie się nie mieści!

Nie żadna poczta, sklep, magazyn czy kasa, niby państwu na szkodę, tylko gospodarskie konie ludziom z ziemi żyjącym, Puszczańskim jako i oni sami, zabrali. Chłopi

ich pochwycili, orczykami zatłukli. Pobitych nad brzegiem Rzeki pokładli.

Wieść się rozeszła po okolicy. Gdzie w domu mężczyzna przez dzień się nie pokazał, jedna rozpacz. Cichaczem o brzasku, w skrytości przed sąsiadami, wymykały się kobiety. Przeprowały na tamtą stronę wody. Pielgrzymką ciągnęły z puszczańskich przysiółków matki, żony, siostry, narzeczone.

- Jezu, spraw aby to nie nasz się okazał - modliły się ze łzami podczas wędrówki.

Szły pod uciskiem wielorakich strachów i wstydów. Kto mężczyzn pobił, może Nocni, może za ucieczkę, może w starciu z cudzymi Nocnymi, może w obławie przez Urząd, a jeśli prawda co ludzie mówią, że za kradzież koni, jakże miejscowym w oczy spojrzeć, jakże do własnej wsi niesławę przydźwigać. Nie dość, że swojego mężczyzny zabraknie, w kwiecie lat w piach pójdzie, jeszcze piętno pozostanie, wdowa, matka, dziewczyna, dzieci po koniokradzie.

Pochówek był dalszą drogą hańby. Rodziny konsolacji nie wyprawiły. Jak prosić sąsiadów, przyjdźcie, pomódl-

52  
cie się, pośpiewajcie, wypijcie i zjedzcie za pamięć naszych złodziei.

Samosąd!

Przyjechała milicja. Nie ma takiego paragrafu żeby za kradzież karano śmiercią. Kogo podejrzewacie, ludzie powiedzcie, praworządność trzeba uczynić. Tak mówili jako władza, ale też byli chłopskimi synami i rozumieli milczenie jednych i straszną sprawiedliwość drugich. Ci za Rzeką, chociaż okrutni, w prawie byli. W Błotach nie inaczej by postąpiono z rabusiem chwyconym za rękę. Może i za mocna to kara, lecz pewno dlatego w przysiółkach złodziei nie bywało. Chat nikt nie zapierał, tylko na skobel patykiem przetykał, na znak nieobecności gospodarzy.

Sprawców zabicia koniokradów nigdy nie wykryto, chociaż każdy z puszczańskich mógł ich palcem wskazać. Stary Bogusz jak umiał, szaleństwo przeczekiwał. Gdy nie mógł uniknąć, świadczył wieprzem, bydłociem, mąką, samogonem i Rządowym, i Nocnym A synów kolejno wyprowadził z domu. Na osiedlenie na Ziemiach Odzyskanych, na przeczekanie, na zarobek. Pozostał Wiktor i najmłodszy wyskrobek, co się pod koniec wojny urodził.

Wtedy Nocni upomnieli się o Wiktora.

Chociaż po Starszym z Pohory dawno ślad zarósł, jeden z pierwszych na zachód pociągnął, gdzieś widać w jego konspiracyjnej rachunkowości Wiktor był policzony, a ten lik przyjęli po Starszym jacyś inni. Wiktor nigdy się nie dowiedział, kto po niego przysłał łącznika, gdy miał lat siedemnaście, tak jak nie umiał powiedzieć, jaka organi-

zacja zaprzysięgła go, wtedy czternastoletniego, i zleciła noszenie gazetek z Pohory na Wigajny.

Tego samego dnia, stary Bogusz, schowanego w sianie na wozie Wiktora wywiózł do Gawry, skąd chłopak przedostał się do Grodziszcz, stamtąd w świat na dachu wagonu towarowego pociągu oblepionego ludźmi jak bagna meszka.

Miał ze sobą trochę pieniędzy, kawałek wysolonej słoniny, pół bochenka chleba i koszulę na zmianę, w pośpiechu zebrane w węzełek przez matkę.

53

Minstrel budzi się z odrętwienia. Odgłosów lasu nie ma już żadna niepokojąca obecność.

- Dzięki ci, pani - po wypełnieniu z kryjówki przyklejka i gestem zapamiętanym z telewizyjnego serialu podnosi do ust, jakby całował kraj szaty, opuszczoną aż na mchy, gałąź młodej jodły. Lecz zaraz przytłacza cały ciężar niedawnych przeżyć i nie daje spokoju los sarniuka. Może jego także zabili albo zabrali. Koszmar zwala się od nowa na skołataną głowę udreńczoną snami bez snów.

Dziecko sarny leży pod kępą arcydziegla, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jeśli straszny strzelec zabił inną sarnę matka koźlecia zabierze małego. Minstrel ze świeżą nadzieją czeka na nią na skraju wybujałych paproci. Dogasa dzień.

- Nie lękaj się bracie - na widok wyciągniętych rąk, dziecko sarny już nawet nie próbuje wstać. Popłakuje cicho, gdy człowiek podnosi je i kładzie sobie na barki, lecz zaraz milknie i nie protestuje podczas marszu, chociaż wędrówka jest niewygodna, bo drętwieją zwisające nogi, mocno przytrzymywane przez obcego. Instynkt jednak ostrzega koźle, po zapadnięciu zmroku leśna łąka nie daje schronienia. Samotne, nie doczekałoby wschodu słońca, łatwy łup dla zwierząt polujących nocą.

Do domu docierają wieczorem. Minstrel chce przedostać się przez ogrodzenie. Ma takie swoje miejsce; z którego korzysta podczas wypraw, ale jest za ciemno.

Wychudłemu księżycowi z zapadniętym brzuchem brakuje siły, aby świecić. I próżno czekać, cienki sierp nie przybierze na żądanie swojego jaśniejszego ciała. W takiej oćmie Minstrel nie ma odwagi przechodzić przez parkan z sarnięciem w ramionach, ani go przesadzić samego. Jeszcze by połamał te długie, wiotkie kończyny.

- Dadzą nam w kość, wiesz? - zwierza się dziecku sarny. - Pewno Nasta znów się na mnie rozgniewa. Będzie się wściekać albo co gorsza, udawać, że mnie w ogóle nie ma. Boże! Spraw, niechaj otworzy Aniela - modli się tymi słowami przez resztę drogi i zostaje wysłuchany.

Najpierw nadbiegają psy i piszczą przyjaźnie. One cieszą się Minstrelem o każdej porze. Minstrel kocha Tota i Hapi. One nigdy nie robią wymówek, nigdy się na niego

nie boczą ani nie twierdzą, że przez Minstrela umrą.

- Powinno go witać Aniela otwierając kuchenne wejście. Ściszony głos Anieli, oświetlone frontowe okna, dwa samochody na podjeździe przy stopniach wiodących pod daszek świadczą o Obcych w salonie.

Goście!

Minstrel nienawidzi gości, intruzów wyjadających najsmaczniejsze kaski. Nie, żeby nie dostawał takich samych, ale w ciężkich czasach kryzysu nie powinni objadać i opijać innych - jak twierdzi Aniela gdy jest w złym humorze. Minstrel się z nią zgadza. Przez nich, darmozjadów, ciągle jest sam. Naście brak czasu, wciąż musi pracować, żeby wystarczyć i utrzymać dom na odpowiedniej stopie.

Niekiedy Minstrel wyobraża sobie budynek stojący na olbrzymiej nodze składającej się z obłej łydki, jednej z tych, jakie podpierają czarny instrument, i racicy łosia. Nieraz się zastanawiał, co by się stało, gdyby Nasta nie wystarczyła na stopę. Pokoje by się zapadły, zakłęśło poszycie jak na chacie Anieli przed remontem. A niechby się zawalił ten biały budynek ze spadzistym dachem pod czerwoną dachówką. Nie potrzebują tylu pomieszczeń. Jakby się coś przytrafiło ścianom albo sufitowi, przenieśliby się do Anieli. Tam są tylko trzy izby i nie byłoby miejsca na odosobnienie Minstrela, nie byłoby miejsca dla tych różnych ludzi.

- Także źle znoszę gości, lecz muszę ich przyjmować.

Świat zawsze powinien o mnie pamiętać, również kiedy nie śpiewam - tłumaczyła Nasta smutnemu Minstrelowi przed pojawieniem się Obcych.

Gdyby jej bezgranicznie nie kochał, to by nie wierzył.

Wszystko świadczyło przeciwko niej. Dla Cudzych ubiera się w piękne suknie, wypuszcza ze szkatułki świecące gładysze, raz takie, raz inne, a ma ich wiele. Przewidywane niczym ściana mroźna woda w źródle, czerwone także przejrzyste, zielone, niebieskie i złociste jak świeży miód. Dla obcych maluje paznokcie u rąk i nóg, układa włosy albo telefonuje do Gawry po fryzjerkę.

Z początku bardzo się nią rozczarowała. Gdy tylko za mistrzynią zamykały się drzwi i dawał słyszeć klangor motoru, taki miała pojazd, na samochód dopiero składała pieniądze, więc jak tylko brzmiała terkotliwa pieśń motoru, którą Minstrel odróżniał od innych, Nasta siadała przed lustrem, ze złością burzyła dzieło tamtej i czesała się na nowo.

- Chandra Unyńska, parafia! - mówiła do własnego odbicia w zwierciadle. Minstrel nie rozumiał, dlaczego Nasta swoją potarganą głowę wypomina parafii.

- Po co każesz zakręcać loki, jeśli zaraz wszystko psujesz? - nie pojmował owego bezsensu, no i trochę był zazdrosny o przywileje fryzjerki.

- Jeszcze słowo i pójdziesz do siebie! - zagroziła Nasta, a barwa jej głosu wskazywała najwyższe rozdrażnienie. Od tej pory Minstrel już nie był taki głupi, żeby nieproszone wtykać swoje trzy grosze do nawijania włosów. Natomiast Nasta, zamiast się beczynnie wściekać, zabrała się do uczenia fryzjerki. Najpierw dała jej do obejrzenia album ze swoimi fotografiami, na których prezentowała się w różnych uczesaniach stworzonych przez Antoine, kiedyś pierwszy, no! może drugi grzebień Paryża. Do zdjęć dodała stare peruki i kazała kopiować. W ten sposób wszystkie sztuczne włosy Nasty zostały ufryzowane na nowo, a niektóre po kilka razy. Teraz Nasta sprowadza kwartalnik z obrazkami modnych głów. Pismo przysyłają z Rzymu. Nasta mówiła, że ostatnio Wieczne Miasto wysforowało się na czoło w czesaniu i jeśli ono nie pomoże to już nic nie pomoże gawrzańskiej fryzjerce.

Pomogło.

Mistrzynie doceniła szansę, podciągnęła się i zrobiła europejska. Teraz Nasta rzadko z jej powodu ulega napadom złości i już nie zlorzeczy parafii, a fryzjerka przyjeżdża własnym samochodem. Aniela mówi, że ten samochód fryzjerka wyczesła z głowy Nasty, no! może bez podwozia, które wyczesła z Doktorowej.

56

Lecz za Doktorową odbija sobie Doktor. Nawet za zabieg u córki gminnego naczelnika, której jako pannie nie bardzo wypadało mieć dziecko, pobrał zapłatę, a są to nie najgorsze pieniądze, ponieważ niechcenie dziecka wciąż jeszcze drogo kosztuje. Naczelnik, przywykły do brania, nie do płacenia, stracił zaufanie do Doktora i chce go wygryźć z dyrektorowania w Ośrodku Zdrowia. Jedno draństwo. Doktor popełnia grzechy śmiertelne, nie dopuszczając do urodzenia niechcianych dzieci, lecz gminny naczelnik do pięt mu nie dorósł i wstydu nie ma. Żaden dla niego uszczerbek nawet najwyższe honorarium doktorskie. Za łapówkę z jednej tylko działki nad Rzeką, mógłby zafundować zabiegi wszystkim kobietom w Gawrze.

- Doktor, choć grzesznik, jest u nas w wielkim poważaniu - wyjaśniła Aniela. - I jeśli już ktoś ma odejść, niechaj zabierają Naczelnika.

Póki co, żeby okazać poparcie Doktorowi, na jego patrona kobiety torta upiekły jak młyńskie koło. Rynek dookoła z wypiekiem obeszły, a przed budynkiem gminy najwolniej, noga za nogą, żeby sobie Naczelnik dobrze mógł obejrzyć wyrób z sześćdziesięciu jajek z kremem zaprawionym całą paczką kakao, obsypanym nie byle czym, tylko utartą, prawdziwą czekoladą.

Dopiero weszły do Ośrodka, gdzie odśpiewały Doktorowi sto lat. Oczywiście nie za śmiertelne grzechy go uczciły, tylko za porządność. On w każdą pogodę, o każdej po-

rze, każdą, drogą do chorego pojedzie i nie pyta, kiedy pacjent ostatni przekaz od krewnych z Ameryki otrzymał. A Naczelnik bez własnej korzyści nawet rąk pod siedzenie nie założy.

- Taki już porządek na ziemi, jeden z drugiego żyje, tylko z ciebie nikt nie skorzysta niebożę - wzdychała na zakończenie Aniela.

W podziale świata Minstrel zalicza gospodynię do grupy Tota i Hapi. Lubi słuchać jej opowieści. Z pretensji, rzadkich zresztą, niewiele sobie robi, więc teraz cieszy się, że wyszła po niego Aniela i nawet mniej niż zwykle złości goście. Nasta będzie zajęta i wszystko przyschnie,

57

oddzielony nocą minie pierwszy gniew, a jutro opowie jej o śpiewającej łące, o okrutnym łowcy i sarnie płaczącej nad straconym życiem.

Jak pilna mrówka pobiegnie pisak Nasty po pięciolinii rojąc czarne krople, a Minstrel będzie najważniejszy i kochany, nawet kot nie zostanie wpuszczony do małego salonu.

- Ładny sarniuk - chwali Aniela.

- Musimy go ukryć.

- Każdy głupi swój rozum ma - z uznaniem stwierdza Aniela. Nigdy niczemu się nie dziwi, nie zadaje kłopotliwych pytań. Skąd masz, gdzieś znalazł, dlaczego wzięłeś? Dobro jest dobro i trzeba za nie chwalić Pana Boga, bez względu na źródło z jakiego pochodzi. Z koziołka, jak trochę podrośnie, będzie mięso. A mięso to mięso. Pieczeń na przykład, tak samo dobra skłusowana, czy kartkowa, a nielegalna, częściej znacznie lepsza.

- Chodźmy - popycha Minstrela ku wejściu do kuchni.

Dziecko sarny kręci się niespokojnie w ramionach Minstrela i cicho popłakuje. Boi się psów, chociaż dwa dogi karnie człapią za Minstrelem i żaden z nich nawet nie warknie na niezwykle stworzenie.

- To przyjaciele - zapewnia Minstrel. Ale skąd dziecko sarny ma wiedzieć, że Tot i Hapi, czarne potwory jakby stworzone z jądra nocy, pachnące obco i przerażająco, nie są dla niego groźne.

Ułożone przez hodowcę dla obrony człowieka, dwa bolidy o masie ponad osiemdziesięciu kilogramów, same mięśnie pod lśniącą sierścią, nawet z krótkiego rozbiegu bez wysiłku zbijają z nóg najsilniejszego mężczyznę. Potrafią go unieszkodliwić, potrafią wytrącić broń, mogą zagryźć napastnika, jeśli otrzymają takie polecenie. Szczekają także tylko na rozkaz, pojawiają się i nikną niczym zmaterializowany cień, lecz nie tkną żadnego zwierzęcia, żeby im nawet grało na nosie.

Kogut długo pomiatał Totem. Dziobał ilekroć pies przechodził przez jego terytorium. Z czasem Tot zaczął uciekać na sam widok ptaka w ostrogach, ale ptak rozzuchwalony

potulnością olbrzyma urządził na niego polowania, aż  
58

pewnego razu zniecierpliwiony pies wytarzał się mając na grzbiecie wczepionego szponami koguta. W taki sposób rozbestwiony sułtan wylądował w rondlu.

- Gdzie on będzie spał - martwi się Minstrel.

Najchętniej zabrałby sarniuka do siebie, chociaż nawet tutaj dziecku sarny mogłoby być dobrze. W części jadalnej rozległej izby podłogę wyściela od brzegu po brzeg futrzak z owczych skór, o runie brunatnym podbitym brązem i rudością, nietkniętym farbą ni nożycami. Wysoka gęsta wełna może nawet przypominałaby małemu sarnę, lecz Aniela nie pozwoli. Jeśli zaś Minstrel będzie się upierał, sprowadzi Nastę. A ona z pewnością nie wyrazi zgody.

To małe w ogóle nie umie się zachować. Nie potrafi nawet stać. Na klinkierowej posadzce kuchni rozjeżdżają się racice. Wystraszone, bezradne, upadło i narobiło pod siebie.

- Twój koźlak, ty sprzątaj! - Aniela rzuca Minstrelowi ścierkę. Sama przynosi ze strychu samodziałową derę, rozściela pod nią plastikową folię, mości posłanie.

Dziecko sarny ułożone na szmaciaku podnosi się, wyciąga szyję i popłakuje.

- Matki woła, jeść chce - Aniela ucina palec ochronnej rękawicy, wypala w nim otworek, naciąga na butelkę i wtyka sarniukowi do pyska. Mały chwytła łapczywie miękkimi wargami, ssie.

Godnie wkracza kudłaty pers. Arystokrata. Medalista, Światowiec. Jest pora wieczornego mleka. Ale okropność! Jego miska jest pusta, zaś na środku kuchni rozkracza się płowa przybłęda i z przymkniętymi z rozkoszy oczyma ciągnie z pełnej flaszki, aż z kącików brązowej żuchwy skapują białe krople.

Kot wygina się w pałąk, rozciąga policzki w straszliwym uśmiechu i bezgłośnie syczy. Jeden kudłaty kłęb oburzenia. Ale ten leśny prostak nic sobie nie robi z jego humorów.

- Dobrze ci tak - mściwie cieszy się Minstrel i ani myśli napełnić Mustafie miskę. Minstrel ma z nim zadawnione porachunki. Kot, kiedy tylko chce, wyleguje się obok Nasty, a ona go głaszcze. I jak do niego mówi, serce boli! Cóż w nim takiego nadzwyczajnego? Kłaki i złość. Cóż to  
59

za kot, składa się z samych loków i fumów, śmiechu warte. Nawet nie potrafi złowić myszy. Ale niechaj tylko Minstrel spróbuje przy nim położyć głowę na kolanach Nasty, tamten natychmiast odpycha go zadnimi nogami i miauczy jak obdzierany ze skóry.

- Nie drażnij Mustafy - upomina Nasta.

Żeby chociaż raz powiedziała, Mustafa nie drażnij Piotra. Ona od dawna, od niepamiętnych czasów nie nazwała go ani razu Minstrelem. Tylko sam tak o sobie myśli,

kiedy ze sobą, wewnątrz siebie rozmawia. Nasta nie pozwala nawet głośno wspominać przezwiska nadanego mu przez Siostrę Agnes. Ma być Piotrem, takie imię otrzymał na chrzcie świętym, mawia Nasta. No i co z tego, skoro nie czuje się Piotrem, jej bratem, tylko Minstrelem.

Kot wciąż nastroszony z daleka obchodzi płowego intruza i wciągając głowę w łopatki prycha z obrzydzeniem. Phhhy! - nie dość, że cham, to jeszcze wstrętne pachnie. Miauuu! - woła rozdzierająco i ociera o nogi Anieli.

Miauuu, dlaczego upokarzasz mnie zmuszając do przypomnienia o moich prawach? Nie wstyd ci stara kobieto? Minstrelowi robi się żal wysadzonego z siodła kota i nalewa mleka do miski. Mustafa jada na zielonej majolice stojącej pod kaflową kuchnią tej samej barwy.

Wchodzi Nasta.

Tego wieczoru dom nawiedził nie żaden darmozjad, tylko z dawna zapowiadany zagraniczny impresario. Przyjechał kontraktować solistów, chóry, orkiestry. Niekłopotliwy. Człowiek interesu. Omówił z Nastą co miał do omówienia, zjadł wczesną kolację i poszedł spać. Wyjeżdżał świtem. - O piątej rano trzeba dać śniadanie do pokoju - Nasta spostrzega kozłę, marszczy brwi.

- Lepsze?

- Średnie - kategoria jedzenia podawanego obcym przewiduje jeszcze: bardzo dobre i skromne. Barometr. Od razu wskazuje, na ile gość jest ważny, albo sprawa z jaką przybył i czy została załatwiona po myśli Nasty.

- Znaczą wiedeńskie, twaróg i konfitury - upewnia się Aniela. Ano nie dogadali się, inaczej dostałby do jajek w szklance maślane rogaliki, plaster szynki i gęsiego pasztetu. Nasta się ceni. I bardzo dobrze. Niechaj zagraniczny przybysz nie myśli, że można za byle co przywabić tak wielką Artystkę. A chociaż nie jest panią z pan jak nieboszczka dziedziczka sarniejska, jeśli chce umie się znaleźć jak wielka dama. Aniela jest dumna z Nasty.

- Skąd ten zwierzak?

- Bardzo ładne sarnię - chwali Aniela, żeby osłabić impet gniewu Nasty, bo Nasta jest zła, gołym okiem widać, przyniosła tu z salonu swoje niezadowolenie z impresaria.

- Jutro odprowadzisz skąd wzięłeś!

- Nie, on zginie, on jest bardzo mały - Minstrel czuje się nieszczęśliwy i przezroczysty jak szkło, nie takie pewne czy w ogóle istnieje. Nasta go nie widzi. Tak postępuje w gniewie, gniew zupełnie zasłania jej Minstrela.

- Prawdę mówi. Przepadnie. Nawet puchacz go w nocy zeżre - poświadcza Aniela.

- Nie chcę go widzieć!

- Co też Nasta! Lekką ręką dobro wyrzucać. Jak się podchodzi mięso z niego będzie - zniecierpliwiła się Aniela.

- Neeee - Minstrel robi się strasznie blady, zaczynają mu trząść się ramiona obejmujące sarnię.

Aniela czuje się winna. Nasta niejedną raz przestrzegali. Przy Minstrelu nie mówić o zabijaniu. O przerobie żywych stworzeń na mięso. Minstrel chorobliwie reaguje na krew. Czasami samo tylko skojarzenie może wywołać atak. We wczesnej młodości został napadnięty przez demoralizowanych wyrostków i przeżył okrutny wstrząs. Widział zabijanie, patrzył na rany i krew, sam także doświadczył okaleczeń i upływu krwi tak wielkiej, że omal nie utracił życia. Pozostały mu blizny na ciele, umysłowe zahamowania i psychiczny uraz.

- Jeśli z sarnięcia wyrośnie kozioł, zaczniesz się bieda.

Do lasu nie bardzo będzie mógł wrócić, tam go sarny nie zechcą. On już nie ich, cudzy cuch przejmie. A znowu tutaj jeszcze kogo pobodzie. Gdy osiągnie słuszny wiek w niewoli, złośliwy się robi, za swobodą tęskni. Tyle tylko

60

61

5

chciałam powiedzieć - Aniela jak umie wycofuje się z reżnickich intencji.

- Będę go kochał i on mnie pokocha.

- Może i tak. Durnowatych zwierzęta lubią - na wszystko godzi się Aniela rada, że mija trzęsionka Minstrela.

- Aniela - upomina Nasta.

- Nie gniewaj się na nią - prosi Minstrel. Wie, jest przygłupi i stwierdzenie Anieli wcale go nie uraża.

- Niechaj wam będzie. Jutro urządzicie go w ogrodzie - ustępuje Nasta.

- Dziękuję - mamrocze Minstrel. Przejęty, ma trudności z wymową, ale tylko na zewnątrz. W środku nie.

W środku przemawia pieśnią, całuje Nastę, gładzi jej świetlistą głowę, przygarnia do piersi i mówi o swoim wielkim kochaniu.

Dla niej znosi obecność obcych, dla niej zapomniał o Silenzium, a wspomnienie przyjaciela już nawet nie boli, dla niej wyrzekł się siostry Agnes i opuścił Opactwo bardzo dawno temu.

5.

Twarze opięte podwiką z lekką chustą opadającą na sztywną babetę. Panny od świętego Franciszka welony noszą przy pracy krótkie, od święta długie, spływające na plecy. Idą jedna za drugą w jednakowych odstępach przetasowane słonecznymi plamami, jak zdrowaśki różańca ogniwami łańcuszka.

Stukają drewniane chodaki na kamiennych płytach wirydarza, falują sute coculla z szerokimi rękawami, w których ukrywają ręce. Rozkołysane w rytm kroków fałdy płaszczy osłaniają boscie stopy sprawiając wrażenie, jak-

by mniszki płynęły nad ziemią.

Niesie się tryl sygnaturki.

- Ojczy nasz, który jesteś w niebiesiech... Amen - pogłos odsuwanych krzesel, szmer moszczących się ludzi i opon foteli na kółkach. Przy długich stołach refektarza zasiedli

62  
mężczyźni i kobiety, ludzie starsi, młodzi i zupełnie małe dzieci, przedzieleni brunatnymi habitami zakonnic, niby ziarna koronki ciemnymi paciorkami ojczenaszek.

- Nie siorb, nie zgrzytaj sztućcami o talerz, nie mlaskaj, nie nabieraj zbyt pełno na łyżkę, nie wylizuj salaterki, gryź starannie, nie połykaj całych kawałków, uważaj! - to do tych, którzy na dłużej nie mogą skoncentrować się na najprostszych czynnościach i zastygają w bezruchu z kęsem niedoniesionym do ust lub wypychającym policzek.

Latami uczeni trudnej sztuki jedzenia odruchowo reagują na upomnienie, zwłaszcza na jego ton i znowu zachowują się poprawnie aż do następnego momentu utraty kontroli.

Niektórzy siedzą na inwalidzkich wózkach, inni z podpartymi brodami, są tacy co posługują się jedną ręką, porażeni bezwładem połowy ciała. Paraliże, stwardnienia rozsiane, błędy genetyczne, demencje starcze, niedorozwoje mózgowo, ciężkie kalectwa w pełni władz umysłowych i sprawne ciała ze słabymi rozumami.

Człowiecza Golgota.

Najbardziej upośledzona nie umie jeść samodzielnie.

Leży na salach i jest karmiona. Nigdy nie widuje refektarza. Najgorzej sponiewierana przez los nie mówi, nie chodzi, robi pod siebie. Podcierana, przewijana, kapana, wystawiana na powietrze, wydaje się Minstrelowi bladymi larwami wytaczanymi przez ruchliwe, brązowe mrówki na powierzchnię kopca. Siostra Agnes nikomu nie pozwala odzywać się o Kadłubkach bez szacunku.

- Nie panują nad funkcjami swojego ciała - oto właściwe określenie nieponizające ludzkiej istoty stworzonej na obraz i podobieństwo boskie, chociażby najbardziej dotkniętej nieszczęściem.

W Souvigny, dokąd Minstrel wyprawia się czasami z Silenziem, nazywają ich schronienie przytułkiem, wykańczalnią, rupieciarnią, zbiornicą niewypałów, ściekiem, odrzutami i jeszcze okrutniej. Nie, nie mówią w oczy.

- Czuby ze śmietniska Franciszkanek... po cholerę to to żyje... pasożyty... ciężar dla podatników...

63

Minstrela nieraz raniły podobne opinie. Pierwszy raz dosięgły Silenzia, gdy siedzieli przy trzcinowym stoliku przed gospodą zatuloną platanami w cieniu pergoli opiętej winoroślą. Minstrel nie zdążył skosztować lodów grubo obsypanych tartą czekoladą z wachlarzykiem biszkoptów

wpiętych w kolorową masę. Silenzio nie doniósł do ust kieliszka z marc'em.

Uciekał w alkohol, ilekroć tracił resztkę wiary w wyzdrowienie, kiedy brakło siły, aby się ludzić, że dwie kłody bez czucia, obute we wciąż nowe mokasyny z niezadeptanymi podszwami, oparte o stopień fotela na kółkach, przemienia się w mocne, umięśnione, sprawne nogi, silne i gibkie, na których się chodzi, tańczy, wspina. Po prostu żyje.

Zawsze ciągnie marc, ilekroć ogarnia go rozpacz i już nie może wytrzymać sam ze sobą. Wtedy staje się jeszcze bardziej drażliwy, ponury, nieznośny, nie zauważa oddania Minstrela i źle mówi o Naście. Właśnie do takiego nastroju siedzący opodal mężczyzna dorzucił pogardliwe słowo o matołach z zakonnego wysypiska.

Minstrel, jak uczyła siostra Agnes, udał, że obelgi nie słyszy, a swój żal i uczucie poniżenia ofiarował Bogu. Gorzej zniósł to Silenzio, a właściwie wcale nie zniósł. Nie nauczył się jeszcze pokory, ni kochania nieprzyjaciół, i na kamień podłego słowa nie odpowiedział chlebem, tylko pięścią. Błyskawicznie odwrócił wózek i szybkim, prawie niezauważalnym wyrzutem ręki, zmiotł tamtego z krzesła. Mężczyźnie wypadła z dłoni pełna szklanka, zamroczony uderzeniem ciężko zwałił się na ziemię z twarzą zalaną krwią i czerwonym winem.

- Merde! - wrzeszczy Silenzio.

Milkną leniwe pogwarki. Zaskakuje niespodziewana reakcja, zwłaszcza skutek ataku człowieka z inwalidzkiego wózka. Austeria przygląda się rozwścieczonemu centaurowi na kołach i osiłkowi z pobladłą twarzą dziecka. Nikt nie śpieszy z pomocą pobitemu, ani stojący przy cynku, ani rezydujący na hockerach - stołkach opiętych czerwoną skórą, które zamiast nóg mają po jednym niklowym szczudle przyśrubowanym do podłogi, wielkowiejskiej no-

64  
wości przywleczonej niedawno ze świata i obco panoszącej się w starym wnętrzu z wapiennego ciosu.

- Merde!

Nie rusza się nikt nawet z najbliższej rozsiadłych na ławach pod pergolą. Austeria nadal sący wino barwy topazu, barwy pszenicznego ziarna, barwy szlachetnych kamieni z pektorału kościoła Saint Pierre ufundowanego przez Plantagenetów, z pektorału łamiącego światło na piersi biskupa zjeżdżającego rokrocznie do Souvigny w dniu patrona starej parafii.

Minstrel zamiera z przerażenia. Kuli się, garbi i zamyka oczy w oczekiwaniu odwetu. Napiętymi do granic nerwami już odczuwa ból, jaki im zadadzą ci silni, zdrowi, normalni. Lęk maści myśli i ogranicza świat do ognistych kręgów pod zaciśniętymi powiekami, gdzie nie ma tych wszystkich wrogich mężczyzn. Cóż jednak, skoro wyczu-

wa ich obecność ciało bezbronne i nieodporne na cierpienie. Minstrel chciałby mieć jak najmniej mięśni, wagi, wzrostu, pewno wówczas spodziewana udręka byłaby mniejsza, może nawet tak mała, aż nieodczuwalna.

Ale od wszystkich strachów mocniejszy jest zachwyt i podziw dla Silenzia, wspaniałego przyjaciela, który nie pozwolił nimi pomiatać, przecież także stworzonymi na obraz i podobieństwo, no! może tylko trochę gorsze.

Minstrel wznosi się ku górze, lekko stąpa po stromym gościńcu prowadzącym ku zawrotnym wysokościami. Potem nie ma już drogi, jedynie wielkie uniesienie, uniesienie ponad wytrzymałość człowieka, skąd można tylko runąć albo ulecieć. I ulatuje pieśnią szybującą wysoko jak ptak, wolną jak ptak, piękną jak ptak. Śpiewają organy, całymi nutami dobierają się tercje i całe akordy, muzyka wznosi się, grzmi fortissimo, huczą zwycięsko fanfary, trąby, blacha i tamburyny, znowu pojawia się przewodni temat, niesie otuchę, przywraca godność słabym, odtrąconym, upokorzonym.

- Avanti! - Silenzio rzuca monetę obok czary topiących się lodów i nietkniętego kieliszka, lekkim uderzeniem w ramię sprowadza Minstrela na ziemię.

65

Głos i dotyk Silenzia kładą kres muzyce. Milknie zachwała pieśń. Wielkie, puste miejsce pozostałe po niej w Minstrelu znowu wypełnia strach. Chłopiec, jakby zdjęto z niego czar, chwyta poręcz wózka i zrywa się do biegu.

- Spokojnie. Nie uciekamy, tylko opuszczamy parszywą knajpę, gdzie byle łach obraża ludzi - rozkazuje Silenzio i Minstrel poddany jego woli bez pośpiechu toczy wózek przez cienik gospody, wolno sterując dalej wąską, pochyłą uliczką.

- Teraz rozpuść pedały - zarządza Silenzio, gdy miejsce pod platanami z kratą oplecioną winną łożą niknie z pola widzenia.

Minstrel, któremu zdawało się, że wszystkie oczy wwiercają się w jego plecy i wszystkie ręce zawisły nad jego karkiem, pędzi co sił w nogach, aż Silenzio powstrzymuje go w obawie o całość fotela.

Minstrel czuje się bezpieczny dopiero na polnej drodze wijącej się dnem parowu między winnicami na zboczach, wiejskim gościńcu ubitym wapiennym szutrem, białym w słonecznej ulewie wczesnego popołudnia, pustym i cichym. Służy wyłącznie siostrze winogrodniczkom Opactwa i skraca odległość między klasztorem a miasteczkiem. Służy, niewiele zmieniony od stuleci, pośród dziedzin ofiarowanych zakonowi przed siedmioma wiekami przez Suzerena Akwitanii Alienor z Poitiers., królową dwóch koron, żonę Ludwika VII Kapetynga, następnie Plantageneta, później władczynią Anglii.

Minstrel utrwala w sobie frazy pieśni zrodzonej z przera-

żenia i zachwytu pod pergolą austerii. Musi ją zapamiętać, by powtórzyć Naście. Na pewno go uściska i będzie szczęśliwa. Ona kocha muzykę, kocha też Minstrela, a najbardziej gdy Minstrel ułoży świeżą pieśń. Przyjmuje jak najpiękniejszy prezent, woli od cukierków, grzebyków, a nawet kolorowych mydełek, jakie z początku próbował jej kupować. Z nut ofiarowanych Naście nie wolno robić upominku siostrze Agnes. To gorzej niż odebrać podarowane karmelki i oddać komuś innemu. Tylko jeden raz spróbował utwór przeznaczony Naście złożyć w hołdzie siostrze Agnes.  
- Dobre dla szantanu - zachnęła się zakonnica.

66

Za nic nie chciała przyjąć nowej kompozycji Minstrela. Niechaj przepadnie, jakby nigdy nie została zaczerpnięta z boskiego źródła harmonii przez tę okaleczoną na umyśle istotę, której Panie na Wysokościach, lekkomyślnie powierzyłeś klucze. I nie wódź nas na pokuszenie - siostra Agnes znakiem krzyża skreśla bluźnierstwo. Jak śmiała przyganiać swemu Stwórcy.  
Niezbadane są wyroki boskie.

Ona, cicha służebnica Pana, swoje ziemskie umiłowanie codziennie ofiarowuje Jedynemu w Trójcy Świętej, poprzez pasażę Mocarza Beethovena, Mocarza Bacha, Mocarza Franciszka Couperin zwanego La Grandę, Natchnionego Schuberta, Natchnionego Eckharda, czy ostatniego z jedenastu synów genialnego Sebastiana, Jaka Chrystiana. Ukochała muzykę ponad wszystko, lecz nie dostąpiła łaski tworzenia. Natomiast ten dotknięty na rozumie prostaczek, który nigdy nie pojmie zasad kompozycji, ni odczytywania nut, otrzymał charyzmę kunsztu.

W pokorze przyjęła Wybrańca zesłanego jej pod najędzniejszą z nędznych postacią i starała się wedle sił, wedle wiedzy i prawideł sztuki wyniesionych z konserwatorium, rozniecić i ukształtować Świętą Iskrę, daną nie jej tylko półgłówkowi o kompleksji siłacza, by gorzała czystym płomieniem na chwałę Przedwiecznego.

A cóż robi ten wieprz!

Ciska perły w błoto - wzburzonej siostrze Agnes myli się przysłowie. - Czy tego chciałeś o Panie, czy taki był Twój zamysł?

Niepodobieństwo.

Ochłonawszy z gniewu i zawodu poczęła rozmyślać, co zainspirowało Minstrela do nieskromnej kompozycji. Nieskromnej! Zanucona przez niego melodia brzmiała bezwstydnie, cieleśnie, dyszała żądzą jak jakiś hymn do rui.  
- Zamilknij - nie życzyła sobie słuchać dalej.

Prawda, wyrósł z dziecka. Dojrzeła trochę przedwcześnie. Przestał mutować, śpiewa nawet przyjemnym, chociaż niedużym tenorem. Skłopotana, swoją urazę do wychowanka zaniósła siostrze doktor psycholog.

- Sublimacja libido.

Praca fizyczna, wczesne wstawanie i pociąg do składania dźwięków, czy też dar jak woli siostra Agnes, pomaga zrównoważyć witalność, rokuje przeprowadzenie chłopca przez najtrudniejszy okres, bez uciekania się do farmakologii.

- Tylko tyle!

Z rozczarowania mierzchnie twarz siostry Agnes. Uniknąć apteki! Jedyne trywialnie przyziemnemu celowi miałyby służyć talent Minstrela. Niemożliwe.

- Bardzo wiele - zdaniem siostry psycholog.

Tłumienie natury jest złem, większym złem jednak byłoby uzewnętrznianie się popędów pośród zgromadzenia ludzi pobudliwych, niedorozwiniętych z przewagą soma nad psyche, z obnażonymi instynktami.

Drażliwe problemy z pogranicza etyki, prawa i medycyny trapiące wszystkie tego rodzaju placówki nie omijają schronienia Panien od Świętego Franciszka. Ograniczenie praw jednostki w imię dobra ogółu, bez zgody zainteresowanego, sztuczne wyciszenie popędu w jaki Natura wedle jednych, Bóg według innych, wyposażyła każdą istotę i każde zwierzę. I jak nie przeoczyć momentu, w którym konieczność ingerencji staje się już nadużyciem. I kto ma wykreślać ową cienką granicę. Medyk, Filozof, Jurysta, Duchowny?

- Zbyt praktyczne podejście.

- Grillarecco wynalazł pięciolinię też z powodów praktycznych - replikuje siostra psycholog, dotknięta w zawodowej ambicji.

- Anima forma corpore, dusza kształtuje ciało. Podano do wierzenia już w roku tysiąc trzysta jedenastym, na sejmie wiedeńskim.

- Doprawdy, czy siostra nie rozumie słowa sublimacja?

- zniecierpliwiła się siostra psycholog. Obie zakonnice dzieli różnica dwóch pokoleń i sposób podejścia do odwiecznie tych samych praw przyrody.

- Nie lepiej, żeby się sublimował przez Boga?

- Widać nie może - przecięła spór siostra doktor biegła w tajnikach ludzkich instynktów i zabroniła siostrze Agnes karcie Minstrela za bezwstydne improwizacje muzyczne. Ale Minstrel zamilkł, chociaż już nigdy nie usłyszał określenia: szantan,

Minstrel nie rozumie, że dla siostry Agnes uosabia ono wszelką rozpustę. Synonim grzesznej cielesności, dziedzi-czony w spadku po babkach, kiedy ledwo wyrosnięta z dziecka wstępowała do klasztoru, ślubując czystość, posłuszeństwo i ubóstwo.

Minstrel nie ogarnia znaczenia owego słowa jak wielu innych pojęć, ale bezbłędnie odbiera dźwięki. A barwa głosu opiekunki powiedziała mu, iż szantan jest czymś znacznie gorszym od świeckości.

Odkąd Nasta odwiedza Opactwo, każda nuta gra dla niej. Pieśń Minstrela omija siostrę Agnes. Przykro mu, aż boli, lecz nic nie może poradzić, wszystkie tony same z siebie, jakby bez jego woli garną się do Nasty.

- Nic nie masz do powiedzenia swojemu Stwórcy, Minstrel? - opięta podwiką twarz siostry Agnes zda się emanuje blade światło. Jej przezroczyste ręce leżą porzucone wśród kremowych manualów i czarnych bemoli.

Minstrel nie ma jej nic do zaoferowania.

Albo libido zabiło dar składania pieśni, jak zabija niepowtarzalne dziecięce soprany dojrzewających chłopców, albo Minstrel ukrywa nowe, grzeszne kompozycje. Niezapisane przypadną. Słaba to pociecha. Siostra Agnes próbuje nakłonić niewdzięcznika do powiedzenia prawdy, lecz nic nie udaje się z niego wydobyć. Przepytywany denerwuje się albo popada w apatię, albo w to swoje szczególne matołectwo. Doprawdy, sama natura przeciwdziała dociekliwości zakonnicy, i bardzo długo nie kojarzy ona przemiany Minstrela z pojawieniem się Nasty, ale odczuwa do niej niechęć, zanim powźmie podejrzenie poznawszy jej profesję.

Skąd przybywa ta adeptka niestatecznego zawodu, niepokojąc dojrzewającego chłopca zmysłową cielesnością, w jaki sposób poznała nieśmiałego Minstrela i jak trafiła za furtę Opactwa.

- Odwiedza Silenzia. Po raz pierwszy oboje przyszli do nas w pozaprze-szłe winobranie. On wtedy był zdrowy -

68

69

objaśniła siostra. Joanna uduchowioną konfratrę, zawsze daleką od codzienności klasztoru.

- Małżeństwo?

- Para - siostra Joanna zawiaduje gumnem, tłocznią, spichlerzami. Angażując sezonowych robotników, nie zajmuje się ich stanem cywilnym.

O obyczajność dba przełożona hospicjum, przestrzegając podziału noclegów na żywioł męski i kobiecy.

Silenzia bardzo długo nikt nie odwiedzał. Lokując z nim wychowanka, siostra Agnes nie domyślała się pary. Chyba jednak nie śmie bałamucić chłopca w obecności kaleki na wózku, ta szansoneta!

Łapie się na tym niegdysiejszym określeniu. No tak, teraz nazywają je inaczej. Sama Nasta powiada o sobie: pieśniarka. Twierdzi, że uczy się w konserwatorium. Czy potrzeba aż wyższych studiów, by śpiewać w nocnych lokalach, podejrzanych klubach, dyskotekach, czy jak tam teraz nazywają jaskinie nierządu.

- Zna zasady kompozycji, umie czytać nuty a vista? - przy okazji egzaminuje siostra Agnes. Nie, nie poniżyłaby się do szukania kontaktu z tą, tą girlsą.

- Nie - kłamie Nasta i opuszcza głowę pod przenikliwym spojrzeniem zakonnicy.

Dzięki ci i za to Panie, modli się mniszka sonatą Bacha.

Niech przepadną na zawsze tamte nieskromne melodie.

Mój Boże czyżby była zazdrosna o naiwne nutki upośledzonego chłopca? Bada swoje serce siostra Agnes.

- Jagnię - mówią między sobą Nasta z Silenzio o siostrze organistce. W samej nazwie nie ma nic obraźliwego. Agnus dei znaczy Baranek Boży, więc chyba może być i Boże Jagnię. Jednak ton sugeruje nieprzyjazny podtekst, którego Minstrel nie rozumie, ale odbiera swoim wysublimowanym zmysłem bezbłędnie, jak bezbłędnie rozróżnia barwy i rozpiętość dźwięków.

Nasta nie lubi Jagnięcia i Minstrelowi jest podwójnie przykro. Musi ukrywać przed dziewczyną przywiązanie do siostry Agnes, trwałe miejsce dla niej w swoim sercu, mimo miłości do Nasty. Żeby wynagrodzić siostrze Agnes tamto kochanie, chciałby jej podarować bodaj jedną poważną pieśń. I nic. Umilkły bliskie jej struny. Minstrel nie jest zdolny ich poruszyć, chociaż to jej zawdzięcza swoje piękne imię, oznaczające wędrownych muzykantów i poetów żyjących bardzo dawno temu na ziemiach darowanych zakonowi przez panią dwóch koron: Alienor. Nawet i to wie od opiekunki.

Minstrel jest dumny z wyróżniającego przezwiska, mimo jednak wdzięczności i oddania, zakonnica nigdy się nie dowie jak bezbożnie, cielesnie i pogańsko rozwija się talent Minstrela odkąd służy Naście, bo Minstrel stał się bardzo ostrożny i nie opowiada o jednej miłości, innej swojej miłości.

Nikt nie ściga kaleki i wyrostka toczącego wózek.

- Chama należy od razu w mordę - poucza Silenzio.

Wśród spokoju winnic powraca lepsze samopoczucie, czerpie je nie tylko z odniesionego zwycięstwa, lecz przede wszystkim ze sprawności ciała, które chociaż ciężko okaleczone, przecież nie zawiodło.

- Byłeś jak, jak... tęcza - wzdycha w zachwycie Minstrel.

- Pewno chciałeś powiedzieć, błyskawica.

- Aha, piorun! On już nigdy ciebie nie zaczepi i ostrzeże innych, żeby nam nie dokuczali, prawda?

Silenzio nie odpowiada, upojony chwilą nadziei.

- Nie jestem flakiem! - w przyływie optymizmu powraca wiara przezwyćżenia kalectwa. Tak, należy ćwiczyć nadal, jak to robi codziennie i nie poddawać się załamaniom. Ręce ma krzepkie, a odkąd muszą zastąpić nieużyteczne nogi, nawet jakby wzrosła ich przerażająca moc i precyzja ciosu, z którego kiedyś sływał. Jego umysł zachował zdolność szybkiej decyzji i refleks, korpus utrzymuje zdolność swobodnego ruchu. Do połowy.

Minstrel zaczyna się bać. Głośne rozważania Silenzia zmierzają w niedobrym kierunku.

- Tylko do połowy. Dokładnie do pierwszego z czterech kręgów lędźwiowych, tak napisali w diagnozie - powtarza Silenzio, co tylekroć już mówił. U nasady jednej z wypu-

70

71  
kłości wyczuwalnych na plecach pod dotykiem palców, zostało uszkodzone coś, co przypomina blady pęd pozbawionej światła rośliny. Żyłka nie żyłka, o czym kiedy jeszcze był zdrowy, nigdy nawet nie pomyślał.

Nieważny detal. Przynajmniej tak wygląda w szyi pieczonego kurczaka. Ilekroć trafiała na jego talerz, Silenzio rozbierał ją kosteczka po kosteczce i starał się wyciągnąć w całości perłowy mlecz. Nigdy się nie udawało, delikatny i kruchy rwał się na kawałki. Silenzio nieruchomie zapatrzonej weń hipnotycznie, jakby miał przed sobą nie drobny ogryzek, tylko swój własny, poszarpany rdzeń. Zakonnice czuwające w refektarzu podczas posiłków, rychło dostrzegły obsesję Silenzia i odtąd jego porcję uzupełniano inną, nie wywołującą skojarzeń dokładką.

- Byłeś jak Robin Hood - cieszy się Minstrel z porównania, jakie wymyśli, by Silenzio dalej mógł smakować niedawny sukces, zamiast pogrążyć się w niebezpiecznym rozpamiętywaniu.

- Ja bym go rozsmarował na ścianie, gdyby... - Silenzio milknie, nie pozostało śladu z niedawnego uniesienia. Nie da się uniknąć nadciągającej biedy, Minstrel jest bezsilny, już nic nie umie wynaleźć, aby zaradzić wybuchowi rozpacz, którą tylko na trochę przysłonił triumf w austerii.

- Jeszcze się nie pojednał z losem - mówi siostra Agnes o czarnych nastrojach nawiedzających Silenzia.

Buntuje się i będzie tak miotał między złudną nadzieją a szaleńczym zwątpieniem, zanim nie da zgody na swoje kalectwo, nie podda rozumnej rezygnacji, póki nie postara się żyć godnie ze swoim nieszczęściem i nie stanie się pożytecznym, służąc w miarę możliwości innym.

Próba pokory, ciężka do zniesienia dla każdego człowieka. Pomóc może wiara i rozmowa z Bogiem, ale Silenzio nie chce rozmawiać z Bogiem, więc jest mu jeszcze ciężiej.

- Oddajcie moje nogi! - krzyczy Silenzio w ciszę rozdręganą upałem, białej drogi pośród winnic. Płacze, przeklina i grozi wrogom, którzy sprowadzili na niego ten straszny dopust. Powoli przygasa, do Opactwa powraca zmę-

72

czony, milczący, apatyczny. Każe toczyć wózek wprost do pokoju dzielonego z Minstrelem.

- Sam zjesz w refektarzu, a mnie kolację przyniesiesz - rozporządza Minstrelem. Blokuje koła swojego pojazdu

i przytrzymując się poręczy umocowanej wzdłuż ściany, zsuwa z siedzenia. Siłą rąk utrzymuje ciało w pozycji pionowej. Przekładając po chromowanej barierze dłoń za dłonią jakby stawiał stopy jedna za drugą, brnie ku drzwiom łazienki. W izbie jest za ciasno na manewrowanie fotelem. Dwunastowieczna, zakonna cela z wysoko umieszczonym oknem, dokąd wiodą stopnie osadzone w murze. Skąpa przestrzeń jeszcze bardziej zmałała po zainstalowaniu koniecznych udogodnień kąpielowo-sanitarnych i odgroźdzeniu ich przepierzeniem. Kamienną podłogę ociepla mata z sizalu, wzdłuż ściany stoją dwa niklowe łóżka oddzielone drewnianą przesłoną pomiędzy zagłówkami. Szafa w ścianie, wiszące półki z ruchomym pulpitem nad posłaniami, stolik, dwa krzesła i miejsce na wózek inwalidzki. Pozostaje przesmyk między wejściem, oknem a drzwiami prowadzącymi do urządzeń higienicznych.

Większość pensjonariuszy Domu Opieki Franciszkanek mieszka w salach ogólnych, mieszczących od Sześciu do trzydziestu łóżek. Izby dwuosobowe otrzymują tylko podopieczni wnoszący całą opłatę za pobyt w Opactwie. Inwalidów w pełni władz umysłowych lokuje się z osobami fizycznie sprawnymi o łagodnych upośledzeniach psychicznych, żeby się mogli wzajemnie wspierać. Wszyscy otrzymują ubranie, są jednakowo żywieni, mają dostęp do tych samych pomieszczeń rekreacyjnych, telewizji, biblioteki, ogrodu. Ludzie niedysponujący żadnym dochodem żyją dzięki jałmużnie, wpływom z kwesty, legatom, zapisom dla ubogich i skąpym asygnatom municypalnego humanizmu oraz zarobkom lżej upośledzonych towarzyszy wspólnej niedoli. Na niektórych łożą rodziny, nierzadko zmuszone wyrokiem sądowym.

Silenzio płaci za siebie. Minstrel wypracowuje część należności, różnicę przysyła na jego imię litościwa osoba, która zastrzegła sobie incognito.

73

- Pewna pobożna Markiza dopłaca do twojego utrzymania - zawiadomiła siostra Agnes, zabierając Minstrela z sali gniewnych starców.

Sama jest owym miłosierdziem. Na jej ręce złożyła czek arystokratka z sąsiedztwa wzruszona muzyką siostry Agnes. Reguła zakonna nie przewiduje osobistego majątku. Wszystko należy do zgromadzenia. Dar można było przeznaczyć na różne cele. Hierarchię potrzeb ustala kapituła, decyzja należała do ksieni.

Siostra Agnes prosiła, aby ową sumę zapisano na dobro Minstrela. Zdaniem instancji doradczej Minstrel silny, zdrowy, z życiem rozjaśnionym muzyką był bogaczem pośród ciężej doświadczonych przez los. Jednak Przeorysza poparła siostrę Organistkę i pieniądze Markizy uznano za bezpośrednio ofiarowane na utrzymanie Minstrela. Sio-

stra Agnes mogła pozostać anonimowa, Minstrel uzyskał prawo do miejsca w dwuosobowej izbie.

- Kiedy zobaczę dobrą panią? - Minstrel wie, osoby do-  
broczynne odwiedzają Opactwo. Czasami nawet biorą udzi-  
ał w obiedzie albo w uroczystej niedzielnej kolacji. Są gość-  
mi. Minstrel bardzo lubi gości. Szkoda, że bywają rzadko.

- Chce pozostać bezimienna. Nie będzie przychodziła.  
Jeszcze jedna taktowna Dama. Nie pragnie pysznić się  
wspomaganiem biednych. Minstrel wolałby mniej skromną.  
Niechby przyjeżdżała do Opactwa lśniącym samochodem,  
a później pachnąca, połyskująca pierścionkami i długimi  
paznokciami pomalowanymi na różowo, siadała obok Min-  
strela przy stole w refektarzu. I żeby była młoda i piękna.  
Próbuje sobie wyobrazić swoją miłosierną Damę, lecz  
nie potrafi tchnąć w nią życia. Wreszcie nieznajoma przy-  
biera postać Nasty, spogląda z głową odwróconą przez ra-  
mię szaroniebieskimi oczyma spod złocistych rzęs, jakich  
nigdy nie widział u nikogo, istne kłosa jęczmienia. Wiatr  
miota kitą świetlistych włosów, rozwłóczy pasma po od-  
krytych ramionach.

- Koński ogon - nazywa Nasta swoje uczesanie.

Podmucha owija sukienkę wokół bioder Nasty, cienkim  
jedwabiem modeluje piersi i całą sylwetkę. Złota w słońcu  
74

Nasta schodzi ze wzniesienia w cień wąwozu pośród zbo-  
czy porośniętych winnicami, Minstrel biegnie jej na spotka-  
nie. Nasta jest najcudowniejsza i najbardziej realna ze  
wszystkich widywanych i nieznanych Dam, które wolą  
przekazać czek niż przyjść, do Opactwa i usiąść obok Min-  
strela przy długim stole w refektarzu.

- Prowadził matolek beznogiego - powiedział Silenzio  
na widok wyrostka zaproponowanego mu na współmie-  
szkańca.

- Nie rań go. On wiele rozumie - upomniała siostra  
Agnes.

- Ja się nie gniewam - zapewnił Minstrel.

- On mówi po polsku? - zdziwił się Silenzio.

- Umie się porozumieć.

- Siostra go nauczyła, żeby się mieć do kogo po ludzku  
odezwać?

- To jego jedyne dziedzictwo.

Nie myślała o dziedzictwie, gdy z chłopcem zapisanym  
jako syn Jadwigi siadywali na łące albo przy umilkłych  
organach, albo na krążgankach wirydarza, a ona przywo-  
ływała ze swojej przeszłości słowa dla niego niepojęte. Nig-  
dy nie zastanawiała się, co ją skłoniło, by zwracać się do  
tego dziecka w języku, którego sama przestała używać we  
wczesnej młodości. Od dawna wypowiadała się i myślała  
po francusku.

Z początku odmienny sposób porozumiewania utru-

dniał dziecku życie, bo tylko ona rozumiała jego ciężki wólapić, zanim z czasem nie rozdzielił się na dwa odrębne systemy leksykalne. I tak za sprawą syna Jadwigi, dla którego polskość i samotność stanowiły pojęcia wymienne, upomniała się o miejsce w sercu siostry Agnes zapomniana ziemia rodzinna.

- Minstrel jest dobrym chłopcem, będzie ci pomocny. Spróbuj się z nim zaprzyjaźnić - powiedziała do Silenzia siostra Agnes.

Minstrel bardzo chciał mieć przyjaciela, chociaż podobno prawdziwe koleżeństwo nie udaje się matołkom, w najlepszym razie zdającym przesłać łóżko, umyć Kadłubka 75

i wynieść nocnik. Tak twierdzili trudni starcy, złośliwi i zgorzkniali od żalu po utraconej młodości, zmęczeni swoją starością i niedołęstwem, zazdroszczący matołkom sprawnych ciał i siły, zazdroszczący Minstrelowi nawet imienia nadanego mu przez siostrę Agnes.

Przedtem dzieliło z nim salę pięciu sędziwych. Minstrel był szósty. Służył im i wspierał ich zgrzybiałość, a oni korystali i dopominali się pomocy, niecierpliwąc się i gderając. A chociaż starał się jak umiał najlepiej, oni skarżyli się, że łóżko i szafka Minstrela stojące i tak w najciemniejszym kącie odejmuje im światło, zmniejsza pomieszczenie, a Minstrel zabiera im powietrze. Przez niego dyszą niczym ryby wyrzucone na nadmorski piasek, mąci im się pamięć i oćma przysłania oczy.

Czasami płakali nad sobą, nad swoją biedą. Gdyby byli bogaci, albo chociaż zamożni, mieszkaliby na starość w eleganckich domach pogodnej jesieni, gdzie każdy ma własny pokój, a nie we wspólnej ciasnej izbie w przytułku Panien od Świętego Franciszka pod Souvigny, dokąd zwożą i przyjmują każdą nędzę, każde upośledzenie, każde chamstwo, podrzutków, meteków i cudzoziemców. Nawet wnoszący pełną takwę nie są osobami godnymi zaufania. Opłata tutaj jest najniższa w całej Akwitanii, wie o tym każdy łyk i do Opactwa pcha się wszelka hołota. Takie otoczenie ciężko jest znosić im, ludziom kulturalnym, z dobrych rodzin, przywykłym do wytwornego towarzystwa, posiadającym służbę, zanim nie spotkało ich nieszczęście ubóstwa.

Opowiadanie o minionej świetności dodawało sił, we wspomnieniach każdy z nich, nie chcąc być gorszym od drugiego, dochodził do wielkiej potęgi, stanowisk, bogactwa. A kiedy już byli minionymi arystokratami, przemysłowcami, politykami, posiadaczami zamków nad Loarą, winnic w Szampanii, najprzedniejszych psiarni, stajni, kobiet, zwracali się z żądaniem do dyżurnej siostry, aby Minstrel mieszkał na korytarzu, tuż obok ich drzwi, z dzwonkiem nad poduszką, by w razie potrzeby mógł im usłużyć. Mniszki, zależnie od usposobienia, mówiły im o miło-

ści bliźniego, o równości wszystkich wobec Boga, o re-

76

gule domu Opieki Opactwa nieprzewidującej lokowania ludzi pod progiem innych. Lekarka dawała środki na uspokojenie, siostra Agnes zagarniała ich do kaplicy i grała im Bacha, skąd wymykali się na palcach pojedynczo, jak złodzieje.

- Dziecinniałe samoluby! - grzmiała szybka do gniewu siostra Joanna i żądała, by zesłi jej z oczu póki dobra. Pokornieli i dreptali gęsiego, wspierając się na kijaszkach. Pięciu zgrzybiałych mężczyzn, z którymi wiek nie obszedł się łaskawie i nigdy nikt ich nie odwiedzał, i nigdy nikt z bliskich nie przyniósł im ani nie przysłał upominku, bodaj najlichszego drobiazgu, chociażby pachnącego mydła, nadziewanego batonu czy kruchej babki na urodziny. Zresztą czterej z nich nie pamiętali już daty i miejsca, gdzie przyszli na świat. Minstrel też nie pamiętał, ale oni przecież nie byli matołkami.

Próbował ich pozyskać. Za kieszonkowe kupował drobne przedmioty albo tanie łakocie. Dawał. Brali. Bardzo lubili brać. Drżące ręce trzęsły im się jeszcze bardziej, i jeszcze bardziej szponiasto wyglądały wyschnięte dłonie i pokręcone palce wyciągające się po biedne prezenty. Wtedy uśmiechali się do Minstrela, przymilali i chwalili, lecz w chwilę później zaczynali porównywać darowane rzeczy. I popadali w dąsy, zamykali się w gniewnym milczeniu, sarkali. Każdy z nich dochodził do wniosku, że dostał najmniejszy ze wszystkich podarunek, nawet jeśli były to jednakowe torebki cukierków.

I znowu cierpieli duszności i jeszcze bardziej wadziło posłanie Minstrela i jego szafka zupełnie zasłaniała światło, i doskwierało poczucie ubóstwa, i jeszcze bardziej każdemu z nich przeszkadzało istnienie pozostałych, bo względem współtowarzyszy też nie odczuwali przyjaźni. Nie mieli jej już do ofiarowania nikomu, a może nigdy nie obchodzili ich inni ludzie.

- Nie gniewaj się na mnie - poprosił Silenzio zaraz po tym powiedzeniu o matołku prowadzącym beznogiego i od razu bez wybrzydzenia zgodził się mieszkać razem z Minstrelem.

77

Silenzio w niczym nie przypominał starców, nawet kiedy się złościł czy szalał z rozpaczy lub wspominał przeszłość. I nie pomiatał Minstrelem.

Chłopiec całym swoim złaknionym sercem przylgnął do kaleki, a ten nie odtrącił ofiarowanego uczucia, bo Minstrel nie tylko był użyteczny, łagodny i cierpliwy. Minstrel był silny, a Silenzio kochał siłę.

- Nigdy już nie podniosę się z wózka. Tak tylko sobie wmawiam, żeby nie zwariować. Ale i z fotela na kółkach

można się zemścić, lecz musi się mieć przyjaciela na śmierć i życie.

- Jestem twoim przyjacielem na zawsze.

- Musiałbyś się wiele nauczyć i milczeć. Grób. Rozumiesz?

- Będę jak cały cmentarz. Naucz mnie.

Silenzio zajął się Minstrelem. Siostra lekarka nie tylko pozwoliła, nawet przyklasnęła inicjatywie Silenzia. Razem z siostrą psycholog dostrzegły w zainteresowaniu drugim człowiekiem dobry znak, zaczątek przystosowania się do nowej rzeczywistości, pierwszą próbę akceptacji życia jakie od-tąd będzie wiódł, próbę przezwyciężenia szaleńczej rozpaczy, po której następowały napady równie głębokiej depresji.

- Nauczę cię wszystkiego co sam umiałem - obiecuje Silenzio i coraz bardziej zapala się do swego pomysłu.

Nikt w Opactwie nie ma najmniejszego wyobrażenia, co ożywiło bliskiego obłąkania albo samobójstwa młodego człowieka na wózku, jaki naprawdę cel przyświeca owemu zajęciu się sportowym wyszkoleniem Minstrele.

Silenzio z Minstrelem zostają dodatkowo wpisani w grafik regulujący czas i miejsce zajęć w przerobionej ze starego spichlerza sali gimnastycznej służącej terapii ruchowej. I tak oprócz porannych ćwiczeń rehabilitacyjnych Silenzia i zwyczajnej, służącej fizycznej sprawności gimnastyki Minstrele, Silenzio pielęgnuje i wyzwala ukrytą w mięśniach Minstrele moc i uczy chwytów samoobrony.

- Idziemy pobiegać - opowiada się Silenzio siostrze instruktorce i Minstrel toczy wózek z przyjacielem, a siostra instruktorka telefonuje do parlatorium, gdzie czuwa siostra furtianka, władająca automatem zamykającym i otwierającym przejście.

Ponieważ nadprogramowe zajęcia poprawiają samopoczucie inwalidy i upośledzonego chłopca, otrzymują zgodę na wychodzenie z Opactwa w czasie wolnym od obowiązkowej pracy, bez każdorazowego zezwolenia. Silenzio musi tylko wpisać do księgi furty, dokąd się udają. Taką informację pozostawia każdy z pensjonariuszy, korzystający z prawa swobodnego poruszania się poza obrębem schroniska, zabudowań i parku. Wpis służy dyscyplinie i bezpieczeństwu. Jeśli ktoś nie powróci o właściwej porze, przepada niedzielne ciasto, ale także wiadomy jest kierunek, w jakim należy wszczać poszukiwania.

Silenzio cieszy się pełnym zaufaniem, nadszarpnie je dopiero po uderzeniu człowieka w austerii, chociaż i wtedy nie wyda się, że często wieczorami sący marc. Silenzio umie przemycać do Opactwa alkohol i umie pić, umie się nawet upijać po cichu. Nikt nie wie o jego skłonności. Nawet Minstrel w takich razach nie bardzo sobie zdaje sprawę ze stanu przyjaciela.

Minstrel lubi godziny wieczoru po dzwonku oznajmia-

jącym ciszę nocną. Silenzio pociąga marc wsparty o poduszkę, wpołleżąc na uniesionym jak oparcie zagłówek łóżka. Cichym głosem opowiada o swoim życiu i częstuje Minstrela czekoladą. Kiedy jest nietrzeźwy, nigdy nie płacze ani nie krzyczy, jakby wódka z gronowych wytłoczyn działała na niego uśmierzająco.

Po którymś łyku zasypia, nie zawsze opróżni całą butelkę, lecz nigdy nie zapomni dobrze docisnąć nakrętkę. Wtedy Minstrel rozplata jego palce obejmujące szyjkę, zabiera flaszkę i chowa w skrytce pod siedziskiem inwalidzkiego wózka. Za parkiem, za gospodarskimi zabudowaniami Opactwa, za plantacją orzechowców, za gajem oliwek, za stokiem z winnicą i łąką, gdzie pasą się klasztorne owce, w piniowym lesie, z dala od oczu zakonnych opiekunek i wścibskich starców, którzy skarżą siostram, odbywa się najskrytsza i najważniejsza część zaprawy Minstrela do zadań przeznaczonych mu przez Silenzia.

78

79

Nie idzie łatwo. Trochę przez oporną pojętność ucznia, trochę przez kalectwo nauczyciela. Niezmiernie trudno jest osiągnąć współdziałanie wszystkich kończyn adepta przy różnych pozycjach kunGfu, jeśli samemu jest się w połowie martwym. Ale Silenzio nie rezygnuje, każe się zdejmować z wózka i pełzając po ziemi, czasami płacząc z wściekłości nad własnym niedołęstwem, ustawia, przesuwa, manewruje nogami Minstrela. Później synchronizuje z nimi odpowiednie działanie rąk.

Powoli i z wielkim trudem przyswajają Minstrel zaledwie początek początku starej chińskiej sztuki walki, z takim samym mozołem Silenzio uczy się cierpliwości.

Często wątpi, czy zdoła przysposobić chłopca do swego zamysłu i czy potrafi z tej łagodnej naiwności ukształconej przez zakonnice, wyzwolić agresję, wyrobić zręczność i nakłonić, aby nieprzeciętną siłę zechciał półgłówek spożytkować inaczej niż na kapanie i przytrzymywanie strzyżonych tryków, czy taszczenie na plecach ogromnej łuby pełnej winnych kiści, albo przenoszenie worków w składach Opactwa. Lecz przede wszystkim stara się wypracować w nim odruch nienawiści. Marzy mu się Minstrel jako ślepa moc, którą on, Silenzio włada bez ograniczeń, tak jak władano nim, Silenzkiem, póki się nie usamodzielnił. Nienawidzić i zabijać.

Silenzio podobnie jak ten, | który go uczył morderczych chwytów, nic nie wie o filozofii, etyce, moralności i kano-nach wpajanych adeptom przez chińskich mnichów, zanim dostąpili wtajemniczenia w kunszt walki, o zasadach jakimi twórcy i wychowawcy zapaśników obwarowali ową sztukę samoobrony, aby nie stała się li tylko kaleczeniem i mordowaniem.

Instruktor Silenzia, a teraz on przekazuje swojemu uczniowi umiejętności wypreparowane z praw i zakazów, wolne od wszelkiej etyki, czyste rzemiosło bicia i zabijania.

- Przecież ciebie gorzej układać niż psa. Pierwszy lepszy kundel jest zmyślniejszy - złości się Silenzio, całymi dniami powtarzając jeden ruch ze swoim niezadowolonym uczniem.

80

Minstrel zwiesza głowę w poczuciu winy. Gdy się martwi, wszystko wychodzi jeszcze gorzej, a właściwie wcale się nie udaje. Nagana, niezadowolenie, podniesiony głos, zwłaszcza osoby, do której jest przywiązany, wywołują zamęt w myślach i Minstrel przestaje rozumieć, czego się od niego oczekuje.

- Nie jesteś zbyt pojętny, ale wytrwały. A to czasami więcej znaczy niż największy talent - pociesza Silenzio i Minstrel powoli odżywa.

- Daj kosę - doprasza się Minstrel. Operowania nożem nauczył się najprędzej i ciska nim celnie. Dlatego lubi popisywać się przed preceptorem nabytą umiejętnością.

Szczególnie po porażkach w innych ćwiczeniach. I nigdy, nawet przy Silenzium, nie wymieni słowa nóż, ani wśród niepowołanych, żadnego z żargonowych synonimów.

W refektarzu przy posiłkach nie wszyscy otrzymują noże. Minstrel dostaje, ale na wszelki wypadek przestał nazywać ów przedmiot i mówi o nim TO, zresztą nie jest on ani trochę tak ostry jak sprężynowiec Silenzia. A najtajniejsze, najskrytsze jego miano brzmi: majcher. Zdradził je Silenzio, wszystkowiedzący i mający władzę nad kosaми, bo Minstrel jest jego jedynym przyjacielem i wart poznania każdego sekretu, nawet z za siódmej pieczęci.

Największą tajemnicę stanowi czarne zwierzątko z wydłużonym ryjkiem. Szerszeń, mówi o nim Silenzio, chociaż różni się od kaśliwych owadów z respektem omijanych przez Minstrela. Szerszeń Silenzia samowolnie nie wyda żadnego dźwięku, przemawia tylko na rozkaz grzmotem, albo cichym p y k, po okiełznaniu podłużną tutką. Ten kaganiec Silenzio zakłada prawie zawsze, żeby huk nie zwabił siostr lub innych ludzi niedopuszczonych do tajemnicy. Nikogo z nich nie uznał godnym Wielkiej Sprawy, tylko jego, jedyne, Minstrela.

- Albowiem wielu jest powołanych, lecz mało wybranych - uroczyście wygłasza Silenzio, jakby udzielał sakramentu. Słowa brzmią modlitewnie i znajomo, podobne wersom ewangelii odczytywanej przez księdza w niedzielę z księgi oprawnej czarną skórą ze złożonymi krawędziami kart, spośród których wystają czerwone zakładki.

Z początku Minstrel boi się niebieskawo polśniewającego Szerszenia, nieufnie i bardzo ostrożnie przyjmuje na wyciągniętą dłoń, żeby go nie rozdrażnić, ale tamten leży nieruchomo, cichy, chłodny, nie żądli, bo Silenzio wyjął

z niego jad zamknięty w zaokrąglonych stożkach uszeregowanych w korytku.

- Wystarczy na dziś - mówi Silenzio po tym uświęceniu Minstrela najwyższym wtajemniczeniem.

Zdejmuje Szerszeniowi namordnik, rozbiera zwierzątko na kawałki i wszystko poowijane w naoliwiony pergamin lokuje w zamaskowanym schowku pod siedzeniem inwalidzkiego wózka. Skrytki są tak zmyślne, że nie ujawni ich nawet całkowite wymontowanie fotela i ruchomej ramy regulującej położenie oparcia. Mieszczą się w nim także wgłębnia dopasowane kształtem do płaskich flaszek, w jakie przelewa się marc z litrowych, obłych butli, kupowany podczas wypraw do Souvigny. Jak w wygodnej kolebce spoczywa sobie napełnione szkło, przekraczając bez przeszkód furtę Opactwa pod czujnym okiem siostry furtianki.

Silenzio powoli oswaja Minstrela z Szerszeniem, na koniec pokazuje, co potrafi owo stworzenie sterowane sprawną ręką. A w Minstrelu coraz bardziej narasta pragnienie, by posiadać sztukę strącania szyszek albo gałęzi z pinii.

- On raz w roku sam kąsa. Pamiętaj! Dlatego należy zachować szczególną ostrożność - rozpoczyna naukę Silenzio- Teraz jest niegroźny - Silenzio wyłuskuje naboje, z grzechotem wysypuje do kieszeni i jeszcze raz upewnia się, czy jakiś nie pozostał w lufie. Tak odbiera się moc Szerszeniowi.

Później zaczyna się nuda. Silenzio demonstruje i w nieskończoność każe powtarzać zakładanie i wyjmowanie pustego magazynku, zabezpieczanie i odbezpieczanie pojemników z jadem, których tu nie ma, bo są w kieszeni Silenzia. Wszystko na niby. Mijają wieczności, a Minstrel wciąż musi robić to samo i wciąż na niby, bo już dobrze wie, że bez żądań Szerszeń jest niczym.

- Chcesz nim rządzić tak samo jak ja?

Minstrel chce.

- To musisz się z nim zżyć jak z własną ręką - nie ustępuje Silenzio i Minstrel się zżywa. Zżywa aż za bardzo.

Pierwsze samodzielne strzały wprawiają w euforię.

Pac, pac, bach! Minstrel lubi, żeby grzmiało jak burza, Minstrel porusza burzę, rozporządza nią, Minstrel jest nieskończenie potężny, wielki jak Ten co zsyła nawałnice. Ale Silenzio pozwala na używanie Szerszenia tylko z namordnikiem. Skutek jest ten sam. Odłupują się wióry, pryska szkło.

- Tisze jediesz, dalsze budziesz - przekonuje Silenzio jakimś takim zabawnym słowem i Minstrel śmieje się z tego budiesz.

- Czego rechoczesz jak durnowaty? - obrusza się Silenzio.

-Budiesz - krztusi się Minstrel.

- Zamknij się. U nas tak mówili.

Minstrel milknie, Nic nie jest śmieszne, co należy do

wspomnień Silenzia. Au nas zawsze znaczy to samo. Rodzinny dom Silenzia pośród Puszczy, ciągnącej się od miasta Grodziszcz, takiego jak na przykład Souvigny, aż po granicę. Mniejsza z tym, że Minstrel nie rozumie co znaczy granica. Ważne, że z tej masy drzew rosnących jedno przy drugim wywędrował w świat jego przyjaciel, wtedy zdrowy i silny. Zabrał go Szef, cudzoziemski myśliwy, który przyjechał upolować rogacza. Wywiózł piękny wieniec i Silenzia, bo potrzebował takiego strzelca i takiej siły, jaką władał Silenzio, póki nie stał się tylko w polowie żywym człowiekiem.

Przy każdym wspomnieniu waruje rozpacz. Silenzio wybiera z przeszłości to, czego nie zniszczyła kula. Poszarpała rdzeń w jego kręgosłupie, nie odebrała sprawności oku i ręką. Pozostały niezawodne, jak wtedy, gdy popisywał się przed Szefem strzelając do rzutków. Dziesięć krążków wyciętych z dziurawego dekla niemieckiej mezażki spadało jeden po drugim w świeży śnieg polany.

- Przebite na wylot - Minstrel nabiera powietrza, bo wstrzymał oddech z napięcia, chociaż opowieść Silenzia zna na pamięć. Niezmiennie fascynują zwierzenia przyjaciela, powtarzane nie są mniej atrakcyjne.

82

83

Gdyby pociski były mniejsze, blaszki miałyby otwory w samym środku. Ale naboje z urzyna, zwyczajne kule kabeka, tylko odkształcały metal, na ponowię lądowały zwijki aluminium.

Precyzja strzałów zachwycała szefa, lecz precyzja i urzyn, powinny się wzajemnie wykluczać. Nigdy by nie uwierzył, że to możliwe, gdyby nie widział nieprawdopodobnego sprzężenia strzelca z prymitywnym samopałem, z którego on, Szef, z dziesięciu metrów ledwo trafiał w drzewo.

Urzyn wspomina Silenzio jak najbliższą dziewczynę. Sam go przysposobił, dopasował, skrócił. Swobodnie mieścił się w rękawie. Nie krępował ruchów, niewidoczny w cholewie saperek, butów ściągniętych z martwego Niemca przez ojca Silenzia, kiedy stratowana i spalona wieś szukała na pobojuwisku przydatnych rzeczy.

Kabek, przerobiony na urzyn, też był po ojcu. Nasączony lnianym olejem, spowity w podolek płóciennej koszuli, zasmołowany w świerkowym łyku, wraz z amunicją złożony w ziemi pod końskim żłobem, czekał aż dorośnie następca. Czternaście lat miał Silenzio, gdy objął swoje dziedzictwo. Powiadają w jego stronach, że puszczańscy mężczyźni przychodzą na świat z siekierą, flintą i pasieczną siatką. W każdym domu żył cieśla, pszczelarz i myśliwy. Urzyn pozostał w domu. Nasmarowany, owinięty natłuszczonym papierem i szmatami, bezpieczny spoczywa w schowku, wydrążonej i zamaskowanej klinami krokwi

nad sklepkiem, w drugiej kilkanaście setek naboii. Szef nie pozwolił Silenziowi zabrać samopału. Szkoda, teraz z urzynom zapolowałby na Szefa.

- Ćwiczmy - rozkazuje Silenzio z twarzą jak chmura.

Minstrel nad podziw opanował chłodną gadzinę, co podobna jaszczurce nagrzewa się od ciepła ręki, jeśli leży nieruchomo na dłoni. Ale jest w ruchu. Minstrel sprawnie wsuwa magazynek, odbezpiecza, pociąga za spust i osiąga cel z precyzją automatu.

Jednym pociskiem utraća szyjki litrowych butelek, trafia w ich dna. Z różnych odległości wytyczanych przez Silenzia wstrzeliwuje się w kółko zakreślone kredą na pniu drzewa.

84

Silenzio promienieje. Jest prawie szczęśliwy. Chwali.

Zaczyna głośno marzyć o karabinach z lunetą, prawdziwych snajperskich karabinach. Nie szkodzi, że Minstrel nie rozumie co to takiego. Z czasem Silenzio wszystko wyjaśni i nauczy.

Minstrel podziwia i kocha Silenzia, kocha Szerszenia, któremu rozkazuje, który jest mu posłuszny, którym rządzi. Śmiertelnego postrzału unika tylko dzięki refleksowi Silenzia. Szczęściem był na swoim wózku blisko i zdążył odbić rękę Minstreln, kula leci w bok, roztrąca korony pinii, sypią się odcięte jedwabiste kity.

Nieostrożność? Coś znacznie gorszego. Minstrel nie rozumie mimo wszelkich nauk, że potęga rozpryskująca szkło może porazić również jego. Przecież on, Minstrel, nie jest butelką i nie rozpęknie się na drobne kawałki, ani nie odpadną z niego płaty kory.

- Ty naprawdę jesteś beznadziejny matole! - krzyczy Silenzio. Po twarzy ciekną łzy wściekłości, zawodu, rozpacz.

- Już nie będę - przyrzeka Minstrel.

- Czego nie będziesz idioto, nie będziesz celował we własny brzuch?! Ile razy tłumaczyłem, żebyś był ostrożny, rozumiesz: ostrożny, inaczej pozabijasz nas, zanim zdążymy ruszyć na wrogów!

W przyływie morderczego natchnienia udziela pogładowej lekcji. Trafia lądującą w pobliżu pliszkę. Minstrel nieruchomieje, potem biegnie, podnosi z trawy skrwawiony strzęp i płacze.

- Ono umarło- podtyka pod oczy Silenzia poszarpany kłębek piór. Wreszcie dotarła do Minstrelna straszliwa prawda. Broń uśmierca. Niszczy życie.

- Moi wrogowie nie są pniem ani flaszką, są podobni do ludzi, chociaż to wcielone diabły! Jeśli ich nie wykończę, oni zakoszą mnie - przeciąga kantem dłoni po szyi. - Nie chcesz mi pomóc, nie będę prosił. Wyniosę się stąd, skoro nie mam w tobie prawdziwego przyjaciela. I przestań się mazać, bo nigdy się nie wyrobisz na twardego mężczyznę. Silenzio szanuje tylko jeden rodzaj mężczyzn. Wspa-

niałych. Twardych. Najlepszych czyli Prawdziwych. Re-  
85

sza to wszarze, mięczaki, dupki. Minstrel bardzo pragnie być Prawdziwym, lecz martwy ptak unaocznia straszliwą sprzeczność pomiędzy światem Opactwa a światem męskiej przyjaźni.

Nie zabijaj! - codziennie powtarzał w modlitwie wyuczonej przez zakonnice, co brzmiało równie pięknie, święcie i niezrozumiale jak: nie cudzołóż czy nie pożądaj żony bliźniego, osła, wielbłąda, sługi, służebnicy. Obrzęd, słowa miłe siostram i Panu Bogu, których znaczenia nie ogarniał i czego nawet nie próbował objąć umysłem, on, prostaczek boży o słabym rozumie, jakich miłuje Stwórca nie mniej od innych istot wypełniających swoje powinności wedle sił i talentów.

Więc wypełniał.

Przenosił ciężary w spichrzach Opactwa, w czas winobrania troczył do pleców największy kosz ze świerkowego łyka i najwięcej owoców odnosił i zsypywał do kadzi na platformie oczekującej w wąwozie. Przytrzymywał owce podczas strzyży, nawet wielkiego tryka, gdy siostra Joanna w podkasanym habicie i płóciennym fartuchu goliła zwierzęta elektryczną maszynką importowaną z Australii, za jednym pociągnięciem wybierając do czysta szeroki pas wełny niczym ogrodowa kosiarka.

Pomagał dźwigać półtusze ubitych zwierząt. Wypatroszone, pozbawione skóry, jakby odrealnione nie robiły wrażenia. Nigdy nie widział, jak pozbawiano je życia. Nie tylko dzieci i niepełnoletnich, ale także i resztę mieszkańców trzymano z daleka od uboju. Do większych zwierząt przyjeżdżał rzeźnik z Souvigny, mniejsze sprawiały pomocnice siostry kucharki.

Pieczone kurczęta, jagnięca brosza, ragout baranie czy pasztet z królika, nawet surowe mięso, nie kojarzyły się z piątym przykazaniem dekalogu: nie zabijaj. Zresztą w Opactwie nie zabijano. Drób bito, owce zarzynano, świnie kluto, bukaty podcinano.

Silenzio pliszkę zabił. Pocisk rozerwał na strzępy małego ptaszka. Zabij ! - żąda przyjaciel.

86

Szkoda, nie można zapytać siostry Agnes ani żadnej innej. Silenzio przestrzegał i utrwał w umyśle Minstrela: jeśli powtórzy chociażby jedno słowo z ich tajemnych spraw, zostaną rozłączeni, a Silenzia wyrzucą z Opactwa. Minstrel jest pewien, tak by się stało, chociaż nie umie sobie wyjaśnić, dlaczego.

- Bądź trochę cierpliwy, muszę się przyzwyczaić do zabijania - opowiada się Minstrel po stronie męskiej przyjaźni.

- Masz czas. Żeby cię ułożyć potrzeba z pięć lat.

- To dużo czy mało? - Minstrel nigdy nie znał miary czasu. Już taki się urodził.
- Może nawet i lepiej - nie odpowiada wprost Silenzio.
- Oni się postarzejają, a ty będziesz miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Sama siła. Uszy do góry, zrobię z ciebie twardego mężczyznę. Moją pancerną pięść, mego gamona!
- Co to jest gamoń?
- Ty jesteś gamoń. Na gamona ja ciebie wykieruję. Pomожesz mi zniszczyć wrogów.

Minstrel nienawidzi nieprzyjaciół Silenzia i nawet zanim przystał na straszny przymus ich zgładzenia, nie mógł się zdobyć na chrześcijańskie przebaczenie. Zna ich z imienia i przezwiak. Szef, Carlo i La Comte, właściciele Domu Lalek. Oni kazali okaleczyć, a najpewniej zabić Silenzia, ale im się nie udało.

- Dlaczego?
- Odebrałem im lalkę.
- Ładną?
- Śliczną, mechaniczną, aerodynamiczną.
- Nigdy nie byłem w sklepie z samymi lalkami - markotnieje Minstrel.

Czuje się odepchnięty od uroków świata rozciągającego się poza murami Opactwa. Widuje tylko starców, Kadłubki, koszar z owcami, austerię na przedmieściu Souvigny, trafikę gdzie Silenzio kupuje papierosy, fryzjernię, w której Silenzio upiększa się przed przyjazdem Nasty i jeden liczący wiele pięter dom handlowy na peryferiach Souvigny, gdzie można kupić wszystko od pudełka szpilek po gotową willę z kompletnym urządzeniem.

87

Tutaj zaopatruje się Opactwo, Pod koniec roku siostrze Francesce naliczają rabat, za co kupuje praktyczne prezenty noworoczne dla zgromadzenia i podopiecznych. Do podziemnych hal mieszczących parkingi dla samochodów klientów, wybrane towary zjeżdżają windami i przekładane są przez automaty do transporterów na kółkach. Podtacza się wózek do bagażnika auta i nikt nie musi niczego dźwigać. Minstrel wolałby, żeby nie było niewidzialnych rąk - tak sobie tłumaczył konstrukcję urządzenia przenoszącego pakunki - wówczas siostra Franceska, szafarka władająca spiżarnią, piwnicą i szatnią, częściej zabierałaby Minstreła, jadąc po zakupy. Ten jedyny znany market próbuje dostosować w wyobraźni do miejsca, skąd Silenzio ukradł lalkę.

Cały od strychu do piwnic wypełniony strojnymi kukłami, szmacianymi z papierowej masy, z plastyku i najdroższymi, wyglądającymi jakby miały ludzkie ciało i prawdziwe włosy. Zamykają oczy, umieją śmiać się i płakać, mówią, jedzą i żądają wysadzenia na nocnik. Tych Minstrel trochę się boi, nie jest pewien jak z nimi jest na-

prawdę. Może tylko udają manekiny. Ale wszystkie i najkosztowniejsze i najtańsze mają piękne uczesania, krótkie czuprynki, albo warkocze, albo loki, albo niezaplecione włosy, długie do ramion i świetliste jak głowa Nasty.

Silenzio ukradł najpiękniejszą lalkę, pewno z tych umiających chodzić, rozmawiać i uśmiechać się tajemniczo. Mądrych, sztucznych, a może żywych dziewczynek, ukrywających z niewiadomych przyczyn swoje człowiecze pochodzenie.

- Dlaczego ukradłeś? - Minstrel wie, to czyn hańbiący, potępiony przez Boga i siostrę Agnes. Gdyby tak śmiało uczynił on, Minstrel, już nigdy siostra szafarka nie zabrałaby go ze sobą na zakupy, a najpewniej zostałby jeszcze zapisany w księdze furty, jako ten, któremu nie wolno wychodzić bez opieki za mury Opactwa.

- Oni ją chcieli popsuć.

- Ale cudzego nie wolno brać - pewno, szkoda lalki nawet najskromniejszej. Przejęty i rozdarty między sprzecz-

88  
ności nie do pogodzenia, zapomina w jakiej modlitwie jest ten kategoryczny nakaz, a przed nim jeszcze tamten najważniejszy: nie zabijaj.

- W życiu różnie bywa - Silenzio oburącz poprawia swoje martwe nogi, jakby mówił: patrz czym zapłaciłem za kradzież tej zabawki.

- Siostry tak uczą - usprawiedliwia się Minstrel. Rozumie, ukarano Silenzia bez miłosierdzia, niewspółmiernie do winy.

- Siostry są nie z tego świata. W sam raz dla Kadłubków, półgłówków i ofiar syfa rodzicieli.

- Przecież i ty z nami jesteś!

- Bo ta dziwka nie chce mnie zabrać z waszej trupiarni! Minstrel milknie.

W środku Minstreła zaciska się coś, jakby wnętrzości krępowano ciasno bandażem, a w głowie trzepoczą strzępy myśli niczym skrawki czarnych szmat na wietrze. Minstrel nie może znieść, gdy Silenzio tak mówi o Naście. Zawsze wymyśla złym głosem, kiedy długo jej nie ma.

- Jak będzie mogła to cię zabierze, zobaczysz - przemaga swoją niemotę.

- Byłem dobry gdy byłem zdrowy i kupowałem jej sukienki i pierścionki. One wszystkie lubią świecidełka.

Wszystkie. Wprost szaleją za błyskotkami kosztującymi dużo pieniędzy i wtedy są miłe jak młode koty. Wesołe i przymilne, wprost jedwab.

Jedwab? Ona wygląda jak motyl w barwnej sukni z jakiejś cienkiej tkaniny, kiedy idzie drogą do białości rozpaloną w słońcu, wiatr oblepia materiał wokół bioder, a suto marszczoną spódnicę rozwiewa na podobieństwo skrzydeł.

Wspomnienie Nasty wywołuje w Minstrelu uczucie,

którego nie umie nazwać ani wysłować, lecz nawet gdyby potrafił, też nie zawierzyłby nikomu jednego słowa. Nawet jej. A przede wszystkim Silenziowi. Nie wie dlaczego.

- Wydobyłem ją z biedy, ubrałem, urządziłem mieszkanie. Wtedy byłem najlepszy z najlepszych. Teraz ma mnie gdzieś. Pewno, po co jej taka tresowana foka ciągnąca za sobą odwłok - wyrzeka Silenzio.

89

- Ona nie zapomniła, zobaczysz - pociesza jak umie Minstrel.

- Gdyby nie ja, nie miałyby co jeść. Umarłyby z głodu albo zdarła jak ścierka - skarży Silenzio.

- A co teraz je? - nagle zaniepokoił się Minstrel, chociaż złorzeczenia Silenzia słyszy nie pierwszy raz, zawsze budzą lęk o Nastę i prowokują to samo pytanie, którego za chwilę będzie żałował.

- Właśnie! Kto karmi teraz tę lalę z zamykanymi oczyma do ubierania i rozbierania. Śliczną, mechaniczną, też chciałbym wiedzieć - szarzeje twarz Silenzia.

- Przecież Nasta pracuje.

- Oczywiście! Pracuje, usamodzielniała się i rzuca te swoje odwiedziny jak psu kość. Mówię ci, one są bez serca. Chociażby twoja litosierna Dama, woli dawać na ciebie pieniądze, niż oglądać choćby przez jeden dzień w roku ten skład pokręconych ludzi. Ludzie! Popsute roboty albo wymóżdżone kukły.

- Nasta nie taka, ona niedługo przyjedzie, zobaczysz - pociesza Minstrel siebie i Silenzia.

Tęskni za nią i wyczekuje odwiedzin bardziej niż największego święta. Bardziej niż Bożego Narodzenia, bardziej niż nieznannej dobrej pani, łożącej na jego utrzymanie, lecz bez wyraźnej konieczności nie mówi o Naście. Jakby zapomniał o jej istnieniu.

Taki jest warunek szczęścia.

Nasta chce Minstrela zabrać do siebie, dlatego on musi być bardzo ostrożny, cierpliwy i niemy jak wigilijny karp. Nie wolno nikomu wspominać o tych zamiarach, sekret trzeba zachować także wobec Silenzia, bo ich przyjaciel jest niezrównoważony, nie umie w pogodzie ducha oczekiwać spełnienia obietnicy, tylko wpada w złość, a rozgniewany robi się niepoczytalny i wtedy mógłby wszystko zaprzepaścić.

- Ale go zabierzemy - upewnił się Minstrel, lojalny wobec Silenzia, jednocześnie pragnąc zachować oboje, lecz najlepiej każde oddzielnie.

- Naturalnie - uspokoiła go Nasta.

Minstrel strzeże tajemnicy. Pamięta przestrogi Nasty.

Bodaj jedno słowo o ich projekcie przekreśli wszelkie nadzieje. Na zawsze. Jedno, jedyne słowo sprawi, że Nascie nie pozwolą nawet widywać Minstrela, zapiszą go

w księdze furty jako osobę niesamodzielną i nigdy już nie wyjdzie Naście na spotkanie, a jej zabronią wstępu na teren Opactwa. Minstrel więc milczy jak cały basem karpi, które siostra szafarka wydobywa z wody siatkowym czerpakiem na długim trzonku.

Nasta, Silenzio, siostra Agnes.

Każde z nich kocha inną miłością i czasem się dziwi, że aż tyle w nim tych miłości. Chociaż nie wie jak nazwać barwy owych bardzo różnych doznań, potrafi je wypowiedzieć odcieniami dźwięków.

Siostrę Agnes kocha trylem sygnaturki, przejrzystym jak woda w źródle, Silenzia głosem spiżu największego dzwonu Opactwa. Najtrudniej wyrazić uczucie do Nasty. Ją kocha wszystkimi tonami od najjaśniejszych aż po głębokie i ciemne jak nurt spienionej, szybko rwącej rzeki. Wciąż zmienne, nie można ich uchwycić, jak nie da się złapać zajaczka ze światła, tańczącego pośród cienia platanów.

Z początku rozdarty między trzy istoty, cierpiał od zamętu, jaki weń wprowadzały. Bolała sprzeczność wyznaczanych przez nie poglądów, płynących stąd nakazów i wymagań wobec niego. Zwłaszcza siostry Agnes i Silenzia. Tak przeciwstawnych, jakby byli odwrotnymi stronami jednej monety.

Najmniej zmartwienia sprawiała Nasta, była wytchnieniem od jednoznaczności tamtych dwojga. I Minstrel odczuwał ich jako trzy odrębne, nieprzenikające się światy, jak różne systemy dźwięków noszonych w sobie. I wystrzeżał się przekazywania bodaj niezrozumiałego słowa z jednej tonacji do drugiej.

- Zakonnice co innego, a nasza przyjaźń insza inszość.

Jesteśmy mężczyznanami. Mamy swoje męskie sprawy, do nich nie wolno wpuszczać bab. Żadnych. Bóg wiedział, co czyni, stwarzając mężów i niewiasty, jak zapisano w ewangelii - kładł mu do głowy Silenzio, jakby uczył ka-

90

91  
techizmu, innego niż zakonnice, lecz swojskimi, znanymi określeniami.

Minstrel był dumny z mądrości przyjaciela i zaliczenia jego, Minstrela, do świata mężczyzn.

- Wiesz, kto jest gorszy od baby? Stara baba! Zakonnice, chociaż pożyteczne, też baby - uczył Silenzio.- My musimy być twardzi. One mają do spełnienia miłosierdzie, my sprawiedliwość.

Silenzio powołał Minstrela, by razem z nim wymierzał sprawiedliwość. I on go nie zawiedzie, uczyni wszystko, co rozkaże Silenzio. Minstrel zabije Szefa, Silenzio zabije Carla i La Comte.

- Zapoluję - nazywa uśmiercanie wrogów Silenzio.

Na tę kruczajkę potrzeba cierpliwości, wprawy, karabinu

z lunetą i samochodu przystosowanego do kalectwa Silenzia, słowem środków. Silenzio nie może poświęcić oszczędności, bo nie wie, kiedy znów będzie zarabiał. Potrzebną sumę musi dać Nasta.

- Ona nie może wiedzieć, na co obróć jej pieniądze - zastrzega odruchowo, bo ufa chłopcu. A Minstrel wyobraża sobie, że jest naczyniem, do którego Silenzio i Nasta składają swoje sekrety.

- Skąd weźmie pieniądze. Sam mówiłeś, że jej trudno.

- Widziałeś pierścioneł, jaki ostatnio miała na ręku?

Prawdziwy brylant. Starczy nam taki kamyk na wydatki - mówi Silenzio, ale dziwnym tonem. Jakby go już nie obchodziło polowanie na wrogów, tylko znowu miał coś za złe Naście.

- Wszystkie dobre panie noszą pierścionełki - przekonuje Minstrel.

- Nasta nie jest bogatą Damą, więc za co kupiła solitera wartego cenę markowej bryki i ocho!

- Może dostała w prezencie.

- O Jezu, zamknij się!

Minstrel, stały odbiorca miłosierdzia, nie widzi nic niewłaściwego w ofiarowaniu i przyjmowaniu podarunków, zwłaszcza nie ogarniając różnicy między szkłem oprawionym w tombak a szlachetnym kamieniem.

- Dziwka, świecić mi w oczy czymś takim, skąd go wzięła, no skąd?!

La bambolona, puttana, bladź - Silenzio kurczy się, jakby otrzymał uderzenie w brzuch i zasłania dłońmi twarz. Między zaciśniętymi palcami przeciekają krople. Minstrel wstrzymuje oddech. Słyszy ciszę i niemy, ciężki płacz przyjaciela.

Po powrocie z oberży, gdzie Silenzio jednym ciosem powalił człowieka, po pierwszych chwilach euforii, z każdym obrotem kół wózka, zbliżającym do Opactwa, z Silenzia ulatywało zadowolenie z siebie. Po kąpieli przebrany w piżamę przywłókł się z łazienki i zwałił na łóżko, jakby martwota z jego nóg rozniosła się po całym ciele. Znowu przyszło najgorsze, takie stany Silenzia siostra doktorka nazywa depresją.

- Ćwicz mnie - Minstrel próbuje ożywić przyjaciela, przynajmniej przypomnieniem o zemście.

Nie może znieść apatii i milczenia Silenzia. Jego rozpaczliwej rezygnacji. A sam czuje się odrażony, pacynka z przedstawień siostry Agnes. Pusty korpus z miejscami na palce. Rękawiczka. Ożywa, jeśli się ją nadzieje na dłoń.

- Daj spokój mały, jestem skończony.

- Ćwicz mnie - prosi Minstrel. - Będę silny i szybki jak... jak błyskawica, będę raził jak grom, spadał jak jastrząb, będę twoją pięścią i karzącą ręką, i mięśniami, i twoimi nogami, a ty będziesz moją głową i mną pokieru-

jesz, amen - recytuje wszystkie uskładane słowa, słyszane wielokrotnie. Silenzio leży nieporuszony.

- Co mam zrobić, żeby teraz było ci weselej - Minstrel klęczy przy łóżku przyjaciela, obejmuje jego martwe nogi.

- Podaj butelkę.

- Nie pij, chodź do refektarza. Tam jest pięknie i dzisiaj kolacja bardzo dobra, tylko patrzeć dzwonu na wieczerzę. Minstrel lubi niedzielę. A najbardziej niedzielny wieczór. Wszyscy są odświętnie ubrani, nawet najbiedniejsi, do których nikt nigdy nie przychodzi, którzy nie posiadają nic własnego, tylko donoszą garderobę po bogatych, zdrowych i szczęśliwych, wyproszoną przez siostry kwe-

92

93  
starki albo przyslaną przez Litościwe, Hojne Panie, pamiętające o biednych.

Pośród różnych strojów większość jest w bardzo dobrym stanie, tylko niemodna. Miłosierni bogaci nie lubią nosić rzeczy przebrzmiałych i oddają je ubogim bliźnim w Opactwie. Tutaj nie zmarnuje się nawet najbardziej przestarzały gałganek. Zakonna szwalnia każdą odzież przystosuje do rozmiarów i figur podopiecznych, a najlepszą przeznaczają do noszenia w dni świąteczne.

Minstrel też ma takie najlepsze ubranie. I prawie nie trzeba go było przerabiać. W pracowni krawieckiej wypuszczono cały zakład w nogawkach i dosztukowano mankiety, a boki marynarki bardzo elegancko poszerzono pasami dzianiny, wszystkie obrąbki zaś obszyto tasiemką, żeby się materiał nie strzepił.

- Pierwszorządny sztruks. Garnitur robiony na miarę - Przyuczony pokazał Minstrelowi prześliczną, czarno-złotą firmową naszywkę z napisem: Paris. Ten Przyuczony włada tylko jednym ramieniem, a potrafi szyć na maszynie i ręcznie. W szwalni pod rozkazami krojczyni, siostry Benigny, pracują sami niepełnosprawni.

- Niekompletni i matolki. Boże! Gdzie ja trafiłem - biała Silenzio kiedy jest zły i nie ma w pobliżu zakonnic. Minstrelowi robi się wtedy bardzo smutno. I nic nie mówi.

- Stan przejściowy od garnituru do waciaka, powiadali u nas o takich pluszowych kapotach, ale owszem, leży niczego sobie - ocenił Silenzio po obejrzeniu Minstreła przyodzianego w dar ludzi miłosiernych, pochodzący aż z Paryża. Gdy Silenzio mówi: u nas, zawsze jest to jego rodzinna wieś Sarnia pod Grodziszczem, wśród Puszczy nad bystrą Rzeką, która nic sobie nie robi z granicy i bieży wartko ku ujściu w inną rzekę, a ona z kolei jeszcze w inną, aż wszystkie połączone wpływają do morza nazywanego Bałtykiem.

- Chodź, zjemy razem, nie będę potrzebował się śpieszyć - prosi Minstrel.

- Nikt ci nie każe.

- Muszę - Minstrel nie umie wypowiedzieć, jak bardzo nieobecność przyjaciela przy stole odbiera smak niedziel-  
94

nej kolacji. Nie może tam siedzieć i całym sobą brać udział, skoro połowa Minstrela pozostaje w kwaterze, gdzie samotny Silenzio, nawet jeśli nie czuje głodu, tkwi sam na sam z butelką marc'u, przezornie kupioną w Souvigny jeszcze przed wstąpieniem do austerii i ukrytą w schowku przed baczny okiem siostry furtianki czuwającej w parlatorium. Odzywa się dzwon wzywający na posiłek.

- Idź Minstrel, nie poganiaj się, naciesz odświętnym stołem, wracając zabierz dla mnie jedzenie.

W refektarzu bez lamp zawsze panuje półmrok. Głębokie nisze kryją wąskie okna zakończone łukami, do parapetów wiodą stopnie z ciemnego drewna, wyfroterowane i lśniące. Szyby z gomółek. Wyglądają jak dna butelek po winie oprawione w ołowiane ramy. Przesączają słoneczne promienie, przemieniając je w jasność piękną, delikatną, mieniającą się zielono jak woda w stawie przysłonięta dachem z liści platanów.

W uroczyste dni palą się górne świeczniki i boczne lichtarze. Lichtarze mają tarcze odblaskowe z polerowanej miedzi, odbijają światło i przedmioty nadając im wiotkie, wydłużone kształty. Na białych ścianach wyglądają jak owalne obwiedzione ramą lustra. Idąc, cienki i wydłużony Minstrel przegląda się w nich, żeby widzieć siebie w odświętnym ubraniu.

Wszyscy są bardzo czyści, mają umyte głowy i obcięte paznokcie i wszyscy noszą niedzielne stroje, a siostry zamiast krótkich, roboczych chust upięły długie welony. Przy każdym nakryciu leży biała serwetka, zamiast powszedniej w niebieską albo czerwoną kratkę. Niedzielne kolacje są najlepsze ze wszystkich dni tygodnia. Jeszcze lepsze bywają tylko w Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc i na Zesłanie Ducha Świętego.

Siostra szafarka odmierza wino do szklanek pensjonariuszom, do karafek zakonnicom, napełnia wazy bulionem, rozdziela na talerze płatki pieczonego mięsa i cieniutko pokrojoną wędlinę. W wielkich misach przyprawia sałatę z czosnkiem i oliwą, wystawia na tace szklane salaterki z frutti di mare przystrojone tasiemką majonezu albo kre-  
95

wetką. Minstrel zastanawia się, jak dużo zjadłby wiejskiego salami, gdyby siostra szafarka dawała je bez ograniczeń.

6.

Silenzio siedział na wózku i nienawidził. Nienawidził jej twarzy z lekko skośnymi oczyma i tego półgłówka łaszącego się do niej jak pies, nienawidził jej zdrowia i jej piękności, niepiękności. Właściwie wcale nie była ładna, a jednak pociągala niewytłumaczalnym urokiem. Nienawidził

jej śpiewania, nienawidził jej całej. Bodaj nigdy nie spotkał tej dziewczyny. Byłby zdrow, silny i do tej pory pewno już bogaty. Warto się było narażać, stracić dobre miejsce, narobić sobie śmiertelnych wrogów i nadstawić karku. Przecież ona bezwstydnie, na jego oczach mota biednego idiotę, tylko dlatego, że umie składać, pożał się Boże, śpiewki. Dziwka. Powinna pozostać tam skąd ją wziął, w Domu Lalek.

Dom Lalek.

W sieni zwierciadła w rzeźbionych oprawach z połączanego drewna, u ich wierzchołków tłuste nagusy z łukami w rękach i kołczanami przewieszonymi przez ramię. Biel, złoto i srebrzyste tafle. Są wszędzie. Zwłaszcza w pokojach Lalek. Parę pomieszczeń ma także lustrzane sufity. Niektóre lustra nazywane weneckimi. Weneckich nie można zasłonić, nie zaopatrzono ich w kotary jak inne. Weneckie są po jednej stronie zwierciadłami, po drugiej zwyczajnym szkłem, przez jakie widać każde miejsce w alkowie. Owe ukryte pod amalgamatem szyby wychodzą na łoże. Drzwi łóż na korytarz z oddzielnym wejściem. Klucze od wszystkich boksów Szef trzyma w ogniotrwałej kasie. Kabiny służą ludziom zużyтым lub upośledzonym, skapcianiłym perwersom uprawiającym patrzenie. Kabin są najdroższe. Kabina kosztuje więcej niż naturalna blondynka na cały wieczór. Tlenione są tańsze, lecz nie na tyle, aby mógł sobie na nie pozwolić każdy. Każdy nie ma tu czego szukać. Każdego nie wpuszczą poza furtę w ogrodzeniu z pik kutych w brązie. Każdego nie stać nawet na stałą opłatę klubową w zamian za kartę wstępu.

- Od czasu do czasu jakieś zdjęcie przynosi dochód większy niż cały lokal przez okrągły rok - mówi Commisario di Pubblica Sicurezza.

Myli się. Goście Domu Lalek są bezpieczni. O dobre samopoczucie gości dba Syndykat. Wśród najwyższej rady mają niemało do powiedzenia także ludzie ze społecznego wierzchołka, posiadający władzę i dysponujący siłą w sensie dosłownym, a także tą, jaką dają duże pieniądze.

Jeśli Syndykat postanowi wymanewrować z życia publicznego kogoś z establishmentu, zmusić do uległości lub udzielić ostrzeżenia, ma inne sposoby i w razie konieczności z nich korzysta, w większości z pożądanym skutkiem, ale nigdy nie poświęci reputacji ekskluzywnego klubu.

Szantaż w takim miejscu to sztuka na raz. Jeśli nawet nie dochodzi do głośnego skandalu, dociera do zainteresowanych. Kompromituje nie tylko ofiarę, złą sławą okrywa również miejsce. Lokal pustoszeje jak dotknięty zarazą. A im wyżej ustawieni w hierarchii goście, tym bardziej uwrażliwieni. I nigdy już nie powróci zaufanie. Klub będzie się deklasował, aż stoczy do poziomu zwyczajnego zamtuзу, jakiego w tej dzielnicy nie zniesie nikt. Nie karczu-

je się drzewa dającego dorodne owoce. Owoce, jakie przynosi Dom Lalek, są złote.

- Zakład jest nocnym klubem, nie meliną - mówi Szef.

- Burdel pozostanie burdelem, choćbyś nie wiedzieć jak go nazywał - wykrzywia się Commissario.

Jest nowy, zachowuje arogancko i ordynarnie, przeświadczony o swej władzy i absolutnej zależności Domu Lalek od jego woli, ograniczony i pewny siebie. Szefa tyka jak byle kogo, jak pierwszego lepszego alfonsa albo kuplera ze swojej kartoteki, jak naganiacza od dziewczyn za kilka tysięcy lirów.

Szef kwituje milczeniem jego największe chamstwa, a na pytania odpowiada z szacunkiem i wyczerpująco, co tamtego jeszcze bardziej podbechtuje do kolejnych chamstw.

96

97

Dureń! Nabiera się na powściągliwość Szefa, na jego uległość, na pojednawczy ton. Nie on jeden zresztą. Ale Silenzio po raz pierwszy widzi tak głupiego policjanta. I skąd się tu taki wziął, jak trafił do Dzielnicy Cienistych Ogrodów, gdzie nawet przejeżdżające auta zdają się ściszać szmer opon na nieskazitelnych asfaltach, gdzie nie ma supermarketów, tylko małe, wytworne sklepy o panoramicznych szybach i wnętrzach jak buduary baroku z malowidłami w płycinach, zdobnych freskami sgraffito, wybitych naturalnymi tkaninami lub tapetą łudzaco przypominającą atlas, welur, brokat, sklepy, w których nigdy nie ma tłoku, gdzie nawet jedną pomarańczę pakują w kolorową, bibułkę i przewiązują złoconym sznurkiem, opatrując wizytówką firmy.

Nie ma tu krzykliwych ulicznych sprzedawców pizzy, cytrusowych soków ni pamiątkarskiej tandety i nie wpuszcza się domokrażnych handlarzy. Nie ma tanich dziewczyn ani tanich lokali, ni nachalnych zigołaków z bezczelnym wdziękiem zaczepiających dojrzałe i przejrzałe turystki.

Tępy gliniarz, coraz bardziej zniecierpliwiony niedomyślnością Szefa, coraz brutalniej walczy o zwyczajową łafę, regularną daninę, jaką i tak by otrzymał, bo niezależnie od koneksji i udziału w dochodach Syndykat kontrolujący show biznes, hazard i nierząd na Półwyspie Apenińskim bierze na stajnię wyższego funkcjonariusza policji nadzorującego teren, na którym działa lokal konsorcjum. Więc i ten otrzymałby swoje, nawet gdyby do Klubu nie zajrzał. Zwłaszcza gdyby wcale nie przejawiał zainteresowania. Im więcej wykazałby taktu, tym bardziej jego stawka zbliżyłaby się do górnej granicy, jaką przewiduje Syndykat dla Commisario di Pubblica Sicurezza swojej dzielnicy lub urzędnika o podobnym zakresie kompetencji.

Syndykat elegancko i dyskretnie nawiązałby z nim znajomość. Takie sprawy załatwia Szef Szefa, Carlo. Signore

Commissario zostałby zaproszony na kolację do świetnego lokalu, albo do jego wiejskiej posiadłości, i tam zależnie od usposobienia gliniarza, względu dla pozorów i powiązań towarzyskich zawarliby przymierze, a później on, Silenzio, miesiąc w miesiąc z dokładnością chronometru przynosił-

98  
by zaklejoną kopertę i doręczał do właściwych rąk, bez jednego słowa poza: dzień dobry i do widzenia.

Nie bez powodu w rodzinnej wsi nazwano go Milczek. Szef uznał trafność przezwiska, przełożył po swojemu i cenił Milczka bardziej od pozostałych ochroniarzy Domu Lalek, właśnie za milczkowatość, siłę, celność w strzelaniu i ślepe oddanie. To on z surowego tworzywa ukształtował Silenzia, twardego faceta, zakochanego w swojej sile, zręczności, refleksie. Tchnął w niego poczucie wyższości i przekonanie, że jest lepszy.

Odkrył go w cudzoziemskiej wsi utopionej w borach, drewnianej i gontowej, ze studniami cembrowanymi wiązaniem w zrąb kręglakiem i żurawiem do czerpania wody. Wsi odzianej samodziałem, oświetlonej lampą naftową, prawie samowystarczalnej, ledwo piśmiennej. Był to czas, kiedy Sarnia dopiero wydobywała się z bratobójczego duru, mrocznych porachunków, nadziei i współdzielczania ziemi pod przymusem. Spóźniona do współczesności, niedojrzała do skansenu, powoli nawiązywała łączność z dniem dzisiejszym, bezustannie tracąc młodzież, odchodzącą po lepsze życie do miast.

Cóż o tym wiedział elegancki przybysz w myśliwskiej kurcie podbitej kosztownym futrem, z flintą wyłożoną masą perłową. Zresztą nie obchodziła go wieś, tylko małomówny, spokojny, zda się niczym nie wyróżniający chłopak. Fascynował metamorfozą, ilekroć zagłębili się w las. Kłusownik, mistrz sidła i paści, wtapiał się w bór, stawał jego częścią, niesamowitym wytworem Puszczy, sobowtórem drzew, bratem i Kainem zwierząt. Zdziwił precyzją strzału z nieprawdopodobnej wręcz broni, karabinu z uciętą lufą i chałupniczymi przeróbkami rodem z kuźni, nazywanej przez niego urzynem.

Szef przyjechał na polowanie, dwa tygodnie opłacone w biurze turystycznym, w zamian przewodnik i kwatery w leśniczówce, łowy wedle starego obyczaju, nieznaną potrawa z kapusty i pieczonych mięs jedzona przy ognisku na ośnieżonej polanie, sanna śmigłymi pojazdami na płozach w dźwięku szargańców, buchające parą oszadziałe konie,

99  
żubry przebiegające pod oknami, prawo odstrzału byka i odyńca, prawo zabrania poroża i szabel, nawet całych łbów. Ale zawodem Szefa było łowienie ludzi i gdy przypadkiem poznał Milczka, bardziej niż rogacza i bardziej niż dzikiego kiernoza, chciał kupić i wywieźć do siebie mieszkań-

ca egzotycznej wsi, rozsiadłej w środku Europy.

Chłopiec z ostępu stanowił nie lada zdobycz.

Już sam bezcenny talent łowcy wystarczyłby za wszystko. Ten pasierb kultury śródziemnomorskiej, której Szefer czuł się dziedzicem, nie potrzebował dwóch nabozi do jednego celu.

Gdyby się uparł, pewno znalazłby podobnego na Sardinii, Sycylii, w wioskach za Neapolem, ale tutejsi młodzi ludzie angażowani do szczególnej pracy w Domach Lalek, prędko zaczynali się cenić, robili się hardzi i wyszczekani, żądali podwyżek, zaliczek ekstra i wolnych dni.

Tam, gdzie byli u siebie, pozostawiali liczne rodziny, gromady krewnych i powinowatych, którzy żenili się, płodzili dzieci, marli. Na śluby, chrzciny, stypy zwoływano całe rody, a ci młodzi mężczyźni w mniemaniu ubogich rodzin gospodarujących na piargach byli ludźmi sukcesu i starano się, by uświetniali obecnością rodzinne uroczystości.

Wiejscy chłopcy, którzy w Domu Lalek napatrzili się niedostępnego im bogactwa i zbytku, kupowali sobie modne ubrania i za swoje pieniądze chcieli się pokazać, błysnąć wielkowiejskim szykiem, obnieść po wsi powodzenie, zaimponować pozostawionej dziewczynie, czekającej aż on się dorobi. Te ich dziewczyny nie przyjeżdżały do miast. Obyczaj sprzyjał tajemnicy. Chłopcy opowiadali różne legendy o swej pracy, nigdy prawdy. Za żadną cenę nie przyznaliby się ni matce ni ojcu, ani kochance ani przyjacielowi, że biją monetę z trzymania, w ryzach dziewczyn, na które ich nie stać, nawet wtedy, gdyby za zbliżenie z Lalką nie groziło wyrzucenie z pracy.

Silenzio nie miał tutaj rodziny ani kolegów, nawet nie jest pewne, czy pozostawił w swoich lasach bliską kobietę. Przez pięć lat w Domu Lalek przyswoił ze sześćdziesiąt włoskich słów, nauczył się pić drinka jeśli został poczę-

100

stowany, niedziele, jak i pozostałe dni, spędzał w swoim kącie w pobliżu gabinetu Szefa, tylko zamiast codziennej kurtki zakładał czarny odświętny garnitur. Jednorzędową marynarkę, białą koszulę non iron z kołnierzykiem o ściętych rogach, długi krawat z małym węzłem, wąskie spodnie zaprasowane w ostry kant i czarne buciki, słynne rzymskie buciki ze spiczastymi noskami i podwyższonym obcasem, szlagier lat sześćdziesiątych.

Zaraz po przyjściu ze swej komórki na tyłach willi, mieszczącej łóżko i kuferek, z hakiem na drzwiach, gdzie przez cały tydzień wisił świąteczny garnitur osłonięty prześcieradłem, zzuwał te swoje świetne, za ciasne pantofle.

Jego stopy były za szerokie, nie pasowały do takiego fasonu. Wiele lat chodził boso, tylko w mrozy w starych filcach albo w byle jakich chodakach. Kiedy wydorósł, nosił onuce i obszerne gumowce, od święta kamasze. Przez

cały czas służby w Domu Lalek w zwyczajne dni kładł wygodne, tęponose trzewiki na grubej podeszwie z krepki i nie mógł się przyzwyczaić do wąskich, wydłużonych bucików, chociaż bardzo mu się podobały. Upodobały do tutejszych mężczyzn, zwłaszcza do niedzielnego tłumu na Via Borghese, dokąd chodził co tydzień na sumę, wytrzymując torturę niewygodnego obuwia.

Po wyjściu przystawał na skwerze i patrzył, jak świetne towarzystwo znika w autach, a młodzież dosiada skuterów. Potem wracał, uwalniał zmaltretowane nogi i w skarpetkach wyciągał się w fotelu. Z rękoma położonymi na poręczach zapadał w swoją czujną drzemkę.

Raz na miesiąc pisywał do domu. Z łokciami szeroko rozłożonymi na stoliku, ogryzkiem chemicznego ołówka stawiał litery, jakby ciosał drwa. Do środka wtykał starannie wygładzone pięć dolarów i składał arkusik w taki sposób, aby banknot nie przeświecał, Ślina brzeg koperty, przyklepywał, wsuwał między tekturowe okładki i lokował pod siedzeniem, żeby się na pewno zalepiło.

Adresował list długopisem noszonym w kieszonce na piersi odświętnej marynarki, obok śnieżnej chusteczki wychylonej koronkowym rogiem. Strój i długopis wciąż

101  
wyglądały jak nowe, chociaż i jedno i drugie sprawił sobie za pierwszą pensję otrzymaną w Domu Lalek.

Przy najbliższej okazji prosił Szefa o znaczek pocztowy. Nigdy własnymi pieniędzmi nie opłacił kosztu przesyłki, nie kupił papieru listowego ani szklanki soku nawet w największy upał, nie skosztował lodów ni mrożonej kawy, nie wstąpił na ciastko bodaj do najtańszej trattorii. Co tydzień po otrzymaniu wypłaty zamieniał liry na dolary odchorowując kosztą owej transakcji i chował zielony paperek do portfela. Nie wierzył żadnej innej walucie, ani bankom, ani klubowemu sejfowi. Nawet Szef nie zdołał go przekonać, by nie wysyłał banknotów w listach tylko przekazem, a oszczędności trzymał na koncie.

Swoich pieniędzy Silenzio nie zawierzył nawet Szefowi i nigdy nie poprosił o przechowanie w ognioodpornej kasie. Nie był to zresztą brak zaufania do chlebobdawcy, tylko niemal genetycznie zakodowane przeświadczenie o zawodności wszelkich trezorów.

Prezentował typ goryla bliskiego ideału, ślepo posłuszny, bez życia osobistego, zawsze gotów wykonać polecenie, gorliwy, wdzięczny za ofiarowany zarobek, nigdy nie żądał podwyżki, lepszego jedzenia czy wolnych dni.

Wcale nie był tak tępy, za jakiego uchodził, tylko mimo bariery języka, zwłaszcza trudności w wysławianiu się, instynktem łowcy odgadywał, że w Domu Lalek nie powinien przejawiać inicjatywy ani pytać. Stać się niezawodnym instrumentem i robić dokładnie co każą, ani odrobi-

nę więcej, ani mniej.

Teraz siedział na swoim miejscu w zwykłej ochronnej skórze drzemiącego matołka, wynajętej siły, która nie-wprawiona w ruch wolą i rozumem Szefa śpi w swoim kącie, niczym obronny mastif warujący w posiadłości Carla, i słuchał jak Nowy glina robi co może, żeby się pograć. Głupi! Ocenia Komisarza Szef. Inni, z jakimi miał do czynienia, także nie byli najmądrzejsi, już taki to fach. Nie pociąga mózgowców ani talentów, ni ludzi nazbyt uczciwych, nie przyciąga nawet tyłu; by ich starczyło na obsadzenie komend policji w eleganckich dzielnicach. Normą

102 są, podobnie jak pośród cyngli Syndykatu, sprawne mięśnie, opłacana krzepa z predyspozycjami do panowania nad innymi i niechęcią do nadmiernego używania zwojów mózgowych. Ale Nowy jest poniżej przeciętnej, jeśli nie rozumie, że znajduje się między dwoma liniami. Koneksji i interesów ludzi władzy z jednej strony, a korzyściami Syndykatu z drugiej. I jeśli nad którą z nich będzie wystawał, zostanie odpowiednio przycięty albo wypadnie ze swojej klatki. A ten wygląda, jakby o tym nie wiedział lub nic sobie z tego nie robił.

Skąd się wziął?

Z jakiejś nędzy, gdzie przesiedział lata użerając się z łachudrami, lumpami bez portek i groszowymi dziewczynami po czterdzieście, zachłanny i wygłodzony i zaraz, już, chce się odkuć za tamten chudy czas. Niecierpliwy. Stracił głowę poczuwszy się panem klubów takich jak Dom Lalek. Ale zanim rozdał karty już roztrwonił swoje atuty. Szef nie daruje chamstwa, poniżania i dręczenia niewykonalnymi żądaniami.

- Ostatecznie mogę się zgodzić na weneckie lustra.

Szef milczy. Nieporuszony z nieprzeniknioną twarzą.

- Pod warunkiem nieograniczonej kontroli.

- Jak pan to sobie wyobraża, signore?

- Otrzymam wszystkie zapasowe klucze od wszystkich łóż.

- Do nas nie przychodzą kryminaliści.

Owszem przychodzą, jeszcze jak przychodzą, lecz znajdują się ponad prawem. Sami stanowią prawa, albo mają władzę nad tymi co stanowią i dlatego sami nie przebywają w kryminale chętnie udostępniając go innym zwłaszcza konkurencji do władzy, bogactwa, splendorów i jeszcze kilku rzeczy wartych cudzej wolności, cierpienia, krwi.

- Także do wglądu wszystkie robione przez was filmy.

- Już panu powiedziałem, nie robimy zdjęć.

- Pan ma mnie za idiotę?!

- Nie mogę spełnić pańskich życzeń.

Weneckie pokoje daje się gościom nowym, o jeszcze nieznanym upodobaniach. Wówczas w łożu czuwa któryś

z goryli nad bezpieczeństwem Lalki i Commissario z pewnością o tym wie, tym bardziej nie warto tłumaczyć. On przede wszystkim traci przytomność z pragnienia pieniędzy, leżących zdaje się na wyciągnięcie ręki, a których mu jeszcze wzbraniają.

Poza tym Nowego się nie przekona. Ma raz na zawsze ustalony pogląd na tego rodzaju lokale, chociażby tak ekskluzywne jak Dom Lalek, pogląd jaki sobie wyrobił pod wpływem filmów i gazet dostarczających sensacji, czytanych w senne popołudnia w jakiejś prowincjonalnej komendzie między kościołem, trattorią a apartamentem w oficynie z paroma dziewczynami.

Od czasu do czasu wybuchał skandal z krzykiem i rękoczynami i głośne szczegółowe opowieści oznajmiały wszystkim kto chciał słuchać, że znowu czyjaś żona przylapała męża przekradającego się lub pomykającego z budynku o wiadomej sławie. Ale gdzie nikt nikomu z tego powodu nie robił fotografii, bo nikt nie dałby za nie ani lira i nikomu nie zwichnęłyby kariery. Każdy z nich nadal uprawiałby winny szczep, oliwkę, brzoskwinie, warzywa i pszenicę.

- Ile?

- Żegnam - mówi signore Commissario. Zapada cisza. Wyszli. Korkowe izolacje pod tapetą i podłogą, grube dywany wyściełające posadzki tłumią wszelki dźwięk. Nie słychać kroków ani odgłosu otwieranych drzwi.

W pomieszczeniu bez okien, dokąd dostać się można tylko przez pokój Szefa przez zamaskowane stylową szafą wejście, taśma magnetofonowa wyłącza się automatycznie. Silenzio podnosi się z fotela, robi kilka przysiadów, skłonów, obrotów wokół własnej osi i nalewa sobie coś do picia. Odczekawszy jeszcze chwilę wraca do łoża oszklonej lustrzanymi szybami. Od zewnątrz ujęte w złocone ramy wyglądają jak i inne zwyczajne zwierciadła wiszące w hallu. Stąd niewidzialny Silenzio ma w polu widzenia troje przeciwległe rozmieszczonych drzwi. Jedno prowadzące na górę do pokoi Lalek, drugie na dwór przed fasadę, trzecie na zaplecze domu.

Od frontu znajduje się wyłożona persami, rozległa sień, przez którą właśnie przechodzą Szef i signore Commissario. Hall kończy się dwunastoma stopniami z białej carry, skąd dwuskrzydłowe wrota wiodą przed lico budynku. Żwirowa aleja zatacza tu rondo, przecina park kipiący roślinnością i kończy się bramą z brązowych lanc ozdobionych liśćmi akantu.

Po drugiej stronie, na tyłach willi znajduje się wybieg dla Lalek. Zaczyna cienistym ogrodem, a kończy plażą nad zatoką. Od reprezentacyjnego parku, terenów golfo-

wych, kortów i przystani oddziela go zielony szpaler utworzony z wysokopiennych drzew i krzewów, żywa ściana odpowiednio przycinanych pnączy, ukrywająca metalowy płot z gęsto rozmieszczonych pik zakończonych ostrymi grotami, podobnie jak ogrodzenie całej posiadłości.

W dyżurce Silenzio ma fotel, lodówkę pełną jedzenia zabranego ze stołów klubowej restauracji po minionej nocy i tranzystor. Na telewizor Szeff się nie zgodził, chociaż oprócz Silenzia, ochroniarze chcieli się złożyć albo płacić raty za odbiornik. Goryl w tym boksie musi mieć oczy do patrzenia nie na szklany ekran, tylko na to co się wokoło dzieje.

Komisarz nie ryzykował rozmowy o pieniądzach w Domu Lalek, gdzie podpatruje się ludzi i nikt mu nie wmówi, że bywa inaczej, a już z pewnością podsłuchuje policjantów, zwłaszcza tych, którzy przyszli po daninę. Przyjmuje łapówkę w miejscu jakie sam wybrał, w przepelnionym barze dzielnicy handlowej, przelewającej się tłumem i zaraz po rozstaniu z Szeffem Domu Lalek, wymienia wszystko co do lira na inne banknoty w pobliskim banku.

Zbędna przezorność. Nikt nie ma zamiaru oskarżać go o wzięcie łapówki, w przeciwnym razie inaczej by się do tego zabrano. Ale Syndykat nie stosuje tak prymitywnych chwytów, przynoszących bardzo wątpliwą doraźną korzyść. Syndykat patrzy dalej swego nosa. Nie leży w niczym interesie poza wścibskimi reporterami i tak zwaną opinią publiczną, kompromitowanie policji.

Z dwojga złego, jeśli nie ma innego wyjścia, co nie wchodzi w rachubę w przypadku Nowego, lepiej aby nie-

105  
wygodny gliniarz poległ na posterunku ku chwale, aniżeli obębniano kolejną aferę i wypisywano, że ryba śmierdzi od głowy i tak dalej. Ostatecznie Głowy, które zarządzają komisarzami dzielnic, nie rodzą się na kamieniu i często trzeba lat by pozyskać, uzależnić czy kupić je dla Syndykatu, więc nade wszystko ceni się dyskrecją i dba o nieposzlakowane imię obłaskawionych wpływowych osób. Szeff wraca i zaraz telefonuje. Sprawę przejmie La Comte. Wszelkie tego typu operacje należą do jego dziedziny. Syndykat trzyma na stajni Ważnych z różnych partii i ugrupowań. Żaden upadek czy skład nowego gabinetu nie pozbawi wpływów Konsorcjum Domów Lalek. Szeff Klubu czyni co do niego należy. Żąda odwołania Nowego, który nie nadaje się na komisarza w Dzielnicy Cienistych Ogrodów, więc niechaj czym prędzej zabierają chama, póki nie zdążył narobić szkód.

- Załatwione - obiecuje głos w słuchawce i odtąd sprawa przestaje istnieć dla Szefa Domu Lalek.

Nowy jeszcze nie wie, że już zakończył służbę chociaż jej na dobre nie rozpoczął. Kiedy się dowie, nie przyjdzie mu na myśl łączyć kolejnej zmiany w swoim życiu zawo-

dowym z wpływami wytwornego Szefa Domu Lalek z re-  
spektem słuchającego i płacącego okrągłą sumę.

Natomiast do kartoteki La Comte'a zostanie wpisane  
nazwisko Nowego i odtąd będą skrzętnie gromadzone  
i uzupełniane wiadomości o nim, tak jak zapoczątkowały  
jego kartę, numery, serie i nominały banknotów, wziętych  
od Szefa Domu Lalek. Może kiedyś zaprocentują.

Żaden z ochroniarzy Klubu nie widział La Comte'a ani  
nie zamienił z nim słowa nawet przez telefon. La Comte  
nie bywa w Domach Lalek, ani zarządzający nimi nie spo-  
tykają się z nim i nie jest pewne czy go znają, czy bodaj  
wiedzą jak wygląda.

Podobno pochodzi ze starej arystokracji i zna ludzi li-  
czących się nie tylko w Italii, ale i na świecie. Z jednym  
kończył świetne szkoły, z innymi jest spokrewniony, za-  
przyjaźniony, lub połączony tą szczególną więzią wytwa-  
rzającą się między ludźmi, których stan posiadania prze-  
kroczył pewną ilość zer na rachunku bankowym. Więc La  
Comte, jak nikt z pozostałych szefów konsorcjum, ma  
swobodę poruszania się w regionach władzy, pieniądza,  
nauki, sztuki.

A może wcale nie istnieje. Stanowi tylko hasło i szyld,  
jeszcze jeden sekretny numer telefonu, żywy głos czasami  
zastępujący automat i przyjmujący zgłoszenia o trudno-  
ściach Szefów Domów Lalek.

Silenzio nigdy nie miał zapomnieć dnia, w jakim wy-  
kończył się dopiero co nastąpił szef policji Dzielnicy Cieni-  
stych Ogrodów.

- Przywieźliśmy Nowe. Twoje rodaczki, Silenzio. Maitre  
rytmiki wyłazi ze skóry, żeby je jakoś ukształcić. Okropnie  
głupie. Nie umieją tańczyć, nie rozumieją słowa po nasze-  
mu, lecz wszystkie szykują się na scenę. Naprawdę nie  
wiedzą do czego się wynajęły, czy udają? - zastanawiał się  
Kiciuś, za każdym pojawieniem się dziewczyn zwożonych  
z różnych stron świata.

Zagadnienie nurtujące go niezmiennie ilekroć powracał  
z łowów na nowe Lalki, roztrząsane przy obiedzie między  
kolejną zwijką makaronu omotanego na widelcu a łykiem  
wina. Najstarszy z ochroniarzy towarzyszył Carlowi, Sze-  
fowi Szefa w sprowadzaniu świeżego towaru. Pracował tu  
najdłużej, do Lalek zwracał się Kiciuś, zwłaszcza gdy po-  
skramiał oporne, stąd jego przydomek.

Z podporządkowania hardego żywiołu prawom klubu  
czerpał satysfakcję i przekonanie o swej wartości. Był kimś.  
Panował. Lalki bały się go najbardziej ze wszystkich goryli.  
Nowe jeszcze się nie boją i przez kilka następnych dni  
nie zaznają strachu. Mają mnóstwo zajęć. Kosmetyczka,  
masażysta, lekcje rytmiki, przyswajanie elementarnych  
zwrotów w języku włoskim i wykłady Szefa. Oswaja je  
stopniowo. Nawet oczekującej ich pracy nie określa do-

słownie. Mają być miłe, wesołe, dotrzymywać towarzystwa samotnym panom i starać się by dużo zamawiali, szczególnie drogich trunków. Napoje są bardzo ważne. Czym więcej wypitych starych win, szampanów i bezgwiadzkowych, oznaczonych literami brendy, francuskich konia-

106

107  
ków i szkockiej whisky, tym większy dochód Klubu, tym większy zarobek dziewczyn. Ich wynagrodzenie to procent od sumy rachunków płaconych przez gości za alkohole. Dlatego dobrze jest, a nawet należy napić się oliwy przed wieczornymi występami, wówczas napoje znacznie mniej szkodzą, bo artyście nie wolno się upić, nie wolno popaść w zamroczenie.

Takiej sztuki naucza Szef na swój gładki, zawoalowany sposób. W interpretacji Szefa każde świństwo nabiera pozorów zwyczajności i jest to jego największym kunsztem. Silenzio zna prawie na pamięć orację Szefa. Silenzio tak by nie umiał, Silenzio podziwia i stara się naśladować Szefa.

Szef nie prosi Silenzia o pomoc w porozumieniu się z Nowymi, chociaż one ani słowa nie umieją po włosku, tylko gapią się, jak gdyby oczyma chciały przeniknąć potoczystą mowę Szefa bogato ilustrowaną gestami. Lecz towarzysząca wykładowi pantomima też niewiele pomaga. Szef wreszcie rezygnuje i prosi o pomoc Carla. On zna język tych dziewczyn na tyle przynajmniej, żeby im wytłumaczyć czego się od nich na początek wymaga.

Carlo mówi krótko, nie troszczy się o reakcję Nowych, lecz nie grozi karami, nie straszy Kiciusiem. Silenzio też wybija hardość z nieposłusznych Lalek ale czyni to niechętnie. W czasach sarniej skiej młodości podobnie młócił żyto na klepisku. Zajęcie nieciekawe, uciążliwe, konieczne. Lalki wybiera, kupuje i sprowadza Carlo. Szczególną rasę dziewczyn podobnych do siebie bez względu na obyczaj w jakim wyrosły, religię, kolor skóry. Pod każdą szerokością geograficzną zwabia je w ten sam sposób. Sceną. Przynętą, podobnie jak gdzie indziej chwyciły i nad Wisłą. Pociągnięte magią rampy, niewyobrażalnie ciekawego życia, którego szukały i nie znalazły, magią kunsztów przynoszących pieniądze, rozgłos, sukces.

Przeważnie nie posiadały wykształcenia, niekiedy była to z trudem wymęczona matura i pożądały rzeczy. Dużo, pięknych, drogich rzeczy. Dużo dobrego jedzenia. Dużo wesołego towarzystwa, a jeśli już koniecznie praca, to ła-

108

109  
twa. Niewyciskająca potu. Najlepiej w biurze. Ładnie się ubrać. Przyjść na ósmą, postawić na maszynie czajnik, poprawić uczesanie i makijaż. Zasiąść za biurkiem, nieśpiesznie popijać herbatę, albo jeszcze lepiej, kawę. Są-

czyć wytwornie, powoli, elegancko odginając mały palec. Ręce wypielęgowane, paznokcie długie, pociągnięte pewexowskim lakierem. I złote pierścionki. Dużo złotych pierścionków, po dwa na palcu, koniecznie z oczkami te pierścionki. Z kamieniem pustyni, albo z syntetycznym brylantem, albo z opalem nazywanym jeszcze pięknie, okiem świata. Chociaż nie, podobno opal przynosi nie-szczęście, więc niechaj będzie z czerwonym sztucznym rubinem, może też być ze sztucznym szmaragdem.

Po bliższym poznaniu szczęście biurowe powszedniało, robiło się szare, aż zupełnie zatracalo barwę i prędko nastawał czas, kiedy zaczynały odczuwać jak się marnują. Każdy miniony dzień był dniem straconym. Suknie cicho wychodziły z mody, łuszczyła się emalia na paznokciach, jakby przygasały nanizane na palce szkiełka oprawne w szlachetny kruszec.

Nic się nie działo.

Najwyżej imieniny Kierownika, albo którejś z nich, urzędniczek. Ciastka, cukierki, kanapki, wino albo wódka wypijane za milczącym przyzwoleniem zwierzchnika, albo udawaną niewiedzą, albo w sekrecie za murami regałów na akta, lub za blankami otwartych szaf zapchanych po-żółkłym papierem, oczekującym załatwienia w kartono-wych skoroszytach, albo pogrzebania w archiwum. Czas ciekący leniwie od pierwszego do pierwszego i zno-wu mozolne wyliczanie czy starczy na modne kozaczki, nową sukienkę, perfumy, puder, najnowsze pastele. Nie starczało chociaż matka dawała utrzymanie. Niech się dziecko obspra-wi, niech ma lżej niż ona w czasach własnej młodości. Gorycz. Nagle dostrzegały ciasnotę pomieszczeń, które je więziły przez wiele godzin, brzydotę starych biurek, nigdy nieodnawianych kancelaryjnych stołów i starsze koleżanki posiwiałe pośród zszywek, stempli, druków i interesantów nazywanych petentami egipską plagą ich urzędniczej egzy-

109  
stencji. Zalegało się podejrzenie, że i one mogą pozostać na zawsze w tych dekoracjach i nikt ich nie odkryje, nikt się na nich nie pozna, nie uchylili przed nimi stworzonymi do lepszego życia, rąbka kulisy wiodącej w Wielki Świat. Brały się pomagać losowi, szukając łutu szczęścia. Bie-gły na ogłoszenia wytwórni filmowych poszukujących no-wych twarzy dla kina. Obstawiały konkursy lektorów radio-wych, prezenterek telewizyjnych, przyciągały je festiwale śpiewacze, recytatorskie, eliminacje striptizerek i pomniej-sze imprezy, gdzie miały nadzieję zabłyszczeć, zaintereso-wać, pokazać ładną twarz, dobrą figurę albo tylko dobre chęci. Wciąż odprawiane piękności w modnych strojach, po-zbawione słuchu, ze złą dykcją, pretensjonalnie dukające teksty, nieumiejące poprawnie wymówić bodaj jednego sło-wa w obcym języku, północy szukające w dole mapy.

Odkładały się osady niespełnionych oczekiwań, leniwie lecz nieustannie ciekącego czasu, wciąż zmniejszającego szansę, żalu do tych, którzy się na nich nie poznali, źródła niepowodzeń nigdy nie szukały w sobie, cudownie wolne od samooceny. Zdecydowane już na wiele ustępstw, gdy pojawił się wytworny cudzoziemiec i ofiarował od zaraz Wielki Świat nie zważając na niedostatki wymowy, nie wymagając wiedzy o tym świecie ni znajomości innego, niż własny język czy geografii, frunęły w płomień świecy z radością. Zdarzały się dziewczyny trzeźwe, domyślające się prawdy o oferowanym fachu, inne nie miały złudzeń do czego je angażują, lecz większość była łatwowierna, zielona jak nać, spragniona sukcesu bezkrytycznie ufała każdemu słowu eleganckiego Włocha, który przyjmował je w apartamencie warszawskiego hotelu, a podpisanie kontraktu czcił w doskonałej restauracji.

Wszystkie jednak i sprytne i naiwne, pragnęły zostać artystkami. Bycie artystką wyobrażały sobie jako ciągłą zabawę, nieustające święto złożone z przebierania się w coraz inne kreacje, udzielania wywiadów, pozowania do zdjęć; przyjęcia widywane na filmach, koniecznie z szampanem i zachwyconymi mężczyznami. Dużo szampana, dużo uwielbiających je mężczyzn, brawa i oczywiście występy.

110

Dziewczyny bez złudzeń nie nastęrczały kłopotów. Ale cielecia, które zapewnienia o śpiewach, tańcach, melodeklamacjach w nocnym klubie brały serio chociaż nie posiadały talentu, czy przynajmniej zadawalająco opanowanego rzemiosła, nie umiały śpiewać, ani grać na czymkolwiek, ani tańczyć, kiedy zaczynały pojmować charakter wymaganej pracy, urządziły awantury.

Już pierwszego wieczoru, na początku prezentacji w nocnych salonach, wiedły z rozczarowania nie widząc partnerów w wieku do małżeństwa, bowiem w najskrytszych myślach hodowały nadzieję na pięknego, młodego, bogatego cudzoziemca, który zakocha się od pierwszego spojrzenia, porwie, obsypie strojami, pierścionkami, ubierze na białe i w pianie śnieżnego tiulu zaprowadzi przed ołtarz.

A tu ani śladu urodziwych chłopców, tylko panowie w słusznym wieku, albo i zaawansowanym. Z tym większą wyniosłością odtrącały awanse brzydkich, starych mężczyzn. Wciąż nic nie rozumiejąc parskały jak rozzłoszczone koty, dumne i oburzone otrząsały z siebie jakby mnożące się ręce, zdesperowane uciekały do gabinetu Szefa opędzając się od natrętnych wielbicieli, tam wybuchały płaczem, żądając wyjaśnień paszportów i wyprawienia do domu. Jeszcze raz Szef na swój przewrotny sposób tłumaczył Cieleciu jego obowiązki. Podsuwał pod nos podpisany kontrakt, z którego wynikało, iż Cielę sprzedało się Klubowi ze wszystkim, przyrzekło być posłuszne i bez szemrania

świadczyc usługi, a nie wyczyniać brewerie i obrażać gości.

- Potwierdziłaś własnym podpisem - dziobał wypielegnowanym paznokciem w punkt umowy, który stwierdzał, że panna taka i taka zaangażowana na trzy lata, zobowiązała się pod rygorem zerwania kontraktu i zapłacenia odszkodowania wypełniać wszystkie wymienione i niewymienione na piśmie warunki Klubu, reprezentowanego przez Carla.

Cielę chciało zrywać kontrakt.

Nic prostszego. SzeF podsuwał rachunek. Oto koszta.

Przejazd skądś tam do Genui, wikt, pranie, komorne, cena sukien uszytych na miarę, obuwia ze świetnej firmy, ręcz-

111  
nie haftowanej bielizny z naturalnego jedwabiu, lekcji gracji, wdzięku i tańca, lekcji skutecznego naciągania gości na najdroższe alkohole. Suma przedstawiała się zawrotnie.

- Zwrócisz, odzyskasz paszport i możesz odejść.

Sama już tylko rekompensata zastrzeżona na rzecz Klubu mogła załamać budżet zamożnej osoby, natomiast niemożliwa do zapłacenia przez niepokorną Lalkę. SzeF Szefa z reguły łowił dziewczyny biedne jak kościelne myszy.

- Nie masz, zarobisz w Klubie. Oddasz coś winna i jesteś wolna. Innego wyjścia nie widzę - zamykał sprawę SzeF. Bezradne pośród obcego żywiołu, bez znajomości języka i bodaj jednej życzliwej istoty, omotane siecią klauzul zaakceptowanych podpisem przez nie same, pod presją wymierzonych przeciwko nim praw o jakich nic nie wiedziały, a wystraszone bezkrytycznie w nie wierzyły, nie znajdowały innego sposobu jak tylko poddać się losowi. Bardziej niezależne próbowały uciekać. Z pozoru nikt im nie przeszkadzał. Goryle jakby głuchli i ślepli. Ledwo jednak zbuntowana Lalka znalazła się za drzwiami, SzeF telefonował do oswojonego signora Commissario. Zbiega zatrzymywał patrol policji zanim zdążyła opuścić ulicę mieszczącą Dom Lalek i podejrzaną cudzoziemkę bez dokumentów odwoził do komendy.

Po nocy w areszcie we wspólnej celi do granic zapchanej wszelką człowieczą nędzą, odbierał ją SzeF składając za zwolnienie kaucję. Tę wliczano do długu zbuntowanej Lalki.

Jeśli po tej lekcji nadal trwała w uporze, nakłonienie do pracy powierzano gorylom. Dziewczyny pokorniały po jednym, dwóch seansach. Kicia chełpił się, że od ręki przemienia je w Lalki posłuszne. Silenzio nie przechwalał się, ale nie dawał się wyprzedzić. Miał swoją ambicję i dbał żeby nikt go nie zdystansował. Także zręcznie i prędko poskramiał nazbyt harde. Za pamięci Silenzia tylko jedna, Turczynka, nie ustąpiła. I tylko przypadek zrządził, że Silenzio nie miał jej śmierci na swoim rachunku.

Zwyczajnie, SzeF nie jego wyznaczył do wytresowania

tamtej Lalki. Silenzio później pomagał usuwać zwłoki. Zasyte w worek obciążone kamieniami, wywieźli nocą i utopili w zatoce. Nigdy nie wypłynęły.

Nieprzyjemne zdarzenie. Silenzio nawet w myślach nie lubi wspominać. Również odpornej Lalce nie powinno się odmawiać przyzwoitego pochówku. Ale tym przekonaniem, bezsensownym strzępem spustoszonej etyki obowiązującej w jego wsi, nie dzieli się z nikim, ukryty za swoim milczeniem i słabo opanowanym językiem.

Dla Lalek nie miał zrozumienia, ni współczucia, ni litości. Jak gdyby były odczłowieczone, należały do świata przedmiotów. W jego mniemaniu taka dziewczyna sama wypędziła się spośród ludzi. Jeśli jednak przystała do Carla, spijała z nim po restauracjach słodkie szampany, dała się wywieźć w nieznane, skoro przyjęła bezwstydne odzienie bardziej odsłaniające nagość, niżby pozostała całkiem goła, skoro chciała lekkiej pracy, przy której można hodować malowane paznokcie, a za główne zajęcie miała pielęgnowanie własnej piękności, skoro miłe jej tak i e pieniądze, niechaj się nie miga, uważał Silenzio i bił nieposłuszną Lalkę przez mokre płótno bacząc by nie uszkodzić skóry. Bił bez wyrzutów sumienia, ale i bez złości, z nieuświadomionym żalem, że to wypielegnowane Piękno pachnące kosztownymi perfumami, nie jest dla niego, i tylko trochę nienawidził urodziwe ciało, którego nigdy nie będzie mógł dotknąć inaczej niż rzemieniem.

Chłostę stosowano tylko wobec dziewczyn upartych, a te zdarzały się rzadko. Pogodzone z losem były nietykalne. Po jakimś czasie wszystkie stawały się cenne dla klubu, zarabiały często więcej w jeden wieczór niż goryl przez tydzień i pomiatały ochroniarzami nic sobie z nich nie robiąc. Były pewne, bez rozkazu Szefa nie wolno ich tknąć. Goryle też o tym wiedzieli, więc doznane upokorzenia odpłacali krnąbrnym Nowym. Bez sterowanej przez Szefa nienawiści między tymi dwoma profesjami nie istniałby Dom Lalek.

Co czwarty wieczór Silenzio pełni obowiązki portiera. Przyodziany w biały mundur szamerowany złotym galonem, w atylii zarzuconej na jedno ramię spiętej klamrą,

112

113  
sprawdza ważność klubowych karnetów, wpuszcza i wyprowadza gości, przyzywa i odsyła taksówki.

Około północy hall pustoszeje. Goście zasiedli w gabinetach gier, przed ekranami sal filmowych, rozlokowali się w kręgielniach, salonach bilardowych i restauracyjnych. Klub ma wielostronny program, sprzyja różnym upodobaniom swoich gości.

Portierowi nie wolno usiąść. Silenzio trwa nieporuszony w swoim świetnym przebraniu, dalekim wspomnieniu

huzarów imperium władającego kiedyś między Tyrolem a Siedmiogrodem, między Galicją a Hercegowiną. W salonie restauracyjnym ponad brzęczenie rozmów wznosi się śpiew i akompaniament fortepianu. Szmer zaci-cha, pieśń podkreślona muzyką przenika pod sklepienie sieni. Z początku owe dźwięki nie zwracają uwagi Silenzia, przywykł do tutejszych produkcji artystycznych i ani go ziębią ni grzeją, z wyjątkiem orkiestry tanecznej. Przypomina muzykę najwcześniejszej młodości. Niezapomnianą kapekę jego dzieciństwa, przygrywającą, na weselach i zabawach, za którą biegał na Błota Szlacheckie, na Pohorę, nawet za Rzekę. Stawał pod oknem albo w sieni, w gromadzie rówieśników, takich samych jak on chłopaków i słuchał i patrzył. W niskiej izbie pod belkowaną powałą zanoszą się skrzypce, grzmi pedałówka i huczy kontrabas. Wzdłuż ściany stali parami tancerze ściśnięci jedni za drugimi czekając swojej kolei by zawirować w oberku, zakręcić w polce, przykleknać w kujawiaku, a po przerwie już wszyscy nie zważając na tłok, posłuszni grajkom, zakołysać się w walcu - para za parą, albo popaść w wyszukane pas tanga, czy fokstrotą, nowomodnie nazywanego swingiem. Zameżne kobiety rozsiadłe na ławach pod ścianami, zsuwały z ramion chusty i trwały nieporuszone. Uginała się podłoga, po szybach ściekały skroplone oddechy, parowali spoceni tancerze, gęstniało powietrze, z braku tlenu zamierał płomyk naftowej lampy, panny wachlowały chusteczkami powleczone rosą twarze. Zabawy należały do bezzennych. Małżonkowie tańczyli rzadko, patrząc mogli do woli. Niewiasty z obrącz-

114  
ką na palcu już bez obawy odsądzenia od czci przychodziły same, tylko panny musiały czekać aż je kawalerowie zechcą zaprosić i przyprowadzić. Nie po każdą przychodzono i ta nie ruszała się z domu. Bywało, jeśli chłopiec się nie podobał, albo stał zbyt nisko w wioskowej hierarchii, panna grzecznie wymawiała się, najczęściej bólem zębów. Był jedyną dolegliwością nieprzynoszącą ujmy pannom. Cierpienie powszechnie znane, kruszące zęby jak Sarnia długa i szeroka. Wszelkie inne słabości pannom nie uchodziły, jeśli się przytrafiały starannie je ukrywano. Nie wypadało pannom chorować, choroby panien były podejrzane, narażały na uwłaczające domysły, psuły opinię.

Kobiety zameżne nie bały się już obmowy. Same obmawiały. Ich mężowie przychodzili oddzielnie, nie leżało w obyczaju prowadzić się na zabawę z żonami.

Do Silenzia dociera pieśń przenikająca zza portiery.  
- ... gdybym ja była słoneczkiem na niebie... - śpiewa kobiecy głos, a Silenzio rozumie każde słowo i każde słowo zaciska mu krtań. W tej chwili uświadamia sobie, że

od przeszło pięciu lat po raz pierwszy słyszy swojski język, po raz pierwszy ktoś inny, blisko niego mówi jego mową, a nie sam do siebie jak mu się czasami zdarzało.

Pewno Nowa.

Podchodzi do wejścia prowadzącego na salę, łukowego wykroju zawieszzonego ciężkim brokatem, uchyla rąbek pozłocistej tkaniny. Na wolnym od stolików środka parkietu, rozecie wymodelowanej różnymi gatunkami szlachetnego drewna, stoi Nowa. W smudze światła lśni barwą żytniej słomy głowa dziewczyny, proste włosy rozdzielone na boki okrywają plecy i ramiona. Karnacja fluoryzuje przez pajęczą tkaninę przypominającą obłok dymu, Silenzio oczu nie może oderwać od świetlistej postaci, nie pamięta, nie chce wiedzieć, że Lalki występujące w programie, zanim staną na intarsjowanym kręgu posadzki, poddawane są charakteryzacji. Ich ciało powleczone specjalnym mastyksem, pod wpływem światła mieni się tonami perłowej konchy.

115

Z Silenciem dzieje się coś dziwnego. O tej dziewczynie nie pomyślał dziwka.

Dziwka wystawiona w opakowaniu z jedwabnego szyfonu, skrawka atlasu ledwo zakrywającego pleć i pasków złoconej skóry obuwających stopy. Lalka upiększona przez fryzjera i kosmetyczkę. Klubowy tandem dobrał jej najkorzystniejsze uczesanie, zadbał by widać było piękne włosy, jednocześnie maskując fryzurą zbyt ciężką szczękę, podkreślił lekko skośne oczy i tylko trochę ucywilizował szczodre brwi.

W swoich lasach Milczek nigdy nie spotkał kupczącej sobą kobiety. W jego lasach niewiasty o zbyt swobodnym zachowaniu nazywano dosadnym słowem zapożyczonym od sąsiadów z drugiej strony pobliskiej granicy.

Nic nie wiedział o istnieniu Lalek, dopóki ich nie zobaczył. Znieważały w nim wszystko. Obyczaj w jakim wyrósł, nakazy religijne, lecz przede wszystkim, jego, mężczyznę, którym śmiały pomiatać. Pogarda ciążyła najdotkliwiej, raniła dumę, podważała dobre mniemanie o sobie. Za takie uchybienie w jego wsi karano dziewczyny okrutnie. Obrażony chłopak, w zмовie z grupą kolegów, zamawiał na zabawie pogłębiającą muzykę. I głośno oznajmiał marsza dla takiej i takiej. Muzykanci grali przeważnie Lekką kawalerię. Zgromadzeni odsuwali się pod ściany, przez opustoszałą izbę przebiegała pohańbiona dziewczyna. Mściciel sycił się jej upokorzeniem. Chichotały panny niechętnie wypędzonej. Za wielki wstyd uchodziło takie wygnanie i żaden chłopak, jeśli nie miał sprzymierzeńców, nie bronił napiętnowanej. Jeśli się upomniał, musiał mieć wsparcie przyjaciół i być gotów do bójki. Różnice zdań równano łagą, drewnianym styliskiem, zdarzało się nożem lub siekierą. Szły w ruch

sztachety, orczyki i co pod ręką. Pannom bogatym, pannom posiadającym młodych mężczyzn w rodzinie, pannom brzydkim, nie grywano marszy na zabawach.

Silenziem w jego rodzinnej wsi nie śmiałyby ponieważ żadna dziewczyna, tymbardziej żadna z takich jak te klubowe blade. W myślach odgrywał się na Lalkach nazywając je dosadnym słowem.

116

I

Wszystkie tu dziwki, tylko ta jedna, ta śpiewająca, nie. Jest młodą dziewczyną, bliską przez słowa wypowiedane w pieśni, nawet przez melodię. Nigdy jej nie słyszał, lecz wydaje się najpiękniejsza i swojska, chociaż ani razu nie obilo mu się o uszy nazwisko kompozytora.

Jego ręce pragną dotknąć Nowej, jego ramiona, piersi, brzuch tęsknią do Nowej, nawet jego nogi wyrywają się ku Nowej, jego oczy nie mogą oderwać się od kruchej, wiotkiej, półnagiej dziewczyny z fluoryzującym ciałem, dziewczyny z krwi i cudu, śpiewającej w jego mowie, boskim zrzędzeniem przywiezionej z odległej ziemi w naj samotniej szą samotność Milczka.

Z zapatrzenia budzi go Kredencarz. Wąską, delikatną ręką odgina portierę. Z wiklinowej gondoli przewieszanej na przedramieniu wystają szyjki Falernu. Silenzio odsuwa się, tamten przechodzi mimo, jakby Silenzio był elementem portalu, jakimś liściem akantu czy winnym gronem wykutym w kamiennym olicowaniu.

- Stara ciota - mruczy Silenzio.

Nie cierpi faceta, nienawidzi jego inności. Odmienność Sommeliera wywołuje w Silenzio wściekłość. Odbiera ją jak najcięższą osobistą obrazę. Takich należałoby wsadzać do więzienia, a najlepiej wystrzelać. Nienawidzi jego manier, wypiełgnowanych rąk, długich palców z lakierowanymi paznokciami, pudrowanej twarzy, jego smokingu z białego kaszmiru, atłasowych klap i szczególnego sposobu niezauważania Silenzia.

Nie cierpi jego znawstwa win i celebrowania pełnionej funkcji. Chmielowa tyka w jedwabiach, takimi rączkami nawet nikogo w mordę nie potrafi porządnie zaprawić. Chętnie by mu Silenzio dołożył, potem parę kopów i dopiero porozmawiałby sobie z tą paskudą, wreszcie rozgniół jak karalucha. Raz, dwa oduczylby takiego zadawać się z chłopaczkami. A w ogóle niepojęte żeby chłopca ciągnęło do chłopca.

Ilekoć widzi Sommeliera, gorycz zalewa Silenzia. Pomysleć, takiego nie wolno tknąć. Szef cacka się z nim, jakby był bógwico i trzęsie się nad pedałem, jak nad żadnym

117

z goryli. A cóż on takiego jest? Wino takie, wino siakie, Claret z tym, Cinzano z tamtym, Białe - co w gruncie rze-

czy wcale nie jest białe tylko żółte - do tego, czerwone do tamtego. Weźmie w gębę, zadrze brodę i przymknie oczy, istna kura łykająca wodę, pokosztuje i cała jego mądrość. - Rzadka wyobraźnia smakowa - zachwyca się Szefer i modlitewnie wznosi twarz ku sufitowi.

Może i dobre te wina, lecz Silenzio nie nabrał do nich smaku. Nieczęsto miał okazję spijać, nie przywykł, upodobania nie powziął. Jak łyknie kieliszek, zwłaszcza słodkiego, owszem smaczne, po butelce tylko sen morzy, ale żeby zaszumiało to nie, jak więcej niż flaszkę osaczy, w brzuchu ciężko, aż chlupie i często sikać pędza, do tego zgaga piecze.

Taki winowy wymoczek może sobie chodzić w tę i z powrotem, nie ma dla niego żadnych zakazów, a Silenzio musi warować przez całą noc w sieni na stojąco, nie wolno mu usiąść i nie wolno kroku postąpić za brokatową portierę. Kiedy nie ma służby też nie wolno. Zakaz obejmuje wszystkich goryli. Że niby ich obecność nie sprzyja dobremu samopoczuciu gości. Goście nie lubią widoku takich twarzy, takiej krzepy, takiego zdrowia, a w ogóle mierzi ich taka profesja. Dopiero gdy się który zarzyga do zachłyśnięcia, albo nagle jakiemuś wysiadzie wątroba, woreczek lub co innego z wnętrzości, goryl jest dobry, goryl jest świetny. Ba! Goryl jest niezastąpiony. Jego siła nikogo nie uraża kiedy chwyta na ręce i wnosi sfatygowanego biesiadnika, żeby wyglądem nie psuł smaku innym. I nawet twarz Silenzia nikomu wówczas nie wadzi.

Ciekawe co ich razi w jego obliczu. Nie ma wypisane na czole, że jest ochroniarzem w burdelu. Przecież tamten odmieniec, żeby nie wiem jak się pysznił swoim znawstwem, jest-kiperem w burdelu, do tego stara ciota i za swoją przyjemność musi płacić szczeniakom.

Ciekawe jak oni to robią. Silenzio chciałby zobaczyć przeciwne obyczajowi pokładziny.

Kredencarz nie poświęca Silenziowi aż tyle uwagi. Ma go za barbarzyńcę z jakiegoś zapomnianego kąta świata, niedopracowany twór natury. Ot! Już nie zwierzę, a jeszcze nie człowiek.

Dla Sommeliera rodzinne miasto nad laguną stanowi centrum planety i nie może myśleć inaczej o cudzoziemcu, który odkąd tu nastał ani razu nie poszedł ani nawet nie zapytał o Zaulek Tkaczy, gdzie urodził się odkrywca Nowego Świata, Gubernator Wszech Ziem i Admirał Ich Królewskich Mości Królów Katolickich Izabeli Kastyljskiej i perdynanda Aragońskiego, Cristoforo Colombo, duma Genui. Kiedy Silenzio znów zagląda przez szczelinę w brokatowej zasłonie, Nowa już nie śpiewa, tylko siedzi z gościem. Silenzio dużo o nim wie. Bywalec. Nieprawdopodobnie bogaty. Tutaj nie bardzo bogaci w ogóle nie mają wstępu, lecz ten wyrasta ponad innych. Lubi Nowe, każe się

uprzedzać o nadejściu świeżego transportu. Zjawia się jeden z pierwszych, zanim dziewczyny zostaną na dobre oswojone, pozostawia im sińce i duże napiwki.

Lalki ze stażem boją się tego gościa, panuje przekonanie, że od uszczypnięcia można zachorować na raka. Lalki boją się raka, zwłaszcza zwanego czerniakiem, albo melanomą, na co wedle obiegowej opinii nie ma żadnego ale to żadnego ratunku, i cieszą się z przybycia Nowych, chociaż ten gość przez swoje szczególne upodobania płaci nieporównanie więcej niż zwykli bywalcy.

Zeszła na złą drogę, myśli Silenzio o Nowej, jak gdyby o jej losie zdecydowało dopiero miejsce u boku perwersyjnego gościa. Jutro będzie miała znaki, martwi się Silenzio, ale gość zapłaci za wszystkie dni, przez jakie sińce będą blednąć. Takie ślady szpecą, więc wyłączają z pracy. Na dobro Nowej zapiszą duży procent.

Silenzio popada w przygnębienie, trapi nieznaną dotychczas przykrość. On nie chce, aby Nowa pracowała. Myśl kole cierniowymi igłami, zaprawia goryczą, jakby Silenzio smakował napar z piołunu.

Fanaberie! Złości się na siebie i na Nową, ma do niej pretensję. Zakazuje sobie myśleć o niej. Podpisała umowę, przyjęła różne rzeczy, musi robić co każą. To nie pensja dla panienek, tylko Dom Lalek, powtarza sentencję Za-118

119

pożyczoną od Szefa i już przez cały wieczór nie uchyli brokatowej portiery. Stawia krzyżyk na Nowej.

Nowa chociaż niewiele rozumie pilnie śledzi wymianę zdań między towarzyszącym jej Panem a Sommelierem.

Pan z namysłem zamawia potrawy, naradza się z Kredencarzem nad doborem win, przez myśl mu nie przejdzie, że Nowa nie pozna się na wyrafinowanym zestawieniu wykwintnych dań i napoi, ani kunszcie klubowej kuchni. Dziewczyna widzi oczy i skrzela, macki i kleszcze, muszle i wąsy. Powściąga odruch obrzydzenia i odwraca wzrok od półmisków z plemionami ryb, krabów, homarów, langust, małży i głowonogów.

Kelner podtacza wózek ze szkła i rzeźbionego drewna, przenosi na stół tacę wymoszczoną lodem ze stertą skorup przystrojonych jarmużem, przybór do otwierania ślimaczych pokryw, rozstawia talerze i całe generacje kieliszków.

Wytworny Pan wymownie wskazuje szarą piramidę niesymetrycznych muszli otoczoną zielonymi gałązkami jak kolonią wodorostów.

Nowa kładzie na talerz ostrygę i sposobem demonstrowanym na lekcjach Szefa otwiera pancierz. Pan uśmiecha się do niej, nalewa wina, je. Nowa patrzy na jego poruszające się szczęki, które żują, miela, unicestwiają blade cia-

ło mięczaków skąpane w cytrynowym soku.

Nowa już wie. Prawie wie. Tutaj dziewczyny zadają się z mężczyznami za pieniądze. Oczywiście te, które chcą. Przecież niemożliwe, aby mogło dziać się inaczej, broni się w niej resztką złudzeń.

Zastaną rzeczywistość przyjmuje jak dopust, nic jednak nie może zachwiać jej wiarą, w siebie. Niebezpieczeństwo zejścia na złe drogi grozi innym. Jej nie dotyczy. Nowa nie połaszczy się na lekkie pieniądze, nawet na wór złota. Jest porządną dziewczyną, zaangażowała się do uczciwej pracy. Nie żaden z niej nieuk bez wykształcenia. Skończyła szkołę muzyczną i ma nieprzeciętny głos.

Wszystko zapisane w kontrakcie.

Nie jest byle kim, dyrekcja musi się z nią liczyć.

120

Dopiero tutaj otworzyły jej się oczy. I kto by pomyślał!

W eleganckim lokalu z występami artystycznymi pomieszczonym w Klubie gdzie jest nawet biblioteka, kort tenisowy, trawniki do gry w golfa, żaglówki, trzy sale kinowe, perskie dywany, srebrne nakrycia i porcelana tak cienka, aż przeświecają przez nią palce, gdzie kelnerzy wyglądają jak dyplomaci, a portier przypomina generała, dziewczyny puszczają się dla zarobku, a dyrekcja je zachęca. Chociaż im, nowym, nie doradzano tego wprost, wystarczająco przejrzyste dano do zrozumienia.

W głowie się nie mieści!

Nowa nawet po przemowie Szefa i uzupełnieniu Carla nie dowierza zawartym tam sugestiom. Wszystko składa na karb swojego nieobycia. Nigdzie dotychczas niespotkany zbytek, elegancja i uprzejmość personelu, dystynkcja gości, nie pasuje do jej wyobrażeń o odsądzonej od czci profesji. W Warszawie nawet nie słyszała o podobnych Klubach. Czasami tylko widywała prostytutki w Alejach Jerozolimskich, w pobliżu dworca kolei elektrycznej, gdy zdarzyło jej się późno wracać ze szkoły. W większości były to kobiety w latach, przeważnie niechlujne, ordynarne i pijane. Najstarsze budziły groźę i litość. Twarze obrzękłe od wódki, sine od odmrożeń, ciała wyschnięte albo chorobliwie otyłe. Człowiecza nędza przezywana gruzinkami od ruin zalegających miasto.

Smutne sąsiadki zdziczałych kotów, gnieździły się w norach pod piargami skruszałych murów, sklepieniami ocalałych piwnic, dokąd prowadziły się z klientami, gdzie przesywały dnie, gdzie marniały od picia, niedożywienia, zimna. W oficjalnym pejzażu nie było dla nich miejsca. Do urzędowej wiadomości wciąż jeszcze nie przyjmowano faktu ich istnienia. Ich istnienie urągało doktrynie stanowiącej, że owa niegodna profesja powinna zniknąć wraz z systemem niesprawiedliwości społecznej.

W mroźne noce, kiedy nawet bardzo pijani mężczyźni

odtrącali je od siebie i one nie miały na ćwiartkę alkoholu, czy chociażby na gorącą herbatę we flaszcze grubo opatulonej gazetą, kupowanych z usługowej ręki handlarza,  
121

hienim obyczajem zdążającego ich tropem, ścigały pod milicyjny komisariat i zbite w gromadę wykrzykiwały obelgi, przekleństwa, sprośne słowa. Jedyna nadzieja na kąpiel pod prawdziwym dachem i ciepłą zbożową kawę, może nawet na obiadnię zupę i kolację jeśli dostatecznie rozłoszczony dyżurny zamknie je w areszcie za zakłócanie porządku publicznego chociaż na całą dobę. Nowa w drodze z lekcji na stację od razu rozpoznawała takie. Natomiast tutaj nic nie wiadomo. Nowa wolałaby w klubie z takimi nawet się nie stykać. Niesława jest zaraźliwa jak świerzb, poraża najbliższe otoczenie. To przekonanie kładziono jej do głowy na długo zanim pojęła istotę najcięższego dziewczynskiego grzechu, chociaż żyjąc blisko natury w pobliżu domowych zwierząt, Nowa, jak wszystkie wiejskie dzieci, uświadomiła się wcześniej. Pokładanie z mężczyzną bez sakramentu jest potępione przez Boga i ludzi. Z niepoczciwej miłości rodzą się panińskie dzieci, bachory bez ojców, ich matek nikt nie chroni przed pogardą wsi i złośliwościami gorliwych służebnic trzeciego zakonu Świętego Franciszka strzegących czystości obyczajów, dokuczliwych starych kobiet, które dawno zapomniały uścisku mężczyzny. Wielkie Tabu Nowa poniosła ze sobą w świat, a świat właśnie wymyślił pigułkę. Wyzwalała rodzaj babski od odwiecznego strachu, tak się przynajmniej wówczas wydawało. Zwycięskie dziewczyny z gorliwością neofitek zaliczały partnerów, przez co wcale nie stawały się szczęśliwsze.

Przemiany dokonywały się pod powierzchnią obowiązujących norm, zwłaszcza urzędowego rytu, który kreował innych, lecz nie mniej srogich bogów. Społeczeństwo nie było przygotowane na tę darowaną przez przemysł farmaceutyczny swobodę obyczajową.

Nowej nie poniosła owa fala. Chroniły ją Wielkie Tabu i inność. Była nieobyta, nieoczytana, w ubogim odzieniu, bez pieniędzy, bez wolnego czasu, ciężką harówką opłacająca stację. Odstawała od miejskiego żywiołu zaludniającego szkołę. Nie lgnęły do niej koleżanki, nie pragnęli chłopcy.  
122

Tutaj ona nie zamierzała mieć koleżanek, skoro nie wiadomo kto jest kim i postąpiła niewłaściwie przyjmując zaproszenie na kolację. Już nigdy więcej na to nie pozwoli. Tego wieczoru śpiewała po raz pierwszy, wieszowali jej zupełnie nieznani ludzie i jakoś tak wyszło, że z jednym z nich znalazła się przy stoliku. Lecz w przyszłości nie odstąpi od zasady. I żadnych wyjątków, obiecuje sobie. Sa-

ma przed sobą ukrywa, że to koncesja na rzecz zwyczajów Klubu. Nie miała odwagi odrzucić zaproszenia, po tym co słyszała od Szefa. A niech tam, nie ubędzie jej jeśli posiedzi z człowiekiem w restauracji. Ale nie będzie wpędzała go w kosza, nie będzie się napierała na najdroższe napoje. Nie będzie jadła przy jego stole. Jej sytuacja musi pozostać możliwie jasna, bez niedomówień, bez zobowiązań. Zakreśliwszy granicę ustępstw, czuje się swobodniej i pozwala sobie bawić Pana rozmową. Jak gejsza - uśmiecha się do własnych wyobrażeń. O gejszach wie z jednego reportażu przeczytanego kiedyś w popularnym tygodniku. Ale konwersacja utyka. Ona zna niewiele słów włoskich, o tyle o ile poduczyła się przed wyjazdem na kontrakt, z ledwością składa kilka najprostszych zdań, on nie rozumie po polsku, ani jej kulawej francuszczyzny. Pan nie wydaje się pragnąć rozmowy, nie wydaje się łaknąć niczego poza jedzeniem i pić. Wysysa, żuje, łyka, popija, dolewa wina, wyłuskuje, rośnie stos pustych powłok. Nowa spogląda na skorupiaki. W otwartej muszli złożonej po jednej stronie sprężystym wiazadłem spoczywa ciało małża. Błyszcząca masa wyściełająca wnętrze konchy udziela mu perłowego połysku. Nowa gdzieś słyszała, że ostryga piszczy oblewana kwaśnym sokiem, ale milczą ślimaki pożerane przez jej towarzysza, niemy pozostaje mięczak na jej talerzu. Znowu dusi nad nim połówkę cytryny i nie może się przemóc aby spróbować.

- Jedz - zachęca Pan.

- Nie jestem głodna - Nowa odsuwa talerz. Nie, nie przełamie się, aby łyknąć galaretowate jądro. Nigdy jeszcze nie próbowała morskiej fauny łagodnego, śródziemnomorskiego klimatu. Nie jest przyzwyczajona do wyszu-

123  
kanego jedzenia. Czczość w żołądku przypomina o gęstym krupniku, chlebie ze smalcem, tłuczonych kartoflach z grubymi skwarkami wytopionymi z solonej słoniny, takimi jakie robiła matka.

W Studzianem, rodzinnej wsi Nowej, w niedzielę na stole leżał bochenek razowca owinięty serwetą, żeby się muchy nie pasły i wyglądało ładnie, przy stole zasiadano od wielkiego święta i częstowano gości. Na co dzień - mówiło się budzień - matka stawiała na taborecie wspólne dla wszystkich naczynia z potrawami. Siadali kręgiem na niskich zydlach, najmłodsze dziecko u matki na kolana. Około południa jedli najobfitszy posiłek. Najpierw kwaśne, potem mleczne. Do kartofli barszcz buraczany, na odmianę szczawiowy, innym razem krupnik, po nim zarzucone na mleko kluski, bądź kasza lub marchew.

Podczas Wielkiego Postu, Adwentu i w każdy piątek pożywienie warzono jałowe z rzadka kraszone czarnym olejem z lnianego lub konopnego siemienia, zdarzało się ja-

snym, tłoczonym z ziaren maku. W zwykły czas strawę omaszczano tłuszczem z sadła, niekiedy kawałkiem peklowanego mięsa przegryzionego przez solankę z gorzkawym posmakiem od długiego przechowywania. Dzieci dostawały po kęsie włóknistej wieprzowiny, mimo uporczywego gotowania suchej jak wiór i nie wydzierały sobie tego jedzenia. Co innego skwarki.

Ziemniaki były tłuczone, okrasa w nich trafiała się skapo. Dzieci po całej misce drażyły uklepaną masą w poszukiwaniu rzadkiego przysmaku, przechwytywały skwarki odkopane przez sprytniejszych. Szczęśliwcy nie oddawali ich bez walki. Szczękały łyżki zagarniające do siebie cudzą zdobycz. Podnosił się pisk, wyzwiska, lament poszkodowanych, ojcowska sprawiedliwość kładła kres bóje, sporną skwarę zjadał sam albo podsuwał Nowej, dziecku ulubionemu, chociaż Nowa potykała się na trzonki niegorzej od rodzeństwa... Niekiedy, odwrócona czerpakiem do góry ojcowa łyżka, uderzała w czoła, ręka odpychała od miski.

- Wieprzki!

124

Prawda, przypominali kłębiące się prosięta, stłoczone ciasno nad korytem, wyjadające karmę z kwikiem i przepychaniem.

Ojciec pokazywał jak się należy zachowywać przy jedzeniu. Tłukanicę bierze się od krawędzi najbliżej siebie, nie ryje po całym okręgu naczynia, a już nie wyjada się innym spod gęby. Gdy się zaczerpnie rzadkiego, drugą dłonią podstawia się pod łyżkę skórkę chleba, żeby nie skapywało i dopiero przenosi do ust. Ruch ręki ojca, był pewny, ani kropla kapuśniaku nie ściekła na brzeg taboretu, ubranie czy podłogę. Siorbał godnie, w milczeniu i bez pośpiechu.

- Dobrze wam pokazywać, jakeście się do dnia najedli

- wytykał syn. Okropnie rósł i wciąż był głodny.

- Smark jeden, już mi kęsy liczy. Poczekaj aż się zestarzeję i robić nie będę mógł.

Do košby, orki, roztrząsania nawozu trzeba, mieć siłę.

Siłę daje mięso, drożdżowe oładki smażone na sadle, albo jajecznicą, a jeśli brakuje należy dać chociaż tłuszcz. Matka przed świtem gotowane mleko wzmacniała przesmażonymi płatkami słoniny. Smakowicie pływały po powierzchni w okach ciekłego smalcu. Takie śniadanie dostawał tylko ojciec. Dla wszystkich nie starczało. Bili jednego karmnika na rok i zanim ułożyli w kadzi z solanką matka dzieliła: na sianokosy, na żniwa, na kopanie kartofli.

Najwyżej ceniono wieprzowy tłuszcz. Do masła dzieci nawet nie tęskniły, zbyt mało go znały. Od źle żywionych, nędznych krów nawet mleka nie starczało. Drób to było coś, co się czasami zanosilo na targ. W ogóle jeśli w Studzianem zdarzała się kura w garnku, albo kura była bez-

nadziejnie chora, albo ktoś z rodziny umierający.

- Dołki robić! - matka podchodziła z żeliwną rynienką, jakby chciała przebłagać ich za tamto sute ojcowe śniadanie, którego im odmawiała.

Skwapliwie drążyli jamki w kartoflach. Do wgłębień matka kładła po skwarce z kroplą omasty. Dzieci wodziły oczyma za jej ręką, porównywały wielkość skwarek. Nowa dawno odeszła z domu, lecz ilekroć szczególnie mocno dawał się we znaki niedostatek, co zdarzało się

125

często podczas wielkomiejskich szkolnych lat, przypominał jej się matczyne rondelki. Wspominała go i teraz głodna, nad półmiskami pełnymi cudzoziemskiego jedzenia. Kelner podaje maleńkie, na brąz zrumienione ptaszki otulone płatkami przypieczonej słoniny. Nowa uważnie oddziela kruszącą się, wytopioną okrasę, wyluskane z niej tuszki pozostawia na tacy. Nawet gdyby nie postanowienie wstrzemięźliwości, nie mogłaby ich tknąć. Wydają się trupkami wronich piskląt wypadłych z gniazda. Mdli ją sam widok miniaturowych zezwłoków i wstydzi się swojego nieobycia.

Trochę z tego nieobycia, trochę z nieśmiałości, trochę ze strachu przed Szefem, nie protestuje kiedy Pan resztę kolacji każe podać na osobności. Boi się go obrazić, nie umie zręcznie wykręcić, nie znajduje powodu, czy chociażby pozoru do odmowy, skoro Pan zachowuje się grzecznie i nie posyła rąk, jak męskie poufałości zwykły określać dziewczyny w jej wsi.

- Odpocznijmy sobie od innych - Pan ruchem dłoni ogarnia salę wraz ze striptizerką zdejmującą z siebie zminiaturyzowane ubranie, i ceremonialnie podaje Nowej rękę, żeby się mogła wesprzeć na jego ramieniu.

Nowa myśli o nim z cieniem sympatii. Pan zachowuje się elegancko, traktuje ją jak Damę. Wyobrażenie o Damach Nowa czerpie z kina. Damy widywała na starych filmach z Marleną Dietrich, Gretą Garbo i Jadwigą Smosarską.

Powściągliwość Pana znika, gdy zostają sami. Nowa w zaciętym milczeniu odsuwa jego dłonie mnożące się jak macki ośmiornicy. Umyka łakomym ustom, które zda się chcą ją pożreć jak pożerały martwe pisklęta, surowe małże, plemiona ryb, homarów, langust. Zdesperowana zrywa z nogi pantofel i pomaga sobie szpilkowym obcasem.

- Nie jestem ostrygą!

Stracona w szamotaninie butelka broczy koniakiem, podeszwy ślizgają się po rozgniecionym serze, rozdeptane winogrona ronią sok, który wsiąka w dywan wraz z kroplami krwi skapującej z czoła Pana.

126

Nowa w podartych szyfonach, bosy wybiega na kory-

tarz. Na górę śpieszy SzeF. Własnoręcznie opatruje pla-  
strem rozciętą brew gościa. Rana nie jest groźna, ale stłu-  
czenie rośnie niby ciasto, zagarnia oczodół, oko wyziera  
przez szparę między obrzękniętymi powiekami.

- Odchodzę stąd! - krzyczy Nowa. Strzępy przezroczy-  
stego jedwabiu wyglądają jak smuga dymu, która ulatuje  
owionąwszy na chwilę jej nagość.

SzeF jej nie zauważa, towarzyszący mu Kicia likwiduje  
zajście. Nowa czuje na ustach ciężką dłoń, jakaś siła  
podrywa ją jak szmacianą lalkę i ciska do pokoju, kopnię-  
ciem zamykając drzwi.

-Jeśli cię jeszcze usłyszę, rozsmaruję jak ten roquefort  
na dywanie.

Nowa podnosi się z podłogi, wokół walają się rozdepta-  
ne desery. Słychać cichy zgrzyt naoliwionego zatrzasku.  
Zamknięto ją na klucz.

Jeszcze nazajutrz SzeF jest wściekły. Zamiast pojechać  
nad zatokę, gdzie ma bungalow i żaglówkę białą niczym  
panna młoda, zamiast spokoju i morza w towarzystwie  
dobrze wychowanej żony, musi poskramiać idiotkę, która  
w mówiła sobie, że jest artystką. Wielki Boże! Jak go  
śmiertelnie nudzą te głupie dziwki. Jednak proponuje  
przymierze.

Jakież może być przymierze, skoro brakuje nawet  
wspólnego języka w przenośni i dosłownie. SzeF wygłasza  
swoją zwykłą w takich okolicznościach przemowę, Nowa  
rozumie co któreś słowo, więc przestaje słuchać, tylko  
w pomięci układa co sama zamierza powiedzieć.

- Godziłam się na pieśniarkę, nie na prostytutkę - za-  
czyna Nowa kalecząc niemiłosiernie francuski i wstydzi  
się swej naiwności.

- Godziłaś się spełniać wszystkie nasze warunki - SzeF  
stosuje zwykły szantaż.

- Nie myślałam...

- Bez znaczenia co myślałaś. Faktem jest kontrakt. Te-  
raz sobie rozważ, czas masz do wieczora - mówi na od-  
chodnym SzeF.

127

Nowa nasłuchuje. Cisza. Nie dobiegł chrobot klucza.

Czyżby jej nie zamknięto? Odczekuje dobrą chwilę  
i ostrożnie naciska klamkę. Drzwi ustępują.

Uciekać!

Poczekaj do zmiernych. O tej porze w sieni nie ma na-  
wet odźwiernego. Jeśli wrota na dole będą zamknięte, wy-  
tłucze w nich szybę. Nie wie, że szkło jest pancerne, wszy-  
stkowidzący portier siedzi w dyżurce zamaskowanej lu-  
strami, a drzwi otworzą się bez ich forsowania. Nikt nie  
ma zamiaru blokować przejścia., chociaż nietrudno prze-  
widzieć jak się zachowa niepokorna Lalka. Ale niechaj na-  
bierze wody do uszu, niechaj pozna wszechmoc firmy, od

której się uzależniła.

Nowa nie zna języka, nie ma dokumentów, nie ma pieniędzy nawet tyle aby uzyskać połączenie telefoniczne i ani jednego znajomego człowieka, który byłby gotów pomóc, zupełnie zdana na siebie w nieznanym cudzoziemskim mieście, ale jest przekonana, że poradzi sobie, byle tylko znalazła się poza Klubem.

W ściennym schowku spełniającym rolę garderoby i maskującym drzwi do łazienki, szuka odpowiedniego ubrania. Jak zeschnięte oprzędy, które dawno opuściło życie, zwisa z ramiączek kilka przejrzystych jedwabi. Bez śladu znikł ekwipunek w jakim tu przyjechała. Poza tym nic, w czym bez zwrócenia uwagi mogłaby wyjść na ulicę.

Pułapka. Dała się schwytać jak głodna mysz.

Płacze z twarzą w poduszce ofiara marzeń o pieniądzach, szybkiej karierze, zagranicznej sławie, bogatym małżeństwie, dopóki bezradność, zmęczenie i nieprzespana noc nie omotają głowy. Nie wie kiedy sen zamyka powieki, osusza łyzy i przynosi zapomnienie.

Nikt do niej nie zagląda. Nikt nie przynosi ani nie woła na obiad. Budzi się jednak z nastaniem zmroku jak z uderzeniem niewidzialnego zegara i już wie jak się ubierze.

Zakłada jeden na drugi wszystkie szyfony znalezione w szafie, na wierzch naciąga obszerną tunikę. Przez kilka warstw tkaniny ciało nie prześwieca, a ogólny efekt nie

128  
jest bardziej ekstrawagancki niż ubiory młodych dziewczyn wieczornej Genui.

Ucieczka przebiega według schematu.

Rano, po nocy w komisariacie, Szeff przywozi Nową z powrotem. Znów trafia do znanego pokoju i jest tak jakby nigdy go nie opuszczała. Dostaje śniadanie i dowiaduje się o ile wzrosło jej zadłużenie względem Klubu. Wieczorem schodzi na dół, śpiewa przewidziane programem piosenki, nie reaguje na zaproszenia gości, natychmiast po każdym występie opuszcza salon restauracyjny. Czuje się zwycięska, zdecydowana trwać w swym postanowieniu, jest przecież artystką.

Rozejm trwa kilka dni.

Wreszcie Szeff traci cierpliwość. Posyła goryla. Przypadek zrządza, że trafia na Silenzia. Zwyczajnie, miał tego dnia dyżur jako ochroniarz a nie portier.

Silenzio bez zarzutu wypełnia swe obowiązki, poskramia zbuntowane Lalki, ale Nowej nie może tknąć.

Zobaczył ją jedynie raz przez szczelinę w portierze i zapamiętał jakby widywał co dzień. Co tam zapamiętał!

Nosi ją wewnątrz siebie. Zakazał sobie myśleć o niej, a myślał. Nie wypytywał o nią nikogo, a wiedział o niej wszystko. Czar na niego rzuciła, nie jest w stanie jej

uderzyć. Po prostu nie. I po raz pierwszy Silenzio sprzeniewierza się Szefowi.

- Nic nie mów, mogą podsłuchiwać, rób co każe, krzycz. Krzycz głośno jakbyś brała baty! - korzysta z jej zdumienia i odciąga w najdalszy kąt od miejsca gdzie mieści się mikrofon.

- Zawsze podsłuchują, po co?

- Nie zawsze, tylko wtedy gdy im zależy-

- Potworne.

- Krzycz. Muszę cię bić, więc krzycz. Nie bój się, będę udawał.

- Pomóż mi, też jesteś z Polski.

- Nie mogę. Podnieś wrzask, ale już! Inaczej wrzepię naprawdę.

- Aaa...

129

- Ty, artystka, nie śpiewaj tylko głośno cierp, jak bity człowiek. Nie mam zamiaru stracić miejsca przez moje dobre serce.

- Jak ci na imię?

- Zamknij się, jeśli nie przestaniesz gadać, naprawdę przyleję! - Silenzio już ze złością tłucze poduszkę, na której rozpostarł wilgotne płótno. Ma żal do Nowej. Podaj takiej palec, chce całą rękę. Przeszkadza mu liczyć uderzenia, ilość określoną przez Szefa. Nie mniej i nie więcej. Szef wie ile może znieść przeciętna Lalka, bez większej szkody na ciele.

O ciało tutaj się dba.

Co ona sobie myśli. Na patriotyzm go bierze. Powiada jesteś Polakiem.

I co z tego? Oczekuje, że on założy partyzantkę w burdelu żeby ją uwolnić, czy jak? Lala malowana i tak zawi-chrzyła mu głowę. Zamiast pilnować z czego ma chleb, zrobił się z niego chwiej, co nie może na zwyczajną zdziwę ręki podnieść, zadała mu czego? Przecież to zupełnie cudza kobieta, do tego Lalka. Nic mu nie przyjdzie z litowania się nad nią. Jej także niewiele. Jeśli się będzie upierała, przyślą innego i taki Kicia prędko wybije z niej fanaberie. Nie jest wytrzymała na ból, gołym okiem widać.

- Pomóż - Nowa wyciąga ręce do Silenzia, koniec spadającego rzemienia owija się o jej ramię, czerwona pręga wypelza na powierzchnię skóry i Nowa już nie udaje gdy krzyczy jak i inne. Wszystkie bite krzyczą w tym samym języku, w języku cierpienia i jest to mowa zrozumiała przez wszystkich.

- Putta! - złości się Silenzio.

Przez nią sknocił robotę, nie skrepowana, niespodziewanie poddała uderzeniu. Teraz płacze skulona, pewno myśli, że zdzielił naumyślnie. Niech myśli, może i lepiej, nie będzie skamlała o pomoc. A znowu Szef pewno się

wścieknie, gdy usłyszy o niezręczności Silenzia. Szef nie znosi kiedy się lalce zepsuje skórę. Uszkodzona skóra obniża wartość, wyłącza Lalę z pracy. Gotów mu potraćić za wszystkie dni, póki nie zniknie ślad z ramienia Nowej.

130

I bardzo dobrze, ma nauczkę, żeby na przyszłość nie był taki litościwy.

Nie ma tego złego co by na dobre się nie obróciło. o spartaczeniu ręki Nowej, Szef już do niej Silenzia nie pošle, tylko kogoś innego, najpewniej Kicię. Tamten raz, dwa złamie jej upór i wszystko powróci do normy- Nie wiadomo dlaczego perspektywa powrotu Nowej do normy wcale nie cieszy Silenzia.

Sam nie wiesz czego chcesz, sam nie wiesz w co ci ciepło, wypomina sobie Silenzio. Wlecze się noga za nogą, nieśpieszno mu przed oblicze Szefa.

- Uszkodziłem Nową - duka z oczyma wbitymi w podłogę.- Nie bardzo, ale widać. Trzeba trochę poczekać, żeby zeszło. Potrać pan z tygodniówki?

- To twoja krajanka. Rozmawiałaś z nią?

- Nie było polecenia - Silenzio wlepia oczy w Szefa.

Szef patrzy na Silenzia tym swoim mylącym spojrzeniem jakby był zaprzątnięty czym innym i nie bardzo wiedział co się do niego mówi. Pewno słuchał, po to są te sztuczki w ścianach. I czego się dosłuchał? Niczego. Szef przyswoił najwyżej kilka polskich słów. Jednak rozumie czy nie, niedobrze jeśli w ogóle dowiedział się o niesubordynacji Silenzia. Jaki człowiek głupi. Po co rfla to było, żaluje Silenzio. Rozterka nie odzwierciedla się na jego twarzy, wciąż gości na niej ten sam wyraz tępej krzepy, zadowolonego z siebie mięśniowca.

- Na przyszłość uważaj - Szef udziela absolutorium.

- Ja zawsze - Silenzia aż skręca z ochoty usłużenia Szefowi.

- Nienawidzę psucia Lalek, ale tym razem nie zapłacisz kary.

- Tak jest, Szefie!

Poszło bokiem, tamten się nawet nie domyśla sprzeniewierzenia Silenzia. Nic się nie stało, nic się nie wydarzyło. Szef ufa jemu jak przedtem i nie ujmie ani grosza z zasług. Całą istotę Silenzia wypełnia przywiązanie do Szefa, zalewa ciepła fala wdzięczności. Jakież jest dobre ten jego Szef. Ma wzgląd dla oddanego czło-

131

wieka. Silenzio czuje się znów przywrócony do stanu łaski.

Błogość przelewa się w Silenzium, chciałby dla Szefa uczynić coś naprawdę wielkiego, żeby wiedział jak wierne go ma pracownika. A już z całą pewnością nigdy więcej Silenzio nie będzie osłaniał żadnej Lalki. I skąd do niego ta

miętkość. Też pomysł, aby nie wyłoić Lalki, gdy kazano. Teraz nadziwić się nie może własnej zuchwałości. i tylko gdzieś zepchnięte, stłamszone, denerwujące: a taki jej nie uderzę, upiera się w Silenzium na przekór całej lojalności i oddaniu Szefowi.

7.

Chata Anieli Garnarczowej potrzebowała ratunku. Gagnek rzezany w ażury jak z koronki chylił się ku upadkowi, gonty skruszone przez czas odsłaniały żebra dachowej więźby, kalenica załamana przez pół wołała pomocy, wołała pomocy rzeźbione w kwiaty okiennice, nadproża i nadokienne węgary.

Nad grządką z ledwo wyszłymi z ziemi listkami sałaty wyprostowała się kobieta z warkoczem szpakowatych włosów upiętych w kok. Osłoniwszy oczy daszkiem z dłoni przyjrzała się Obcej. Tak Nasta po raz pierwszy zobaczyła Anielę i jej obejście na skraju wsi.

- Daleko do dworu?

- O, jeszcze dobry kawałek.

Proszę, niechaj wejdzie, odpocznie, pewno zdrożona.

Upał dzisiaj lipcowy, chociaż dopiero połowa maja. Mleka się napije, czy kompotu? Jest z suszonego derenia i jeżyn.

Z Gawry jedzie? Proszę do mieszkania. Zje pierogów z podrobowym farszem? Żaden kłopot. W szabaśniku gorące stoją, bo wnuczki tylko patrzeć ze szkoły. A odmawiać gościny się nie godzi.

Pierogi okazały się nadzwyczaj dobre.

- Po co do dworskiej ruiny idzie, można wiedzieć?

- Miejsca na osiedlenie szukam.

Nawet wtedy jeszcze Nasta poważnie nie myślała o kupieniu pozostałości z dawnej pańskiej siedziby. Chciała zwyczajnego domu. Parterowego, wtopionego w naturę. Taki jest światowy trend. Kogo stać ucieka z pięter, ucieka z miasta. Ją było stać.

W najdawniejszej młodości, kiedy dokuczili ludzie, bieda i zależność, roiła o znaczeniu, pieniądzach, swobodzie. Gdy to wszystko zdobędzie w jakimś wielkim mieście, powróci i jak kamieniem ciśnie w nich swoim bogactwem, pozycją, światowym szlifem. Uderzy jak kamieniem tych co ją krzywdzili i tych co wyśmiewali jej ojca, i tych pamiętających ją ubogą, poniżaną, zawsze głodną, i tych raniących obojętnością i tych obdarzających jak skibką czerstwego chleba, cienko odmierzoną przyjaźnią.

Kiedy wszystko spełniło się bardziej niż sięgały marzenia, kiedy jej sztuka zapełniać zaczęła do ostatniego miejsca najslynniejsze sale koncertowe, kiedy jej imię podobne imionom królów zaczęło obywać się bez nazwiska, gdy jej majątek rósł z dnia na dzień przewyższając wszelkie oczekiwania, przestało jej zależeć. Wyblakła gorycz poprzednich upokorzeń, pozaprzeszłej nienawiści, poza-

przeszłej skąpo wydzielanej sympatii. W dalekiej przeszłości zastygły bliskie kiedyś strony i ludzie, wypłowił stary pejzaż już niebudzący żywszych uczuć.

Zerwały się więzi rodzinne.

Od lat nie widywała nikogo ze swoich. Raz do roku pisywała karty z okolicznościowymi pozdrowieniami i przekazy pieniężne. Oni także pisali rzadko, ze źle skrywaną urazą. Nigdy ich u siebie nie gościła i pomijała milczeniem przymawianie się o zagraniczne zaproszenia. Uważali sławną siostrę za skąpą, nieużytą, egoistkę.

W swoich listach nie wspominali o Idiocie. Tak nazywali Piotra, najmłodszego z rodzeństwa i niemal nie pamiętano jego imienia. W dzieciństwie miał wielką głowę na szyi cienkiej jak łęt kartoflany wyrosły w jamie do kopcowania ziemniaków, blady, pnący się ku światłu. Chwiała się ta głowa na kruchej łodydze, za wielka i za ciężka dla wątłego ciała i kończyn wiotkich niby rokitowe witki.

132

133

Przez długi czas poruszał się jeżdżąc zadkiem po ziemi.

Trzeba mu było kilku lat by dźwignął się na czworaki. Tylko matka rozróżniała jego bełkot, on nie zawsze rozumiał co się do niego, mówi, ale jedzenie wytropił lepiej niż pies i nie poddawał się żadnym rygorom.

Ten brat to był drażliwy temat. Nigdy na niego nie łożyli, grzebali pod solidarnym milczeniem, żeby nie przypominać Naście ciężaru jego utrzymania. Jakby się zawzięła mogłaby zażądać ich udziału w świadczeniach, albo uchwaj Boże, przejęcia nad nim opieki, a może i rozliczenia z przynależnej mu części ziemi.

Teraz nawet nie pomyślała o rodzinnych stronach, tylko o Sarniej. Lecz dopiero tutaj zdała sobie sprawę, że wybór miejsca dokonał się w niej na długo przedtem, zanim zapragnęła osiąść na własnym. Nic nie wiedząc nosiła w sobie obraz Puszczy, słonecznych stoków zarośniętych malinami, Rzeki rwącej na przełomie pośród pagórów moreny, znanych i bliskich przez nostalgiczne opowieści Silenzia. Przez ileż dni na Paryskim poddaszu ustawiając słupki bilonu, segregując banknoty odebrane automatom, wznosił dom z żywicznych bierwion zamknięty w wieniec, z gankiem i rzeźbionymi nadprożami, szczeliny utykał warkoczem z powróśla. Najpiękniejszy dom w Sarniej.

- Sam go zbuduję, niechaj się tylko dorobimy.

- A gdy się dorobimy i mysz u nas zamieszka, najtłuszczej mysz w Sarniej. Będzie chrobotać w schowku pod schodami pełnymi smolnych szczap i brzozonej kory na rozpałkę pod prawdziwą kaflową kuchnią.

- Myszy są szkudne, trzeba je tępić, łapki stawiać, a najlepiej przywabić łownego kota. Będziemy mieli łowne-

go kota - nigdy nie przestał urządzić się w swojej Puszczy. Ona przez ponad ćwierć wieku żyła jak nomada i nigdzie na świecie nie pragnęła osiąść na stałe. Dopiero teraz.

- Szukam kawałka ziemi, może pani sprzeda? - zaproponowała Anieli.

- Tyle mojego co siedlisko. I nie okroję go, bo sierocie przeznaczyłam, chociaż pieniądz potrzebny. Dom o reperunek krzyczy. Warst trzeba narządzić, krokwie dać nowe, blachę.

134

- Chata jest pod gontem.

- Gont dla mnie za drogi. Ale za remont jak się patrzy połowę domu w użytkowanie na kilka lat oddam, póki wnuczka nie dorośnie. Na wy wczas okrągły rok zdatny Latem chłodny, zimą ciepły. Drewniany, zdrowy. Drugie^ go takiego nie ma w Sarniej. Do skansenu chcieli.

Gdyby miała gdzie mieszkać, sprzedałaby do muzeum. Należy się domowi odetchnienie, jak dożywocie staremu człowiekowi. Wiekowy on, dwie wojny przeżył, od poci-sków ocalał, od pożarów ocalał, woda go nie zabrała, ponad setkę lat wytrwał. Dobrze tam miałyby jej dom. Opiekę by miał, starania i narzędzenie w razie potrzeby. Dy miał. Uważanie i chociaż tabliczkę na węgle pod okapern z napisem kto w nim żył i kiedy zmarł by miał. Pozostłby i świadczył o Anieli ojcach o ojców ojcach i Anieli bra\_ciach i mężu. Nie poszłyby w niepamięć ich imiona. Pomnik trwalszy od nagrobka.

Wszyscy zmarli Anieli leżą na cmentarzu w Gawrze.

Razem dziesięć mogił. Sześcioro już dostało krzyże i płyty z lastriko. Czwooro jeszcze pod darnią spoczywa, swojej kolei czeka. Co kilka lat, jak się Aniela spotęży, następny lastriko na grób otrzymuje. Wedle dawności śmierci.

Najpierw był dziadek. W wojnę, za wieś głowę położył. Drugi ojciec. Na podwodę przez Niemców wzięty wóz odżałował, ale konia nie mógł. Chciał wraz z dere-szem uciec, kula była szybsza. Osamotniony ogier z rąk grabieżczych umknął, wychudły i oszerszeniały do domu powrócił.

Jeden brat Anieli partyzantem poległ.

Drugi brat Anieli samogon do Grodziszczu woził. Z niemieckimi kolejarzami na przemysł mieniał. Pończochy perkal, norymberszczyzna, farby do partu i wełny, sacharyna. Po Puszczy gorzelnie dymiły, z początku naród kurzym pomiotem, karbidem destylat podprawiał aby palący był i moc udawał. Wówczas z metra razówki więcej wychodziło wyrobuL - Ale niedługo stało kombinacji z gównianą wódką. Tamci termometry przywieźli i bęc w sznaps wrażali, a tu trzydzieści sześć procent zamiast pięćdziesięciu

135

jak było umówione. Nie chcieli brać. Tak ludzie w Sarniej alkoholomierze poznali.

Kolejarze też z początku markierowali. Buty przywozili nic niewarte. Przy pierwszym chodzeniu podeszwy w nich przełamywały się na pół jakby zrobione ze szkła, chociaż wyglądały na skórzane.

- Ersatz - tłumaczyli.

Brat Anieli raz tylko na szklane obuwie dał się nabrać i z własnej kieszeni musiał szkodę ludziom naprawić. Brat Anieli własnego samogonu nie pędził. Samogon ziarna potrzebuje. Z czego miał brać, skoro ojciec na dworskiej dzierzawie pracował za trzeci snop. Brat Anieli był tylko wozakiem i za to dostawał swoją ordynarię. To było najniebezpieczniejsze z całego procederu. I w końcu sztrajfago zagarnęła sprzed rogatek miasta.

Garstką szarego prochu powrócił do domu drugi brat Anieli.

Trzeci brat Anieli uciekał z oblawy na wywózkę do Rzeszy. Oknem kuchennym wyskoczył, przez warzywnik przebiegł, do pierwszych drzew zabrakło paru metrów. Gdyby do lasu zdążył, byłby uratowany. Niemcy bali się w bory zapuszczać. Jeśli już, to zbrojno, rojno, ze sprzętem i zakładnikami. Na łapanie niewolników przyjeżdżały dwa, najwyżej trzy hanomagi ze szmajserami. I tylko ludzie po chałupach drżeli żeby jaki leśny oddział na Niemców się nie zasadził, wtedy wieś by spalili, ludzi wystrzelali, zaorali ślad.

Czwarty brat Anieli zginął milicjantem. W powiatowym plutonie operacyjnym służył w Grodziszczu, które wówczas było powiatem. Nocni go złapali, gwiazdę na żebrach wycięli i porzucili na śniegu tylko w spodniej bieliźnie. Miał dwadzieścia lat. Z nim jeszcze piętnastu wpadło w zasadzkę. Wtyczka pośród nich była, Nocnych zawiadamała o ruchach plutonu.

Przyjechał ksiądz-major, kapelan wojskowy z Grodziszcza, na cmentarz ich odprowadził, w mowie pożegnalnej nad trumnami przelewanie krwi bratniej mocno zganił, kainową zbrodnią nazwał. Wieczorem Nocni przyszli uka-

136  
rać księdza kapelana, ale go nie zastali, bo zaraz po pogrzebie zabrał się z Gawry do województwa.

Aniela pamiątki rodzinne dla wnuczki ochrania. Niechaj kiedyś dowie się skąd jej korzenie.

Za szkłem wiszą fotografie uszeregowane według starszeństwa. Wszystkie w jednej ramce. Najokazalsza przedstawia Anieli dziadka przed pierwszą wojną światową. Wtedy jeszcze nie był dziadkiem tylko młodym mężczyzną. Siedzi na wyplatanej kanapce w czarnym ubraniu, noga założona na nogę w wyblyszczonych cholewach, na kolanie przytrzymuje oburącz czapkę maciejówkę z lakierowanym daszkiem. Za nim sfałdowana tkanina przewiązana taśmą z chwostami, obok bukiet w wazonie na żardi-

nierze w kształcie kolumny.

Porządna robota. Trwała barwa. Na sztywnym kartonie pod spodem wypukło tłoczona złotą cyrylicą nazwa: Fotosalon Abel Sołowiejeczyk, 1901, Grodziszczce.

I tylko taki ślad pozostał po Ablu Sołowiejeczyku. Zaraz u początku drugiej wojny, gdy niemiecka armia od Prus nadciągnęła do Grodziszczca, Abła Sołowiejeczyka wraz z innymi Żydami spalono w Synagodze.

Na samym dole, w rogu ramki na ścianie u Anieli, ze zblakłego zdjęcia pocztówkowego formatu patrzył Silenzio. Silenzio, jakim go Nasta nigdy nie znała. Może dziesięcioletni. Ostrzyżony krótko, w ciemnym ubraniu, sznurowanych trzewikach, z wyłożonym kołnierzem koszuli, w białych skarpetkach i z białą chusteczką ze znakiem promieniającej hostii, przypiętą do piersi. W dłoni trzyma świecę z kokardą. Drugą rękę opuścił wzdłuż boku. Spogląda z dziecinnej twarzy znajomymi Naście oczyma, naburmuszony, a najpewniej onieśmielony obiektywem.

- Najmłodszy brat, od pierwszej komunii - objaśniła Aniela.

- Myślałam, że syn - kłamała Nasta.

- Jestem od niego starsza o dziewiętnaście lat. Urodził się po śmierci naszego ojca. Pogrobowiec. Kazimierz, przezywany Milczkiem. Bardziej znany wedle przezwiska, niżli chrzestnego imienia. Na wojnę, jak się mawiało o wyrost-

137  
kach, nie zdążył, nowej rzeczywistości nie ciekaw, nauki go nie ciągnęły, ani miastowe życie. Puszczę lubił, samopał lubił, polować lubił, chociaż zezwolenia nie miał.

Z jednym dewizowym myśliwym się zniósł i on go ze sobą zabrał do Italii. Przez jakiś czas co miesiąc listy i dolary przysyłał, później ustało. Po bogactwo w świat pojechał. Blisko trzydzieści lat, odkąd ni bogactwa, ni znaku życia.

Aniela posłała zapytanie do Włoch, odparli, że taki już nie pracuje i więcej nie odpowiedzieli na żaden list. Pisała do Czerwonego Krzyża, szukali lecz nie znaleźli. Zwróciła się do Wieszczyki co ze zdjęć czyta. Zawiozła fotografię od pierwszej komunii. Innej podobizny Milczka nie miała.

Wieszczyka ciężko i długo w transie się męczyła, musiała pokonać nie tylko oddalenie, ale i czas jaki upłynął między wiekiem Milczka z fotografii, a jego latami kiedy zaginął. Przez to nie rozeznała się wyraźnie w tym czego dosięgła jasnowidzeniem. Ujrzała tylko wielki ogień, płomienie trawiące niewyraźny kształt. Ale od tego miejsca ogarniętego pożogą donikąd się za Milczkiem nie przedarła i nie dostrzegła ni żywym ni umarłym.

Naście zabobonny strach pełźnie po krzyżu, gdy słyszy o owym niewiadomym kształcie ginącym w pożarze.

Oprócz Anieli z rodzeństwa pozostało dwoje. Brat i siostra. Nie mieszkają w Sarniej. Zaraz po wyzwoleniu na ziemię

odzyskane pociągęli i tam pola na własność pobrali. Pulchne niczym dobrze wypieczony chleb, ciemne jak razowiec, pszenicę rodzące. A gdy dziedziny w posiadanie objęli, dozór nowym sąsiadom zawierzyli, sami zaś do domu po schedę.

- Tobie i Milczkowi chata i siedlisko po połowie, ani siostra, ani ja pretensji do nieruchomości nie wnosimy. Matkę dochowasz, należna, jej siódma część, przy tobie pozostanie - rozporządził brat.

Matka najpierw rozpaczała, jak wyżyją we dwie z małym chłopcem zamiast mężczyzny. Potem kazała krewnych na świadków prosić, papier spisać i na krzyż przysięgać, że umowa jest dobrowolna i ostateczna. Nie odwiedzi im się i odbierać nie zechcą, a jak hipoteka w Grodziszczu wznowi urządowanie, wszystko w księdze wieczystej potwierdzą. Przysięgli, rodzinną ugodę podpisami przypieczętowali i w podziale rogaciznę wzięli. Całą. Dwie krowy, jedną starą a drugą od tamtej wywiedzioną, pierwiastkę. Obie cielne. Wszystko co miało ogon w wielkim poważaniu w on czas było, zwłaszcza bydło. Wybite, wyjedzone, na kontyngent przez Niemców wybierane, rabowane, rozrywane na minach, ginące pod kulami podczas przetaczających się frontów. A przecież Armia Czerwona, najpierw Wyzwolicielka później sojuszniczka i obie polskie: Tamtej Rzeczypospolitej i Rzeczypospolitej Ludowej, też powietrzem nie żyły. Do tego Leśni, najpierw partyzanci, później różni. Chłopie daj! Masz papierek, masz nasze słowo, Bóg zapłać, job twoju..., masz w morde, masz kolbą.

Na nowym rodzeństwo Anieli żadnych zwierząt domowych nie zastało. Na tę potrzebę w rzadkie rzeczy się zaoopatryli. Razem z nimi świeże słowo przyjechało: s z a b e r. Ale się w Sarniej nie przyjęło, w użyciu pozostały stare nazwania z dziesięciorga przykazań danych Mojżeszowi na Synaju.

Szaber - maszynę do szycia i sita pytlowe zdatne do wodnego młyna wymienili w Pohorze na żrebaka, jałówkę, dwie pary kur, gęsi i prosiaków. Sukę ze szczeniętami za Bóg zapłać dostali, bezpańskiego kota sami przywabili.

Na nowym, miejsce podobne. Rzeka i las. Ale obejścia murowane, w domach nawet statki gospodarskie, lecz ani żywej duszy, ni człowieczej ni zwierzęcej. Nawet kocię się o nogi nie otrze, kaczka nie zakwacze, kogut północy nie obwieści. Niczym po potopie. Straszno.

Jak Noe w swej arce, tak oni furką, w drabinki półkoszkami wymoszczoną, w konia pod duhą, pary zwierząt na pustą ziemię przeprawiali, poprzez fale ludzkie wędrujące ze wszystkich stron świata, we wszystkie strony świata.

- Teraz żeś panna z posagiem, męża bierz i życie z Bogiem - powiedział Brat na odjeźdźnym.

Łatwo powiedzieć, męża bierz. Dziewczyna męża nie wybierała, ją wybierali. A mężczyzn zdatnych do żeniacz-

ki brakowało. Jednych wytracili, drudzy się w cudze strony rozbiegli, jeszcze inni z wojowania nie zdążyli wrócić.

138

139

Daleko odbili od domu, na odległe gościńce z Armiami odeszli, krain i narodów po drodze napatrzyli zanim w ojczyste strony pociągnęli.

Cała Polska jak tabor cygański. Kto rowerem, ręcznym wózkiem, w konie, pociągiem, wołami i na własnych nogach, miejsca nowego szuka, do starego wraca, nie zastawszy domu ni bliskich, przed siebie idzie. A wszędzie młodych mężczyzn kobiety przyjąć gotowe. I przez to wszystko sarniej skim pannom trudno było o zamęście, w pokoleniu Anieli wiele bez pary posiwiato.

Aniela miała szczęście. Mąż jej się trafił jak się patrzy. Garncarza zza Gawry młodszy brat w rodzinie.

Z dawien dawna prawo niepisane tutaj takie było, że młodszy bracia chleba po świecie szli szukać, albo się nie żenili żeby i tak skąpych zagonów nie drobić. Młodszy Garncarz przyszedł do Anieli w przystępy, jak się w Sarniej mówi, gdy mąż osiada w domu żony.

Przeżyli blisko trzy dziesiątki lat, które teraz wydają się Anieli jednym dniem. Dobrego zawsze za mało. Mąż ją szanował. Pomyślnie im się wiodło. Ile by ładyszek, dzbanów i innych statków nie wypalili, miesiąc w miesiąc na jarmarku w Grodziszczu do ostatniej skorupki sprzedawali.

Gliniany garnek z polewą dobry na wodę, na mleko, zsiadłe i słodkie, na śmietanę, barszcz i serwatkę i na maślanekę dobry, na kwiaty, na kwas i na smażone borówki. Mąż Anieli wiódł się z Garncarzy z ojca na syna biorących rzemiosło. Ale oni następcy nie doczekali. Same córki im się rodziły. A kobiety, wiadomo, w ciało i krew oblekają szczep męża. Nie, tradycja garncarska na nim się nie skończyła. Teraz, już synowie synowców koło garncarskie obracają w rodzinnej wsi męża Anieli. Widać nie było pisane żeby się w Sarniej ród zaprowadził.

Córki Anieli wszystkie z domu poszły. Dwie za rolników. Jeszcze za pokolenia Anieli panny bez ziemi w posagu nie miały co marzyć o zamęściu. Teraz rodziciele kawalera nawet o wyprawę nie pytają. Już też nie tyle stoją o darmową robotnicę, ile żeby syn sam nie pozostał kiedy oni oczy zamkną. I do wnuków tęsknią, chcieliby jeszcze

140

zielone pędy własnej gałęzi zobaczyć, a nie jak uschłe drzewo życia dokonać. A bez kobiety ni wnuków, ni domu i mężczyzna marnieje i gospodarstwo czeźnie.

Trzecia córka Anieli wyszła za mąż do Gawry, za urzędnika w Geesie. Mąż porzucił ją z małym dzieckiem, wyjechał do Grodziszczu i z inną kobietą się związał. Po odejściu męża, córka Anieli przywiozła małą do matki, sama

do pracy w spółdzielni poszła. W każdą niedzielę przyjeżdżała do Sarniej na motorowerze.

Zachorowała u matki. Coś jej się w głowie porobiło.

Pewno ze zgryzoty i przeziębienia, a pogotowie wezwane rano zjawilo się wieczorem. Doktor dyżurny kazał sobie przez telefon opowiedzieć co jej dolega i orzekł, że przypadek nie pierwszej kolejności. Podobno objawy okazały się nietypowe, tak później w dokumencie napisano. Typowe czy nie, córka Anieli umarła na zapalenie opon mózgowych.

Asia miała trochę więcej niż rok.

Aniela dziecka nikomu nie oddała. Zresztą, nikt go jej nie odbierał. Rodzina rada obowiązku na siebie nie brać.

Córki Anieli swoje dzieci mają, nie pilno im było sierotą się obarczać. Nie, nie są nieczule, dobre są córki Anieli. Jakby musiały siostrzenicę wziąć, wzięłyby.

Spółdzielnia, gdzie pracowała nieboszczka córka Anieli, znalazła się nad podziw. Aż się Aniela popłakała. Właśną osobą dyrektor ze starszym Rady Zakładowej przywieźli książeczkę mieszkaniową ufundowaną Asi przez ich firmę. Załatwili, też sami ze siebie, rentę po matce dla małej. Aniela ominęło chodzenie po urzędach od Annasza do Kajfasza, dokąd niełatwo z Sarniej się wydostać, jak się nie ma nawet roweru. Później Aniela na motorowerze, co po córce pozostał jeździć się nauczyła.

- Chociaż dyrektory, przecież ludzkie ludzie - chwaliła Aniela szefów nieboszczki.

Co prawda, to prawda. Przecież nie musieli osobiście, starczyłoby jakiego urzędnika pomniejszej rangi posłać. A on jeszcze na odjezdnym, że jak dziecko podrośnie, to i na kolonie i w ogóle jeśli jaka bieda małej będzie doskwierać do nich jak w dym, pomogą. Na choinkę co roku

141

zaproszenie przysyłają, a jak się Aniela z wnuka nie wybierze, różnie zimą bywa, paczkę mikołajową do Sarniej przysyłają.

Wiktor Boguszów gminę uczulił i urząd z pomocą pospieszył.

Aniela nawet nie zaczęła starań. Nic nie wiedziała o państwowej pomocy, A tymczasem przyszedł do niej gminny opiekun społeczny, druk wyjmuje i powiada.

- Zrobimy papier żeby was, Garnarczowa, za rodzinę zastępczą Asi załapać, dostaniecie ekwiwalent wychowawczy. Tysiąc trzysta złotych co miesiąc na rękę. Minister Bogusz o was się upomniał.

- Jestem jej rodzona babka, nie żadna zastępcza! - obruszyła się Aniela.

- To się tylko tak nazywa w urzędowej nomenklaturze.

- Nie zbędę się mojego prawa za miskę soczewicy.

Nikt jej pokrewieństwa nie zaprzecza, państwo woli żeby sierotami opiekowały się rodziny, bo w rodzinie dzie-

ciom najlepiej, a zwłaszcza u rodzonej babki.

- Co państwo za to bierze?

- Nic.

Społeczna pomoc losowo pokrzywdzonym dzieciom.

Radził się zastanowić i pozostawił druk.

Zabił Anieli ćwieka.

Tysiąc trzysta złotych nie lada grosz. I to za nic. Człowiek może sobie leżeć, pluć i łapać, w sufit patrzeć, deszcz czy pogoda, miesiąc w miesiąc przez okrągły rok, tyle pieniędzy za darmo. Państwo daje! I właśnie owo dawanie nie budziło zaufania. Aniela nie pamięta, żeby państwo dawało. I za starej i za nowej Polski państwu się świadczy szarwarki, obowiązkowe dostawy, ubezpieczenia, podatki takie, siakie, fajerkasa, ale żeby państwo?

Owszem, były nadzieje ziemi po wyzwoleniu.

Majątek sarniejskiego pana opierał się na gospodarce lasem i hodowli. Należały doń ogromne połacie Puszczy i pastwiska. Ziemie orne piaszczyste i w kawałkach wypożyczano w dzierżawę za trzeci snop. Dwie trzecie plonu prosto z pola zabierał dwór swoimi siłami i sprzężajem. Taka ugoda, najczęściej wieloletnia, w Sarniej kipiącej wówczas od nadmiaru rąk, uchodziła za szańca, czyli nadzwyczajną okazję, a ludzi osiadłych na owych aren-dach uważano za szczęściarzy.

Bory i łąki, przeważnie śródleśne polany, upaństwowiono, weszły w skład sarniejskiego masywu, orne grunta oddano pod parcelację, tyle że nie bardzo było komu brać, ludzie się nie kwapili. Prawda, duży był upust krwi i siły ludzkiej, jak z otwartej tętnicy wyciekała moc wsi, ale ci co przeżyli i pozostali, też nie cierpieli na nadmiar, jednak nie śpieszyli po nadzieje.

Ociąkali się, trochę ze strachu przed Nocnymi, siedzącymi w Puszczy, ale przede wszystkim nie wierzyli w darmowe.

Składać grosz do grosza, zrywać się dla tego grosza w zwózce i cięciu drzewa, zimą wraz z koniem, bez dnia odpoczynku, od szarówki po szarówkę i za kilka lat dokupić zagon. To jest własne, ale dane z pańskiego, za nic? Podejrzane.

Najstarsi ludzie nie pamiętają żeby ziemię rozdawano.

I ta niepokojąca myśl. Jeśli jednym papierem można odebrać własność dziedzicowi, to im, sarniejskim ludziom, też można. Bali się nacjonalizacji. Ale pola przeznaczone do rozdania kuśiły. No to niektórzy się uchyl-trzyli. Pobrali nadzieje i zapłacili Sarniejskiemu panu. Inni nie wzięli darmowego, ale kupili upatrzony kawałek upaństwowionego lasu i łąk z określeniem terminu użytkowania: jak się coś odmieni.

Sarniejski pan, trzeba oddać sprawiedliwość, uprzedał. Takie czasy mogą się nie zdarzyć nawet ich prawnukom, więc on im nie radzi, ale jeśli mimo to chcą, chętnie ziemię sprzeda, bo on z pewnością nie doczeka

zwrotu majątności.

Nabywcy przyprowadzili zaufanych krewnych na świadków i spisywano papier. Przysięgano na krucyfiks i kładziono podpisy, gdzie w miejscu nowego właściciela nie tak znowu rzadko, widniały trzy krzyżyki i odcisk sękatego kciuka. Sędziwy sarniejski pan miał z czego dożywać w Grodziszczu, dokąd się przeniósł po usunięciu ze dworu. Ludzie, którzy wzięli nadziały już orali swoje pola i mieli się

142

143

czym wykazać przed Nocnymi, a ci czekający na odmianę hołubili w sobie ciepłe uczucie prawdziwego posiadania. Wszyscy z jednakowo nabożną uwagą składali owe akty własności i w największej tajemnicy chowali na dno kufra. Wiele domów w Sarniej skrywało podobny sekret. Niektórzy obdarzyli zaufaniem tych samych świadków i doradców, jednak wiadomość o owych transakcjach nie dostała się poza opłotki wsi.

W czterdzieści lat później ich wnukowie, zdarzało się prawnukowie, jeden dyrektor, docent, inżynier żeby wymienić najznamienitszych, bywali po zagranicach, po kurtortach, z własnymi samochodami i willami, gdy dowiadawali się o puściźnie po przodkach, jaką na dnie tych samych skrzyń pieczołowicie przechowywali rodzice, w ogóle nie chcieli słuchać ani oglądać dokumentu. Wstydzili się, od ciemnych kmiotków dziadka czy pradziada wyzywali.

Tylko jeden wziął papier i powiedział, że jest cennym przyczynkiem do dziejów najnowszych narodu, ale po pierwsze: on jest już pra-pra wnuk, po wtóre: student. I nie studiuje nic praktycznego, skąd byłby później pieniądz, tylko historię, to czym on może być, no czym? Nauczycielem?

Z nauczycielowania nie spotęży się na domek letniskowy, zagraniczne auto, nie pojedzie na wycieczkę gdzieś na kraj świata, nawet nie kupi sobie rasowego psa za kilkadziesiąt tysięcy, po jakichś nadzwyczajnych angielskich albo afgańskich przodkach. A chociaż uczyli i docenta i dyrektora i inżyniera, oni robią wszystko żeby ich dzieci nie pokierowały się na pedagogów. Chyba że głąby, wtedy wola boska, niechaj idą w bakałarze, skoro za słabe głowy na dochrapanie się czegoś lepszego.

Ci co kupowali ziemię na: jak się coś odmieni, wyszli na dudków, lecz ci, co rozliczyli się z sarniejskim Panem i wzięli z dekretu za Bóg zapłać, musieli się z Państwem obrachować. Po latach oszacowano rozdane grunta i prawda, w ratach, ale kazano płacić. Kto nie mógł albo zalegał, fora ze dwora. Tak Państwo nie uszanowało własnego słowa, żądając pieniędzy za darowane.

Nie zanadto to ludzi zaskoczyło, bo nigdy nie wierzyli w darmowe. Jeśli więc wykupywać nadziały i walczyć

o klasę, żeby dostać piątą lub szóstą, czyli najtaniej. Po prawdzie, takie były te grunta, rzadko zdarzał się kęs pszennego zagona, lecz na wszelki wypadek suto skarbio życzliwość klasyfikatorów, by ocenili wedle najniższej stawki. Kiedy wszystko zostało uiszczone, kiedy wzięli ostatni kwit dopiero poczuli jakby naprawdę brali owe pola w posiadanie.

Odeszło już to pokolenie. Gdzieniedzie jeszcze jaki długowieczny uparcie życia się trzyma. Niełatwe to życie, gwałtownie odmienione za czas dany jednej generacji. Odbiegli młodzi, po miastach się urządzili, ziemia, za którą ojcowie zaprzędawali duszę, zrywali siły, za którą nienawidzili, procesowali, bywało zabijali rodzeni bracia, dla której kłamali i nie ulękli krzywo przysięgać, dla której żenili się z niekochanymi kobietami, ta sama ziemia żywicielka przestała obchodzić synów inaczej, niż jako wartość samochodu, mebli i działki pod letni dom.

Wbrew naturze.

Jeszcze bardziej, wbrew naturze wydało im się to, jak postąpili sami. Zanim nie obezwładniła ich starość nigdy nie pomyśleli, że tymi samymi rękoma, jakimi brali oddadzą rolę za srebrniki. Homo duplex. Dwoiści. Rozszczepieni między żalem po swoich polach, a koniecznością oddania za rentę. Niezależne dożywocie małe bo małe lecz własne, a nie łaskawy glonek u dzieci.

Sami w czterech ścianach dni dożywają, przeważnie o chlebie drobionym w gorące mleko, kupowane u sąsiada. Sami już niczego nie hodują. Mocy nie ma, potrzeby nie ma, celu nie ma.

Chorują. Chorują na choroby starości, ze sterania, z marnego jadła. Chorują, na brak sił, na brak zajęcia, na nieważność swojego istnienia. W gawrzańskim szpitalu nikt się nimi nie przejmuje. Dla wieku produkcyjnego, jak teraz w urzędowej mowie nazywają ludzi młodych, leków, łóżek, opieki brakuje. Stary się nażył, pora umierać, miejsce młodszym robić.

144

145

Umierają cicho, pokornie, oszczędzając innym wydatków, trochę tylko zdziwieni jak szybko przeminęli. Zanim jednak zamkną oczy na zawsze, w pustkę wyludnionej chaty spadają ich dzieci i rwą resztki ubogiej schedy. Pilnie dbają, by starzy zdążyli bodaj stygnącą ręką, postawić trzy krzyżyki na swoim ostatnim dziedzictwie.

Powinowata Anieli z Pohory usiąść już nie mogła, ale podparta w łóżku poduszką i troskliwym synowskim ramieniem zebrała siły i papier opatrzyła podpisem. Wart był cenę nowego traktora.

Anieli mąż nie wziął ziemi. Wieczna zgryzota, niepewność i trud nieludzki, mówił. Chata, siedlisko, na

nim tyle zagona żeby starczyło pod kartofle rodzinie i świniakowi, na miejsce dla gruszy, jabłunki i ławki w cieniu topoli, na dwa pszczele pnie, budę dla psa i piec do wypalania ładyszek.

Anieli mąż ufał tylko swojemu rzemiosłu. Dorośnie Milczek najmłodszy brat Anieli i sięgnie po ojcowiznę, albo wysiedła? Weźmie swoje koło garncarskie, weźmie żonę i dzieci, psa, owad boży i pójdzie gdzie jest glina. Ludzie wszędzie potrzebują polewanych dzbanów. I będą potrzebowali zawsze. Nawet wtedy, a może i bardziej, gdy już wszystko za nich zrobią maszyny.

Artysta.

Miał swoją rację nieboszczyk mąż Anieli. Ale gdyby inni roli nie uprawiali i jego kunszt niezdąłby się na wiele. Jedna nacja drugą wspiera, jedna drugą żywi. Jawi się Anieli jak gładko splecione słomiane powrósło. Powiązane łożą przekształca się w statki do przechowywania zboża. Parę naderwanych źdźbeł, uszkodzona rokitowa witka, zakłócają wzajemną zależność, burzą harmonię, naczynie roni strumień ziarna.

Gdyby mąż Anieli wziął nadzieję, albo kupił chociaż kawałek pola, teraz Aniela oddałaby państwu za rentę. Nie musiałaby prosić o robotę na letnich koloniach, albo dorabiać zbieractwem, i nie miałaby wahań: podpisać papier, czy nie podpisać, za te tysiąc trzysta złotych. Poradzić się kogo nie poszłaby za nic na świecie, żeby nie po-

146  
wiedzieli o niej, ciemna baba, bo przecież to wsparcie sieroce podobne trochę do renty.

Wola boska!

Podpisała dokument. Nie ma prawa pozbawiać dziecka takich pieniędzy. Później się sama ze siebie śmiała. Prawda, przychodziła inspektorka. Sprawdziała czy jest czysto, czy dziecko niezamorzone, czy nie ma wszawicy, czy dobrze traktowane, czy nie musi patrzeć na zły przykład starszych. Aniela nie czuła się urażona. Państwo oczy posyła, chcąc rozeznaczyć czy pieniądź społeczny jest właściwie wydawany, przecież nie wie, że Aniela dla Asi krew by z siebie wytoczyła.

Państwowe wsparcie trafiło się jak ślepej kurze ziarno, nie liczyła na nie, i tak wnuczka nie zaznałaby niedostatku póki Aniela rękoma włada. Zatem niechaj ten grosz będzie odłożony na posag sierocie. Ale Aniela w żadne kasy oszczędności nie wierzy. Za tamtej Polski ciułała dydek do dydka i miała już uskładane sześćdziesiąt cztery i pół złotego. Nigdy więcej tych pieniędzy nie zobaczyła, ani nijkiego za nie odszkodowania. Nowa Polska wyparła się tamtej, przedwojennej, zobowiązań tamtej nie uznała. Cały sierocy grosz Aniela tylko przez pewien czas wpłacała na książeczkę dla procentu, aż się zebrała większa

suma. Przed świętami, bo ceny wtedy najlepsze, sprzedawała w Grodziszczu suszone grzyby i marynaty i co tam jeszcze las daje. Utarg dokładała do Asinych oszczędności i kupowała monetę złotą z podobizną władcyki Wszechrosji. Na jarmarkach w Grodziszczu kruszcowe pieniądze i wyroby najtańsze. W każdy pierwszy piątek miesiąca ludzie zbiegają się tutaj ze wszystkich stron. Chmara aut poszóstnym wieńcem wokół targowiska, numery rejestracyjne z całego kraju.

Przez kilkanaście lat dwie dziesiątki uskrobała. Pszczółom dozorowanie powierzyła, w gałganek zawinawszy pod gniazdo w szparę wepchnęła. Owad Boży u niej w dwóch uschniętych drzewach żyje. Nieboszczyk mąż go zaprowadził. Pnie korzeniami w ziemię wczepione tylko z próchna wypalił, ramki dopasował, daszkiem przykrył i roje przy-

147  
wiódł. Miodorób stworzenie pracowite i mądre, jakby intencję Anieli odgadując, plastrem otwór nad depozytem sierocym zakleił.

Teraz ze swego zarobku Aniela nic nie odkłada, chociaż u Nasty ma jeszcze i stół. Otrzymuje znikomą, część umówionych zasług, większą potrąca Artystka na poczet zaciągniętego długu. Godząc Anielę do swojego gospodarstwa we dworze, na ratowanie jej chaty od ręki żywy grosz wyłożyła.

Za to sercem i pracą zaprzedała się Garnarczowa nowej pani.

Przez myśl jej nawet nie przeszło, że dla niej, Anieli, Bóg posłał tę elegancką Damę, gdy prowadziła ją skrótem leśną ścieżką pnącą się grzbietem moreny.

Nasta przyszła tu z ciekawości, idąc wciąż jeszcze nie myślała o osiedleniu się w pańskiej rezydencji, dopóki nie zobaczyła tego miejsca.

Między porośniętymi lasem urwiskami, w głębokim parowie huczał przełom rzeki. Nad stromym zboczem ocembrowanym kamiennym ciosem, na czubie wzniesienia, ledwie trwał ślad człowieczej sadyby. Jeszcze się dało rozróżnić zarys niegdysiejszego domu po resztkach otoczków z podmurówki i usypiskach zetłałych cegieł w miejscu węglów.

Bujały żółte dziewanny, jasnozielony rozchodnik czołgał się po płowym piasku, chwiał się w powiewie czerwony mak, na plamie słońca spała miedzianka. Nurknęła w przerosłe trawami płyty posadzki nieistniejącej sieni, wokół nacierał las, z wysoko ku niebu wyciągniętymi chojarami przemieszał się dworski park. Bez śladu zarosło miejsce po folwarcznych zabudowaniach, nie było czego podnosić z ruin, tylko stawiać od nowa, od fundamentów.

- Za sarniej skiego pana dwór miał most za gumnami - powiedziała Aniela.

Nasta znała i stary most z nostalgicznych wspomnień Silenzia. Snuł je jak dym z papierosa ustawiając słupki z bilonu odebranego automat. To była ich godzina. Silenzia, monet i ballady o całym świecie w zakolu Rzeki otulonej Puszcza, ballady w śpiewnej mowie wschodniego pogranicza, synkopowanej dźwiękiem metalowych pieniędzy - Przez lata woda rozmyła szczątki - Aniela w jakiś nieuchwytny sposób przypominała brata.

Na grzbiecie sąsiedniej moreny bronila się tylko resztką przyczółka. Pędy trawy rozsadały spiny zarosłych mchem kamiennych brył. Wypychały je korzenie mężniejących drzew. Na zmurszałych oskołach betonu pieniały się jałowce, roztaczały falbany młode jodły; płonką, pnączami i bylina, brusznicowym ziele, widłakiem i wilczą jagodą, kalina, szakłakiem, dziką różą i ziołem wszelakim, nienazwanym, wiosna za wiosną, Puszcza odbierała zagarnięte dziedziny. Sarniej ski pan w powiecie i w województwie zabiegał by w pobliżu dworu przerzucono gościniec przez Rzekę - I swego dopiął. Podobno starostę przepłacił i wszystkich co mieli ważący głos w wyborze miejsca budowy. KorrrU dawał nie wiadomo, prawdą natomiast jest, że nic nie wskórała w sprawie lokalizacji delegacja puszczańskich przysiółków wysłana, do gospodarza powiatu. I chociaż początkowo we wsi projektowany, most zamiast w Sarniej, za gumnami dworu zbudowano.

Zarobili przy robocie sarniejscy mężczyźni. Kobiet nie brano. Łopaciarz dostawał złoty sześćdziesiąt za dniówkę od wschodu do zachodu słońca z godziną przerwą w południe. Za taki sam czas ludziom ze sprzężajem płacono dwa złote za człowieka i dwa czterdzieści za konia. Nie każdego brano.

Chłop musiał się odrobionym szarwarkiem wykazać, jeśli nie, najpierw odsyłano aby bezpłatną powinność wykonał. Dopiero wtedy skryba przedsiębiorcy muskuły oglądał. Przymorzonych i chude szkapy odprawiał. Miał w czym wybierać, rąk chętnych w puszczańskich wioskach znalazłeś dużo, pracy mało. Mówiono, że we świecie więcej płacą i dzień roboczy ośmiogodzinny. We świecie! Oni, sarniejscy, dopiero do tego świata ziemię pod przyczółek darli, kamień łamali.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym sam pan starosta wstęgę przecinał, ksiądz prałat z fary w Grodziszczu

148

149

i ksiądz kanonik z Gawry owo okno na świat, jak pięknie w przemówieniu powiedział pan starosta, poświęcili. Przygrywała orkiestra garnizonowa ułanów grodziszczańskich. Dwór fetował dostojnych gości.

Przez cały rok, chociaż z objazdem, Sarniej i Błotom Szlacheckim, Wigajnom, nawet Pohorze zrobiło się bliżej

do świata, a już z pewnością do wodnego młyna po drugiej stronie, w dole Rzeki.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym nasi saperzy most wysadzili. Żołnierską śmiercią poległ. Wrażej stopie nie nadstawił grzbietu, runęło kamienne ciało między następującym nieprzyjacielem a odwrotem polskiego wojska cofającego się na wschód.

Gdy Niemcy z Prus nadciągnęli, jeszcze po eksplozji woda się burzyła. Obejrzeliby ocalałe przyczółki, obejrzeliby zwały betonu skroś zaległe, obejrzeliby Rzekę wściekłą, wirami przeszkody spiętrzoną i poniechali trupa. Ściągnęli ludzi do roboty. Przeprawę w Sarniej poczęli budować. Most stawiali drewniany na łapu, capu. Tymczasowy kładziemy, powiadali, bo i my tutaj tymczasowo. Długo nie zagrzejemy, na nasze potrzeby starczy, tylko patrzeć przyjdą do was Sowietci, znaczy Ruscy, niechaj sobie lepszy urządują. I brali podwody, brali ludzi, brali ciesielskie narzędzia. Jak tylko Ruskie wkroczyli, zaraz za most się zabrali. Sołtysom kazali szarwarki wyznaczyć, kto ile i kiedy ma dać dniówek na rzecz publiczną. Ciężary rozliczono według koni i dusz w poszczególnych gospodarstwach. Most wzniesiono drewniany, ale solidny. Mocne filary izbicami od kry zabezpieczono.

W wigilię największego dorocznego jarmarku na świętego Jana w Grodziszczu, uderzyli Niemcy przedranną, czerwcową godziną. Teraz Ruskie w odwrocie odgradzili się od nieprzyjaciela wysadzonym mostem. Znowu łukiem uniosły się przęsła, rozłamane wyskoczyły ku niebu, w Rzekę runęły bierwiona, szczapy, drzazgi.

Czwarty most stawiali Niemcy. Pod łufami zegnali ludzi z puszczańskich przysiółków, wszystkich kto ukończył czternasty rok życia kazali sołtysom pod karą śmierci spisać i wszystkie konie i wszystkie podwody. Pognali kolbą i wrzaskiem, pogroźkami. Pilno im było pod Moskwę. Tak mówili. Starzy ludzie pogadywali, że tędy już Napojlon pod Moskwę chodził. Z jego wyprawy, na wieczną pamiątkę pozostała nazwa wsi Czerwony Krzyż, wzięta od stacjonującego tam lazaretu wojsk francuskich. Po Niemcach w maszywie sarniej skim nikt nie utrwał nazw. Zachowała się tylko piosenka.

Czemu ty Hitlerze tak pod Moskwą stoisz  
Czy na Włocha czekasz, czy się Ruska boisz  
Na Włocha nie czekam, Ruska się nie boję  
Dupa mi przymarzła i tak sobie stoję.

Ową srogą zimę administracja okupacyjna upamiętniła nałożeniem na wieś niezwykle ciężarów. Od każdego członka gromadzkiej społeczności obojętnie, noworodek czy starzec, należało dać czapkę kominiarzkę, parę rękawic i parę skarpet dzianych z czystej wełny. Od każdego dymu - kozuch.

Armia Trzeciej Rzeszy właśnie zabijała ręce pod Stalingradem, z Grodziszcza szły słuchy o składach towarowych wiozących niemieckich nieboszczyków zamarzniętych i sztywnych jak polana.

Piąty most znów stawiali Ruscy. Jak Niemca gonili. Służył aż do wielkiej powodzi w latach sześćdziesiątych. Zagarnięty w siłę urosłym żywiołem przekrzywił się na bok i legł, szczątki poniosła wysoka fala. Jak ludzie pamięcią sięgali był to pierwszy most w okolicy, który zawałił się zwyczajnie, zawałił pokojowo. Później na jego miejsce wzniesiono nowy z betonu i stali.

Resztki starego przyczółka za pańską siedzibą zasnuwała Puszcza, stary most i dwór zapadały w niepamięć, aż znowu ożyły za sprawą Artystki.

Artystka ruinę kupiła, rozeszła się wieść pośród puszczańskich przysiółków. Wtedy jeszcze jej nie widywano, tylko robotników Aniela stołowała. Zapobiegliwa wdowa po Garncarzu majstrów gotowaniem znęciła, chociaż u Bogusza sześćset złotych miesięcznie brała za sprzątanie i przyrządzanie obiadu.

150

151

Ludzie myśleli, jeszcze jedna buduje się na wsi, miasto jej obrzydło. Wiadomo w mieście złe powietrze, zatruta woda i brak prawdziwego ognia. Zamiast palących się szczap, nieżywy gazowy płomyk. Warzyć na nim wygodniej, ale jedzenie smak traci. Wtedy już kilka domów miało gaz z butli, a niektóre nawet kaloryfery, żeby jednak tylko o takim ogniu żyć, smutno, źle i niedomowo.

Po sprowadzeniu się Artystki minęła moda na specery do nowo stawianego zabytku. Nie było już co oglądać. Ogrodzenie obwarowało dawny dworski park, poprzez gęstwinę budynek ledwo przeświecał czerwienią dachówki, niedostępny na cembrowanym ciosie wysokim brzegu Rzeki zakolem opływającej posiadłość, oddalony od strony wjazdu, wąskiej alei zakończonej łukiem bramy otwieranej przez fotokomórkę. Sama ustępowała i zamykała się za dwoma samochodami Artystki, przed cudzym ani drgnęła. Ludzie w głowę zachodzili jak takie nieżywe oko rozpoznaje swój, czy obcy. Dopiero jeden z wnuków, przyjechawszy na lato, opowiedział dziadkowi o kodowaniu znaków w sztucznej pamięci.

Więc nie było po co tam chodzić, skoro nawet dwór zakrywały drzewa i nigdy nie dało się zobaczyć ani Artystki, ani jej brata, ani nawet Aniela, jedynie psy wielkie jak cieleta. Nieme i czarne, tylko spoglądały, ale jak! Ciarki człowiekowi mrowiły po grzbiecie. Zastygłe z nieruchomymi ogonami patrzyły i patrzyły, później bezszelestnie znikwały w zaroślach.

Nie wiedziano co myśleć o Artystce.

Na kościół dała, proboszcz z ambony ogłosił, sarniejscy

słyszeli, na upośledzone dzieci dała, na instrument do domu kultury w Gawrze dała, na zamek królewski w Warszawie dała, na Centrum Zdrowia Dziecka dała. Ma z czego, bogata. I tyle owe darowizny sarniejskich obeszły, do ich portfela nic z tego nie kapnęło. Ale gdy we wsi zachorowała emerytka, Artystka natychmiast z sąsiedzką pomocą pośpieszyła. Osobiście zawiozła starą kobietę do szpitala w Grodziszczu, miejsce na korytarzu wywalczyła, za benzynę zwrotu nie przyjęła. Potem przez Anielę rozpowiedziała: w losowych przypadkach fiata pożyczą każde-

152  
mu, kto ma prawo jazdy. I tak pozostało, w razie biedy po samochód do dworu, a na szofera leśniczego, bo zawsze trzeźwy. Ludzie mają swój honor, uprzejmości nie nadużywają, a i Aniela pilnuje żeby na zbytki nie brali.

Jeśli nawet niezupełnie stopniała rezerwa wsi wobec nieprzystępnej pani żyjącej na czubie moreny, niczym na szklanej górze, czynność została odłożona na jej dobro, ludzie jakby zaczęli jej przebaczać bogactwo i izolację. Jednak nadal podawali w wątpliwość rangę kunsztu Artystki. Nigdy jej nie pokazywali w telewizji. Mocny argument. Telewizja była autorytetem. Telewizji sarniejscy ludzie wierzyli. Bardziej niż telewizji wierzą tylko gawrzańskiemu proboszczowi. Teraz jednak coraz chętniej podawali ucha zapewnieniom Anieli.

W Sarniej zamieszkała światowa Artystka, Wielka Artystka. Nie występuje na szklanym ekranie bo prawdziwa Gwiazda tego nie czyni. Zagraniczny impresario zastrzegł w kontrakcie, że ona nie będzie się pokazywała w żadnym kinie. W telewizji artysta prędko się opatrzy, przestaje być niecodziennym zjawiskiem, widzowie przymykają. Zresztą Artystce i czasu braknie, po całym świecie występuje, swoją osobą i talentem całe przedstawienie wypełnia, płyty nagrywa i nie tylko śpiewa, ale i układa bardzo piękne pieśni. Komponuje!

Ludzie słuchali, trochę o pomyślność Garnarczowej zawiść gryzła. Ta koło swego umie się zakrzętać. Pensję bierze, jedzenie za darmo, dobrze ma. Artystka nawet instruktora i prawo jazdy jej opłaciła. Aniela z motoroweru po nieboszczce córce, przesiadła się na cztery koła, nawet po mleko na Wigajny odświętnie ubrana fiatem rozjeżdża. - Żeby pieniąż zarobić świat o niej nie może zapomnieć, a od niezapominania jest ten zagraniczny impresario co różnych piszących do gazet tutaj sprasza i procent od każdego wyśpiewanego dolara, od każdej złotówki bierze. Jego w tym głowa, inaczej trawa porośnie.

- Powiedz Aniela, ile ona płaci za twoją reklamę.

Aniela od dawna przygotowana na podobne pytanie, bez namysłu wymieniła sumę ni dużą ni małą, w sam raz.

153

Na wszelki wypadek nawet Nastę uprzedziła, za nic się przed wsią nie przyzna ile jej Artystka płaci. Trochę jej wstyd, a trochę boi się ludzkiej zazdrości. Gotowi ją znie- nawidzieć gdyby wiedzieli, że ona zarabia powyżej poborów leśniczego, prawie tyle co średni akord drwala.

Jak pamięcią sięgnąć, w Sarniej nie słyszano żeby nawet księżej gospodyni lepiej płacono niż leśnikowi. Praca kobiet nigdy tu nie była w cenie. Zawsze w cieniu, źle wynagradzane, zawsze na marginesie, chociaż Aniela wie swoje: dwóch leniwych kosztuje więcej niż jeden pilny. Szczerze oddana Artystce uparcie skarbiła dla niej przychylność wsi. Dobrze wiedziała ile złego może wyrządzić niechęć zamkniętej społeczności, zżytej, spinej, spokrewnionej, związanej bezlikami uwarunkowań, zjednoczonej tym samym rodzajem egzystencji. Dobre sąsiedztwo wiele znaczy nawet jeśli się mieszka we dworze, więc na swój cierpliwy sposób starała się zjednać Naście przychylność otoczenia. Ludzie podobni są mrówkom. Wetkniesz w kopiec patyk, wyroją się wokół niego, kręcąc czułkami, obsiada drewno, tną. Powoli przyzwyczajają się do świeżego szczegółu i powracają na swoje mrówcze ścieżki. Gałązka przestaje być niepokojącą nowością, przekształca się w część mrowiska. Tak będzie i z Artystką, nie wątpiła Aniela, kiedy wieś do niej przywyknie. Powtarzała Naście co opowiada kobietom. Trzeba ludzką ciekawość nasycić, później oswoją się z nowym dworem i jego nowymi mieszkańcami. Nasta zdała się w tym na Anielę, lecz sympatię wsi ani wiedząc zaskarbiła sama.

Bardziej niż pianinem dla domu kultury, bardziej niż opłatkami i choinką dla seniorów gminy, bardziej niż nowym dachem z miedzianej blachy na dzwonnicy, Artystka ujęła sarniejskich swoją sztuką i magią wielkiego imienia, co poczęło sprowadzać ludzi nawet z dalekiego świata, przez co Artystka najbardziej urosła w opinii wsi.

Już na jej drugie śpiewanie różni z Warszawy zjechali, sarniejscy rozpoznawali twarze z ekranu telewizyjnego, a ci Znani, Podziwiani, Wspaniali, którym nawet nie zazdrozczono, bo byli dalecy i jakby niezupełnie rzeczywisci, urządzili jej przed kościołem owację. Później elita z Grodziszczka zjeżdżała, nobilitowało bywanie na rzadkich koncertach Artystki, a tutejsi mieszkańcy poczuli się dumni ze sławnej sąsiadki. Zaczęli o niej mówić, Nasza Artystka. Muzyka podobno nawet dzikie zwierzęta uśmierza, ale w Gawrze jakby ludzi podzieliła. Czy wszyscy, nawet niepraktykujący, muszą iść do kościoła żeby usłyszeć Artystkę? W latach sześćdziesiątych Władza z Plebanią wojowała na megafony. Już w niepamięci zaginęło kto zaczął pierwszy. Każda strona wskazywała przeciwną. W Boże Ciało, kiedy stary kanonik wyruszał pod baldachimem z monstrancją ulicami wokół Rynku, Gawra składa się z Rynku

i zaułków wokół niego, z domu kultury aparatura nagłośniająca niosła pieśni rewolucyjnie skutecznie zagłuszając pienia wiernych podążających w procesji. W odwet, na pierwszego maja, nad trybuną, transparentem i pochodem huczała jak orkan Dziewiąta Beethovena, albo trzecia Brucknera, albo któryś z innych wielkich utworów, przekazywanych przez najnowszej typu fonię zainstalowaną w kościele, ludzie na rynku nie słyszeli samych siebie, ni mazura kajdaniarskiego ze świeckich głośników. Od dawna już Komitet z plebanią kotów nie darł. Wzajemnie unikano konfliktów, ale zagarnięcie Artystki przez świątynię nie podobało się Sekretarzowi. Nie podobało się ot tak, dla zasady, bo dopóki nie ujrzano znanych z ekranu osób, które specjalnie dla niej zjeżdżały do Gawry, miejscowe czynniki zachowywały rezerwę wobec kunsztu nowej Pani na Morenie. Bo kto naprawdę sławny chciałby się zakopać w Sarniej? Co innego letnisko, elegancko mieć daczę, świadczy o zamożności i pozycji, ale na stałe! Teraz, kiedy jej śpiewanie sprowadzało różne osobistości z Grodziszcz, a nawet z Warszawy, Sekretarz pozazdrościł inicjatywy proboszczowi. Jednak po nim zjednywać Artystkę dla świeckiej sprawy jakoś niezręcznie, Panu Bogu świeczka i władzy ogarek. Poza tym mogła odmówić. Despekt osobisty.

Artystka nie jest ni kościelna, ni komitetowa, jest dobrem nadrzędnym - przekonywał siebie Sekretarz, aliści

154

nie mógł się zebrać żeby z nią porozmawiać, lecz ona okazała się zrozumiała delikatność sytuacji i przyszła sama. W związku z zastrzeżeniem w kontrakcie zezwalającym jej w kraju na kilka zaledwie koncertów rocznie, ma jeszcze jeden wolny występ. Chce go ofiarować Gawrze. Czy Władze widzą jakiś szczególny termin? Władze widziały lipcowe święto. I tak zostało. Raz nawet zgodziła się zamiast w lipcu, uświetnić wizytę Pierwszego Sekretarza, który przejazdem między województwami miał zjeść obiad w Gawrze. Władze gawrzanskie upamiętniły się wtenczas pomalowaniem na wesołe kolory wszystkich fasad w Rynku, zamknięciem do kozy znanych pijaków, zakazem sprzedawania wódki w ten dzień i rozebraniem rozwalającej się chałupy pary rencistów, widocznej z drogi, którą miał przybyć Dostojny Gość. Prawda, zapadła w ziemię rudera z krzywymi węglami i dziurawym poszyciem wyglądała przygnębiająco i zupełnie nie pasowała do wyobrażenia drugiej Polski, jaką właśnie budowano, O ileż piękniej prezentowały się na zniwelowanym i starannie zagrabionym miejscu betonowe donice z żółtymi i fioletowymi bratkami. Rencistów przeniesiono do podobnej ruiny z dala od reprezentacyjnego szlaku, ale oni nie wykazali obywatel-

skiego zrozumienia dla powagi chwili i trudności lokalowych gminy. Stawili bierny opór i trzeba ich było do przeprowadzki przymusić, następnie pilnować, albowiem estetycznemu plantowi po ich chacie nie przydawały świetności dwa nieruchome tułuby odziane w kłaczące się wacia-ki, mimo słonecznego dnia.

Wszystko na próżno.

Najwyższa Osoba w ogóle nie przybyła do Grodziszczu i nie zaszczyliła Gawry. Podobno o coś się rozgniewała na władze wojewódzkie. I Artystka nie śpiewała. Nie było kogo witać w ukwieconym domu kultury, gdzie miała się odbyć część oficjalna, a gawrzański aktyw zasiadł jak do stypy po najbliższym krewnym, do uroczystego obiadu w modrzewiowym dworzyszczu wzniesionym nad Wielkim Jeziolem przez wojewodę, z dala od niepowołanych oczu, ku słuzeniu różnym podobnym galom.

W tym obiedzie Artystka nie wzięła udziału. Usprawiedliwiła się odlotem samolotu z Warszawy, na który musiała zdążyć. Wszystkim to odpowiadało. Teraz, gdy Dostojny Gość nie dopisał, jeszcze bardziej. Artystka nie należała do grona, świadomość obcej uwierałaby w zwyczajnym pi-ciu, a cóż dopiero w pi-ciu zaprawionym zawodem i goryczą zlekceważenia.

Po raz pierwszy wystąpiła Artystka na pasterce.

Niewidoczna na chórze, śpiewała starą kolędę, a ludzie słuchali jakby dotychczas byli głusi i dopiero otwarły im się uszy. Przestali się wiercić, szurać nogami, w stallach pobudzili się z drzemki, wielka cisza padła na nawę, na transept, na prezbiterium, gdy pod sklepieniem wzniósł się głos: ..'wzgardzony, okryty chwałą, przedwieczny król nad ludami...

W drugie święto przed kościołem opadły Aniele sąsiadki, dumne z sarniejskiej jak i one Artystki, która za to piękne śpiewanie nie wzięła ani grosza, jak ogłosił proboszcz. Ale naprawdę pogadały sobie dopiero po Bożym Narodzeniu, w sklepie.

Pomocniczy punkt sprzedaży w Sarniej jest nie tylko kiepsko zaopatrzonym kramem. Jest klubem, miejscem spotkań towarzyskich i opiniotwórczych, odpoczynkiem. Nawet we żniwa najbardziej zaharowane kobiety, umyte i ogarnięte, jeszcze przed porą jego otwarcia dążą pod ukleconą z betonu budowlę przypominającą bunkier i rozsiadają na stopniach. Tylko zimą, w ciężkie mrozy, zjawiają się dopiero po odemknięciu. Zajmują kolejkę, nikt się nie pcha, nie sforuje jeden przed drugim; kobiety chętnie przepuszczają niecierpliwych, śpieszących się mężczyzn kupujących belt, którzy swoje rytuały odprawiają przed sklepem. Tam też poniektóry przyśnie sobie w chłodzie. Sklepowa Grażyna, naturalna blondynka, najelegantsza kobieta, w Sarniej, Wigajnach i Pohorze, nawet w Gawrze, przed wyjściem do pracy zakłada złotą branzo-

letę, złoty zegarek i złote pierścionki. Ma cztery, z turkusem, z koralem, z kamieniem pustyni i syntetycznym brylantem wyglądającym jak prawdziwy. Fartuch na niej zawsze biały, świeżutki, wy krochmalony, niezapięty, żeby

156

157  
widać było ładną sukienkę. Grażyna sama sobie szyje, zawsze wie co się akurat nosi, modę podpatruje u prezenterek w telewizji i kupuje pismo z wykrojami.

Pewnie, ma czas. Tylko jedno dziecko, już podrośnięte, dom i trzy godziny dziennie sklepowania. Kobiety zazdroszą jej lekkiego życia i dobrego męża. On hoduje opasy i wszystko w gospodarstwie robi sam. No to Grażyna może wyglądać jakby się codziennie kąpała, wyondulowana i z manikiurem, a w lecie nawet z pomalowanymi paznokciami u nóg widocznymi z białych sandałów.

Atrakcyjny towar, na przykład kiełbasę, sprzedaje sprawiedliwie. Otwiera o trzeciej po południu i liczy oczekujących ludzi. Wędliny przywieźli tyle i tyle, komunikuje i dzieli równo między obecnych. Czasami z kilogram tańszej na głowę wypadnie. Ludzie w Sarniej kupują droższe wyroby masarskie tylko wtedy jeśli nie ma innych.

A już zupełnie rarytny artykuł, kawę prawdziwą, Grażyna sprzedaje na listę. Zanim jej nie wymyśliła, wokół tego prestiżowego delikatesu narosło w Sarniej wiele kwasów, podejrzeń i pretensji. Bo ziarnista kawa, to nie tylko słaby napar pijany od święta. To poziom i szyk, wizytówka standardu i cywilizacji, nowoczesności i kultury. Kawa w domu powinna być, jak łazienka, można z niej nie korzystać, ale bardzo elegancko mieć.

Dlatego najtrudniej było podzielić owo dobro, które ze strefy konsumpcji przemieściło się na pogranicze potrzeb wyższego rzędu. Kres męczącym napięciom położył spis wedle dymów. Grażyna, w zeszycie kolejno odnotowuje kto otrzymał i tak do końca, a potem znów od początku. Co jakiś czas każdy dom ma szansę na dziesięć deka kawy. Tylko tutejsi. Ani ziarno nie skapnie grzybiarzom, turystom, w ogóle żadnym przybyszom, myśliwym też nie. Oczywiście poza Boguszem, on jest na prawach szczególnych a chociaż nawet nie wspomniał o uwzględnieniu w rejestrze, Grażyna sama pamiętała i to się rozumie samo przez się. Bogusz jest najpierwszą osobą w Sarniej. Niektórzy z przyjezdnych po odmowie sprzedania kawy odgrają się konsekwencjami, uważając takie praktyki za

158

samowolę ekspedientki. Grażyna przeprowadziła sprawę przez Prezesa Geesu i jest kryta, ale jakoś i tak pretensje ze świata nie nadchodzą, widocznie gdy ludzie, co musieli obyc się smakiem, odjadą do swoich miast, mają u siebie większe powody do złości i odehciewa im się pisywania

skarg na sklepową z odległej puszczańskiej wioski. Artystkę kobiety same ze siebie zgłosiły d°o kajetu Grażyny. Zachowała się elegancko, nie można powiedzieć, chociaż nikt nie spodziewał się po niej jakiegoś specjalnego gestu. Osobiście przysłała po należną jej torebkę, a na sobotę zaprosiła wszystkie sarniejskie kobiety na kawę i ciasto. Przyszły postrojone jak na doroczne święto, ciekawe ode środka dwór obejrzeć, bytowanie jego niezwykłych mieszkańców podglądać. Artystka sama podawała filiżanki, podsuwała sernik i przekładaniec z czekoladową polewą posypany orzechami, upieczone przez Anielę. Kobiety upijały po łyku wytwornie odginając mały palec, godnie skubały ciasto, żeby nikt nie pomyślał o nich, głodne czy zachłanne albo przybiegły odjeść się na cudzym. Siedziały małomówne, sztywne, ceremonialne, łączywie popatrując na Artystkę, kiedy wydawało się, że ona nie widzi. Nasta nie rozumiała dlaczego są takie zmrożone. Wyjaśniło się dopiero gdy je opuściła.

- Muszę się przygotować, wcześniej ran° wyjeżdżam na nagrania do Wiednia - usprawiedliwiła się zanim wyszła i zapraszała, aby i nadal czuły się gośćmi jej i Anieli.

- Pewno my na pokoje za mało wychowane, a może moda u Artystki gości w kuchni częstować?

- Naprawdę taka moda. Teraz we świecie kuchnia rangę zdobyła na równi z najlepszymi pomieszczeniami - zapewniła Anieli.

- I wszystkich tak traktujecie?

- Wszystkich. Innej jadalni nie ma. A gdy się z łakociami obsprawicie, na wino kazała do salonu prosić - improwizowała Anieli, chociaż wina ni salonu nie Przewidziano. Nawet ona już tak przywykła do przyjmowania ludzi w tej izbie, że nie pomyślała jak opacznie mogły to przyjąć sarniejskie kobiety.

159

W salonie rozsiadłe w fotelach, na kanapach krytych adamaszkiem, sącząc po kropelce słodki, korzenny wermut, syciły ciekawość jak też mieszka i żyje Artystka. Owszem, ładnie, trochę podobnie jak w Łańcucie albo Knyszynie, gdzie były z wycieczką Koła Gospodyń, oczywiście o wiele skromniej u Artystki niż w tamtych pałacach. Nie zazdrościły, nie czuły smaku poczerwieniałych ze starości mahoni.

Buchara, Sziraz, Tebryz podobały się, przypominały dywany z grodziszczańskiego Pewexu. Jednak bardziej od wszystkich oglądanych dóbr ciekawiła egzystencja Artystki. Czy miała męża, czy jest rozwódką, albo wdową, jak wygląda ten jej brat, co robi, czy dużo przy nim zachodu, czy aż taki idiota, że wstyd go pokazać i dlaczego w lesie ucieka na widok ludzi?

Chociaż były to wciąż te same pytania, na jakie tyle-

kroć odpowiadała podczas spotkań w sklepie, Aniela udramatyzowała fabułę, ze znanstwem rozkładała akcenty i snuła opowieść specjalnym tonem jakby zdradzała najtajniejsze tajemnice, tylko im, zaufanym.

Artystka nigdy nie wyszła za mąż. Bycie Artystką, to ciężka praca, mogą wierzyć Anieli, dzień w dzień patrzącej jak haruje Nasta. Nigdy nie stanęła na ślubnym kobiercu, bo poświęciła się opiece nad bratem i swojemu powołaniu. Kobiety podziwiała szlachetność Artystki, ofiarę rezygnacji z małżeńskiego życia, własnych dzieci, dla dobra brata idioty. Inna oddałaby takiego do przytułku.

- Starszy od niej, młodszy?

Młodszy o osiem lat, wygląda jeszcze młodziej, chociaż jest bliski czterdziestki. Szczęśliwy, nie ma zmartwień, rozum jak u chłopca, dlatego i młodo wygląda, tylko zgryzoty i nadmiar myślenia ryją zmarszczki na twarzy, wyniszczają ciało. A powierzchowność ma zwyczajną, nie rozpoznasz, że coś mu brakuje.

Nikt się go nie wstydzi, ani nie ukrywa. Sam ze siebie odludek. Dawno, w cudzym kraju wyrostki go ciężko pobiły, nożami podźgały, długo chorował, od tamtej pory taki z niego samotnik, chociaż jest silny i sprawny.

160

Łagodny jak jagnię, tak został ukształcony, wychowany w obrzydzeniu do przemocy przez siostry z klasztoru, gdzie przebywał w bursie na opiece, póki Artystka szkół nie pokończyła.

Jeśli jednak kto chciałby jemu krzywdę wyrządzić, potrafi się obronić, podkreślała Aniela na wszelki wypadek. Niechaj wieś wie, brat Artystki nie jest bezbronny, zna chiński boks, mocny mężczyzna, co rano się gimnastykuje, hantle podnosi, sprężyny rozciąga, później idzie do lasu, biega. Następnie gra. Bywa, Nasta ćwiczy albo układa melodie w dużym salonie, a on bębni w małym alP° na górze. Takie tam granie, ot bawi się, naśladuje Artystkę.

- Nasłuchasz się, Aniela.

A gdzie tam. Pod tynkiem ściany wyłożono tłumiącą dźwięki izolacją. Niezwyczajny dom. Jakby tak w zwyczajnym każde zaczęło dudnić na swoją nutę, zwariować by można. Ale on najbardziej lubi grać przy niej. Aż się trzęsie, żeby przy Artystce klawisze męczyć. Wtedy największa dla niego radość.

- Trzeba go zająć czymś pożytecznym - mówiły kobiety.

Z serca radziły Anieli, niechaj zamówi u drwali jałowiec, niechaj głuptakowi pokaże jak się wiąże, chyba nie zapomniała, starsze pokolenie jeszcze potrafi, ręce same pamiętają. Do niedawna w każdym domu zimowymi wieczorami statki ze słomy giętkim jałowcowym łykiem wiązano. Nie na sprzedaż, do własnego gospodarstwa, stą-

gwie na ziarno, na nasiona, na mąkę, kasze, garnce na jajka, na owoce, koszyki na kartofle, na grzyby, jagody i święcone. Teraz miasto na wszelki ręczny wyrób łase, brat Artystki nie nudziłby się i pieniądze zarobił, siostrze dopomógł. Ile by nie wyśpiewała po tych zagranicach, świeży grosz zawsze w domu potrzebny.

Za każdym razem Aniela z wdzięcznością, gorąco dziękowała kobietom za radę. Tak skarbiła życzliwość dla mieszkańców dworu. Jeśli umocni we wsi przychylność do Artystki, nikt nie zamąci jej spokoju, ona stąd nie odejdzie, Aniela nie utraci swojego miejsca.

161

8.

Silenzio nie zna swojego serca.

Szef jedzie na obiad. Zasiadanie przy rodzinnym stole i sjęsty święta rzecz. Rozkład dnia Szefa rzadko ulega zmianom, z wyjątkiem gdy bawi poza Genuą. Wystarczy, że jego praca wyłącza go z domowych kolacji.

Silenzio pozostaje na swoim posterunku w zwykłej barwie drzemiącego matofka, nieruchomej siły gotowej na skinienie zwierzchnika. Słyszy trzask zamykanych drzwiczek szefowskiego audi, szmer opon na podjeździe, słyszy samochód jeszcze wówczas, gdy po przebyciu obsadzonej cyprysami zwirowej alei wytacza się za bramę uplecioną z żeliwnych liści i ostro zakończonych pik. Mimo pięciu lat miasta, Silenzio nie zatracił słuchu i oka mieszkańca, puszczy. Cisza.

Można uławić szept bezszmerowo pracującej klimatyzacji. Silenzio schodzi do suteryny. Tu się stołuje obsługa, Lalki mają oddzielną jadalnię. Nowym, izolowanym od reszty póki ich się nie oswoi, posiłki posyłane są na górę. Wyżywienie jest dobre, bezpłatne, jednakowe dla wszystkich. Nie tak znów wiele wydaje klub na utrzymanie personelu. Kolacje Lalek nie kosztują nic, za kolacje Lalek płacą goście. Na półmiskach gości pozostaje dużo resztek. Ponownie przetworzone, dosmaczone i przybrane zjawiają się na stołach jako nadzwyczajne dania, którymi zajada się nie tylko służba, Silenzio sam widział. Nawet ogryzionych kurzych i indyckich kości tutaj się nie wyrzuca.

Z obsuszonych i zmiądzonych w wilku, przyprawionych jarzynami, kucharz sporządza wywar. Przepieczony i składowany ma piękny złoty kolor. Oproszony usiekaną nacią, pietruszki z dodatkiem surowego żółtka, lub pasztetkiem, pod postacią bulionu jeszcze raz powraca na salę restauracyjną pozaprzeszły drób. Goście się zajadają.

Nie wszyscy z obsługi, znający proces przyrządzania specjału, chcą go bodaj próbować. Silenzia nie brzydzi.

Rosół jest naprawdę bardzo smaczny, chociaż nie przypomina zup gotowanych w jego wsi. Jak się nim jednak za-

162

leje makaron, zaraz przybliży do swojskiej polewki nazywanej rybim barszczem.

Silenzio nie narzeka na kuchnię Włochów, przekonał się nawet do morskiej fauny, tylko co to za jedzenie, czasami myśli nostalgicznie o botwinie, drożdżowych oładkach nazywanych pampuchami, plackach kartoflanych i kiszonej kapuście.

Tęga kobieta, pomoc kucharza, nalewa rosół do podgrzanych filiżanek, mięso oraz jarzyny nakłada, do naczyń z pokrywkami i wysyła windą na piętro. Naciska dzwonki opatrzone numerami. W pokojach odzywają się sygnały, Nowe mogą odebrać swoje porcje.

Silenzio kończy posiłek. Odłamuje kawał pszennego chleba i dokładnie zbiera resztki sosu z krwistego befsztyka. Wymuskany talerz wygląda jak umyty, Silenzio nigdy nie pozostawia nawet okruszyny, owoce wkłada do kieszeni. I nawet jeszcze teraz nie wie, że za chwilę nierozważne uczucie zepchnięte na margines świadomości znów nad nim zapanuje.

Winda, powraca z jedną nietkniętą tacą.

- Nastazia odesłała obiad - donosi tęga kobieta.

Silenzio po raz pierwszy słyszy imię Nowej. Anastazja.

Po prostu Nastka.

- Słyszysz Silenzio, Nowa się głodzi, zawiadom Szefa.

- Zapakuj co trzeba do koszyka. Zajrzę do niej - coś decyduje za Silenzia, a on poddaje się temu przymusowi.

Nowa zamotana we frotowy szlafrok siedzi skulona w fotelu i patrzy na nieruchome w upale południa czuby cyprysów za oknem. W pokoju jest zimno, Silenzio sprawdza automat regulujący temperaturę. Nowa śledzi jego ruchy spod zmrużonych powiek. Jej rzęsy przypominają ości kłosów jęczmienia. Tak samo złote, proste i długie, tak samo gęste.

- Dlaczego majstrowałaś przy klimatyzacji? - Silenzio przesuwa dźwignię i unieruchamia na właściwej skali.

Nowa nie odpowiada.

- Mogłaś się przeziębic.

- Chcę się przeziębic.

163

- Przyniosłem obiad.

- Nie będę jadła dopóki nie zagwarantujecie mi właściwej pracy.

- Nie radzę głodować. Opadnie z ciebie ciało i nie będziesz dla nich nic warta. Batem cię okiełznają, wspomnisz moje słowo.

- Pomóż mi.

Silenzio odwraca wzrok, żeby nie widzieć jej błagalnych oczu.

- Nie mogę, nikt ci nie może pomóc. Nie trzeba było podpisywać papieru i pozwolić się wywieźć jak owca. Te-

raz musisz wytrzymać, z wolą czy bez. W trzy lata utłuczysz tyle ile ja w dziesięć. Pieniądze Szefer składa, a na odjeździe dostajesz całą oszczędność z odsetkami takimi jak w banku. Nie cyganią. Jeśli zechcesz, zaliczkę otrzymasz na każdą rzecz. Lalki wydają na fiu bzdziu, majątek przetrącają na lachy. Ale jak będziesz mądra ładny pieniądz odłożysz i wrócisz do siebie bogata. Tam nie musisz się chwalić za co ci płacili. Więc skoro już trafiłaś tutaj, ciesz się że to Dom Lalek, bo jest to burdel prima sort. Najwyższa kategoria. Rozumiesz? Ja też nie wiedziałem jak mnie motali, że będę robił za goryla u kurwów, a robię i nie wyczyniam brewerii.

- Puszczają po trzech latach?

- Nie zatrzymują, nawet gdybyś chciała. Jeżeli która zamieruje pozostać w tym fachu, wysyłają do innego domu - Silenzio nie dopowiada, że ten inny dom należy do znacznie niższej kategorii, gdzie są gorsze warunki i znacznie gorsze zarobki. I z każdym rokiem dziewczyny, nienazywane już Lalkami, zstępują w dół.

- Przysłali cię żebyś mnie namówił.

- Za to przyjdzie ryzykuję robotą.

- Chcę umrzeć.

- Tak się mówi. Odkąd tu nastalem, tylko jedna dała się zaćwiczyć na śmierć. I co wygrała? Grób w zatoce.

- Nie strasz.

- Nie straszę. Mówię jak jest. Jak z nimi dobrze i oni dobrze. Jak na udry, przegrywasz. Oni dookoła przepłaca-

164  
ją ludzi, nie tylko płotki, osobistości też. Każdy policjant im ciebie zwróci jak źle zaadresowaną paczkę. Zresztą, co tu mówić, sama wiesz, pokosztowałaś ucieczki.

- Zabierzmy się razem, z tobą na pewno nas nie złapią,

- Ale jak złapią, zabiją - Silenzio nie zapomniał krnąbrnej Lalki pobitej na śmierć i utopionej w zatoce.

Silenzio jest zorientowany w metodach konsorcjum. Sam bywa ich karzącą Ręką. Jedną z wielu Rąk, Początkując na polecenie Carla po raz pierwszy zabił w Paryżu Szefa wiedeńskiego Domu Lalek zbiegłego z kasą i kontem na swoje imię. Nieprzyjemnie było strzelać do człowieka, który nigdy się Silenziowi osobiście nie naraził i którego nigdy nie widział, dopóki go nie wskazano w przeddzień egzekucji. Z czasem przywykł.

Wykonanie wyroku na wiedeńskim przelniewiercy stanowiło potwierdzenie lojalności Silenzia i ustawiło go w klasie Rąk płatnych oddzielnie za każde zadanie specjalne. Od tamtej pory już kilka razy potwierdzał w ten sposób swoje oddanie i przynależność do uprzywilejowanych cyngli, mimo to nie zasmakował w strzelaniu do ludzi, i chociaż zbierał każdy grosz, nie wypatrywał okazji ekstra zapłaty.

- Uciekajmy razem - namawia Nowa.
- Nie ze mną - odzęgnuje się Silenzio i umyka od Nowej jak od zarazy.

Po co znowu do niej poszedł, czego się spodziewał. Prawie z ulgą przyjmuje wiadomość o przekazaniu Nowej w ręce Kici. Wierzy, że jeśli Nowa zacznie pracować jak inne Lalki, on, Silenzio, przestanie o niej myśleć i odzyska spokój.

Nową poddano ostatniej próbie. Później może być już tylko zatoka, albo miejski ściek. Ani jedna oporna Lalka nie wyszła stąd żywa. Silenzio jeszcze o tym nie wie, jest dopiero pięć lat, jest cudzoziemcem, jego zadania jako Ręki, są ograniczone.

- Albo będziesz robiła co każą, albo wyniosą cię nogami do przodu - zapowiada niezawodny Kicia, cyngiel lubiący bić.

165

- Wolę umrzeć.
  - Dobrze. Będziesz umierała codziennie po trochu.
- Już nikt nie pyta czy się namyśliła, nikt nie przychodzi przekonywać, jakby postawiono na niej krzyżyk i wydano na pastwę oprawcy, a on dokładnie spełnia zapowiedź śmierci na raty.

Czas zamiera, staje się jednym ciągiem strachu, cierpienia, zwidów. Na krawędzi świadomości mający się rodzinny dom i okrutna chłosta za wzięcie kromki chleba, wymierzona przez Marynę, najstarszą siostrę.

- Dragon, stępor! - w złości wyzywała Marynę matka.
  - Gęba jak tatarska dupa, wzięcie chłopca, w kogo to się wrodziło? - dociekał ojciec, gdy chciał jej dokuczyć.
- Stępor rosły, grubokościsty, silnej budowy, miał oblicze jak pełnia księżyca, wydatne kości policzkowe i wąskie oczy z mongolską fałdą. Nieladna, inna niż wszyscy i zła, pieską złością źle traktowanego kundla. Jak bity i kopany kundys odgrywała się na słabszych.

Rodzice obchodzili się z nią bezwzględnie, na nią spychali swoje obowiązki, swoje biedy, swoje irytacje. Jakby nie była ich dzieckiem, bo jak w krzywym zwierciadle odbijała ich przywary. Wyrokiem natury złączyła się w niej wrzaskliwa gwałtowność matki z furiacką wybuchowością ojca.

Powolna, pracowita pozbawioną radości pracowitością niewolnika niezainteresowanego w szybkim wykonaniu pracy, nigdy nie kończącej się harówki.

Bały się jej młodsze dzieci. Maltretowała je przy okazji i bez okazji, przyłapaną przez matkę, dostawała ciągi czym popadło, najczęściej służyło polano albo kij. Maryna wyższa i mocniejsza nigdy nie próbowała się przeciwstawić, czy chociażby uciec. Zastaniała tylko głowę i z ponurym fatalizmem znosiła bicie. Młodsze dzieci kryły się po kątach. Satysfakcję z egzekucji na Stęporze mącił strach

przed odwetem. Prędzej czy później co dostała od matki rozdzieliła między rodzeństwo pod nieobecność rodziców. Ileż lat minęło, a Nasta pamiętała jak ją zbiła za wzięcie kromki chleba. I za każdym przypomnieniem odczuwała przyływ takiej samej bezsilnej nienawiści. Niczego

166  
nie zatarł czas, niczego nie zapomniała, intensywność doznania pozostała niezmienną.

Ich rodzinie zboża starczało najwyżej do siewów. Pierwszego dnia żniw, o zachodzie, po morderczym trudzie zbierania za ojcem pokosu Maryna dźwigała na plecach pierwszy snop. Dźwigała, bo dla jednej wiązki żyta ojciec nie gnałby konia, dla dwóch też nie. Prawdę mówiąc konia oszczędzał bardziej niż Marynę.

Maryna stawiała pęk w kącie stodoły i zaczynało się czekanie na święto. Na smak chleba, na sycącą pełność w żołądku. Po wieczornych obrządkach rozsypywała snop na klepisku i chwytala cep. Plewy oddzielała dmuchając na przesypywane z dłoni do dłoni ziarno. Rano wynosiła na słońce i rozrzucała na płachcie. Najmłodsze rodzeństwo pozostające w domu pilnowało omłotu przed rosą, przed zachłannością kur, przed łapczywością Idioty. Wszystkie dzieci umiały powstrzymać się od wyjadania schnącego zboża żeby nie u skąpić chleba, tylko Idiota nie. Gorszy i natrętniej szy od kur, na drób wystarczyło krzyknąć, na Idiotę trzeba było różgi. Żarłoczny jak stado kur, jeść mógł nie wiadomo ile i nikt nie znał kresu jego możliwości, bo Idiota nigdy nie dostał dość jedzenia, aby się o tym można było przekonać.

Matka bolała nad najniezwyklejszym ze swoich dzieci i podkarmiała w ukryciu przed resztą potomstwa. Jeśli ją przyłapały rozpętywała się. kłótnia ostra jak głód czający się ciągle w ich niedożywionych ciałach. Nie mogły zrozumieć dlaczego podtyka kęsy darmozjadowi, który nawet drew nie przyniesie z gumna, a nie im, pracującym często ponad siły, od czasów jak pamiętają.

Matka nawet sobie nie umiała wyjaśnić dlaczego dokładnie jedzenia niewydarzonemu dziecku. Jakiś mus kierował jej ręką odkrawającą dodatkową skibę, chociaż wiedziała, że glonek razowca czy kilka łyżek zacierki nie ulecą Idioty. Gdy słońce wytrawiło żytnie ziarno, aż ściemniało i zrobiło się twarde, Maryna do późna w nocy obracała żarna i z miejsca zaczynała ciasto, a kiedy wydzwigało się ponad krawędź dzieży, miesiła je, łądziła bochenki na liściach

167  
młodej kapusty i wsuwała do pieca. Dzieci obsiadały poblizko kuchennej płyty podobne nastroszonym, głodnym ptakom u wrót stodoły wypatrującym zdobyczy podczas młocki i zasypiały nie doczekawszy zakończenia wypieku. Rano matka kroila skibki ze skórą lśniącą jak polewa

na kaflach. Nabożny szacunek dla chleba, smak tamtego chleba, lęk przed jego utratą pozostał Naście na całe życie. Ze snopa zboża, nawet tak dużego jaki mogła przydziwić najstarsza siostra, nie da się upiec tyle, żeby cała rodzina mogła jeść ile zechce. Matka, schowała bochenki w kufrze. Nazajutrz, gdy starsi poszli do żniwa, Nasta z pomocą Idioty podniosła ciężkie wieko i oboje dobrali się do jedzenia. Gdy pakowała do ust oddartą przylepkę wróciła do domu Maryna po zapomnianą płachtę.

Przetrącono hardość Nowej.

Stała się już tylko pokonanym ciałem, które nie mogło więcej wytrzymać bólu, nie znajdowało w sobie woli oporu, ni sensu w dalszym znoszeniu cierpienia.

Szef nawet cenił sobie odporne Lalki, chociaż najpierw dużo z nimi kłopotu. Jeśli jednak już sieje przystosuje do zawodu, przynoszą wiele korzyści. Wszystkie chcą się odegrać, więc pomiatają goryłami i odbijają swoje krzywdy na gościach w jedyny dostępny sposób, naciągając na wysokie rachunki. Tak rozmieniają Upokorzenie, przymus, nienawiść. W miarę przywykania do uprawianej profesji, prędzej czy później owe bardziej lub mniej uświadamiane uczucia zastępuje arytmetyka. Jest prosta, dwadzieścia pięć procent od zamówionych alkoholi. Nie muszą być wypite, muszą być zapłacone-

Silenzio nie umie wyrzucić z siebie Nowej. Zaległa się w nim, czy co? Świadomość, że Nowa pracuje wcale nie przynosi wyzwolenia, tylko bolący zamęt i wściekłość. Bładź, puttana, dziwka - nazywa ją w myślach, ale też nie pomaga. Nie może znienawidzić, zochoydzic sobie nowej ani przestać o niej myśleć.

Gdzie w człowieku siedzi mus chcący właśnie tej, nie innej, męczy się Silenzio. Zniszczy Łby owo miejsce, gdyby je odnalazł w sobie. Bodaj z żywego ciała kozikiem wyciął.

168

Lecz cały jest takim miejscem, pragnienie Nowej opływa go wraz z krwią. Z czego się bierze to chcenie, przecież nie żyje bez kobiety.

Przychodzi do Silenzia Włoszka. Tutejsza pomoc kucharza. Zdejmują z posłania materac, kładą na ziemi, krzesło i stół stawiają na gołych sprężynach. Inaczej zabrakłoby miejsca na podłodze. A tak jest najlepiej, wygodnie, przestronnie i nie ma obawy, że legowisko się pod nimi zarwie. Włoszka, kobieta słusznej postury i okazałej tuszy, w sam raz dla Silenzia, on też przecież nie ułomek, tylko mężczyzna jak się patrzy. Wolą posadzkę jeszcze i dlatego, ponieważ w łóżku skrzypi metalowa siatka. Dyskretnie musi być.

Ona kobieta zamężna, o opinię dba. A znowu Silenzio także nie pragnie rozgłosu. Włoszka chociaż ciała na niej jędrnego i dużo, jest od Silenzia dwadzieścia lat

starsza. Gdyby inni się zwiedzieli z kim się sprzęgł, życia by nie miał.

Włoszka nic Silenzia nie kosztuje, jeszcze z kuchni najsmaczniejsze kaski przynosi, a druga korzyść z ich związku, taka, że Silenzio nie musi jak pozostali samotni mężczyźni szukać zawodowych dziewczyn. Na kupną dziewczynę, nawet nie wiedzieć jak tania, trzeba, jednak pieniądze wydać, a do tego można chorobę złapać.

Odkąd tu jest ani razu nie szukał takich kobiet. Dobrze mu było z Włoszką.

Podśmiewają się z niego, że oszczędny. Mówią, skąpy.

Niech sobie mówią, ani go swędzi ani piecze takie gadanie.

Ani to jego sąsiedzi, ni przyjaciele ni powinowaci, Gdy stąd odjedzie, nigdy ich więcej nie zobaczy. I dobrze. Silenzio wytyczył swoją drogę jasno. Będzie tu dziesięć lat.

Przez ten czas usklada ile zaplanował. Potem wróci do rodzinnej wsi. Nikomu nie zwierzy jak zarabiał. Zawistnych, niechętnych, prześmiewców nie brakuje. Gdyby wiedzieli, gadaliby, że na bladkich pieniądzach się nazywa, a pieniądze, wedle Silenzia, nie są ani kurewskie ni święcone, są takie na co sieje obróci. Silenzio miał zamiar swoje pieniądze obrócić pocziwie.

169

W Sarniej dokupi kawałek ziemi, nie za dużo, tyle by siedlisko powiększyć, postawi i urządzi dom. W starym niechaj Aniela nadal sobie mieszka. Jego sadyba będzie okazała. Salon będzie miał, kafelkami wyłożoną łazienkę będzie miał, nawet bidet w tej łazience będzie miał. Kupi samochód i w Grodziszczu taryfą na bieżące potrzeby zarobi, a jak się już urządzi, posadzi sad, pod folią ogórki i pomidory, trochę też tych włoskich nieznanych w Sarniej jarzyn, tyle aby dla siebie. Wtedy poszuka żony, dziewczyny pierwszej klasy. Takiej jak sarniejska nauczycielka.

Nauczycielka z Sarniej była marzeniem Silenzia. Nieosiągalnym wzorem najlepszej małżeńskiej partii. Powstała moda na nauczycielki po puszczańskich przysiółkach. Nauczycielki były w cenie, chociaż nie miały posagu, a często nawet żadnej wyprawy. Mimo to ubiegano się o nie, honor na rodzinę spływał, ród w znaczenie urastał, jeśli syn taką kształconą pannę brał. A pensja chociaż niewielka, też nie do pogardzenia. Miesiąc w miesiąc żywy grosz, najpilniejsze potrzeby opędzał, nie mówiąc już o dwojgu rąk przybywających, do roboty.

Za wczesnej młodości Silenzia wiejskimi nauczycielkami zostawały przeważnie niezamożne wsiowe dziewczyny, ledwo otarte na spieszonych kursach, skróconych seminariach, wieczorowych szkołach. Szły zastąpić kadrę wybitą, szły zastąpić kadrę niechcianą, szły nieść oświatę, której same ledwo zakosztowały, a przynajmniej bronić wieś przed analfabetyzmem.

Mężczyźni nie garnęli się do nauczycielowania. Nie

przyciągały niskie płace i perspektywa użerania się z cudzymi dziećmi. Zbabił zawód. Samotne dziewczyny, chłopskie córki, rzucone na dalekie wsie trafiały w swójski żywioł. Nie miały kolegów, ni kandydatów na mężów innych, niż gospodarscy synowie. One jeszcze ceniły własne zagony, żywy był w nich przekaz, by trzymać się ziemi. Należały do pokolenia nienawykłego do mechanizacji, wyrosły w rodzinach z mnogością rąk do pracy na roli. Takie pochodzenie miała sarniejska nauczycielka.

Mogąc wybierać, rozglądała się pośród najbogatszych, najpierwszych we wsi kawalerów. Brat Garncarzowej, bezrolny Milczek, dziwadło i stwora puszczańska, nie błyszczący pracowitością młodzik, kłusownik i odludek, nie miał żadnych szans u tak świetnej panny.

Nauczycielka się podobała, z Włoszką się pokładał, a odkąd zobaczył Nową, o nauczycielce zapomniał, smak do Włoszki utracił, wszystko w nim wyrywało się do Nowej, chociaż ani na niej ciała jak na Włoszce, ani podobna do sarniejskiej Pani. Ta bladź, puttana, la bambolona, zwyczajna dziwka!

Bóg go pokarał za grzechy. Za ludzkie żywoty jego ręka przerwane jakby to były sarny, jelenie albo jakieś inne leśne zwierzęta, za zajęcie niegodne, za lubieżność z kobietą, mogącą być jego matką. Za karę nie może poniechać Takiej. Tyle lat we świecie, a trzymają się go sarniejskie zabobony, karci siebie Silenzio. Bóg ma co innego do roboty, a tych śmierci on, Silenzio, nie winien. Prawda, katowską robotę czynił, taki jego udział. Oprawca, niepiękne rzemiosło, ale za zdjęte głowy sędziowie odpowiadają. To Carla i Szefa grzech, albo Szefa ponad nimi, nazywanego Capo. Skoro jednak żadną miarą nie potrafi wyrzec się tej puttany, weźmie ją sobie i nikt na świecie w tym mu nie przeszkodzi.

Jeśli ona nie zechce?

Może już zagustowała w lekkim życiu, w pieniądzech zbierających się w większe sumy i obrastających procentami, w pieniądzech jakich nie zarobiłaby śpiewaniem nieznana nikomu dziewczyna, bez nazwiska, bez oprawy i reklamy, i gdzie miałyby taki dobrobyt. Klimatyzowane pokoje, puchy, jedwabie, jedzenie pod nos, pół dnia na pielęgnowanie piękności. Wczasy, nie burdel. Może już to wszystko przerachowała i wyszło jej na plus. Wyśmieje Silenzia i jego spóźnioną pomoc, której teraz nie chce. Bo co lepszego ma jej do zaofiarowania? Jeszcze gotowa naskarżyć Szefowi. Nigdy nic nie wiadomo z tymi dziewczynami, gdy z 1 a 1 c z e j ą. Robią się złośliwe, złe, przewrotne.

A najgorsze stają się te przymuszone.

Uratuje Nową, czy ona tego chce, czy nie chce. Zabierze stąd z jej wolą, czy wbrew woli.

Z dnia na dzień buntuje się najbardziej wierny janczar. Szef go nie przejrzał. Nie mógł przejrzyć. Silenzio sam nie wiedział jak bardzo zawiedzie Szefa. Nie znał swojego serca. Nigdy nie doświadczone uczucie wybuchło i przysłoniło wszystko swoim blaskiem. Działał niczym w transie, bez wahań, bez lęku, jakby cały plan miał z dawna, przemyślany i sprawdzony, jakby od zawsze przygotowany do ucieczki, nie gromadził rzeczy, tylko pieniądze, banknoty zaszywane pod podszewką odświętnej marynarki.

Do ostatniej możliwości zdyskontował świetną opinię, zaufanie Szefa, przez blisko sześć lat jak oszczędności składane na własne dobro.

W niedzielę klub jest nieczynny. Zamknięty nocny lokal, biblioteka i gabinety gry. Puste są korty, odpoczywa strzyżona trawa na polu golfowym, ze zwiniętymi żaglami cumują jachty, które nie wyszły w sobotni rejs. W dni świąteczne Szef daje sobie wolne, klub pozostawia pod opieką Silenzia. Silenzio jest tutaj zawsze i wszystkich przyzwyczał do swojej ciągłej obecności. Z czasem, inni goryle płacili mu za swoje niedzielne dyżury, Silenzio niedrogo liczył za zastępstwo. I wszyscy byli zadowoleni. Oni z wolnego dnia, on z dodatkowego zarobku.

W tę niedzielę poszedł do kościoła na pierwszą mszę, jedyne odstępstwo od zwyczaju. Dzień zapowiadał się bardzo gorący, nikomu nawet przez myśl nie przemknęło, że tym razem miał inne powody by wysłuchać wcześniejszego nabożeństwa, zamiast uroczystej sumy. Gdy wrócił, jak zwykle poczekał aż wyjdą Lalki korzystające z wolnego dnia, potem zamknął furkę, spuścił psy i otworzył drzwi prowadzące na wybieg po drugiej stronie domu. Wszystko robił za pomocą fotokomórki, nie opuszczając boksu nadzorca, ukryty za lustrzanymi szybami.

Spokojnie zjadł obiad. Zabrał klucze od pomieszczeń gospodarczych. Odprawił swoją Włoszkę, pomoc kucharza. Nie, dzisiaj podczas sjesty nie legną w jego komórce. I nie odczuwał żalu, że nigdy więcej nie zobaczy tej kobiety.

- Szef pozostawił dyspozycje co do ciebie - zatrzymał Nową przed wejściem do ogrodu.

Nic niezwykłego, niektórzy klienci zamawiają Lalki do domu. W dni świąteczne z dostawą na miejsce kosztuje wielokrotność swojej ceny, odpowiednio też kształtuje się jej procent. Nowa jest już dostatecznie obyta ze zwyczajami, aby to wiedzieć. Przystaje, z nienawiścią spogląda na Silenzia z wysokości schodów, ale nie mówi słowa i zwraca na górę.

Złamali jej kręgosłup, myśli Silenzio. Ona teraz usłucha każdego. Odczuwa nieznaną dotychczas przykrość i żal do Nowej za jej lalkowatą uległość, chociaż to mu uła-

twia zadanie.

- Przebierz się - podaje zawiniątko, sukienkę i pantofle kupione w tanim pasażu dzielnicy handlowej w piątek po otrzymaniu tygodniówki. Wtedy nagle zdecydował się uciec razem z Nową.

Kretonowa sukienka w biało niebieską kratkę na sztywnej halce, seryjna krynolina zapinana na guziki z dopasowaną górą i kołnierzykiem be-be, białe czółenka na szpilkach upodobniają Nową do standardowych dziewczyn zaludniających wówczas miasta na całym świecie, naśladujących bardziej lub mniej udolnie sławny pierwotny wzór, francuską aktorkę Brigit Bardot.

Podziemnym przejściem prowadzi Nową do garażu.

Wprawdzie przed domem widzieć ich mogły tylko stróżujące psy, lecz Silenzio wiedziony instynktem kłusownika nie zaniedbuje żadnej ostrożności.

Jadą przez wyludnione ulice. Silenzio wybrał czas sje-sty, przynajmniej tyle wie, że przez najbliższe cztery godziny nikt nie przyjdzie go sprawdzać, nawet nikt nie podniesie słuchawki telefonu.

Upał.

Gorąco jak w chlebowym piecu. Wóz, zwyczajny fiat służący wszystkim wysyłanym z banalnymi zleceniami, nie ma klimatyzacji. Znośniej robi się dopiero za miastem, szosa przybliży się ku zatoce całej w falbanach żagli, przez opuszczone szyby wpada powiew bryzy i studzi krople potu na czole Nowej.

- Nie pytasz dokąd cię wiozę?

173

- Co za różnica - wrusza ramionami Nowa. Oczy ma wbite w widok za oknem, ani razu nie spojrzała na Silenzia.

- Chcesz ze mną uciec?

Nowa podnosi wzrok na. Silenzia. Głośno przełyka ślinę i przerzuca na drugie ramię pędzel włosów przewiązany u nasady. Nie ufa Ręce Domu, boi się nawet słuchać tego co mówi, nie stać jej na myślenie o ucieczce, chociaż po raz pierwszy odkąd przywieziono ją do Genui, ma na sobie zwyczajną, sukienkę i wciąż oddala się od Domu Lalek.

- O coś cię pytałem - Silenzia niepokoi jej milczenie.

Niektóre Lalki zmuszone do uległości robią się niemrawe, w jakiś sposób przypominają, zabawki z uszkodzonym mechanizmem. Z czasem jednym to przechodzi, inne żyją z dnia na dzień, apatyczne, osowiałe, jak przetrącone.

- Słyszysz, mamy szansę uciec!

Milczenie.

- Wolisz się zedrzeć jak ścierka?

- Niedawno mówiłeś coś innego.

- A co miałem mówić.

- Dlaczego nie pomogłeś kiedy cię prosiłam?

Teraz on milczy. Nic ładnego nie umie wymyślić,

a prawda nie nadaje się na odpowiedź. Nie wiedział czego chce, nie rozumiał czym ona jest dla niego, chociaż rozmawiał z nią nie więcej niż trzy razy.

Rozmawiał? Zamienił kilka słów. Przecież nie powie jej teraz, że wahał się i chciał ją ze siebie wyrzucić, żalując pieniędzy jakie z pewnością wyda z zaoszczędzonych, i nieznośnie ciężko było porzucać jeszcze niezarobione, lecz które zarobiłby przez następne pięć lat gdyby pozostał w Domu Lalek, bo tyle postanowił tam jeszcze przepracować, zanim nie opętała go ona, Nowa.

Od dawna obliczył wszystko co do grosza z procentami i procentami od procentów bo właśnie zaczął się oswajać z myślą złożenia swoich kapitałów w banku. O wartość pensji był spokojny. Nie mogła wynosić mniej niż czterysta dolarów tygodniowo, bez względu na kurs lira w odniesieniu do amerykańskiej waluty. Teraz znowu pożałował tamtych pieniędzy, tym bardziej, że utraconych bezpow-

174  
rotnie. Ogarnęły go wątpliwości, czy Nowa warta poniesionych strat i nakładów.

- Dlaczego ryzykujesz?

- Dla ciebie.

- Jeśli nas złapią zrobią coś strasznego, sam mówiłeś-

- Nie myśl o tym. Nie damy się. Jeszcze nic nie wiedzą. Dopiero koło szóstej może zatelefonować Szef. Podłączyłem robota, zawiadomi, że jestem na terenie. Godzina zysku. A może wcale nie zatelefonuje. On mi wierzy. Nie przyjdzie mu do głowy co za numer wyciąłem-

- Boję się.

- Ze mną możesz się nie bać, chociaż jestem zwyczajny wsiowy chłopak - mówi Silenzio i czeka zaprzeczenia- Wcale nie czuje się przeciętnym wieśniakiem, lecz NoWa nie mówi nic.

Słońce przebyło kawał łuku, zelżał upał, chłodzi rzeński powiew od gór. Wysoko na tle czystego nieba widać siodło Simplonu. Jak mechaniczne zabawki pną się auta po zakolach szosy, spiralą dążą nad urwiskiem ku obniżonej grani między dwoma szczytami, kędy bieży droga łącząca Szwajcarię z Półwyspem Apenińskim.

- Wsiadamy. Musimy pozbyć się wozu. Niedługo mogą zacząć nas szukać. Mają pozór żeby uruchomić nawet niepodkupioną policję. Kradzież samochodu- Rozumiesz"?

- Co z nim zrobisz?

- Zaczekasz tutaj, skoczę do miasteczka, może uda się go sprzedać. Warto chociażby i za ćwierć ceny. Będzie nam trzeba pieniędzy. Na początek jak znalazł.

Nowa boi się pozostać sama, ale milczy.

- Zepchnąć w dół, niby wypadek? - medytuje Silenzio i wie, że czegoś podobnego nie robi. Za nic. Nie jest w stanie zniszczyć sprawnej, przydatnej rzeczy, wartej żywą go-

tówkę. To dobre w filmie oglądanym w telewizji, lecz on Silenzio, nie jest ekranowym gangsterem.

- Zostaw w widocznym miejscu. Policja na niego się natknie. Zwróci. Przynajmniej nie narazisz się za kradzież auta.
- Wisieć za jedną nogę czy za dwie, to samo - ponad siły Silenzia jest wyrzec się tej ostatniej korzyści.

W warsztacie obok stacji benzynowej otwartej mimo niedzieli, musi dokonać wyboru. Może zamienić fiata na stare combi z dopłatą albo sprzedać. Instynkt łowcy podpowiada, że w świecie zmotoryzowanych łatwiej ukryć się pieszym i opiera pokusie wygody.

Nowa nie zabiera głosu. Drepcze za Silenzem w nowiutkich genueńskich czółenkach boczną drogą prowadzącą skrajem regła, bo Silenzio zaraz po wyzbyciu się samochodu ucieka od szosy.

Słońce niknie za lasem porastającym pagór, pełnie chłód, Nowa dygoce w cienkiej sukience bez rękawów. Rozwiązuje włosy, uwolnione od zapinki okrywają nagie ramiona i trochę wydaje się cieplej. Silenzio nie słysząc jej bliskiej obecności przystaje i ogląda się za siebie. Zdejmuje z ramion plecak, wydobywa jedzenie i wino. We wszystko zaopatrzył się w Domu Lalek.

- Kupiłem ci ubranie - Nowa dostaje golf, spodnie, wełniane skarpetki, wiatrówkę i sznurowane trzewiki. Kiedy się przebiera Silenzio odwrócony plecami, marudzi przy otwieraniu butelki. Ta delikatność przepętnia miarę. Nowa nie może powstrzymać łez.

- I czego płacze, czego!

- Uczłowieczasz się - szłocha Nowa. Chciała powiedzieć coś dobrego o nim i nie udało się. Żeby się tylko nie obraził. Z tej obawy dodanej do rozlicznych lęków jeszcze bardziej nie może się uspokoić.

Wiele jeszcze przeżyje strachów, strach jak najwierniejszy towarzysz nie odstąpi jej przez całe życie, ale z tej drogi pod regłami w zapadłym kącie Italii ruszy ku życiu inny człowiek.

- Pofolguje sobie, będzie jej lżej. Przy mnie ona więcej nie będzie rozpaczała. Jeśli kto bodaj palec na nią zakrzywi, zabiję.

Silenzio nigdy jeszcze nie pocieszał żadnej dziewczyny, a tak naprawdę nigdy dotychczas nie poruszyły go żadne łzy. Kto by się przejmował słozami Lalek. Dopiero płacząc, dopiero się śmieją, wyszydają goryli. Rozżalona Nowa onieśmiela, Silenzio czuje się bezradny. Przemawia do

176

niej, jak w Sarniej zwracano się do osób szanowanych, jakby ona nigdy nie była Lalką, sprzedajną puttaną, zwyczajną dziwką, tyle że bardzo drogą.

Świadomość jej profesji tkwi w Silenzium jak głęboko

wbity w ciało kolec suchego ostu. I niczego nie zmienia okrutny przymus jakim ją złamano. W jego przekonaniu porządna dziewczyna raczej pozwoliłaby się zabić niż podać takiemu losowi.

- Co dalej? - odmieniona Nowa znów zawiązała włosy w kitę i wpuściła za kołnierz. Golf zasłania jej pół twarzy. Wygląda na wyrostka w za dużym swetrze.

- Zmywamy się z Italii. Tutaj Oni mają długie ręce. Trzeba nam do żabojadów. Ty zdaje się nawet rozumiesz po ichniemu.

Silenzio nie wie, bo i skąd może wiedzieć zwyczajna Ręka, opłacana siłą, cyngiel w potocznym języku Szefów, że Syndykat od dawna już kontroluje nierząd, hazard i rozrywkę od Marsylii po Havre. Dlatego La Comte stale mieszka w Paryżu.

- Zdaje się, chciałeś do Szwajcarii?

- Tylko dla zmyłki pojechałem szosą na północ. Droga jak deptak pod kościołem po sumie. Z pewnością ktoś nas zapamiętał, może nawet jaki klubowy gość. Stąd najbliższej do francuskiej granicy, poprobujemy się precyzyjnie. Na ruchliwych przejściach o tyle lepiej, że oni zwłaszcza w święto, nie sprawdzają dokumentów. Jakby chcieli każdy tylko do ręki wziąć, korek by powstał od Genui po Monaco.

Nowa uświadamia sobie, że nie ma nawet metryki. Niczego. Jej paszport został pod kluczem u Szefa Domu Lalek.

- Nie martw się. Coś wykombinuję, albo znajdę kuriera i pójdziemy przez zieloną, albo sięjaki papier dla ciebie załatwi. Ze mną nie zginięsz pewnośc siebie Silenzia stroszy się jak koguci pióropusz na kapeluszu bersaliera.

Naprawdę, to nie wie jak trafić do przewodnika co nie oszwabi, albo nie wyda służbie granicznej. I gdzie się zdobywa dokumenty. Owszem, nieraz słyszał o takich sprawach, świeże, niebudzące podejrzeń dowody tożsamości dostarczał Carlo spalonym gdzie indziej Rę-

177  
kom, także cynglom bez zastrzeżeń, na czas wypełniania zadań specjalnych. Korzystał z zastępczych certyfikatów i Silenzio, kiedy ruszał na akcję. Ale gdzie szukać dostawcy, przecież tak szczególnego towaru nie sprzedają w sklepach.

Los im sprzyja.

W pierwszej wiejskiej oberży napotykają grupę tutejszych, wybierających się na winobranie po drugiej stronie granicy. Pod ścianą piętrzy się moderunek tragarzy, wysokie wiklinowe kosze z rzemienną uprzężą, łubianki żeńców odłączających od krzewów winne kiście, leżą zrolowane kocy i ubogi dobytek. Włosi są rozmowni, przyjaźni i gościnni.

Polacy?

Siadajcie z nami, Polacy. Robią im miejsce na ławie, częstują zapasami zabranymi z domu i tanim winem ku-

pionym w austerii.

- Można się z wami zabrać? - Silenzio kłamie o utraczonej pracy. Ależ tak, niechaj jadą z nimi. Wszystkim starczy roboty u francuskich winogradników. Niechaj podadzą nazwiska, mąż zaufania wpisze na listę, dostaną taką samą zapłatę jak Włosi. I niechaj nabędą matę i derki do spania, kosze i serpetki - podobne do sierpu krzywe nożyki, niechaj kupią robocze drelichy, bo zgodnie z niepisaną umową patron zapewnia noclegi i wyżywienie. O resztę muszą troszczyć się sami. We wszystko należy obsprawić się tutaj, po stronie włoskiej wypada taniej, ponieważ frank jest znacznie mocniejszy od lira. We Francji opłaca się pracować, wydawać najlepiej w Italii.

- Jesteś krzepki, kup sprzęt tragarza. Tragarze zarabiają najwięcej - radzi mąż zaufania.

U właściciela oberży Silenzio zaopatruje się w pojemnik nosiciela. Dla Nowej nabywa zbierackie ostrze oraz matę i śpiwór. Jemu wystarczy pled zabrany z Domu Lalek. Przekraczają granicę trzymając się środka grupy, nikt na nich nie zwraca uwagi.

- Na winobranie - mąż zaufania powiewa listą z nazwiskami.

- Przechodzić, przechodzić, przechodzić - powtarzają pogranicznicy podnosząc szlaban, a gromada koszy i tłumoków przepływa mimo, jak łagodna fala.

Silenzio przez blisko sześć lat włoskiej egzystencji ani przez jeden dzień nie był w pełni samodzielny. Nagle zdany na siebie i odpowiedzialny za dziewczynę, poczuł się zagubiony wcale nie mniej od Nowej, chociaż wolałby zginąć niż się do tego przyznać, zwłaszcza jej. Podobny młodemu wilkowi, który przyczaja się zanim wygnany głodem spróbuje sił poza ostoją, Silenzio przywarował w otoczeniu obcujących ze znanym żywiołem, ziemią-

Ziemia rodzi żyto, kartofle, jęczmień. Ziemia żywi pomarańczę, oliwkę i winną łożę. Zawsze ta sama ziemia.

A chociaż Silenzio dotychczas znał winnicę tylko z niedzielnych wersetów ewangelii wysłuchiwanej w kościele, radził sobie niegorzej od innych.

- Hooo! - wzywali nosiciela żniwarze z napełnionymi kobiałkami. Ciężkie kiście oblepiały krzewy tarasami wznoszącej się plantacji.

Silenzio przyjmował urobek w kosz przytroczony do pleców, a kiedy schodził po zboczu z wpitymi w barki rzemieńcami nosideł, jego łuby zawsze ponad krawędź piętrzyły się usypiskiem gron powleczonej srebrzystym nalotem.

Nowa nie potrzebowała się uczyć posługiwania zakrzywionym nożykiem. Przypominał znany od dzieciństwa sierp. Takim ostrzem, tylko o wiele większym, cięła zielsko świniakom, pokrzywę gęsiętom i największą

cenność w ich wiosce, pszenicę. Nie chciała rosnać na jałowych glebach Studzianego, obsiewano pszennym ziarnem tylko spłacheć lepiej użyźnionego gruntu. Plon zbierano jak klejnoty, garść po garści żęto sierpem, by nie uronić ani kłosa.

Krzew winny dojrzewa niejednakowo, owocowanie zależy od klimatu, pogody, gatunku i innych właściwości znanych winogrodnikom. Czas winobrania trwa kilka tygodni. Włoscy zbieracze, według od lat niezmiennego rozkładu, każdego roku przybywali do tych samych winnic, gdzie ich znano, oczekiwano i ceniono.

178

179

W owe lato uciezki, lato zimne i deszczowe, niełaskawe dla wina, Silenzio z Nową przemierzyli Francję od Saubaudii przez Prowansję i Langwedocję po Akwitanię. Wówczas po raz pierwszy przekroczyli kamienne progi klasztoru Panien od Świętego Franciszka pod Souvigny.

Zakon o regule żebraczej, od początku istnienia utrzymujący chorych, chromych i szalonych, gospodarujący na ziemi darowanej przed stuleciami jako wieczysty legat dla ubogich, od stuleci stał winnym szczepem i od zawsze nie mógł podolać zbiorom o własnych siłach. A chociaż pojawiły się już maszyny, które odcinały i kładły kiście w zbiorniki, z powodu wysokiej ceny klasztor nie mógł sobie na nie pozwolić.

Najemne ręce wciąż jeszcze były tańsze. Zaś siostra Joanna, władająca spichrzami, tłocznią i wszystkim co żywe w gumnach, nie miała serca do maszyn. Winny owoc kocha człowiecze dłonie, a winobranie poza szlachetnym trudem jest trochę obrzędem, świętem i modlitwą.

- Polacy. Witajcie Polacy - życzliwie przyjęła ich siostra Joanna.

Ponieważ hospicjum było już przepelnione w pacht oddała żniwiarzom puste komory w dwóch spichlerzach, a siostra przełożona bursy wyznaczyła im miejsca przy stołach i oddzieliła żywiol męski od kobiecego.

Nie byli jedynymi Polakami. Już się pojawiały polskie grupy w gromadach zbieraczy rokrocznie nawiedzających Opactwo. Klasztor miał dobrą opinię, płacono tu podobnie jak u innych właścicieli winnic, ale karmimo lepiej. Żniwiarzom wydawano pięć posiłków dziennie i młode wino bez ograniczeń.

Polacy pracowali dobrze i nie upijali się bardziej od innych, chociaż siostra Joanna znalazła w almanachu przysłowia podkreślające skłonność tej nacji do niewstrzeżliwości: *Soul comme Polonais* - pijany jak Polak, *Ivre comme la Pologne* - pijany jak cała Polska. Tej jesieni jednak Polacy częściej prosili o gorącą herbatę. Siostra szafarka była w kłopotcie i kazała gotować bulion. Panny od święte-

go Franciszka spod Souvigny o herbacie wiedziały na ogół tyle, że nie jest winem, a ciecżą spożywaną przez Anglików. A co dobrego do jedzenia lub picia może lubić Anglik? Nowa traciła siły.

Ciężka praca z dnia na dzień stawała się cięższa. Zimno. Mokra. Nogi oblepione gliną, każde stąpienie skroś rzędów krzewów łagodnie, lecz wciąż wspinających się w górę, wymagało dodatkowego wysiłku; ubranie nasiąknięte uporczywą mżawką i moszczem. Deszcz siąpiący z niskiego nieba i sok spływający po ciele z gron gniotących się własnym ciężarem w kobiałce wspartej o biodro, zawieszonyj na taśmie przepasującej ramię i pierś na ukos.

Długie czekanie na kąpiel w hospicjum, więc przeważnie mycie pod kranem nad korytem do pojenia owiec i noc w cienkim śpiworze na macie podeślanej garścią siana w pomieszczeniu z kamiennego ciosu z kamienną posadzką.

Nowa zaniemogła.

Kiedy się wydobyła z zapalenia płuc, pierwsze świadome chwile wypełniło zdziwienie. Jak to? Położyła się spać na podłodze spichrza, a obudziła w białej celi, w biało obleczonym łóżku. Z kilkunastu dni walki o jej życie nic nie pozostało w pamięci wytrawionej gorączką.

Przyszedł Silenzio, stał i patrzył.

- Nie możesz mnie poznać? - dotknęła swojej głowy, stroszących się krótkich kosmyków. Piękne włosy Nowej zostały obcięte, żeby ich nie wyniszczyła choroba.

- Nie, tak - płacze się Silenzio przerażony woskową skórą opinającą kości jej twarzy.

- Zmarniałam - dziewczyna patrzy na swoje chude, wydelikaczone nadgarstki.

- Zmarniała, ale się odkarmi - znowu go onieśmiela, nieruchoma pod okryciem modelującym wyszczuplony ponad miarę kształt przypomina gotyckie figury widziane przez Silenzia w kaplicy Opactwa.

Niechaj się nie martwi o pieniądze, on zarabia. Nosi pełne łuby z rozmiękłego stoku w dół do parowu i zsypuje kiście w kadź ustawioną na platformie zaprzęgniętej w muła. Ale po co jej to mówi! Tak się ucieszył i gada byle co. Winobranie się kończy, ona wróci do zdrowia i wy-

180

181

jadą do Bordeaux, a najlepiej do Paryża. Tam już nigdy jej nie puści do żadnej ciężkiej roboty.

Nowa przymyka oczy. Męczy sam jego widok, jego zdrowie, jego siła, energia, męczy głos, nawet zapach winnicy jak wniósł ze sobą, pomieszana woń moszczu, mokrego rzemienia, świerkowych łubów i wilgotnej zwierzęcej sierści.

Silenzio przychodzi do infirmaryum co dzień, co dzień przynosi dowody troski o Nową. Dorodną kiść winogron powleczonych nalotem, dopiero odcięta z krzewu, słodycze

i pomarańcze kupione w Souvigny, niebieski sweter z an-gory, kiedy zaczęła siadać podparta poduszkami.

- Piękny, na pewno bardzo drogi.

- Drogi. Ale ja dla ciebie wszystko - duka nie patrząc na nią.

Polubiła go. Polubiła jak drzewo dające cień, jak ogień w zimne wieczory, jak dach nad głową. Potrzebowała go, sypiała z nim, nie snuła planów. W swojej przyszłości nie widziała dla niego miejsca. Nie dorósł do jej aspiracji.

Wstydziliby się pokazać go znajomym i koleżankom ze szkoły muzycznej, wstydziliby się pokazać go w swojej wsi, nawet nie przyprowadziłaby go do ludzi, u których mieszkała kątem na warszawskim przedmieściu.

Nowa była uczona. Jej mąż musiał być uczony. Prze-świadczenie wyniesione z rodzinnego domu, wpojone tak samo głęboko jak znajomość pacierza i dekalogu. Mieści-ło się w nim nie tylko wykształcenie, ale tytuł naukowy, ogłada, obycie, poprawne wysławianie, wszystko czego sa-ma nie posiadała.

Silenzio był zaprzeczeniem jej wyobrażeń o uczoności.

Był gorzej niż nikim i nie miał nic do zaoferowania dziew-czynie z jej ambicjami. Jego marzenia o własnym domu, grządce ogórków i taksówce budziły w niej politowanie.

Silenzio zmagał się z innym tabu. W jego wsi żaden mężczyzna, nawet kaleka, nawet stary wdowiec, nie wziął-by za żonę takiej. Lecz tutaj nie rodzinne opłotki, nikt się nie zaśmieje za plecami, nikt nie będzie plotką, pomówie-niem, złym słowem wystawiał na sztych męskiego honoru, kobiecie nie splunie pod nogi. I Silenzio postanowił ożenić się z Nową, zwlekał jednak z wyjawieniem zamiaru. Nawet bez ślubu są jak mąż i żona, a dziewczyna wciąż jeszcze nie ma dokumentów, więc nie widział potrzeby pośpiechu. Przez myśl mu nie przeszło, że ona mogłaby nie pragnąć małżeństwa z mężczyzną, z którym sypia bez sakramentu, gotowym nie zważać na jej przeszłość.

Zgnębiony chorobą Nowej przyrzeka Bogu dopełnić obrządku w kościele, podejrzewając karę za ich nie uświę-cony, niemoralny, cielesny związek. Bóg Silenzia jest gro-źny, surowy, okrutny. Czasami udaje się przekupić go modlitwą, skruchą, obietnicą dobrego uczynku.

9.

Z dziecka Sarny wyrósł dziki kozioł, dorodny, silny, zły. Zawładnął parkiem, nigdy nie wiadomo gdzie się objawi i co mu strzeli do tego mocnego łba, którym posługuje się niczym taranem. Czyni szkody. Objadł pnącze maskujące płot odgradzający część gospodarską, połamał i zwałił ste-laż opięty siatką - kurzą woliere.

- Trzeba z nim coś zrobić - domagała się Aniela.

- Trzeba - zgodziła się Nasta, obojętna i nieobecna. Nic a nic ją nie obchodziły domowe kłopoty Anieli. Przygoto-

wywała nowy koncert i liczyła się tylko jej praca. Dała pieniądze na usunięcie zniszczeń i więcej nie chciała słyszeć o wybrykach capa.

Minstrel kochał dzikiego sarńca. Pamiętając ukrytego przez matkę w trawach pod koroną arcydziegła, układał małego w cieniu, poił mlekiem z butelki póki stworzenie nie odpadło od smoczka ze spęczniałym brzuchem, jakby połknęło piłkę. Po raz pierwszy koźlą z ręki Minstrela wzięło siano, ziarno i chleb. Dbał o nie dzień po dniu, czyścił zgrzebłem zabranym dogom, wyparzonym we wrzącej wodzie żeby nie pachniało obco.

Póki koźlą było dzieckiem, chodziło za Minstrelem po parku, popłakiwało, upominało o uwagę. Drapane po karku, czochrane pod szyją z błogością mrużyło swoje

182

zwierzęce oczy, oczy koloru żywicy, wypukłe, dalekie i niepojęte.

Z bezradnego oseska wyrósł dorodny kozioł, stał się niezależny, nie potrzebował czułości, miewał humory. Odmieniła się i jego przyjaźń. Nie była już przywiązaniem małego do zastępczej matki, tylko sentymentem tęskniącego do swobody dzikiego capa. Na gwizd Minstrela niezmiennie przybywał z komyszy rozległego parku, godnie wynurzał się z zarośli, tkął miękki pysk w brezentową torbę, w której Minstrel przynosił chleb.

Przepadał za chlebem. Nauczył się znajdować kromki w kieszeniach. Minstrel chował je umyślnie, demonstrując pusty worek, ciekaw, jak potraktuje go samiec skazany na bezinteresowną przyjaźń, ale on nigdy nie odniósł się do Minstrela złośliwie. Zawsze na wezwanie porzucał kryjówkę i z najmniej oczekiwanej strony rozsuwał gęstwinę mocnym czołem. Jadł chleb albo przeszukiwał kieszenie przyjaciela wydmuchując powietrze miękkimi chrapami.

Gdyby poprzestał na dalszej części parku, ale nie. Zaborczy samiec objął we władanie cały teren. Przed dworem obrywał korę z młodych drzew, smykał pędy północnej jarzębiny, przeganiał Tota i Hapi i siał bobki gdzie stanął, a najchętniej przed licem siedziby. Poza Minstrelem przestał tolerować ludzi. Rozpoczął od Anieli. Zdążyła uciec do samochodu. Zawalczył z karoserią.

Zanim Minstrel zdążył z pomocą, strzelił gaźnik wozu uruchamianego przez zdenerwowaną Anielę. Ten odgłos podziałał piorunująco. Po zwierzęciu nie pozostał ślad. I na jakiś czas zapanował spokój, wychowanek Minstrela nie pokazywał się w pobliżu domu, opuścił także gospodarską część posiadłości. Nie na długo. Wprawdzie już nigdy więcej nie szarżował na samochód i zniknął na sam jego widok, ale znowu panoszył się wszędzie, jeszcze bardziej zaborczy, bezczelny, dokuczliwy.

Aniela wystąpiła przeciw kozłowi.

Minstrel przebłagał gospodynię jagodami, borówkami, wczesnymi grzybami. W odległej części parku, którą po przegranej walce z autem cap uznał za swoją ostoję, Minstrel napychał go chlebem i prosił aby nie bobkował przed gankiem ani na owalnym trawniku, wokół którego biegła elipsa podjazdu, żeby nie tratował forsycji przed frontem budynku i nie objadał kory z rzadkich gatunków drzew, a najlepiej aby w ogóle omijał okolice dworu. Kozioł żarł chleb, żarł maślane bułeczki podkradane przez Minstrela, żarł marchew, sałatę, nawet pomidory i znowu narzucał swoje władztwo.

Aniela nie dała się ułagodzić.

Los samca pozostał w zawieszeniu. Sprawa może by i przyschła, ale rozpanoszony kozioł napadł Nastę.

Darowała płot i kurniki, darowała zatratowany drób pewno nawet odpuściłaby potyczki z Anielą, ale żeby ona musiała się bronić leżakiem i uciekać sprzed własnego domu z powodu takiego złośliwego, głupiego bydłęcia? Basta! Kozła natychmiast eksmitować do lasu. Nie ma odwołania. Stał się niebezpieczny.

- Wszystkich nas pozabija - kassandrzyła Aniela.

Nieszczęśliwy Minstrel układał pieśń o zwycięstwie samca, o niesprawiedliwości i gniewie, próbował na pianinie, ale nie wpuszczał Nasty, obojętny i głuchy na jej perswazje zza drzwi. Dobrze jej tak, długo będzie się napraszała ze swoim notatnikiem w pięciolinie, gotowa stawiać czarne kijanki.

Minstrel wie jak ją ukarać. Jest świadom swojego talentu. Od dawna oddaje go Naście i dość dawno odkrył że to jedyny, niezawodny sposób na zaskarbienie jej miłości. Kozioł nie pozwala o sobie zapomnieć. Obija się wzdłuż parkanu. Jeszcze przychodzi na wezwanie, ale jakiś nie-swój, podrażniony, coraz bardziej niespokojny. Wprawdzie nie odnosi się wrogo do Minstrela, lecz już nie poddaje pieszczotom, uchyla od poufności, nawet chleb przyjmuje jak z łaski. W złotych, wypukłych zwierzęcych oczach płonie szaleństwo.

- Może chory?

- Chory z miłości - podchwytuje Nasta.

Jest czas godów. Puszcza rozbrzmiewa weselną pje. śnią, samiec tęskni do łań. Minstrel ustępuje. Nocą przy.

184

185

nosi zwierzęciu pszenne bułki i słone precle. Nakarmionemu otwiera bramę na oścież, a on ani się zawahał, ani spojrzął za siebie, niewdzięczny, nieczuły, obcy runął przez drogę w gąszcz, w ciemność, ku swemu kochaniu. Minstrel jest niespokojny o jego los. W jasne noce wykrada, się do lasu, szuka przyjaciela. Kiedy mroku nie

rozświetla księżyc, ruszał w Puszcze o brzasku z torbą wypełnioną chlebem, wracając pozostawiał kromki na zwalonych pniach. Niezrażony, podejmował niekończące się wyprawy, wędrował coraz dalej i dalej, otwierał się przed nim coraz inny ostęp, bór zdawał się nie mieć końca. Koziół nie pojawiał się na wezwanie.

Bogusz go zabije!

Łowczy jedną ręką napełniał żłoby pod wiatami, drugą mordował. Zwierzęta cierpiące zimowy niedostatek kiedy podszyt przywały śniegi, obyte z zapachem człowieka właśnie przez te żerowiska, padały pastwą drapieżcy uzbrojonego w dryling.

O poczynaniach Bogusza opowiadał krewny Anieli, przychodzący do nich rąbać drwa do kominka.

- Pod paśnikami żywinę morduje. Jego familiant Henryk, z dalszych Boguszków, prowadzi samochód, a on tłucze. Jatkę z lasu robi, safari urządza. Jak ludzie pamięcią sięgają, nikt w Puszczy tak po zbójowemu żywioły nie wyrzynał.

- Dlaczego milczycie. Trzeba napisać, powiadomić władze.

Niechaj ukróć barbarzyństwo - zdenerwowała się Nasta.

- On sam jest władzą. Później wzięłby mnie kto za dzika i wygarnął breneką.

- Bogusz nikogo nie postrzelił. Nigdy! - sprzeciwiła się Aniela.

- Tamci przedtem też nie.

- O czym wy mówicie?!

- O nowych dziedzicach. Raz człowieka z nagonki poranili, umarł. To znowu dygnitarz dygnitarza na linii ubił.

Podobno nie wiedział o sąsiednim stanowisku, tylko myślał, że to odyniec w krzakach rechta. A na Pohorze Bardzo Ważna Osoba z Warszawy z ganku leśniczówki wypaliła, bo coś się w zaroślach ruszało i ustrzeliła dzieciaka.

186

- Człowiek i Osoba pijane byli, a dygnitarze też podpite. Nic umyślnego się nie wydarzyło.

- A mnie za jedno ducha wyzionąć umyślnie, czy nie chcący.

- Jeśli się zajmę poświadczysz pan to safari? - chce wiedzieć Nasta.

- Nie.

- Więc nie chcę już nic więcej słyszeć o Boguszu. Widać do wolności jeszcze nie dorośli, musi wam ktoś siedzieć na grzbiecie - uniosła się Nasta i zawstydzona umilkła.

- Po mojemu lepiej niech jeden tłucze, niżby mieli wszyscy - Aniela broniła Bogusza. - On jest samowolny i zachłanny, ale przed innymi szkodnikami lasu i ludzi puszczańskich broni. Za poprzedniego wojewody, przez swoją rodzinę na urzędach w Grodziszczu i przez znajomości w Warszawie przeszkodził Sarnią wywłaszczyć i dewizowy skansen zrobić.

Nasta ochłonęła i odczuła ulgę. Dobrze, że ten człowiek nie chce świadczyć przeciwko Boguszowi. Ona nie musi podejmować żadnych działań. I co ją napadło, żeby z własnej woli, nieprzymuszona, kłaść palec między lokalne układy. Najmniej ona nadaje się do naprawiania obyczajów tutejszych urzędników.

- Chociaż dziesięć lat tu żyję, wciąż jestem cudzy. Przygarnęła cię na starość ziemia rodzinna, to siedź cicho - tłumaczył się krewny Anieli, przezywany Kowbojem.

Kowboja niespełna rocznym dzieckiem wywieźli ojcowie do Ameryki. Teraz, jak-powiadał, do Starego Kraju powrócił. Emerytem, bardzo w swój pieniądz zadufanym. Prawda, jak tę swoją lafę na złote u handlarza wymieni, ładny grosz się robi.

Kupił małego fiata i pobudował dom. Nazywa go kотиż, wymawia niewyraźnie, wychodzi kotek. Pewno mu się przez taki długi pobyt słowa poplątały, myśleli z początku ludzie. Niech tam, nie będą starego poprawiać, po co go zawstydzają.

Wokół okien i drzwi kotka szlaki z lusterek, ściany w kwiaty z wciśniętych w świeżą zaprawę potłuczonych fajansów.

Na słupkach betonowych też stłuczka wykpionych, latarnie kolorowe, lecz rzadko je zapala, prąd oszczędza. Teraz Kowboj odziewa się zwyczajnie, ale jak przyjechał, nosił się w dzinsach, serdaku skórzanym, frędzlastym, szpiczastych butach na półsłupku i jasnym filcaku z jasnym rondem.

Te obcasy u kamaszy i kapelusz trochę go podwyższały, bo postury był nędznej. Ludzie w Sarniej wtedy po raz pierwszy zobaczyli prawdziwego Stetsona. Tak się nazywało nakrycie głowy, które dotychczas widywali tylko na kowbojach w telewizji. Okazało się, on przez sześćdziesiąt lat nieobecności we wsi rodzinnej kowbojował w Texasie. Zapraszali go ludzie, częstowali i słuchali opowieści o bezkresnych pastwiskach, wielkich stadach w dzień i w nocy pod gołym niebem, krowach niedojonych, hodowanych tylko na mięso, fermach, sklepach, miastach, bogactwie, drogach przez skaliste pustacie porośnięte trawami.

Raz na takie ugwarzanie Bogusz się zaprosił. Posłuchał, posłuchał, zaczął pytać.

- Nowy Jork widział?

Nie. Z Texasu świat drogi. Nie miał biznesu na Wschodzie i pieniędzy szkódował. Nie, nie był ani w Waszyngtonie, ani w Chicago, nie jeździł do Miami, nie wczasował na Florydzie, w Meksyku też nie. Gdzie był? Dwa razy w Dallas, tam gdzie prezydenta zabili i do kościoła w Świętej Magdalenie jeździł.

- No to nie ma co szyku zadawać, ludziom wodę z mózgu

robić. Kowboj to znaczy pastuch. Jakby musiał tam za swoją emeryturę żyć, cienko by śpiewał. Dlatego wrócił. O miastach i obyczajach też nic nie wie, bo i w jaki sposób, skoro sześćdziesiąt lat przesiedział pośród krowich ogonów. Nawet porządnie mówić się nie nauczył, ani po polsku ani po angielsku - tak go Bogusz zbijał punkt po punkcie, a stary gasł, kurczył się, aż wydał się jeszcze mniejszy. Ludziom zrobiło się przykro. Nic a nic im nie szkodziło, że stary sobie pokoloryzuje, popprzechwala się. A niechby użył za te lata sługiwania na cudzym, harówki w stepie bezludnym, bezleśnym, bezwodnym, kaktusami wyszczerzonym, za życie samotne szyku w rodzinnej wsi pozadawał. Niechby się grzał w ich podziwieniu, utwierdzał w swoim zamorskim sukcesie. Komu wadziło?

Owszem, cudacznie gada, czasami niczym z kantyczki czyta. Ale tak od ojców swoich słyszał, i nie z samego fasonu obce wyrazy wtrąca, swojskich właściwych nie zna. Od kogo miał się ich wyuczyć chodząc za niewłasnymi krowami. Amerykański czy tutejszy bydlak, za jedno. Cudzy. Tak i tak wyrobnik jesteś jakby cię nie zwali Kowboj czy Pastuch, albo jeszcze inaczej.

Bogusz dwa dyplomy ma, stanowisko ma, bogactwo ma, po zagranicach bywały, po cudzoziemsku mówić wyuczony, a goryczy ludzkiego losu nie rozumie. Umniejsza taką mizerotę żeby siebie wywyższyć. Zawsze mu mało. Nawet tej samotnej starości pozazdrościł uwagi okazanej przez wieś. A przecież nie inny niż Kowboj. Ludzie pamiętają. Kiedy jeszcze nie miał wysokiego fotela ni samochodu, ni myśliwskiego domu, ni zagranic i dopiero zadzierał głowę ku górze jakby się tam wspiąć, pysznił się swoim pochodzeniem. Widać człowiek musi jakąś dumę własną mieć, jak nieprawdziwą, chociaż wymyśloną.

Z czasem wieś straciła ciekawość do Kowboja. Ludziom spowszedniały wciąż te same opowieści, przywykli do kapelusza, obcasów i serdaka z frędzlami. Staremu doskwierała beczynność, z nudów zbierał jagody, z urazy za doznane upokorzenia podpatrywał Bogusza. Pierwsze obserwacje zaniósł leśniczemu na Wigajnach.

- Podpiszecie?

- Pan urzędowy człowiek, niechaj da baczenie. Ja cóż cudzy, samotny i nie mam w nikim oparcia.

- A ja mam czworo dzieci.

Racjonalny świat leśniczego na Wigajnach mącą dziwne wydarzenia. Zniszczono paśniki, żłoby z lizawkami, wiaty gdzie zimą dokarmiane są zwierzęta.

Padający w nocy śnieg zasypał wszelki ślad. Ruinę zerowiska na Czarciej Łapie dziergał na ponowie tylko pojedynczy ścieg zajęczych tropów. Zburzono konstrukcję lecz

karmę i sól przeniesiono w inne miejsce wybrane z rozmysłem pośród kępy drzew, gęstwina, poszycia chroniących przed opadami.

Nie ostał się żaden karmnik lecz wszędzie wyszukano naturalnie osłonięte zakątki, gdzie złożono paszę i li-zawki. Nie było co reperować, należało postawić nowe daszki, zbić drabinki na siano i koryta. Leśniczy zawiadomił Bogusza, muszą podzielić koszta między leśnictwo i myśliwych.

- Ja tego sysysyna wytropię! - wściekał się Bogusz. Już wiedział o dewastacji na Czarciej. Donieśli krajanie z Błot Szlacheckich. Szkody wyrządzono tylko na obszarze gdzie prawo do polowania mieli członkowie koła, któremu jako Łowczy przewodził Bogusz.

Łowczy znany był z kaprałskiego drylu narzuconego podopiecznym i tępienia każdej dodatkowej strzelby. Gdyby od niego zależało, ani jeden leśniczy nie dostałby zezwolenia na myśliwską flintę. Gdyby od Bogusza zależało, od Białowieży po Bieszczady, od Kaszubów po Tatry takie zezwolenie miałyby tylko Bogusz, a tysiące myśliwych dewizowych rok w rok najeżdżających przetrzebione lasy, nie przestąpiłoby granic Peerelu.

Kłusują! - aż w nim coś łkało.

Gilzy po naboju nie da za żadnego człowieka mieszkającego w lesie i mającego samopał. Kto takiego skontroluje, straż leśna, Nadleśniczy? Nogi do dupy uchodzi i nie złapie. Bogusz ma tylko trzy leśnictwa na swoim terenie i włosy z głowy rwie, gdy sobie wyobrazi co ci faceci wyrabiają, a Nadleśniczy szesnastcie, a każdy z tych szesnastu leśników pan na swoim, to kto ich upilnuje! Etyka zawodowa? Gadanie. Gdy biegnie byk, a ziemia pod nim drży, głucho tętent powtarza, świszczą gałęzie roztrącane porożem, nad młodniakiem płyną widoczne tylko najwyższe odrosty korony i płomieniem przez prześwity miga gniade ciało, jakby same rude chojary ruszyły przed siebie, albo gdy rogiem mech bodzie, na wieńcu podrzuca, niecierpliwą nogą ziemię kopie, opadłe igły spod racic bryzgają, mięśnie pod cienką skórą chodzą, kto się wtedy oprze? Święty Franciszek się nie oprze. Bogusz na pewno nie, i nie wierzy, żeby taki się znalazł.

Szanse nierówne.

On w Grodziszczu, a oni na miejscu. Trzech bezkarnych, wytrawnych i skumpłowanych. Nie mają sprzecznych interesów to się nie żrą, Bogusz nawet próbował ich na siebie napuścić. Bez wyników. Inna specyfika. U niego w Przedsiębiorstwie te mechanizmy grają jak organy. Ale w Birmie ma kość, którą może rzucić. Wyjazdy zagraniczne, zarobki w zielonych. Startujcie panowie. Wygrywają najbardziej dyspozycyjni, oddani, oddani oczywiście Boguszowi.

Z członkami koła też kłopotów nie ma. Średnie kariery,

jedni zależni od Bogusza, bezpośrednio, inni W strefach wpływów. Bogusz ma dobrze ustawioną rodzinę w Warszawie, w Grodziszczu i w terenie. Familia rozumie, wróciły czasy plemienne, trzeba się trzymać razem, inaczej wygrzą w wilczym świecie, gdzie każdy tylko swojej, korzyści patrzy. W obsadzie Koła łowieckiego komplet.

Statut nie przewiduje ani jednej strzelby więcej na jego łowiskach. No i na zdrowie! Już Bogusz potrafi trzymać się przepisu, jeśli stanowi po jego myśli. Bogusz ma nad podopiecznymi nieograniczoną kontrolę, gdyby się który bez jego zgody do Puszczy urwał, będzie wiedział, ale oni nie kłusują. Nie żeby tacy święci, Bogusz nikomu nie wierzy, nie mają warunków. Bogusz ma. Jest ponad. Co wolno wojewodzie, nie tobie smrodzie. Przysłowia są mądrością narodów.

Gdy Bogusz był mizerakiem też nie miał przywilejów. I nie rozgoryczał się. Po to zostaje się kimś. I piął się i uczył. Wieczorami inni kino, butelka, dziewczucha, zabawa, karty, albo i zwyczajne lenistwo, a Bogusz statykę, angielski, francuski, prawo budowlane, kodeks administracyjny do poduszki.

Układy trzeba mieć, dyplom trzeba mieć, tytuł naukowy trzeba mieć. I ma. Z dwóch specjalności. Ale papier dopiero podkładka. Jak się nie ma talentu do rządzenia, fakultety nie pomogą, całe życie pozostaniesz referentem, nawet z legitymacją partyjną.

190

191

Przede wszystkim musi człowiek zaobserwować jaki typ pracownika najbardziej lubi jego szef. Tak-taka, służbistę, niewolnika, czy osobę z własnym zdaniem, które jednak zawsze z szefowskim się spasa jak dobrze położony zrąb. Lecz w jakiej konwencji byś nie występował nie żądaj, by w sprawach delikatnych wywalał ci kawę na ławę. Musisz chwycić aluzje, napomknienia rzucone mimochodem, słówka wycedzone od niechcienia i jak myśliwski pies prowadzić się własnym węchem. Jeśli węch zawiedzie, przepadłeś. Ty ponosisz całe ryzyko. Jeśli się uda małe, większe czy duże świństwo, prędzej czy później nie minie nagroda, jeśli się nie uda, nie licz na pomoc. Nigdy w takich razach nie powołuj się na zwierzchnika. Jeśli się nawet do niego dobiorą, jesteś skreślony. Każdy zapamięta, to ten co wykończył szefa.

Szefa wykańcza się dopiero gdy przegrany, lecz jeżeli nie masz szans na jego miejsce, nie pomagaj niszczyć ale i nie włączaj się do obrony- Jeśli chcesz zostać kimś, nigdy nie podpieraj skrachowanych.

Kariery nie robi się w rękawiczkach. On, Bogusz, coś o tym wie. Przeszedł twarde terminowanie, drogę nie dla mięczaków, co wierzą we wzniosłe hasła. A prawda jest ta-

ka, jeden drugiego zagryza, ponieważ za mało jest wszystkiego, żeby starczyło dla wszystkich. I tak było od początku świata. Kto tego nie rozumie jest głupi. Bogusz nie jest. Czynił co uważał za korzystne, nie oglądał się za siebie. Tylko raz pokierował się sentymentem i obsunął. Więcej takiego głupstwa nie popełnił-

Dlatego coś osiągnął. Teraz, chociaż ma swoje lata, nie boi się konkurencji młodych pistoletów, gotowych zrobić wszystko co każesz, dopóki twój fotel mocno stoi. Żądni znaczenia i korzyści, ambitni i bezwzględni chcą sprintem zdobyć to, do czego Bogusz dochodził latami. Niecierpliwi. I bardzo dobrze. Pośpiech rodzi błędy. Bogusz bez trudu wybija im grunt spod nóg, gdy stają się zbyt niebezpieczni. Wolniej! Zdążycie się narządzić. Nie jestem nieśmiertelny. Pracę ma odpowiedzialną i nienormowaną, jest podporą ładu, dostawcą minionych dostatków i nadzieją przy-

192  
szłych. Ponad dwa dziesiątki lat na kierowniczych stanowiskach w randze ministra, nawet bez ministerstwa, rozwijał myśl techniczną, teraz ją eksportuje.

Siła robocza, nawet ta z dyplomami wyższych uczelni, sprzedawana przez Bogusza do drugiej strefy płatniczej jest najtańsza na świecie, dotychczas równie tani byli tylko Chińczycy, ale już nie są.

Bogusz odprowadza dewizy do Skarbu Państwa. Nie jest byle kim. W świetle jego zasług cóż znaczy jakaś łania, rogacz, daniel czy dzik. Gdyby tylko tacy jak on polowali, zwierzyna by w kolejce do odstrzału stała, tak by się jej namnożyło, a przecież też sobie zbytnio nie folguje. Zdarza się poniesie go, tak jest skonstruowany, ręka sprzęgnięta z okiem i strzelbą. Jedno ciało.

Inni miewają kosztowniejsze i mniej zdrowe zamiłowania. W karty grają, na ruletę po spelunkach nocę trawia, przegrywają własne i nieswoje, na wyścigach się splukują do podszewki.

A nałogi?!

Niedaleko szukając, kolega z minionego okresu. Jak się zatrzęsło w budownictwie, spadł. Musiał spaść, nie znał się na budowaniu. Na otarcie łez zakotwiczone go w Chemii. Na chemii też się nie znał. I przez te niekompetencje nabawił się marskości wątroby. Taki traf, jeden zastępca wrzód żołądka, drugi cukrzyca, główny technolog abstynent. Osobliwość jak płaski wielbłąd, albo garbaty wąż. Mógł, miał zdrowie, a nie pił, okazja za okazją, a on nic, ani kieliszka! Więc kolega Bogusza robił to samo co w budownictwie. Reprezentował. I przywykł. Teraz więcej na zwolnieniach lekarskich niż w zajęciu. Ale on już nawet na chorobowym nie potrafi oderwać się od flaszki. Cierpi, cierpi, potem woła boska! Zamawia karetkę i pije. Jak dotychczas zawsze zdążyli odratować.

Tacy są ludzie! Na niczym się nie zna, nic nie umie, branej forsy nawet nie odsiedzi za biurkiem, etat z nomenklatury blokuje, chleje i jeszcze sanitarki zużywa. On, Bogusz, na takim tle święty.

Świętego też ruszy.

193

Można wytrzymać myśliwych z Koła. W sezonie łowieckim nie tacy znów szkodliwi. Dzięki Bogu, samo przyznanie prawa odstrzału przez Łowczego i rejestracja w Nadleśnictwie, jeszcze nie zwala z nóg daniela, czy łosia.

Bolą go leśnicy. Bezczelni. Nie dość, że bezkarnie co chcą robią w lesie, wybierają jego zwierzynę, jeśli tylko w okresie dozwolonym Bogusz opóźnia przyjazd, telefonują i upominają, się o przysłanie asygnaty.

Janusza z Pohory Bogusz utemperował w natchnieniu.

Ledwo zdążył nogi za próg przelożyć, rąk jeszcze nie umył, ani rzeczy nie wypakował, już zaterkotał motocykl.

Nienawidzi jak zarazy owego pyr-pyr-pyr, aż go trzęsie ze złości gdy je słyszy. Oni wszyscy jeżdżą na motorach i domagają się certyfikatu na jego zwierzynę. Tacy chciwi, tacy namolni. Oczywiście Janusz przyjechał po wypiskę.

- Uchodziłeś byka?

- Tropię, nad ranem mógłbym go dostać. Skrobnij papierek, zaraz podrzucę do Nadleśnictwa.

Proszę, tropi. I jak mu pilno, dawaj, już! On, Łowczy, nawet się nie domyśla którejś chadza jego najpiękniejszy rogacz. Niekoleżeński ten Janusz. Siedzi w ostępie jak rok długi, wszystkie zwierzęce ścieżki zna, zamiast powiedzieć, przyjechałeś na kilka dni, czas masz ograniczony, weź sobie tego jelenia, dla siebie drugiego upatrzę. Nie, tylko dawaj zgodę. Brak ludziom subtelności i wychowania. Nie powinien być z nim na ty, na łeb włązą.

- Zaczekaj do jutra, albo wal tak. Formalność. Pieczętkę mam w majdanie, muszę najpierw wszystko wyjąć żeby się do niej dogrzebać - skłamał.

Stempel miał w kieszeni bluzy na piersi, tylko chciał odwlec przykry moment. Może w międzyczasie coś się jeszcze zdąży zmienić. Rogacz porzuci znaną Januszowi ostoję, zwabi go zapach łań na innym rykowsku. Wtedy nie myślał o poskramianiu Janusza, nie napuszczał go z wyrachowania, jak później ludzie mówili. To była improwizacja, żal na widok ubitego byka, jego byka. Co za sztuka, płakać się chciało, poczuł jak mu ciśnienie skoczyło.

Hasa sobie takie niezwykle stworzenie, koronę na głowie nosi. Poroże jak Chojary, łebek mały, pierś kabardyńskiego bieguna, nogi baletnicy, w okrywie kasztanowatej, i ten cud, że trzysta kilo czystego mięsa, do tego najpiękniejszy wieniec dwunastaka, jaki kiedykolwiek zdobił jelenie czoło, przypada w udziale takiemu Januszowi.

Niedarowanie! Nie, nie wystawiał Januszowi zezwolenia. Ustnie wyraził zgodę? To Janusz tak twierdzi. Obiecał jutro? Dlaczego więc leśniczy z Pohory nie zczekał do jutra. Wykręty, zwierzę zostało ustrzelone bezprawnie.

Kłusownictwo.

Najcięższy zarzut wobec leśnika. Zagarnięcie powierzonego mienia. Takich nie chroni pragmatyka. Każda kara wymierzona przez sąd koleżeński w Kole Łowieckim legnie kamieniem na opinii Janusza. Grozi mu wyrzucenie ze związku, co przekreśli zawodowo jeśli Łowczy nada bieg sprawie. Nadleśniczy ma zgryz. Nie zarzuci kłamstwa Łowczemu, chociaż wierzy Januszowi. Świadców nie ma, Bogusz nie wycofa zarzutu, byłoby równoznaczne z przyznaniem się do zniesławienia.

Pozostaje tylko prosić Bogusza.

- Nie top mi chłopa!

Postąpił lekkomyślnie nie czekając na wydanie zaświadczenia, ale to dobry pracownik. Jeśli go straci, nie wiadomo jak długo leśnictwo na Pohorze zostanie bez gospodarza. Skąpy jest dopływ świeżych sił do zawodu.

- Musi być porządek - Bogusz nie zamierzał aż tak zamącić. Skoro jednak ciasto rozczynione trzeba je piec. Sam musi wyjść z twarzą i coś na tym zyskać.

Zyskał.

Dwa lata Janusz nie będzie polował, strzelbę odda w depozyt Nadleśniczemu. Bogusz puści w niepamięć przewinienie i ani oficjalnie, ani towarzysko nikogo nie poinformuje. Dotrzymał słowa, tylko od Janusza ludzie się dowiedzieli o przewrotności Łowczego.

Także nikomu nie powiedział kto zniszczył paśniki na jego obszarze łowieckim, chociaż na wandalizmie przyłapał głupka. Cierpliwości. Młyny boże miał wolać

194

195

no. We właściwym czasie przestępstwa Minstrela dopełnia miarę Artystki.

Od wydarzenia przy wjacie na Czarciej Minstrel skutecznie unikał spotkania z Boguszem, mimo że jego drogi nadal prowadziły przez polany z paszą pod daszkami, bo są to drogi nareszcie odnalezonego kozła.

Spotkał sarńca na skarpie u początku bagien. Na zew Minstrela wyburzył się z gęstwiny jakby tam oczekiwał zawsze, jeszcze większy, jeszcze piękniejszy, w szarej zimowej okrywie wyjadł zawartość torby, tkał miękką mordę w kieszenie, pozwolił się drapać z ukontentowania przymykając swoje nieprzeniknione oczy koloru żywicy i obwąchiwał Minstrela, wydmuchując powietrze wilgotnymi chrapami.

- Chodź do domu, przeczekasz mrozy, w Puszcę pójdziesz wiosną, gdy zazielenią się trawy - namawiał Minstrel, lecz kozioł Powrócił na swoje kozłe ścieżki, a jedna

z nich wiodła do karmnika na Czarnej Łapie. Wzniesiony na nowo, nęcił zawsze pełnym żłobem i korytkami z szarą solą. Samiec smykał siano, chrupał surowe kartofle I pastewne buraki, jakby nie zjadł wszystkiego chleba, bułek i jarzyn przyniesionych przez Minstrela.

Wszędzie leżał gruby śnieg. Wabiło jedzenie wyłożone człowieczą ręką, Minstrel drżał o życie zwierząt, a najbardziej o swojego przyjaciela. Jego kozioł był łatwym łupem, nie bał się ludzi, gotów szarżować nawet na uzbrojonego mężczyznę.

Bogusz go zabije!

Minstrel rozpaczliwie poszukuje sposobu ocalenia wychowanka. Jawi się nadzieja na wspomnienie napaści caPa na Aniele- Rozzuchwalony samiec przeląkł się jednak odgłosu gaźnika w samochodzie, odgłosu podobnego do strzału!

~ Potrzebuję szerszenia- zwierza się przyjacielowi na kolejnym spotkaniu.

Kozioł podstawia czoło pod dłoń Minstrela, wyciąga, szyć. Dopomina się czochrania.

- Znienawidzisz mnie \_ wielki smutek przytłacza Minstre- la, żegna przyjaciela, jakby się z nim rozstawał na zawsze.

196

Jeśli samiec ma mieć szansę przeżycia, Minstrel powinien zrazić go do ludzi, tylko strach przed ludźmi może uratować zwierzę przed Boguszem, strach przed strzelającymi ludźmi. Minstrel, mimo okrutnego żalu, musi przemienić się w takiego człowieka, nawet jeśli jego kozioł już nigdy później nie odważy się przybiec na wezwanie przyjaciela. Minstrel potrzebuje strzelby, samopału, szerszenia plującego śmiertelnym jadem.

Urzyn.

Nasmarowany i zawinięty w natłuszczone szmaty, otulony w zasmolowane łuby, czeka ukryty w wydrążonej i zamaskowanej sękatymi klinami krokwi nad sklepkiem w obejściu Anieli, w drugiej belce kilkanaście setek naboii.

Tak mówił Silenzio. Minstrel pamięta każde słowo. Minstrel wydobędzie urzyn.

10.

Zamieszkali na poddaszu.

Izba zamiast okien miała szklany sufit z małych kwater osadzonych w drewnianej kratownicy. Nie widziała ścierki ni mydła może od czasów cesarstwa, a może jeszcze dawniej. Pokój przypominał dno zamulonej sadzawki z mętną poświatą sączącą się przez zasnutą rzęsą powierzchnię wody.

Silenzio wymyśli szyby, wypolerował zmiętymi gazetami, aż stały się przezroczyste i błyszczące, pomalował ramy, ściany odnowił tapetą kupioną na przecenie, szarą, w szare róże wyglądające jak szare główki kapusty. Niebo wy-

pełniło przejrzystą powalę, syciło świetlistością wewnątrz, uszlachetniało deseń na okleinie.

O zmierzchu wychodzili po przyściennej drabinie na zewnątrz przez otwartą w pałapie klapę i wychyleni nad gzymsem obiegającym czoło budynku patrzyli na dachy miasta o barwie cynobru, barwie grynspanu, barwie ochry, fioletowe w cieniu, szafirowe o przewieczornej godzinie, złote i różowe w błyskach zachodzącego słońca.

197

Piękniejsze niż na filmie Rene Claira, oglądanym w tanim kinie na przedmieściu.

Silenzio zatroszczył się o wszystko.

Do białości wyszorował podłogę z sosnowych desek.

Ścienną półkę, gazową kuchnię, emaliowaną wanienkę do mycia zawieszoną na, haKu nad żeliwnym zlewem zakrył kupionym na tandecie parawanem. Na popielatym tle barwne pawie jak żywe roztaczały ogony w dokładnie odrobione oka. Oboje byli zachwyceni.

Sporządził zasłonę z żółtego materiału na upały, w mufie skapo odmierzającej prąd na poszczególne mansardy sprytnie przerobił urządzenie regulujące ilość energii zużywanej w ich mieszkaniu, dzięki czemu zimą mogli dogrzewać pokój piecykiem elektrycznym, latem chłodzić wentylatorem i nie wyskakiwały korki, nie spadały na strychowe izby ciemności sygnalizujące konsjerżce niedozwolone praktyki najtaniej płacących najemców.

Nas ta marzyła o tapczanie, tremie i wyściełanym taborecie, meblach zapamiętanych z domu nauczycielki w Studzianem. Silenzio już nawet był skłonny wyszukać na Clignancourt odpowiednie sprzęty, ale Nasta przemo-gła się i zadowolila okazjnie kupioną kapą na łóżko z kremowej markizety z owalną, koronkową wstawką pośrodku. Na podbiciu z niebieskiego atlasu wyglądała pięknie, była jednak stale wymięta przez Silenzia. Nie uznawał siedzenia. Jeśli nie miał zajęcia, spał albo leżał.

- Łóżko nie jest eleganckim meblem - wzdychała Nasta.

- Cierpliwości, dziewczyno, dorobimy się i zbytków.

Zwykłego dnia zasnutego jesienną szarugą Nasta po powrocie z wykładów w miejscu łoża z mosiężnymi gałkami czyszczonymi przez Silenzia tak, aż lśniły jak szczerozłote, zastała niskie, szerokie leże bez szczytów, ze spłaszczonym wałkiem pod głowę, okryte błękitną narzutą z kudłatej tkaniny udającej futro. Takim samym sztucznym runem obciążnięta była długa, łukowata ścianka przy zagłówku, podparta przez przytwierdzone do niej nocne szafki z lampkami, także w błękitnych abażurach z błyszczącej nylonowej mory.

Toaletka, fotel dla Nasty, drugi fotel byłby zbędnym wydatkiem przy trybie życia Silenzia, a i nie bardzo dałoby się nań znaleźć miejsce, oraz puf pochodziły z pchlego tar-

gu i początkowo prezentowały się niezachęcająco.

Silenzio z cierpliwością zegarmistrza, kawałkiem szkła usunął z drewnianych części nawarstwione pokłady bejcy, lakierów i odświeżaczy, startł plamy i rysy aż do złocistych słoje jesionu, bo był to masywny jesion, a nie jakaś fornirowana tandeta, na czym Silenzio poznał się od razu.

Oczyszczoną powierzchnię pociągnął olejem i politurą, za tapiserię posłużył niebieski, włochaty materiał kupiony w składzie z resztkami, dobrany odcieniem do przykrycia tapczanu nocnej koszuli i szlafroka Nasty.

Skończył robotę, sprzątnął i wyszorował sosnową podłogę utrzymywaną w doskonałym porządku jak zresztą całe gospodarstwo. Odkąd studia Nasty uznał za ich wspólną sprawę, przejął cięższe prace domowe i wykonywał zgrabnie, jak wszystko czego się jął.

Cieszył osiągnięty efekt, pokój wydał się piękny, Silenzio poczuł potrzebę święta.

Ogarnął się, zeszedł na dół, w Prisuniku kupił wiejskie salami, trzy rodzaje tańszej szynki krojonej z końcówek, pudełko przecenionych sardynek, trochę podeschnięte pomarańcze i kilkudniowe, oblane lukrem francuskie ciasto nadziewane bakaliami, butelkę marc'u, pierwszy alkohol nabyty za własne pieniądze odkąd opuścił swoją wieś. Po krótkiej walce ze sobą dołożył do koszyka oplecioną flaszkę Chianti, jakby składał ofiarę pamięci Włoszki, która nauczyła go odróżniać to wino od innych.

Przyjrzał się zastawionemu stołowi, wyglądał obficie i bogato, przygotował otwieracz do konserw i korkociąg.

Legł na nowym posłaniu, czekał na Nastę.

Weszła i aż przystanęła ze zdumienia. Trochę naprawdę, trochę aby mu zrobić przyjemność. Brak widocznego uznania dla jego starań, zwłaszcza obojętność wobec zakupów, odbierał jak ciężką niesprawiedliwość. Przecież kosztowały. Silenzio niechętnie sięgał do portfela, jego szacunek dla pieniędzy tylko czasami ustępował przed Nastą.

198

199

Jeden raz jej odmówił. Od tej pory więcej nie poprosiła nawet o centima na osobiste potrzeby.

Wówczas, dopiero co przybyli do Paryża, zamieszkali w Au-Clair-de-Lune, lichym hotelu, gdzie nieustannie działa się miłość, o tyle odpowiadającym swej nazwie, że księżyc zaglądał na ich poddasze poprzez skruszałe łupkowe dachówki. Noc w noc cienkie ściany opowiadały o płatnej miłości, noc w noc z knajpy na dole niosły się głosy pijanych dziewczyn kupczących miłością, noc w noc refrenistka stamtąd śpiewała o miłości.

Od czasu do czasu zajeżdżała policyjna furgonetka czarna jak auto karawaniarza, fliki wygarniały dziewczyny z ulicy, Nasta drżała ze strachu, ale policjanci nie

wchodzili na górę, nawet z lokalu nikogo nie zabierali. Policja była tu oswojona, pół dzielnicy regularnie zrzucało się na łapówkę. Pół dzielnicy prowadziło tanie hotele i utrzymywało się z wynajmowania pokoi na godziny, z tanich, przez całą noc otwartych restauracji, gdzie przesiadywały tanie dziewczyny w oczekiwaniu gości i cała fauna żyjąca z ich procederu, z sal gry, w których młodzi alfonsi w asyście stręczycieli, bywalców i klientów, ciskali w krąg fortuny zarobki dziewczyn.

Po pierwszym policyjnym nalocie, po ucichnięciu gwizdeków i klangoru uprowadzanych, Nasta chciała uciekać z Dzielnicy Tanich Dziewczyn. Silenzio twierdził, że dla ludzi jak oni, zwłaszcza dla niej, bez bodaj świstka stwierdzającego tożsamość, tu jest bezpieczniej niż na Champs Elisees. Odkąd opuścili Genuę, Silenzio obiecywał, lecz nie uczynił nic ażeby zdobyć dla niej dokumenty. Widocznie najbardziej odpowiadało mu zawieszenie jej w próżni, absolutne uzależnienie, lecz w rzeczywistości była to zależność nawet nie od niego, tylko od przypadkowego spotkania z zupełnie przypadkowym facetem w granatowym kepi i czarnej pelerynce, czego Silenzio zdawał się nie rozumieć. Ale dosyć ma niepokoju, strachów i upokorzeń, weźmie swoje sprawy we własne ręce. Po papiery zgłosi się do konsulatu.

- Idź, odstawią cię z powrotem - obraził się Silenzio, dotknięty podaniem w wątpliwość jego kompetencji.

200

- Przynajmniej pójdę na studia - powiedziała żeby mu dopiec.

Nie istniało miejsce na świecie gdzie byłoby ją stać na konserwatorium. I dokąd miała wracać, na wyrko za firanką, w cudzej kuchni, jej warszawskiej stacji. Na pomoc z domu nie mogła liczyć w kraju za stypendium, jeśli by nawet otrzymała, nie wyżyje.

Studia!

Kolnęła jak szydłem tym słowem obcym, nienawistnym. Nie znosił owego określenia. Takie przemądrzałe, pańskie, dystansujące Silenzia od dziewczyny, którą uratował od zalczenia. I proszę, zaczyna się odwzięczać, już pokazuje rogi. A przecież chce się z nią ożenić, mimo wszystko.

Pragnął powrócić do swojej wsi wzbogacony, pragnął żony wedle modelu obowiązującego w czasach, gdy stamtąd wyjeżdżał, tylko wypielegnowanej, w jedwabnej bieliźnie i modnych strojach, zawsze ze świeżą fryzurą i manikiurem, czego się napatrzył i nazazdrościł u Lalek. Nie zastanawiał się, jak miałyby pogodzić prace domowe i gospodarskie z nieustannym dbaniem o powierzchowność, delikatne ręce, lakierowane paznokcie i skąd na to wszystko miałyby wziąć pieniądze.

W jego wsi do kobiet należał dochód przynajmniej ze

sprzedanych jajek, niepisane prawo obwarowane obyczajem tak starym, że nikt już nie pamiętał jego powstania, ale żaden szanujący się mężczyzna nie wyciągnąłby ręki po tę babską własność pod grozą pogardy całej społeczności. Tu w Paryżu, Nasta nie posiadała nic, za co mogłaby kupić bodaj kostkę toaletowego mydła czy tubkę kremu, jednak o tym Silenzio nie myślał.

Chciał w niej znaleźć towarzyszkę uległą, pracowitą i skromną, lecz w eleganckim, wielkomijskim opakowaniu. Poświęcił dla niej swoje plany, wywiódł z najgorszej sromoty, zamiast w Genui tydzień w tydzień pobierać pensję nie martwiąc się o wikt i dach nad głową, teraz noc po nocy musiał wkładać grzbiet w nigdy niepewne jarzmo hal.

201

Uważał dziewczynę za drogo okupioną własność, którą studia mogły mu odebrać, w najlepszym wypadku umniejszyć w jej oczach wartość jego, mężczyzny. Zakończywszy nauki na czwartej klasie powszechnej, nie chciał kobiety po szkołach, chociaż śpiewanie uważał za wykształcenie najpośledniejsze, bardziej cyganienie niż wiedzę, niepewny kawałek chleba, palcem na wodzie pisany zarobek, w ogóle podejrzaną profesję, niezbyt daleką od zawodu lalek. Ale jakie by nie były studia Nasty wywoływały żywiołowy sprzeciw Silenzia. Już teraz umiała rozprawiać o rzeczach na jakich się nic a nic nie rozumiał, a cóż dopiero stanie się później. Będzie go miała za byle kogo, zacznie nim pomiatać, a on lekceważenia nie zniesie. Kobieta nie może być mądrzejsza, przemyślniejsza, zaradniejsza, kobieta musi być zależna i podporządkowana mężczyźnie, inaczej wszystko jest przeciwne prawu ustanowionemu przez Boga. Odwoływał się do najwyższego autorytetu i nie przeszkadzało, że przestał w niego wierzyć. Czuł się zagrożony, każdy sprzymierzeniec był dobry.

- Na to mnie nie stać - odmówił Naście pieniędzy na czesne.

Prawda, nie miał pewnego zatrudnienia. Codziennie chodził do hal, a chociaż zawsze trafiało się dorywcze zajęcie, zarobek traktował jak szczęście w kartach.

Nie dysponował zezwoleniem na pracę, lecz na tym rynku nikt nie badał jego prawa do dźwigania ciężarów. W tamtych latach szybkiego rozwoju gospodarczego, tuziemcy gardzili ciężką, źle pachnącą, lub w jakiś inny sposób uciążliwą robotą i związki zawodowe nie pilnowały owej ziemi niczyjej, oddanej walkowerem wszelkiej legalności imigrantom. Tylko dlatego Silenzio mógł noc w noc na największym targowisku miasta sprzedawać swoją nieprzeciętną siłę, otrzymując w zamian połowę stawki płaczonej robotnikom zrzeszonym. Wystarczało na jedzenie dla dwojga i izbę na poddaszu Au-Clair-de-Lune, w taniej

Dzielnicy Tanich Dziewczyn.

Pieniądze zaoszczędzone w Genui, zaszyte w odświęt-  
nym ubraniu spoczywały nie uszczuplone ani o jednego  
dolara. Dawały poczucie pewności, radość posiadania,  
podtrzymywały nadzieję na własny dom i urzeczywistnie-  
nie wszystkiego co zaplanował. Dlatego nie ruszy się z ho-  
telu w Dzielnicy Tanich Dziewczyn i na żaden, nawet naj-  
bardziej uzasadniony wydatek nie wypruje spod podszew-  
ki bodaj papierka, póki mocno nie stanie na nogi.

Nie zastanawiał się skąd też miała nadejść owa wyczeki-  
wana pomyślność, może objawi się stałą pracą przynaj-  
mniej tak opłacalną jak w Domu Lalek, może przy ochronie  
obiektu lub osoby, w każdym razie powinna przynieść kon-  
trakt i regularne dochody w takiej wysokości, aby z każdej  
tygodniówki oprócz zaspokojenia bieżących potrzeb mógł  
odłożyć określoną kwotę. Dopiero z tych przyszłych dostat-  
ków miały się wziąć dokumenty i chesne Nasty.

Jak na razie jedyne regularne zatrudnienie znalazł  
u Marcela, szefa. Au-Claire-de-Lune. W każdy poniedzia-  
łek konserwował automaty w sali gier mechanicznych,  
lecz nic nie dostawał do ręki. W zamian Marcel obniżył  
czynsz i na każde życzenie dawał bezpłatnie wrzątek do  
termosu. Silenzio nadal, nigdy nie wiedząc czy i za ile bę-  
dzie pracował, nie znając niedziel ni wolnych sobót, wie-  
czór w wieczór szedł do hal, skąd wracał o świcie i walił  
się w sen jak w czarną jamę. Około dziewiątej budził go  
głód. Brał przysnuc anemicznie tryskający zimną wodą  
i jedli śniadanie.

Później Silenzio znowu spał, a ona owinięta w śpiwór ku-  
piony we włoskiej oberży zanim przekroczyli granicę, bez-  
czynnie siadywała w nogach łóżka nie mając odwagi, u po-  
czątków ich paryskiego życia, samotnie wyjść do miasta.  
Budził się i zastawał ją tak samo zapatrzoną, w okno  
jakby w ciągu minionych godzin w ogóle się nie poruszy-  
ła. Wydawała się nieobecna. Niepokoila.

Żeby miała jakieś zajęcie dał jej trochę pieniędzy, nie-  
chaj kupi sobie włóczki i udzierga szal, albo sweter, albo  
skarpety. Ale ona wołała podręcznik do nauki francuskie-  
go i nadal otulona śpiworem tkwiła oparta o szczytek, ty-  
le że z oczyma w książce, albo w notatkach, albo powta-  
rzając obce słowa. Nie pochwalił ale i nie zganił jej nabyt-  
202

203

ku. Już i on zaczynał doświadczać potrzeby zaznajamia-  
nia się z owym językiem, czego do niedawna nie odczuwał.  
Późnym popołudniem schodzili na dół do przyziemia  
budynku, aby zjeść gorący posiłek. Stołowali się w lokalu  
prowadzonym przez Marcela pod tym samym szyldem co  
hotel. W knajpie czynnej przez Całą noc do rana dopiero  
zaczynał się ruch. Otwierano salę gier mechanicznych,

pomieszczenie z bilardem, dominem, szachami, niedballym pozorem dla Uprawiania kart, rulety, bakarata, oraz dwie restauracyjne salki, jedna, z podium dla Artystek i cynkiem obsługi\variym przez Marcela.

Artystki mniej lub bardziej gołe podczas występów, wszystkie do kupienia, uprawiające na estradzie nie tyle sztukę co reklamę osobistych wdzięków, były na procentie w Au-Clair-de-LUne j rozliczały się firmowymi podstawkami spod kieliszków oraz korkami od butelek szampa wypitych w ich towarzystwie przez klientów.

- Korkowe - mówiły dziewczyny o tym źródle dochodów i nawet śpiewały rzewną balladę w argot.

Zdarzało się, zgrany alfons zaraz przy stoliku zabierał owe dowody kasowe, honorowane tutaj obok franka jako drugi środek płatniczy, i ciskał na zielone sukno w sąsiedniej sali. Silenzio z Nastą pozdrawiali znajomych, rozziewane Artystki i ich mężczyzn podzwaniających złotem na przegubach. Tu zasiadała do obiadu niemal stała obsada żyjąca z miłości, handlującaCa miłością, pasożytująca na miłości, społeczne drobnoustroje i niektórzy pensjonatowi mieszkańcy nie na godziny, a na dni, miesiące, lata. Egzystencjalni bankruci, pechowcy, wykolejeni nadwrażliwcy, Przetrażeni przez życie startujący w życie, Dokonujący życia, wegetowali na mansardach Au-Clair-de-Lune, zawsze o krok od bezdomności.

Silenzio nie skąpił na główny posiłek dnia.

Zamawiał najlepsze danie, przeważnie befszyk lecz z polędwicy argentyńskiej) znacznie tańszej od francuskiej wołowiny tego gatunku. Sobie dysponował krwisty, Naście ścięty, bo nie nosiła niedosmażonego mięsa, do tego górę frytek i jakąś sałatę. Wina nie kupował, jeszcze nie przywykli.

204

Nasta zabierała do restauracji termos z zasypaną suchą herbata, Marcel własnoręcznie przekazywał naczynie do kuchni, napelnione ukropem przynosił i stawiał na ich stoliku. Później u siebie niespiesznie sączyli cierpki napar pogryzając cukier w kostkach, czasami mieli czerstwe ciasto albo croissanfy od piekarza z hal, ofiarowane Silenziowi za jakieś drobne usługi.

Plan Paryża mieli zawsze. Siorbiąc gorący napój Silenzio zaznaczał dzielnicę miasta, jaką chcieli zobaczyć, zanim on znowu pograży się w świecie zwierzęcych tuszy, koszy ryb, krabów, wiązek drobiu, skrzyń, pojemników, kontenerów.

Wychodzili codziennie, snuli się po rojnych ulicach, oglądali wystawy pod pasiastymi czepcami markiz, zachłannie podpatrywali niezliczone nocne restauracje z występami i orkiestrą taneczną, właśnie po dziennym letargu powracające do życia, uciekali przed krótkimi ulewami pod szklane dachy pasaży, albo kryli się w starych kościołach

skąd Wielka Rewolucja wymiotła przepych stuleci, zrządzeniem losu oszczędzając witraże, cudownie piękne szkło o barwie krwi, złota, klejnotów, harmonijne jak muzyka. Zbiegali po stopniach z marmuru, piaskowca, czarnego granitu, cynobrowego porfiru, przestępowali kamienne progi wydeptane stopami pokoleń, zanurzali w zaułki, bulwary, ulice zawołowane różnokolorowymi neonami z repliką odbitą w mokrych płytach chodnika. Z Pigallu wstępowali ku sławie Montmartre, z legendy placu Tertre wspinali się ku chwale Sacre Coeur.

Podglądali ludzi za witrynami mijanych kafejek, knajpek, barów, winiarni, przystawali na widok gości drogich klubów, opuszczających lśniące auta z szoferami w liberiach, pochylonych w ukłonie u klamki otwieranych drzwiczek, podziwiali mężczyzn we frakach, w smokingach, czarnych, białych, atlasowych, ze srebrnej, złotej, szafirowej lamy, kobiety omotane w szale, narzuty, peleryny, rotundy z kosztownych futer.

O zmierzchu światła padające znad wejścia, przełamane przez kryształowe skrzydła turnikietów nieciły iskry  
205

w naszyjnikach, diademach, egretach, butonach, brilloletach. Nasta mrużyła oczy, gorejące ognie raziły długimi promieniami, zapalały aureole, fluoryzujące kręgi opasywały ręce, szyje, biusty. Obwiedzione pasemkami blasku sylwetki węzowe, zażywe, wiotkie, znikwały w obrotowych drzwiach jak ruchome figurki w szopce.

Nastę ogarniał smutek, dotkliwie odczuwała swoje ubóstwo. Jak zdarte z niej wraz ze skórą doznawała jedwabie, futra, klejnoty tamtych kobiet. Bolały. Bardziej dawała się we znaki jesienna mżawka, bardziej dokuczała świadomość niedostatku, niepewność jutra, niemożność zdobycia pieniędzy.

Nadal posiadała tylko rzeczy kupione przez Silenzia przed ich ucieczką z Genui. Nieprzemakalną kurtkę, golf, grube trzewiki i spodnie, letnią sukienkę z kretonu, białe szpilki i sweter z niebieskiej angory. Zazdrościła. Pragnęła wszystkiego. Musiała posiadać za dużo żeby mieć dość. Codziennie poddawana presji niedostępnej obfitości kipiącej z wystaw, stoisk, lad, tuż na chodniku, w zasięgu ręki, bez fатыgi wstępowania na ruchome schody domów towarowych, nieustannego, oszalamiającego wyboru, spotykała przedmioty dotychczas nieznanne i zaczynała ich pragnąć. Nieosiągalne, przygnębiały.

Po pierwszych dniach ciekawości i olśnienia przestała lubić popołudniowe wędrówki, dręczyły niespełnieniem, nie ofiarowywały najdrobniejszego upominku. Silenzio nie kupił jej chociażby jednej pomarańczy, czy różka prażonych kasztanów, bodaj torebki frytek od ulicznego sprzedawcy za dwadzieścia centimów, nie zaprosił na kawę,

najtańszą przy cynku, nigdy nie dał nawet na metro. Rozstawali się zawsze o tej samej porze, czekała aż zniknie z oczu i często zamiast wracać do Au-Clair-de-Lune wędrowała na rue de Madrid w ósmej dzielnicy Paryża i patrzyła na Conserwatoire National de Musique. Zazdrościła ludziom wchodzącym w monumentalną bramę, zaglądała w oświetlone okna, łowiła stłumione dźwięki ogarnięta nostalgią jak po utraconej ojczyźnie i łudziła nadzieją powrotu do jedyne go świata jakiemu ufała, świata harmonii.

206

Noga za nogą wracała na swoje poddasze na innym krańcu miasta. Po drodze mijała Ulicę Nocnych Sklepów. Właśnie je otwierano. Na odkrytych ladach, platformach, kłapkach wywieszonych przed lico budynków, w koszach ustawionych wzdłuż chodnika kipiały przyzmy żywności. Pachniało gorące pieczywo, czosnkowane mięso gotowe do rondla, kaczki nadziane cząsteczkami pomarańczy, pachniało grzybami, jodem i morską, pachniało owocami południa, wschodnim ciastem, czekoladą, lukrem i bakaliarni. Nie dokuczał jej głód, jednak jak ciężką krzywdę doświadczała niemożność kupienia bodaj świeżej bułki, obwarzanka z francuskiego ciasta, normandzkiego jabłka czy czegośkolwiek, i tym dotkliwiej czuła się skazana na resztkę wąsusza, sera czy podeschniętego pasztetu z czerstwą bagietką pozostałe ze śniadania, pieczolowicie owinięte w przetłuszczony papier i położone między podwójne skrzydła okna.

Była nieszczęśliwa.

Narastała nigdy niewypowiedziana uraza do Silenzia.

Boże! Nawet nie ma na czym zagotować wody w tej nędznej izbie. I tę niewygodę odkładała na rachunek jego przewinień. Schodziła do przyziemia w rozgwarzony już lokal ze swoim wiecznym termosem i czekała, aż napełniony kuchnia zwróci Marcelowi.

- Zostań, napij się ze mną - uśmiechał się patron Au-Clair-de Lune.

- Dziękuję, ale nie mogę. Mój chłopak nie byłby zadowolony - odmawiała z opuszczonymi oczyma. Długie rzęsy, proste, gęste i złote jak ości jęczmienia, kładły cień na policzkach.

- Dziewczyno, młodość jest dana tylko raz i już nigdy nie będzie dzisiejszego wieczoru.

- Tak, monsieur - zawsze stała, ani razu nie przysiadła na którymś ze stołków na nikłowych szrudłach przytwierdzonych do podłogi, wartujących półkolem wzdłuż elipsy baru.

- To dlaczego się zgadzasz na ograniczanie swojej wolności.

207

- Nie czuję się więźniem, monsieur - koniecznością

uprzejmego odnoszenia się do Marcela także obciążała Silenzia, niekochanego mężczyznę, który skazał ją na życie w Dzielnicy Tanich Dziewczyn, ograniczonego prostaka, skapca i roboczego woła nieposiadającego nawet tyle sprytu, aby zdobyć lepsze zajęcie niż dźwiganie zwierzęcych tuszy u rzeźnika w halach. Niechęci towarzyszyło lekceważenie, lecz swojej opinii o Silenzium nie zamierzała zwierzać patronowi Au-Clair-de-Lu-ne.

- Możesz zawsze przyjść i usiąść przy cynku, Nastazja.

Nikt tutaj nie uchybi mojemu gościowi.

- Merci, monsieur - brała z rąk Marcela metalowy dzbanek i wracała do siebie. Znowu siadała na łóżku owinięta śpiworem, okryta pledem i czując mijający czas, duką francuskie słówka.

Nie poszła do konsulatu.

Nie chciała wracać, w kraju nie widziała dla siebie miejsca. Warszawskie konserwatorium nie wydawało się bardziej osiągalne niż Wyższa Szkoła Muzyczna w Paryżu. Alfabet muzyki jest jeden, tak samo zrozumiałe przemawia klawesyn, szamisen, jak i kantele, chociaż pierwszy powstał we Włoszech, a może we Francji, drugi na wyspach japońskich, a trzeci w Finlandii.

Obraz sławnej artystki nosiła w sobie od stworzenia świata. Odkąd na chórze parafialnego kościoła zasiadła do organów i akompaniując sobie zaśpiewała Ave Maria nad katafalkiem z trumną starego organisty, pierwszego człowieka, który odsłonił przed nią tajemnicę stanu łaski jaką została obdarowana, kochała swój obraz Wielkiej, Podziwianej, Zarabiającej Krocie i nie chciała, nie mogła przystać na inny. Nie знаła umiaru ni skromności, ni pokory. Lecz w szkole średniej przestała ufać rękom.

Ciężko przeżyła wyrok na swoje ręce, zabrakło im ćwiczeń od wczesnego dzieciństwa, kilka lat nie do odrobienia już nigdy. Za późno kształcone krótkie palce nieobejmujące oktawy nie rokowały perfekcyjnej biegłości.

Znienawidziła swoje ręce, a kiedy przewyciężyła rozpacz, przebaczyła winę niedoskonałym dłoniom od maleńkości przyuczonym do sierpa, płachty z zielskiem, motyki, obrządku wokół zwierząt nazywanych żywiną i wizerunek Wielkiej Pianistki przekształciła w portret Wielkiej śpiewaczki.

Teraz nie mogła się zdecydować na próbę egzaminu, żeby nie pogrzebać resztki złudzeń, bo wiara w swoje nieprzeciętne zdolności wokalne była wszystkim co posiadała.

Wreszcie postanowiła.

Dosyć udawania strusia byle tylko nie stracić nadziei.

Musi iść i sprawdzić wreszcie czy podola trudnościom wstępnego odsiewu. Dopiero później zacznie się martwić o pieniądze na studia. I tak przekroczyła monumentalną bramę Conseratoire National de Musique.

Kończył się październik, dawno było po egzaminach,

utracona szansa wydała się katastrofą. Starła się już tylko nie rozplakać i wycofać z godnością. Dziekan zawrócił ją od drzwi. Musiał się przekonać co reprezentuje mała cudzoziemka z mozołem budująca najprostsze zdania wypowiedziane okropnym akcentem.

Talenty nie rodzą się na kamieniu. Język muzyki przemawia uniwersalnie, naznaczonego kunsztem człowieka bezbłędnie rozpozna inny z klanu bez względu na kondycję, narodowość, wygląd. Paryski wykładowca z klasy solfeżu zorientował się, że dziewczyna, chociaż z nią trudno rozmawiać, swobodnie wypowiada się z pomocą dźwięków. Nie wiedział jeszcze czy uczyni wyjątek, póki nie usłyszał jak śpiewa.

Nasta przedstawiła dwa utwory. Zdecydowały o jej promocji w warszawskiej szkole. Pierwszy w którym tekst odgrywał bardzo dużą rolę, gdzie prócz walorów wokalnych prezentowała świetną dykcję wypracowaną podczas niezliczonych ćwiczeń, w tym wypadku jednak nic nieznaczącą. Dziekan nie rozumiał po polsku.

Drugi utwór z tekstem specjalnie niewyraźnym, przysłoniętym muzyką, ze słowami tak dzielonymi, że stawało się obojętne w jakim są języku, bowiem nie ważył ich sens, jedynie wrażenie fonetyczne, same dźwięki wymowy wzbogacające frazę melodyczną.

Została przyjęta na wolnego słuchacza.

208

209

W dziekanacie nie bardzo wiedziano, co zrobić z dziewczyną w rozciągniętym golfie i grubych trzewiakach zgłaszającą się z kartką od szefa katedry, świadectwo szkolne? Nie ma. Dokumenty? Zgubiła. Właśnie wyrabia nowe. Adres Dzielnicy Tanich Dziewczyn przyjęto do wierzenia. Nie dochodzono szczegółów. Pewno świeża imigrantka bez prawa pobytu. Dziekanat nie jest policja, uczelnia stanowi azyl dla każdego studenta bez względu kim jest.

Pieniądze na chesne? Nie jest przygotowana. Wpisowe?

Też nie jest przygotowana. Dobrze, poczekają ale najwyżej dwa tygodnie. Jeśli dłużej, musi napisać podanie z prośbą o prolongatę, poświadczyć u Dziekana, przykleić znaczki stemplowe. Po odroczeniu opłaty za studia i wniesieniu wpisowego może zaczynać zajęcia.

Jak zwykle nie miała nawet na metro. Wyjścia na perony strzegły automatyczne furty. Z czasem nabyła wprawę w przeskakowaniu niewysokich drzwiczek z nikłowych rur uchylających się po przecięciu biletu w umieszczonym obok kasownika. Forsowała przeszkodę, gdy strażnik czuwający nad porządkiem odwracał się zmieniając kierunek marszu, lecz często nie spacerował, tylko stał obserwując wejście. Wówczas, gdy zwycięska wracała z egzaminu,

nigdy nie odważyłaby się na podobną zuchwałość. Na każdym kroku pamiętała, przebywa tutaj na gapę, nie wolno jej narazić się nikomu, najbliższy konflikt groził przekreśleniem możliwości jakie stwarzał Paryż.

Gęsto podszywały miasto kabarety, piwnice, lokale striptizowe, rewie, w programach głośne na świecie nazwiska. U wierzchołka Mistinguett, żywa legenda. Przechadzała się po plaży w Saint Tropez w kostiumie bikini splecionym z szydełkowej siatki o grubych okach, kobieta osiemdziesięcioletnia z ciałem dobrze utrzymanej czterdziestolatki. Prezydent Republiki wstawał z honorowego miejsca, za nim cała publiczność, od galerii po łoże huczał aplauz, gdy fenomenalna Artystka pojawiała się na scenie i tańczyła kankana w Casino de Paris, aż dźwięczały kryształowe wisioły na koronach żyrandoli.

Maurice Chevalier zdejmował canotier witając swoich słuchaczy, którzy już przebaczyli sędziwemu pieśniarzowi uchylanie kapelusza w czasach gdy widownię zappełniały mundury feldgrau.

Nasta podbudowana udanym egzaminem, spróbowała szczęścia pośród małych scenek.

W nastrojowych piwnicach śródmieścia odprawiano ją ledwo zdążyła wybąkać słowo travaille - praca, i nikt nie był ciekaw jakie kunszta ma do zaofiarowania.

Nie umiała zaproponować swojej sztuki, brakowało wszystkiego. Prezencji, obycia, pewności siebie. Przy jej trudnościach z francuskim niejednokrotnie brano ją za szukającą zarobku pomywaczkę. Już nawet nie brzydkie kaczątko, tylko cudzoziemski strach na wróble. Odstępowała smutkiem i szczególnym, pokornym natręctwem człowieka zdeterminowanego. Wywoływała niesmak bieda i beznadzieja, żebracza namolność jeszcze jednej naiwnej, która utraciła złudzenia i grunt pod nogami. Nie budziła nawet litości, tylko zniecierpliwienie.

Na Pigallu, szefowie tingel-tangłów dźwięcząc złotem na przegubach, najpierw chcieli obejrzeć towar. Niechaj pokaże co ma pod łachami. Jeśli ją zaangażują, nie będzie występowała w tym worku z dzianiny z kołnierzem do uszu i sznurowanych trzewikach, zanim więc zdecydują się dać jej miejsce muszą się przekonać jak naprawdę wygląda. Nieznana nikomu Artystka przede wszystkim powinna mieć ciało.

Wściekła i upokorzona ściągała z siebie ubranie wstydząc się spranej bielizny i braku koszuli. Wówczas nienoszenie koszuli nie było jeszcze modą, tylko niedostatkiem. Owszem, ma warunki, przyznawali patroni. Tingle-tangle dbały o różnorodność obsady, lubiły zatrudniać dziewczyny w różnych kolorach, przyda się do bukietu blondynka ze skórą jak pociągniętą ciemnym złotem i snopem włosów okrywających ramiona. Przeczesywali palcami

świetliste pasma badając czy nie peruka.

Od zaraz proponowali pracę fordanserki, hostessy, sprzedawczyni papierosów, pism porno, seks-gadżetów. Chce być Artystką? Może być artystką, tancerką, może prezentować striptiz, podkreślali bogactwo wyboru mocnymi rękoma, natrętnie brzęcząc kruszczowymi branzoletami. Nie pozostawiali złudzeń, bez względu na nazwę była to wciąż ta sama profesja, najstarsza na świecie.

- Wokalistka?

Gdyby śpiewała piosenki rosyjskie, a jeszcze stare romanse! Wszyscy lubią. Gdyby śpiewała po włosku, hiszpańsku, po angielsku, ale po polsku? To taki mało znany, syczący język, przypomina głos węży. Nie, nie jest dobry do śpiewu.

- Lepszych z łóżka zrzucałam - strząsała z ramienia kolejną, rękę ze złotym łańcuchem na nadgarstku. Bez wrażeń wysłuchiwała i rezygnowała z propozycji. Cóż mogło ją spotkać gorszego niż w Genui, coś gorszego od potraktowania jak nierozumne zwierzę i sprowadzenia do roli przedmiotu.

Pobył w Domu Lalek przyniósł nową wiedzę. Ciało może pomóc w osiągnięciu celu. Nie miała oporów, żeby go użyć jak monetę. Ale bez powrotu do zawodu, w przeciwnym razie po coś było uciekać z Genui.

Spóźniła się na obiad.

- Gdzie byłaś? - Silenzio wypił sos z surówki pozostały w salaterce, dojadł resztę frytek.

Obudził się jak co dzień głębokim popołudniem i nie zobaczył dziewczyny zawiniętej w śpiwór, opartej o pręty w nogach łóżka z oczyma w podręczniku albo zapatrzonej w dziobate od deszczu szyby, jak gdyby za nimi były ogrody Wersalu a nie oblażący, zielony od wykwitów saletry ślepy mur sąsiedniego budynku. Przepadła na cały dzień bez żadnego uprzedzenia. Urażony i zły czekał wyjaśnień.

- Zdałam egzamin do klasy śpiewu - ominęła słowo konserwatorium. Wiedziała jak nie znosi tej nazwy. Nie chciała go drażnić.

- Kobieta powinna przynajmniej zawiadomić męża dokąd wychodzi z domu i kiedy wróci.

Powściągnęła odpowiedź cisnącą się na usta: nie jesteś moim mężem, i nigdy nie będziesz.

212

- Muszę zapłacić wpisowe i chesne - wymieniła sumę.

- Jeśli zdałaś teraz, zdasz i wówczas, gdy będę miał stałe pieniądze.

- Nie mogę czekać.

- A ja opłacać twoich fanaberii - nie potrafił się przełamać, nie był w stanie nadpruć podszewki odświętnej marynarki i wyciągnąć zielony papierek. Działać podwójnie przeciwko sobie, ująć oszczędności i poprzeć jej studia,

które legną kłoda między nimi, tragarzem bez licencji i dziewczyną szkolącą się na artystkę.

- Pożycz.

- Z czego oddasz?

- Znajdę pracę, będę śpiewała.

- Już się naśpiewała we Włoszech. Starczy tego dobrego. Ani się waż szlajać po knajpach, mordowniach, kurewskich piwnicach. Kończ jedzenie i jazda do pokoju! Patron Au-Clair-de-Lune popatrywał zza baru, kłótnia nie uszła jego uwadze, chociaż przemawiali się nie podnosząc głosu.

Nasta odsunęła ledwo napoczęty obiad, wybiegła z sali zapominając zatroszczyć się o wrzątek na herbatę. Na gorze od razu położyła się do łóżka i zanim Silenzio powrócił z termosem, usnęła zmęczona wielogodzinną wędrówką i napięciem.

Silenzio patrzył na śpiącą, małą, zagubioną w wielkim legowisku, wydała się bezbronna, słaba, zabiedzona, a on wypominał jej Genuę i ona nie zjadła nawet połowy dzisiejszego mięsa, cały dzień chodziła po deszczu; chociaż doktor z Souvigny kazał jej uważać na płuca.

Stajała w nim złość.

Obejrzał jej trzewiki, nie miały dziur, to było solidne obuwie na grubych spodach z mosiężnym okuciem przy noskach i hakami do sznurowania. Oczyszczył podeszwy, zaciągnął pastą pociemniałe cholewki i żeby wyschły zatkaną na nogach odwróconego krzesła. Próbował sobie wyobrazić nadprucie podszewki i wydobyć zielonego papierka, ale nie mógł. To jak rujnować własny dom.

Co robić?

213

Może niepotrzebnie boi się o jej szkołę. W końcu ona nie została żadnym magistrem czy profesorem tylko śpiewaczką. Może naprawdę będzie zarabiała podobnie jak tujejsze artystki. Z nimi się już oswoił. Codziennie widywał ich podobizny rozlepione na słupach reklamowych, odbite na okładkach magazynów, dekorujące wejścia do kin, kabaretów, sal rewiowych, nawet w najdroższych dzielnicach, gdzie na wstęp nie każdy mógł sobie pozwolić, ale do Domu Lalek także nie wpuszczano byle kogo i co z tego?

- Jedno kurestwo!

Silenzio obsesyjnie bał się środków, po jakie gotowa sięgnąć Nasta w pogoni za karierą, a kurestwem według niego był nie tylko nawrót do lalkowania, również każdy inny mężczyzna. Nie, nie dopuści do kurestw a.

Może jednak mógłby zostać jej impresariem. Nie święci garnki lepia, tylekroć miała go Nasta przekonując do swoich studiów. Nie ufał jej zapewnieniom. Cygani, aby ukołysać jego czujność i postawić na swoim. Nie jest taki głupi, żeby dać się złowić na bańkę mydlaną. Z drugiej

strony jednak, cóż to za nadzwyczajna osoba, impresario. Ot, przedsiębiorca od niezwykłego towaru. Przede wszystkim musi dbać o reklamę i zarobek.

Na początek wynająłoby się dobrego fachowca. Przy nim Silenzio by się przyuczył, podpatrzył wszystkie arkania i chwyt, poznał mechanizm profesji, jak poznał werki automatów do gry

Nosiłby się wieczorami w srebrnym albo złotym smokingu, za dnia w skórzanej kurcie i zamszowych pantoflach, albo sztruksowym ubraniu- Zawsze blisko Nasty, miałby ją bez przerwy na oku. Ale w tym eleganckim świecie są także inni w brokatakach i zafnuszach, ubierają się w aksamity, szetlandy i niencliestery, mają samochody, wille, jachty, posiadłości, z dawna zasiedzieli w zawodzie, bardziej doświadczeni, bardziej obyci, od Silenzia. Ciągłe, niekorzystne porównania i wielka oskoma dla takiej, takiej bambolony.

Nie każda po szkole z#raz musi zostać wielką artystką.

Wykształcenie Nasty również niczego nie przesądza. Silenzio gubi się w Sprzecznych pragnieniach. Już nie wie czego naprawdę chce. Jeśli się wyda pieniądze na konserwatorium, powinny przynieść korzyść, jednak trzeźwo patrząc, życie artystki jest pełne pokus i złych przykładów, kurestwo czyha i na najślawniejsze.

Na domiar boryka się sam ze sobą, odmienił się nie wiadomo kiedy, stał innym niż dawniej. Nawet jego zamiar osiedlenia w rodzinnej wiosce niepostrzeżenie uległ korekcie. Nadal myśli o zbudowaniu domu w Sarniej z salonem, łazienką i bidetem, nawet z sadem, ale utracił pewność, czy powinien zakopać się w Puszczy, jak mawia Nasta, i czy furmanienie na taksówce w Grodziszczu jest szczytem możliwości mężczyzny takiego jak on.

Nie zdając sobie sprawy uznał za własną argumentację Nasty. Metodą kropli wody sącząc słowo za słowem poszczerbiła obraz świata Silenzia. Ale i bez jej pochlebstw coraz bardziej docenia siebie. Przyjemną pewność własnej wartości potwierdza praca w sali gier Au-Clair-de-Lune. Nareszcie przejrzał na wskroś mechanizmy robotów pracujących dla Marcela.

Przydała się ciekawość Silenzia do różnych maszynierii i wiedza zdobyta w Domu Lalek. Wszechstronny klub geneński sprzyjał wszelkim skłonnościom swoich gości, co pośrednio dostarczało Silenziowi wprost nieograniczonych możliwości poznania. Teraz procentowała pasja badawcza, cierpliwe, zgłębianie zasad działania mechanicznych hazardzistów zgarniających pieniądze. Rozszyfrowanie systemu otwierało obiecujące perspektywy, Silenzio od dawna wiedział jak wykorzysta odkrycie, do którego uparcie dążył.

Nasty nie interesowało jego zacięcie wydające się bezproduktywnym konikiem. O istocie osiągnięcia nie powiedziałaby nawet jej, ale ona. na samo wspomnienie automa-

tów do gier ostentacyjnie ziewała. Nudziły ją jeszcze i inne sprawy zajmujące Silenzia.

Pewno Marcel miał rację.

Po całych nocach prezydując pośród stada dziwek patron Au-Clair-de-Lune z pewnością zna się na kobietach.

Nie dalej jak w ubiegły poniedziałek podczas konserwowania przez Silenzia maszyn powiedział coś, co dało do my-

214

215

ślenia. Silenzio nie od razu wziął sobie do serca rady Marcela. Gdy bada werki, myśli tylko o werkach.

Marcel patrząc, jak Silenzio majstruje przy automatach w sali gier, radził przy okazji, aby poszukał zajęcia dla swojej dziewczyny.

- Nie głoduje, bosy nie chodzi - mruknął Silenzio urażony w swojej ambicji żywiciela.

- Pewnie - przyznał Marcel.

Niechaj się Silenzio nie gniewa, on nie chce się do nikogo wtrącać, lecz z za baru widzi różne rzeczy, widzi też i rozdźwięk między Nastazją a Silenziem. Marcel wie z czego się bierze niedobra atmosfera, z czasem, bywa, doprowadzająca zgodną parę do nieszczęścia. W ich przypadku już nawet nie chodzi o ubranie, może nawet Nastazja nie dba o stroje, chociaż Marcel nigdy nie widział kobiety, obojętne, dziwka święta czy zwyczajna, lubiącej nosić wciąż ten sam rozciągnięty sweter i grube trzewiki.

Pomija więc ubiór, lecz nie ma nic gorszego niż kobieta pozostawiona sama sobie bez obowiązków i pieniędzy, czyli pozbawiona szansy zajęcia się bodaj poszukiwaniem taniej wyprzedaży dla zdobycia gałganka lub motka wełny. Taka kobieta popada w nudę, zaś nuda kobiety uderza w mężczyznę. Wie co mówi. Dlatego doradza pracę, nie za ciężką, oczywiście. Jest dobra na zabicie czasu, natomiast drugi zarobek w ich sytuacji także nie do pogardzenia.

- Jakąż może dostać robotę. Jedno kurestwo.

- Jak się kobieta chce puścić, nikt jej nie upilnuje, ale próżniactwo i brak pieniędzy to dopiero źli doradcy. To stręczyciele - przekonywał Marcel. Jeśli Silenzio sobie życzy, patron Au-Clair-de-Lune pomoże i zatrudni Nastazję w czasie kiedy Silenzio jest zajęty w halach.

Po kłótni Nasta obudziła się wieczorem. Ciemność leżała za oknami ospowatymi od deszczu. Silenzio dawno wyszedł, tylko jak znak pojednania błyszcząły oporządzone trzewiki zatknięte na nogach odwróconego krzesła.

Nie wzruszyła jej owa troskliwość. Powróciło doznanie traconej szansy i absurdalność przeszkody. Jej przyszłość

216

rozbiła się o kilka tysięcy franków i niechęć prostaka nie patrzącego dalej schowka z ukrytymi pieniędzmi.

Pieniądze, skąd miała je wziąć. Na opłacenie wpisu i kupno znaczków stemplowych potrzebnych na podaniu o prolongatę czesnego. Przecież z czasem znajdzie jakiś zarobek. Nie będzie przebierała, podejmie każdą pracę. Spojrzała na niebieski sweter kupiony jej przez Silenzia w Souvigny. Wciąż wyglądał jak nowy, oszczędzała go sama, nie wiedząc na, jakie największe okazje. Czasami przymierzała przed lustrem. Walor podkreślał kolor oczu, złocistość włosów i smagłą barwę skóry. Podobała się sobie w puszystej dzianinie delikatnej i miękkiej jak sierść królika. Odżałowała.

Ile może być wart? To kosztowny sweter z prawdziwej angorskiej włóczki, wyrób z tak rzadkiej wełny jest drogi. Jak większość biedaków przeceniała swoją jedyłą porządną rzecz.

Sprzedać, tylko gdzie?

Handlarze na pchlich bazarach hienim zmysłem odgadywali ludzi w potrzebie i płacili grosze. Znała już tandetę na Clignancourt i odarte z wszelkiej barwy drapieżne targowiska w Dzielnicy nędzarzy, zaopatrujące arabskich najemników gnieźdzących się w budach wzniesionych własnym przemyślem, wykolejeńców zniszczonych alkoholem, narkotykami lub innym nadużyciem, złodziei z rozdygotanymi rękoma, oślepych clochardów, sparaliżowanych rewolwerowców, ogłuchłych włamywaczy, zidociałe prostytutki, zżartych chorobą alfonsów.

Pomyślała o knajpie na dole pełnej dziewczyn w większości noszących drogie, tyle że ekstrawaganckie ubrania.

Może jednak którejś spodoba się jej sweter.

Z puszystą, dzianiną przewieszoną przez ramię i termosem niesionym jak usprawiedliwienie, prześliznęła się między gęsto obsadzonymi stolikami co chwila powtarzając: merci!

Snuły się za nią zaciekawione spojrzenia gości, taksujące sutenerów i leniwa obojętność dziewczyn. To nie była dobra pora na przymierzanie strojów. Dziew-

217  
czyzny jeszcze niezupełnie obudzone nie nabrały profesjonalnego biglu, osowiałe, poziewując sączyły pierwszy alkohol. Restauracja szumiała monotonnym brzęczeniem owadziej węzy.

- Napijesz się, Nastazja, firma stawia - jak zwykle zagadnął Marcel, biorąc od niej pusty termos.

- Napiję - sama się zdziwiła przyjęciem zaproszenia.

Zakrzętała się przy barze, napełnił kieliszki, podał po oliwce przebitej wykałaczką. - Prosit!

- Prosit! Chcę sprzedać dzemper - odsunęła puste szkło i na jego miejsce położyła puchaty kłęb.

- On nie chce dać?

- On nie ma. Starcza nam ledwo na życie.

- Dlaczego nie pracujesz, on ci nie pozwala?
- Teraz już będzie musiał. Szukam zajęcia.
- Nie sprzedasz swetra po dobrej cenie. Dostaniesz gorsze. Poczekaj.
- Nie mogę czekać.
- Aż tak źle! Na co potrzebujesz pieniędzy?

Powiedziała o pomyślnym egzaminie, czesnym i wpisowym.

- A on się nie zgadza, rozumiem. Gdybym miał taką dziewczynę, zdobyłbym dla niej gotówkę - Marcel się nad czymś zastanawiał. - Wiesz co, pożyczę ci, oczywiście w rozsądnych granicach. Ile?

Nie wierząc własnemu szczęściu wymieniła sumę opłaty uczelnianej i wpisowego. Marcel bez słowa sięgnął do kasy i tekturowym krążkiem podkładanym pod kieliszki przesunął po ladzie pieniądze.

- Co powiem w domu - niepewnie spoglądała na patrona Au-Clair-de-Lunę.
- Powiesz, że sprolongowali ci na uczelni. Ja się nie pochwałę, możesz być pewna. Ty także nie rozpowiadaj, nie opędziłbym się od potrzebujących.
- Dlaczego mi pożyczyłeś?
- Sam nie wiem, ale wyglądasz na taką co odda.
- Natychmiast z pierwszego zarobku. Dziękuję, Marcel, z całego serca.

218

- No to powodzenia, Nastazja, i zabierz sweter, noś go, jesień mamy chłodną.

Nazajutrz, gdy Silenzio powrócił z hal, Nasta już wyszła spod lodowatego prysznicu.

- Co tak wcześniej? - zdziwił się przyjaźnie, pragnął pojednania.
- Idę szukać pracy - wyjaśniła. Nie chciała powiedzieć prawdy, trochę żeby nie prowokować kłótni, trochę żeby nie zapeszyć w ostatniej chwili.
- Idź, idź, przekonaj się, jak łatwo o robotę. Tylko zapamiętaj, jeśli wrobisz się w jakieś kurestwo, połamię kości alfonsom, ale ciebie już nie będę ratował.
- Uspokój się wezmę mycie szyb, albo coś w tym rodzaju. Odął się, trochę jednak ułagodzony jej zniżonymi aspiracjami. Właściwie dlaczego nie miałyby zarabiać jako pomocywaczka. Jakby się porządnie utrudziła, może wywie-trzałyby mrzonki. Tylko że ona chce postawić na swoim, potrzebuje środków, aby wywyższyć się ponad Silenzia. Panować. A na to nie pozwoli. Ufając postanowieniu zasnął i nawet nie usłyszał, kiedy ona, jak codziennie, przyniosła z nabiałowego baru gorące mleko.

Nasta przygotowała śniadanie dla Silenzia, przymusiła się do kilku łyków parującego płynu i wyszła z hotelu o szarym ranku. Niosła w sobie niepokój i determinację

wobec Silenzia, radość i strach aby niespodziewanie przychylny los nie okazał się jeszcze jednym złudzeniem, które za chwilę się skończy.

- Będę studentką - pochwaliła się psu leżącemu przy włączędze śpiącym na kracie metra. O tej porze Dzielnica Tanich Dziewczyn była pusta. Spotkała tylko tego kundla u boku clocharda i kobietę w szlafroku przemykającą z dzbankiem na drugą stronę ulicy.

Oplaciła chesne, dostała rozkład zajęć i pokwitowanie. Przyjęła je z nabożnym szacunkiem, schowała jak bezcenny dokument. Chociaż nie było niczym więcej niż dowodem uregulowania należności za naukę i ona zdawała sobie z tego sprawę, to jednak pod godłem i pieczęcią znanej uczelni widniało jej imię i nazwisko.

219

Działo się szczęście. Wróciła wiara we własne siły. Życie było piękne, ludzie dobrzy, miasto wspaniałe, pogoda świetna, między ulewami następowały takie cudowne powroty grudniowego słońca.

Tego dnia w drodze z rue de Madrid szukała pracy zupełnie inna dziewczyna. Utalentowana, stanowcza, pewna siebie, ubrana w elegancki sweter z niebieskiej angory. Mogła wszystko. Patroni piwniczek, małych knajpek z mechaniczną muzyką, kawiarni z występami artystycznymi, tego nie wiedzą? Nie szkodzi. Jeszcze o niej usłyszą. Pożalują swojego braku wyczucia.

Na razie jednak nikt nie odgadywał geniusza. Nawet w solidnej agencji przy placu de la Concord nie poznano się co jest warta.

- Nazwisko, repertuar, czy mademoiselle już występowała w Paryżu? - starszy pan położył przed sobą porubrykowany karton, gotów zapisywać dane jak jaki urzędnik.

- Jestem we Francji od niedawna.

Starszy pan odłożył długopis. Ach tak, tutaj dopiero ona chce się zaprezentować. Postąpiła lekkomyślnie przyjeżdżając bez zapewnienia sobie angażu poprzez branżowe biuro w swoim kraju.

- Studiuję w Conservatoire National de Musique w klasie solfeżu, chcę dorobić na opłaty w konserwatorium.

Starszy pan znowu ujął długopis.

- Studentom pierwszego roku nie wolno występować bez zgody dziekanatu, a takie pozwolenie otrzymuje się bardzo rzadko. Dlatego zależy mi na dyskrecji przy ewentualnym zasięgnięciu opinii.

\_ Proszę się nie obawiać i pozostawić numer telefonu mademoiselle, jeśli się coś trafi zawiadomię. Uprzedzam jednak, szansa niewielka. Mamy w Paryżu kilka tysięcy bezrobotnych artystów z dyplomami, konkurencja ostra, organizatorzy wybierają znanych.

Nasta podała numer aparatu w Au-Clair-de-Lune.

Z agencji nie odezwano się nigdy. Z Silenziem spotkała się przy obiedzie.

- I co załatwiłaś?

- Nic - postanowiła, jeszcze nie przyznawać się do rozpoczęcia studiów. Niechaj on najpierw przyzwyczai się do jej codziennego wychodzenia.

- Chodzisz głodna, nie masz gdzie spać?

- Nie jestem zwierzęciem, które je, wydała i cieszy się z suchej słomy. Jeśli tobie to wystarczy, twoja sprawa. Ja nie mogę i nie chcę tak żyć - znowu odsunęła ledwo napoczęty posiłek i wyszła nie troszcząc się o wrzątek na herbatę.

Silenzio jadł coraz wolniej, sączył wodę mineralną.

Odwlekał pójsie na górę. Musiał coś postanowić zanim znowu ją spotka, krnąbrną, upartą, zbuntowaną. Kto tu rządzi, kto karmi, ubiera, zapewnia dach nad głową. I pomyśleć tylko, był bliski wysupłania papierka na jej fanaberie. Prawie uwierzył że miał zamiar opłacić chesne.

Ta dziewczyna robi co chce, wychodzi na cały dzień, nie wiadomo jak spędza czas, nie odzywa się do niego, zapytana odpowiada, jak z łaski i odsuwa w łóżku jakby był jakimś płazińcem albo obleńcem. W przekonaniu Silenzia coś bardzo obrzydliwego, chociaż dokładnie nie wiedział co się ukrywa pod tymi nazwami.

Odwlekając rozprawę z Nastą zatrzymał się przy cynku i złożył niezwykle zamówienie. Poprosił o kieliszek marc'u.

- Masz kłopoty - zauważył Marcel oglądając pod światło przecieraną szklanke.

- Dziewczyna mi się biesi. Obrok ją rozpiera - poskarżył się Silenzio w swoim trójjęzycznym narzeczu, z przewagą argot, noc w noc wzbogacanym w halach.

- Znowu się kłóćcie. Widzę. Szkoda. Stanowiliście taką zgodną parę. Aż sympatycznie było popatrzeć. Oko odpoczywało pośród tych wiecznych dziwek, alfonsów i szulerów.

- Niedobrze jak baba chce rządzić.

- Niedobrze - przyznał Marcel - ale czasami warto ustąpić, aby później mocniej chwycić cugle.

- Już się nie mogę cofnąć, bo zostanę się u niej za owczy bobek. Jeśli teraz pójdzie do jakiejś roboty, znaczy postawi na swoim, nie będę miał życia.

220

221

- Rozumiem. Twoje powinno zostać na wierzchu - zgodził się Marcel. Restauracja się zappełniała, goście obsiadali bar, żądając jedzenia i picia.

- To ja już pójdę - Silenzio położył monetę.

- Zaczekaj, zdaje się, znalazłem honorowe wyjście - Marcel odmierzył wino do karafek przeznaczonych na stoły, napełnił kieliszki klientów siedzących przy cynku,

przekazał do kuchni zamówienia na najtańsze obiady, jedno gorące danie na stojąco przy barze i potrząsając shakerem, w którym mieszał cocktail, na powrót znalazł się w kącie naprzeciwko Silenzia.

On rozumie, Silenzio nie chce, aby dziewczyna włóczyła się nocami bez żadnej ochrony. Marcel pamięta i podtrzymuje obietnicę, przyjmie Nastazję. Potrzebuje zmienniczki dla swojej piosenkarki i tak musiałby kogoś zaangażować, nie robi żadnej łaski. Korzyść dla obu stron. Nastazja będzie miała pracę na miejscu pod opieką Marcela, zarobi parę franciszków, a Silenzio odzyska spokój i z twarzą wyjdzie z konfliktu.

Teraz pójdzie na górę i powie, słuchaj mała, nie mogę dać ci pieniędzy na kształcenie twojego głosu, ale załatwiłem uczciwe zajęcie u patrona Au-Clair-de-Lune. Nic nie miałem naprzeciw twojej robocie w ogóle, tylko nie mogłem ścierpieć myśli o twoich samotnych nocach w jakimś nie znanym nikomu miejscu, kiedy ja tyram w halach i w niczym nie mogę ci pomóc.

Silenzio z wdzięcznością przyjął propozycję Marcela.

Wieczorami Nasta schodziła na dół do mrocznej izby na zapleczu lokalu, gdzie się przebierała i malowała przed występem. Stało tu wielkie łóże, trój skrzydłowe lustro wyposażone w teatralne szminki i mastyksy oraz mieszcząca natrysk i umywalnię kabina z matowego szkła, osłonięta plastikową kotarą. Nocą pokój był gotownią Artystek popisujących się na estradzie, w dzień służył Marcelowi za sypialnię.

Pierwszego dnia, kiedy weszła do garderoby, w łóżku zastała Marcela.

Nawet się nie zdziwiła. Wiedziała. Nie przyjmując do wiadomości, wiedziała od chwili gdy firmową podstawką pod kieliszki przesunął ku niej po ladzie pieniądze na czesne. W Dzielnicy Tanich Dziewczyn niczego nie dostawało się za darmo, tutaj dziewczyny płaciły zawsze tą samą monetą, a każda pożyczka musiała procentować.

- Chodź do mnie - wyciągnął rękę.

- Mało masz tutaj kobiet?

- Nudzą mnie te zdziury, są zbyt profesjonalne, zbyt biegłe w swoim rzemiośle - wyjaśnił. On miał ochotę na coś świeżego, naturalnego.

- Każ sobie broszetę z jagnięcia.

- Chcę ciebie i nie mów, że się nie domyślałaś, nie udawaj, nie podbijaj ceny, nie marudź. Ja nie mam czasu na tokowanie, za barem postawiłem Gastona, muszę wracać i pilnować firmy. Jak się dorobię pomyślę o większej finezji i większej wygodzie - gestem ogarnął zagraconą izbę z małym oknem przyziemia, wychodzącym na ślepe podwórko, wąskie jak szyb.

- Zanim się dorobisz, żadne pieniądze ci nie pomogą, będziesz mógł tylko popatrzeć, a może i na patrzyenie za-

braknie ci biglu.

- Nie bądź ordynarna Nastazja. Nie lubię wulgarnych dziewczyn. I możesz się nie obawiać swojego woła. Pożyczkę spłacisz ratami, nie dowie się o potrąceniach z gaży. I nigdy nie odwiedzę cię na górze.

Tak pozostało.

Schodziła do garderoby wcześniej, występ zaczynała zawsze o tej samej godzinie. Względy patrona nie zwalniały od punktualności. Knajpa musiała dostać swój program w pełnym wymiarze. Życiem Marcela władała knajpa, knajpa towarzyszyła mu dzień i noc, knajpa pochłaniała inwencję i doznania, knajpa kładła się z nim do łóżka, kłębiła w pościeli. Dziewczyny, dostawcy, klienci, fliki, goście, szulerzy, łapówki, prowizje. Nasta nie miała dla niego ani nienawiści, ani sympatii, był niczym. Sprawa nie dotyczyła uczuć, tylko ceny.

- Ile płacisz dziewczynom? - nie mogła oprzeć się wrażeniu, że knajpa tłoczy się na poduszkach, obsiada materac, patrzy, słucha wtrąca się, spiera, komentuje,  
222

223

wyraża aprobatę lub niezadowolenie, mądrzy się i dyktuje warunki.

- No wiesz! Ja nie muszę płacić, jakbym chciał one by dopłacały. Dlaczego pytasz?

- Lubię wiedzieć.

We wszystkim oświeciły ją dziewczyny. Nowa powinna znać obowiązującą takse, poniżej której nie wolno zejść. Jeszcze by tylko brakowało, żeby dziewczyny zaczęły ze sobą konkurować. I niechaj wie czego się może spodziewać po Marcelu, tym sentymentalnym kiernozie. Nie jest pierwszą łatwoniemą złowioną na bezinteresowną pożyczkę. To jego stały chwyt. Jak się znudzi przekaże ją orkiestrze, później któremuś z alfonsów. Nie są najgorsi, stawiają sprawę uczciwie, taki i taki procent za opiekę.

- Mój tragarz niczego się nie domyśla. Jeśli się dowie przepadłam. Zabije nas oboje.

Jest naiwna. Z Marcelem nie poradzi sobie nawet najsilniejszy tragarz. Jest sam. Marcel ma na skinienie właściwych fachowców. Lecz niechaj się nie boi, nikt się nie wygada. Nikt nie ma w tym żadnego interesu, nikomu ona nie dała powodu do zemsty, a i nikt nie zechce narazić się patronowi lokalu, gdzie żyją i zarabiają na życie.

W dniu, w którym wyliczyła Marcelowi, że spłaciła dług i odsetki monetą najpospolitszą w Au-Clair-de-Lune, we dług cennika. Dzielnicy Tanich Dziewczyn, podziękowała za pracę i za spotkania w garderobie.

- Zrywasz ze mną?

- Nigdy się z tobą nie wiązałam.

- Zostań, czy było ci źle? Zostań, nie pożaluję pieniędzy

na twoją naukę. Zależy ci na tamtym tragarzu?

- Nie twoja sprawa. Nic ci nie jestem dłużna.

- Nie ma w tobie żadnego przywiązania, Nastazja. - nie udawał, naprawdę nie rozumiał dlaczego dziewczyna, dla której tyle uczynił i był taki dobry, pożyczył pieniądze, dał zajęcie, chociaż tak naprawdę nie potrzebował pieśniarki niezainteresowanej korkowym i w ogóle niedostępnej dla klientów. A chociaż jej słowiańskie piosenki podobały się i wcale na niej nie stracił, przecież wpuszczając ją z litości na estradę, nie wiedział jak zostanie przyjęta i czy zarobi, przynajmniej na własną gażę.

- Namyśl się dziewczyno zanim puścisz kantem kogoś takiego jak ja.

- Klienta nie można porzucić, najwyżej nie dotrzymać umowy. Ja dotrzymałam.

Wszystkie są jednakowe, sprzedajne, podłe, bez serca.

Nie należy się nimi przejmować, a już uchowaj Boże przywiązywać. Nie zakochał się, aż tak nie zgłupiał - jak sądził, ale chciał zatrzymać dla siebie tę dziewczynę i przez myśl mu nie przeszło, że ona odrzuci ofiarowane jej szczęście, na domiar w obelżywej formie. Czuł się wzgardzony, wyzyskany, odepchnięty i to przez kogo, przez małą imigrantkę, niemającą nawet prawa pobytu. Gdyby był świnia, mógłby jej urządzić piękną deportację, wystarczyłoby szepnąć słowo oswojonemu glinie, ale przecież nie jest zbrodźcem, nie po to daje flikom łapówki, żeby ich napuszczać na własnych gości.

- Kupię ci futro, opłacę szkołę.

Stanowczo nie miał szczęścia do kobiet. Pragnął uczucia, oddania, przyjaźni, a wciąż trafiał na wyrachowane zdziry. I ta okazała się zwyczajną dziwką, chociaż sprawiała wrażenie naiwnej, sentymentalnej, zdolnej do przywiązania.

- Czego mi brakuje, czy jestem garbaty, kulawy, stary, marny w łóżku? Dlaczego i po co siedzisz z tym prymitywem?

Nie odpowiedziała. W ogóle nie brała, pod uwagę takiego wyboru. Nie ufała szefowi Au-Clair-de-Lune. Wydawało jej się, że wie czego się może spodziewać po Silenzium.

- Dam ci wyższą stawkę za występy. To moje ostatnie słowo.

Śpiewanie w tingel-tanglu nie jest moim marzeniem, Marcel!

- Mademoiselle mierzy wyżej! Rozumiem. Jesteśmy za mało dobrzy. A jeśli powiem twojemu tragarzowi co porabiałaś w garderobie?

- Nic mnie przy tobie nie zatrzyma.

224

225

Uciec! Pozbyć się ich obu. Opanowała mdlący stra-

ch, Siedząc swoim zwyczajem w nogach łóżka myślała jak się obronić.

- Rzuciłam robotę - zawiadomiła Silenzia.

W restauracji jest sino od dymu, wyziewy bardzo źle wpływają na struny głosowe, no i mężczyźni. Oni tu przywykli, że w Au-Clair-de-Lune każda jest do kupienia.

Zbrzydło wciąż się opędzać. Poza tym i dziewczyny, i alfonsi, i kuplerzy krzywo patrzą. Póki była tylko mieszkanką hotelu, inna sprawa, ale skoro wzięła pracę w knajpie z określonymi zwyczajami, nie powinna zadzierać nosa.

Nie zdarzały się takie Artystki dotychczas u Marcela.

- Sama chciałaś, samej się odwidziało - odzegał się Silenzio.

Ucieszony jej rezygnacją, nawet nie bardzo żałował utraconego przez Nastę zarobku. o tyle łatwiej zniósł ów uszczerbek, że z ubogiej płacy dziewczyny niewiele miał korzyści. A sam właśnie porzucił hale i wypływał na szerokie wody. W porównaniu ze świeżo odkrytym źródłem dochodu, trochę franków Nasty nie miało znaczenia.

Życie Nasty stało się nieznośnym oczekiwaniem. Wieczorami nie mogła usnąć ze strachu, każdego rana z ciężkim sercem szła na zajęcia, później przez kilka godzin ćmiącego niepokoju przemierzała miasto szukając pracy i z nienawiścią wracała do hotelu. Dziobała obiad, kęsy stawały w gardle, Silenzio wycierał chlebem talerz, podsuwała własną porcję, zjadał z niezmiennym smakiem, żeby się nie zmarnowało, Marcel uśmiechał się z za baru, czasami zatrzymywał ich na kieliszek, sycił się, nie dość dobrze ukrywanym lękiem dziewczyny.

- Jeśli Nastazja będzie chciała wrócić do mnie, nic nie stoi na przeszkodzie - powtarzał. Niezmiennie bawiła go dwuznaczność owego zapewnienia, której nie rozumiał Silenzio.

Zaprę się jeśli mnie ten rajfur wyda i poszczuję Silenzia, postanowiła i odzyskała pewność siebie. Więcej nie pozwoliła poczęstować się calvadosem przy cynku. Aż się Silenzio niemile zdziwił dlaczego tak niegrzecznie odrzuciła zaproszenie patrona Au-Clair-de-Lune.

226

- Obrzydł mi ten fałszywy przyjaciel. To Alfons.

- Chciał cię wciągnąć w kurestwo?!

- Próbował.

- Dlatego rzuciłaś, robotę. Czemu od razu nie powiedziałaś?!

- Żebyś nie zrobił jakiegoś głupstwa.

- Połamie mu wszystkie kości, a zamiast jaj wprawie kasztany!

- Wtedy nas deportują.

- Masz rację, dziewczyno, masz cholerną rację - Silenzio ścisnął dłonie kolanami, jakby chciał unieruchomić swoją wielką siłę.

Marcela niełatwo było tknąć, knajpa zawsze pełna alfon-  
sów, kuplerów i zwyczajnych bandytów stanęłaby murem  
przeciwko cudzoziemskiemu przybłędzie. Silenzio nie był  
szaleńcem, w końcu nic się nie stało, jego dziewczyna nie  
poszła na łatwy chleb. Jaki tam łatwy, w tej mordowni, ale  
trzeba się stąd wynosić. Jeszcze tego samego dnia zaczął  
szukać mieszkania, chociaż nic nie powiedział Naście.

- Coś ci pokażę - niedzielnym rankiem zabrał dziew-  
czynę na przedmieście oddzielone od Dzielnicy Tanich  
Dziewczyn przestrzenią całego Paryża, przedmieście ubo-  
gie lecz spokojne.

To była mansarda z wymyłym już szklanym sufitem,  
oklejona tapetą w szare róże przypominające szare kapu-  
sty. Silenzio wyporządził izbę przez kilka kolejnych dni  
w czasie między północą a świtem, do czasu zatajając  
przed Nastą, że właśnie porzucił hale.

Już nie chodził zarabiać na targowisko. Robił co naj-  
bardziej lubił i umiał. Kłusował.

Odbierał pieniądze automatom. Barwa dźwięku wyda-  
wana przy uruchamianiu zdradzała jego uchu łowcy, czy  
maszyna jest pusta, czy też ma pełny brzuch. Z pomocą  
odpowiednio wyważonych metalowych bierok i rąk wyczu-  
lonych na każde drgnienie urządzenia, zbierał główne wy-  
grane, bądź cały nagromadzony kapitał. Niczym z rogu  
obfitości wysypywały srebrzysty deszcz przetkany motyla-  
mi banknotów, w nadstawione dłonie Silenzia.

227

Przemierzając miasto z planem w ręku, ulica po ulicy,  
notował nawet najmniejsze lokale z jednym, dwoma auto-  
matami. Po wygarnięciu zdobyczy skreślał adres i więcej  
tam nie powracał. Dużo było podobnie usytuowanych au-  
tomatów w Paryżu. Samotnemu myśliwemu zapewniały  
łupy na długie lata. Tak myślał. Nie brał pod uwagę, że to  
jednak sieć naczyń połączonych.

Po pewnym czasie w stowarzyszeniu drobnych kupców  
mówiono o zastanawiającym szczęściu nikomu nieznanego  
gościa. Wstępował, wypijał kawę za osiemdziesiąt cen-  
timów, albo kieliszek marc'u za pięćdziesiąt, przegrywał  
franka, czasami dwadzieścia, opuszczał bistro, kafejkę,  
bar z setkami, niekiedy tysiącem i nigdy już się nie poja-  
wiał. Oszustwa jeszcze nie podejrzewano.

Niewiele wynikało z tych pogwarek i jeszcze przez dłu-  
gi czas nigdzie niezadomowiony gość mógłby się cieszyć  
swym niezwykłym powodzeniem, gdyby pozostał przy ma-  
łych lokalach, niewielkich automatach. Lecz Silenzio  
wkroczył na strzeżony teren kasyn kontrolowanych przez  
Syndykat, z salonami czynnymi na zmianę od rana do ra-  
na, całym kombinatem hazardu, gdzie oprócz zgrania się  
do podszewki w portfelu, można było zjeść, wypić, potań-  
czyć, wynająć garaż, przenocować, pomieszkać i kupić so-

bie dziewczynę.

To nie był cech drobnych kupców niedzielnym przedpołudniem opowiadających sobie niecodzienne zdarzenia przy kieliszku wina. Precyzyjny system informacji uruchomionej przez Konsorcjum doprowadził do ustalenia tożsamości gracza, któremu dziewięć na dziesięć maszyn hazardu oddawało swoją zawartość w zamian za sumę kilkudziesięciu franków.

- Uwaga drapieżnik - rozbiega się po kablach ostrzeżenie od Rzymu po Havre.

Sprawdzenie w kartotece konsorcjum i dotarcie do dossier byłego goryla Domu Lalek w Genewie pozostało już tylko kwestią czasu. Nigdy nie powinien postawić stopy na tym obszarze, a cóż dopiero grasować pośród złotodajnych automatów. Winien zbrodni uprowadzenia Lalki, zamiast się schować

228  
i siedzieć cicho w jakiejś kryjówce gdzieś na końcu świata, grabił salony gier należące do tego samego imperium.

A morte!  
Silenzio urósł we własnych oczach. Był kimś. Zdobywał duże pieniądze. Mieszkał w obcym kraju i poruszał się w światowej metropolii ze swobodą rdzennego mieszkańca. Pracował głową, nie wynajmowaniem grzbietu w halach, taszczeniem juków niczym pociągowe zwierzę, za co z ledwością zarabiał na jedzenie dla dwojga.

Teraz stały się dostępne różne ładne rzeczy do niedawna oddzielone szybami wystaw jak pancerną zaporą. Był panem siebie i swojego czasu. Z niedowierzaniem myślał o tamtym, genueńskim Silenzio, znającym dwie ulice, bulwar, nadbrzeże, przystań, i kościół, raz w tygodniu zaszywającym pod podszewkę cztery zielone papierki, oszczędzającym czarne ubranie i pijającym wino, jeśli przyniosła je Włoszka. Życie kundla na łańcuchu, myślał z politowaniem i nie mógł się nadziwić, że bez przykrości znosił niewolniczą egzystencję przez ponad pięć lat. Docenił trezory. Założył sobie konto.

Drobniejsze papierki i bilon odebrane mechanicznym hazardzistom zanosił do banku w swojej dzielnicy. Niczym się niewyróżniający mieszek niklu i banknotów pomniejszej denominacji. Podobnie przedstawiał się utarg wpłacany przez przekupniów prażonych kasztanów, frytek, sprzedawców gazet, znaczków stemplowych, sandwiczów. Już go tu znano, witali kasjerzy i kierownik działu. Silenzio płacił się w konwencjonalnej uprzejmości, dobry, stały klient przynoszący woreczek bardziej nawet pękaty od innych. Ze starego nawyku, z braku zaufania do franka, pewną część zdobyczy zamieniał na dolary, ale już niczego nie zaszywał w ubraniu. Jedynie książeczki czekowej, małej płytki z plastiku, przystosowanej do korzystania zarówno z rachunku na okaziciela jak i bankomatu, nie nosił przy

sobie, tylko przechowywał w skrytce, urządzonej w ramie lukarny na swoim poddaszu i nieznanego nawet Naście. W portfelu miał zawsze plik banknotów pieczołowicie ułożonych według wartości. Niespiesznie przebierał wy-

229  
gładzone papierki, żeby ludzie widzieli i podziwiali zasobność właściciela, nawet wówczas gdy miał zapłacić drobną sumę monetami noszonymi w oddzielnej portmonetce z krokodylowej skóry.

Śmiał się ze swoich niedawnych skromnych pragnień, ubogich marzeń. Taksówka, zagonek pomidorów pod folią! Na pchlim targu sprzedał czarne ubranie, koszulę non-iron i wciąż jak nowe włoskie buciki. Wszystko wziął handlarz skupujący niemodny przyodziewek w kolorze odpowiednim dla nieboszczyków, poszukiwany przez, niezamówne rodziny.

Teraz Silenzio nosił jedwabną bieliznę, spodnie z szarej flaneli, miękką marynarkę z ciepłego weluru, kaszmirowe skarpetki barwą podebrane do krawata i zamiszowe mokasyny. Używał angielskiej wody po goleniu, polerował paznokcie i jeden opiłowany szpiczasto hodo- wał na małym palcu.

Korzystał z samolotów, nabył używany samochód, kalkulowało się taniej niż środki komunikacji komunalnej. Polował nie tylko w Paryżu, przedsięwziął szybkie wyprawy do salonów gry w większych miastach Francji, Austrii, Monaco, Szwajcarii.

Kupił złote spinki, złoty zegarek na pasku ze złotej spirali, złoty sygnet z wygrawerowanym monogramem, obyczajem zapożyczonym od młodych alfonsów z Dzielnicy Tanich Dziewczyn nosił na przegubie złotą, ciężką branzoletę i chciał mieć złoty ząb.

Za czasów jego dzieciństwa w całej gawrzańskiej parafii złotą koronę uważano za rodzaj szykownej ozdoby i niejeden kawaler upiększał zdrowy siekacz u technika denty- stycznego w Grodziszczu, który zamiast szlachetnego kruszcu zbyt drogiego na możliwości puszczańskich elegan- tów, stosował polerowaną miedź. Naście udało się odwieść Silenzia od inkrustowania sobie szczęki.

Przestał się bać studiującej Nasty. Teraz ucześnie- zanie jego dziewczyny na wyższą uczelnię wpływało na dobre samopoczucie Silenzia. Stać go na chesne. A chociaż nigdy na potrzeby jej nauki nie dał ani grosza, zżył się i przywią-

230  
zał do owej myśli i byłby niemile zaskoczony, gdyby powie- dziano, że to nieprawda.

Poważnie traktował studia Nasty, oszczędzał jej ręce.

Sam sprzątał gotował niewymyślne potrawy zapamiętane z Sarniej. W soboty robił wystawne kolacje. Kupował sar- dynki, przecenione puszki z krabami, podeschły ser, pięt-

kę szynki albo owernijskiego salami, przynosił sobie marc i Chianti dla Nasty, znane dzięki Włoszce najlepiej ze wszystkich win.

Nadal ważył każde centyma, nie ofiarował Naście torebki kasztanów czy różka frytek, albo sandwicza z ulicznego straganu, bo przecież kupione w sklepie, zwłaszcza na wyprzedży, i zjedzone w domu kosztowało taniej. Tylko w niedzielę zabierał ją na obiad do bistro na ich ulicy, gdzie mogła sobie zamówić co chciała. Później szli razem do Wesołego Miasteczka.

Tu odnajdywał swój żywioł. Ku podziwowi przygodnych widzów i właścicieli strzelnic wymiatał główne nagrody, niesłychana celność jego strzałów budziła zainteresowanie i przyciągała tłumy kibiców.

Chodził w chwale najlepszego. Był kimś. Ludzi niezmiennie fascynowało owo rzadkie sprzęgnięcie dłoni z cynglem, oka ze szczerbiną, zyczliwie dogadywali mężczyźni, uśmiechały się do niego kobiety. Silenzio kochał sławę, podziw i uznanie dla swojego kunsztu.

Każdej niedzieli uruchamiał światy strzelnic.

Obracały się wskazówki tekturowego zegara, wyskakiwała kukułka, przeciągał się i pomrukiwał jaguar z papier-mache, pluszowa małpa zjeżdżała po lianie z postronka, galopowały mustangi, celuloidowa tancerka pokazywała koronkowe majtki, wysoko unosząc nogi w rytm kankana z pozytywki, akrobatka z masy plastycznej sfruwała w dół w karkołomnym sztrabacie, pękały szklane fiolki i kładły się pokotem bajecznie kolorowe kwiaty z piór. Silenzio ofiarowywał Naście fantastyczne bukiety. Rozgrzany zwycięstwem i podziwem gapiów, opowiadał Naście o urzynie, nieodżałowanym, cudownym samopale, pozostawionym w wydrążonej krokwi i uczył

231

Nastę strzelać z tych, pozał się Boże, karabinów miotających ślepe naboje.

Na strzelnicy w niedzielne popołudnie dosięgła go Ręka Imperium. Nawet Nasta stojąca najbliżej nie zorientowała się od razu dlaczego Silenzio upadł.

Zobaczyła powiększającą się ciemną plamę na zamazanej marynarce, usłyszała krzyk i jakąś wtórną pamięcią ujrzała mężczyznę z prochowcem przewieszonym przez ramię, ocierającego się o Silenzia. W chwili gdy zrozumiała co się stało, po tamtym rozwiął się ślad. Zawodowiec. Zwyczajem zawodowców strzelał w plecy z pistoletu z tłumikiem.

11.

Gminny posterunkowy wracając z nocnego obchodu natknął się na Henryka z Grodziszczu, jednego z dalszych krewnych Bogusza. Leżał na reprezentacyjnym skwerze, w jaki przeobrażono dawny rynek po usunięciu zeń kocich

łbów i obsianiu trawą, prawie w równej odległości od kościoła, posterunku i domu kultury.

Tkwiał w zaspie śnieżnej między ławką, wierzbą płaczącą i słomianymi chochołami osłaniającymi rosarium, i tu potknął się o niego przedstawiciel ładu zdążający po służbie do domu.

Zdarzenie nie było typowe. Gawrzańskie pijaki zwykły się walać po ziemi jakie pół kilometra dalej, gdzie znajduje się urządzenie handlowo-towarzyskie pod tytułem Bar. Flaszki dostawał tam każdy, jeśli tylko zdołał powiedzieć lub wskazać czego chce i bez żadnych zakąskowych przymusów, pod piwo albo oranżadę. Smakosze mieli do wyboru jajko na twardo, żółty ser albo morszczuka w sosie własnym. Swojsko, tanio, przytulniej niż w gospodzie i z dala od oczu proboszcza, naczelnika gminy i komendanta milicji. Ale od kilku tygodni znów zaczęto walczyć z alkoholizmem i w barze zlikwidowano wyszynk. Zapanowała woda sodowa i kultura spożycia.

Nie można powiedzieć, żeby z tego powodu obywatele gminy nie legiwali po trawnikach, albo legiwali od wody sodowej, ale życie konsumpcyjne przesunęło się teraz bliżej miejsc produkcji napojów procentowych, czyli pod las. Po wtóre, z samego taktu, nikt opity samogonem nie uwaliby się na drodze człowiekowi, mającemu ustawy obowiązki zwalczania konkurencji monopolu państwowego. Był dwudziesty, a może jeszcze bardziej stromy stopień zasilania i jedyna latarnia, miejska ociemniała. Posterunkowy w świetle służbowej lampki wydłubał z kopieluchy boguszowego swojaka i wówczas stwierdził nie tylko upilstwo ale i pobicie.

Henryk miał podsinione oczy i trudności z siadaniem.

Obudzony w nocy Doktor z Ośrodka od ręki wystawił mu czternaście dni wolnego, ale to Henrykowi samopoczucia nie poprawiło.

- Żadne pocieszenie. Sam sobie jestem szefem, księgowym i personalnym. Mam półciężarówkę: użytek własny, i wożę towar. Nie żyję z pensji tylko z pracy - oświecił Doktora Henryk.

Kiedy odtajał i wytrzeźwiał, opowiedział co pamięta.

- W Gawrze miałem wziąć kartofle, ale ścisnął mróz i nie należało odkrywać kopca. Aby nie wracać z niczym, chciałem zabrać marchew, jarzynę niespecjalnie wrażliwą na zimno, lecz zanim się domówiłem, zrobiło się ciemno, gołoledź i zawieja. Nie jestem samobójcą, postanowiłem nocować. Właściciel warzywa postawił nadpitą flaszkę, gdy się skończyła postawił drugą. Też mało. Już mam taką wielbłądzą naturę, piję rzadko, ale dużo.

Na tym się wyczerpał zapas gorzały, no to Henryk ruszył w Gawrę, żeby pożyczyć i niech posterunkowy nie ła-

pie za słowo, jemu, Henrykowi, nic nie wiadomo o tutejszych wytwórniach samogonu. Jeśli więc mówi, że poszedł szukać pożyczki, miał na myśli monopolową, nie krzakówkę ani wyrób z czajnika.

Nie został okradziony, chociaż mógłby śmiało powiedzieć, że zrabowano kilkadziesiąt tysięcy i jest to najprawdziwsza prawda. Jemu nie wyjęto tych pieniędzy z kiesze-

232

233

ni, o tyle jednak będzie do tyłu, jeśli nie siądzie za kierownicę przez najbliższe dwa tygodnie.

- Nie wiem kto mi nakopał. Nikogo nie widziałem, nie jestem w stanie powiedzieć czy napastników było więcej czy jeden.

Zaatakowano go zniecka w zupełnej ciszy.

- Nawet nikt nie zaklął, nie wypomniał prowadzenia mamusi, jakby był niemową. Niesamowite. Normalny człowiek raczej powinien się podburzyć jakimś potężnym bluzgiem, a nie tak bez złości, na zimno katować niewinnego. Może to jakiś wariat, albo napuszczony przez innych, może sadysta.

Następnego dnia o przemilczanych szczegółach napadu wiedziała cała Samia. Od Grażyny, sklepowej.

Z furgonetki Henryka zginęła zwierzyna ubita przez Bogusza. Szwagier sklepowej miał dziki przerobić na wędliny.

Osobiście Bogusz łupów do Gawry nigdy nie woził. Jego auto zagraniczne, markowe, żal eleganckiego pojazdu na leśne drogi, po drugie zręcznie i godnie posługiwać się Umyślnym.

Myśliwy jest zobowiązany połowę trofeum sprzedać państwu, czyli przedsiębiorstwu Las. W Gawrze Las zleca przetwórstwo Gminnej Spółdzielni Samopomocy, oni posiadają masarnię. Jedyną w gminie.

Upolowane zwierzęta mocą kwitu i wypłaconych łowcy pieniędzy przemieniają się w surowiec państwowy, który szwagier Grażyny z pomocnikami przetwarza na kiełbasy według receptury numer taki i taki.

Towarzysko, przez Prezesa Gminnej Spółdzielni, i druga część zdobyczy Bogusza trafia do tejże masarni. Szwagier sklepowej, po godzinach, przetwarza prywatną dziczyznę na szlachetne wyroby. Tu już nie musi stosować się do receptury. Prawdziwe mięso, bez zagęszczonego osocza, rozgotowanej skóry, i innych pośledniejszych resztek, jest napychane w prawdziwe jelita, z prawdziwymi przyprawami i poddane wędzeniu przez sześć tygodni w dymie z prawdziwego jałowca, wiśni, olchy.

Szwagier Grażyny wędzenie odprawia u siebie w domu.

Przez tak długi czas nawet surowiec dobrze widziany przez Prezesa nie powinien zalegać pomieszczeń warsztatu i kluc w oczy. Poza tym w Geesie obowiązuje inna technologia. Wędzi się smółką, na pół albo i ćwierć pary, najważ-

niejsza jest oszczędność importowanego preparatu i przepustowość. Za skrętność i rotację otrzymuje się premię, uznanie klientów nie przynosi żadnych profitów.

Z samego rana Henryk przywiózł zwierzynę na asygna-  
tę i protekcyjną.

Ale dziczy wyrób jest znacznie lepszy pomieszany z wieprzowiną, więc Henryk poszedł w Gawrę szukać karmnika. Szwagier Grażyny nie chciał w masarni trzymać tyle towarzyskiego towaru bo to i miejsca brakuje, i w ogóle.

Wprawdzie Prezes jest spity z Naczelnikiem gminy i z Sanepidem, z Sekretarzem i z milicją, a znowu Bogusz potężna figura w Grodziszczu i okolicy z silnym zapleczem w Warszawie, jednak ostrożność i delikatność przede wszystkim. Nie włożyć na afisz bez koniecznej potrzeby.

Wycucie trzeba mieć. Szwagier Grażyny ma. Ze wszystkimi jest dobrze i o sobie pamięta.

Na protekcyjne mięso zawsze posiada fakturę z podpisem i pieczętą, niby zwyczajna produkcja Gminnej Spółdzielni. Gdy tylko towarzyski wyrób opuszcza pracownię, niszczy dokument ale bez podkładki ni świńskiego chwosta za próg nie wpuści. Przez co Prezesowi wydaje się, że tylko sam jeden zadek nadstawia, jakby protekcyjne tusze w kiełbasy zamieniały się u niego w gabinecie, a nie u Szwagra Grażyny w masarni.

Henryk dobił targu za wieprza, zaraz świniaka zakłuli i sprawili. Półtusze zawisły w komorze, mięso się schłodzi do nocy. Mróz ścisnął, zezwłoki odyńców kruszały sobie w furgonetce, kobiety gospodarza szlamowały jelita, oni rzucili kawał świeżyny na patelnię, pili litkup. Życie jest piękne.

Życie szarzeje gdy człowiek niedopity. Pognało Henryka w Gawrę, Skąd mógł wiedzieć, że zamiast wódki dostanie po sempiterni.

- Za gorzałą poszedł i pewno gdzieś dzioba macza - poinformowano na miejscu Szwagra Grażyny, kiedy przy-

234

235

szedł dowiedzieć się dlaczego Henryk nie przywozi protekcyjnych tuszy.

Rozzłościło masarza. Nie szukał Umyślnego od Bogusza. Nie będzie jego ścieżek prostował. I jakież tu sekret u Boga Ojca! Wiadomo, dygnitarz polował, zwierzyny natłukł, a majster od wyrobów tropi boguszowego hałują po kominach. Z równym skutkiem mógłby wszystko obębnić po czterech rogach majdanu.

Rano sprawa okazała się jeszcze gorsza.

Mniejsza, że Henrykowi w zadek nakopali, niechaj na drugi raz pilnuje z czego chleb je, a nie szuka wczorajszego dnia po krzakowych sytniach. Ale na tym nie koniec,

nocą z furgonetki wybrano wszystko. Cztery dziki jak smoki i byka.

Henryk Boguszów z samego rana stratę odkrył, ale ani się zająknął, tylko wniósł obity tyłek do auta i pognął do Sarniej, pierwszy Boguszowi sprawę zdać, żeby go zła no-wina nie wyprzedziła.

Milicji nie powiadomili. Oczywiście na posterunek się doniosło, bo mniejsze wydarzenie w Gawrze się nie ukry-je, lecz formalnie o szkodzie nie zgłoszono.

- Zemsta - mówili stronnicy Bogusza.

Łowczy ze swoim umyślnym natknęli się na zdobycz kłusownika. Kiedy przyjechali brać ubite przez Bogusza sztuki, w jakimś miejscu spostrzegli bryzgi farby na śnie-gu. Dalej, chociaż zamiecione świerkowymi łapkami, odna-leżli ślady płóz. Doprowadziły do bagien, tam zamaskowa-ny sitowiem i trzcina leżał odyniec. Powiadają, góra zwie-rza. Najpierw Łowczy podobno popłakał się z żalu i złości, potem pilnował, ale nikt nie przyszedł po zdobycz, wreszcie zabrał i przekazał zgodnie z obowiązującą procedurą.

- Myśliwskie opowieści - nie dawali wiary, niezależni od Bogusza.

Nie żaden dzik kłusownika. Skradzione sztuki Bogusz upolował nielegalnie i nie będzie ich jawnie dochodził, ale niechaj Bóg ma w opiece tego, kto mu to zrobił.

Łowczy wyparł się łupu skradzionego z furgonetki.

Zwierzynę odesłał do sprzedania, została przyjęta przez  
236

przedsiębiorstwo Las i przekazana gminnej spółdzielni, to wszystko. Jedyna prawda, że Henryk się upił i wdał w bi-jatykę, czego nie pamięta albo się wstydy pamiętać. On, Bogusz, jest solą w oku leśnym złodziejom, tępi bezpra-wie, więc rozsiewają oszczerstwa. A niezyczliwi dodają nie-stworzone historie i plotka urasta. Nierzadko godzi w jego dobre imię. Gdyby Bogusz chciał, potwarcy mieliby przy-krości, ale nie chce, jest ponad. Sarniejskich ma za przy-jaciół, kilka zawistnych języków tej przyjaźni nie zniszczy.

Prawda, ludzie nie przemilczą niczego co się wydarzy Boguszowi, albo w związku z Boguszem. Pogłoskę czy fakt obróca, przenicują, zmielą językami na pytel. Istne żarna.

- Psie głosy nie idą w niebiosy - mawia Bogusz - i wciąż jest Osobistością.

W siedemdziesiątym szóstym zdawało się, koniec z je-go dygnitarzowaniem. Szurnęli go z Warszawy, aż się w Grodziszczu upynił, co w tutejszej gwarze naznacza zatrzymał, ale nie normalnie, tylko w szczególnych oko-licznościach.

Sam zrezygnował, powiadali poplecznicy Bogusza. Nikt nie wierzył. Później okazało się, Bogusz miał nosa, niczym jego wyżeł. Niezależnie od boguszowych przenosin z cen-tralnych gabinetów, kiedy w kilka lat później zatrzęsły się

stołeczne posady, on sobie spokojnie włodarzył w Grodziszczu jako generalny dyrektor z uprawnieniami i etatem ministra. W Grodziszczu też się zatrząsł, lecz nie tak ostro, stanowisk łakomych niewiele, i bardziej człowiek z człowiekiem powiązany.

Bogusz się nie zatrząsł, był nowy, jednocześnie tutejszy i przyznać trzeba, z roboczym narodem umiał się dogadywać. A w jego wojewódzkim przedsiębiorstwie przeważali ludzie zwyczajni, radzi utrzymać co mieli. I tak niespokojny czas Bogusz przeczekał jak u Pana Boga za piecem, ani się kto obejrzał gdy przestroił zakład, który zrobił się nie wojewódzki, nie centralny, tylko eksportowy.

Boguszowi, powiadają, lecz zawistnych nigdzie nie brakuje. Są wszędzie, wiszą nad każdym, kto robi coś niezwykłego. A Boguszowi udało się nadzwyczajne.

237

W Grodziszczu nigdy jeszcze nie było przedsiębiorstwa wysyłającego na dewizowe zarobki.

- Mój towar szlachetny, nie boi się suszy, ani gradobicia, ani powodzi. Twórczą myślą handluję, szare komórki na walory wymieniam - lubił mawiać Bogusz.

Nie tylko konstruktorów, także rzemieślników różnych specjalności i robotników na zagraniczne prace delegował. Puszczańskich też czasami, jeśli dobry fachowiec, nie pijak i Boguszowi nigdy się nie naraził. Do boguszowej firmy inżynierowie, różni z dyplomami ze wszystkich stron ciągnęli, jak o łaskę zabiegając żeby ich za techników, nawet za fizycznych chciał wyeksportować.

Bogusz w ludziach przebierał, grymasił, testy zadawał. Uprzedza, na miejscu żadnych wybrzydzań. Zamiast Partii, rady zakładowej, związków, Kierownik. Jeden jedyny. Decyduje o wszystkim. Za złą robotę, brak dyscypliny, pijactwo, żadnych ostrzeżeń, tylko natychmiastowe wyprawienie do domu.

Praca w klimacie i do pięćdziesięciu stopni. Mieszkanie w campie, znaczy w barakach, na piachach bez cienia. Ani jednego drzewa, tylko dust, pustynny pył przenikający wszędzie, do gęby i do zupy, pod odzienie i do łóżka.

A zdarza się, w kwaterach brak klimatyzacji, i nigdzie żadnego ochłodzenia. Od tego wszystkiego, z ciągłego niewywczaśu i z samotności ludzie bzikują.

- Puszczańskim prędzej od innych palma na mózgu wyrośnie, w lesie wyhodowani, na pustyni uświerkną - w Klimat Bogusz nie chce brać puszczańskich.

Oni zaś gotowi na gołym kamieniu żyć, gdy słyszą, że robotnik z nadgodzinami i czterysta zielonych na miesiąc wyciągnie. A on nie i nie.

Nie wyprawa odkąd jeden z Sarniej powiesił się w campie na tych piachach.

Zazdroszczą Boguszowi i schlebiają. Ten się urządził.

Tu dyrektoruje z władzą większą od ministra, tam na wizytacje po zagranicznych campach jeździ, diety w dewizach bierze. Naszeptują, taki wyjazd na zyskową robotę kosztuje. Trzeba dać do ręki trzysta dolarów. Jeszcze nie

238

znalazł się nikt, kto by powiedział: dałem. Każdy tylko sły-  
szął, podobno ludzie się opłacają. Komu? Wiadomo komu.  
Nawet elitę w Grodziszczu zawiść dręczy. Niejednemu  
przychodzi oskoma na fotel Bogusza. Przychodzi i mija.  
Do starcia z nim nie ma chętnych. A swoją drogą do-  
brze mieć u siebie przedsiębiorstwo niepotrzebujące ni  
surowca, ni nakładów, ni transportu. Nie zanieczyszcza  
powietrza, do wody nie wpuszcza ścieków, szanuje przy-  
rodę, a daje zatrudnienie. Złote jabłko. Pochwalić się  
także jest czym.

-Osoba, ten nasz Bogusz - mawia Aniela.

Nasta nie znosi Łowczego. Już odgaduje w nim wroga.  
Neurotyczną naturą wyczuwa zagrożenie, stara się postę-  
pować ostrożnie, lecz ów mus sprawia, że coraz bardziej  
nie cierpi Bogusza.

Nie obrazić, nie urazić, nie dać powodu do zawiści. Za-  
sady w młodości doradzane przez La Comte'a, których  
zresztą sam nie przestrzegał, u niej zawodzą zupełnie. Na  
trzecią z nich wcale a wcale nie ma wpływu, błyszczenie  
jest jej naturą jak głos, jak jedzenie i sen. Chociaż nikt tu-  
taj nie ma pojęcia o jej majątku, co widać gołym okiem  
wystarczy, aby Bogusz odbierał jak osobistą zniewagę  
i nigdy jej nie przebaczył.

- Boję się tego człowieka - mówi Nasta.

- Nie ma czego - uspokaja Aniela i zabiera się do my-  
cia kuchni. Kuchnia z mosiężną płytą bez fajerek, by nie  
smoliła garnków, stanowi centralny punkt w gospodar-  
skiej części rozległej izby, a każdy zielony kafel został  
ukształtowany w obrazki wyrobione wypukło, tworzące  
razem epos zamknięty w osiemdziesięciu dziewięciu cera-  
micznych płaszczynach.

Aniela jeśli jest dobrze usposobiona objaśnia opowieść  
wodząc palcem po płaskorzeźbach i za każdym razem jest  
to zupełnie inna fabuła. Później Minstrel na swój sposób  
odtwarzają Naście. I Nasta słucha, niekiedy rysując swo-  
je czarne krople.

- Frymuśne takie, wystające i zakłęsłe, jedna bieda że-  
by je utrzymać w czystości.

239

Aniela nie lubi niezwyklej kuchni, zawalidrogi rozpiera-  
jącej się w kącie bez żadnego pożytku. Gotuje się i piecze  
na elektryczności, albo na gazie z butli, na płytach obudo-  
wanych rzeźbionymi szafkami, dopasowanymi gatunkiem  
drewna i rodzajem snycerskiej roboty do renesansowych  
kredensów ustawionych pod ścianami.

- Tylko się ją pucuje - narzeka Aniela rozpuszczając płatki mydlane i szykując ścierki.

Nasta wyznacza kolejne mycie i nigdy nie zapomina terminu zapisanego w kalendarzu. Wszystko ma zaznaczone. Konserwację instrumentów, czyszczenie dywanów, polerowanie sreber, zabezpieczanie cennych mebli przed kornikiem, futer i welen przed molami, odświeżanie prawdziwych jedwabii. Tylko prawdziwych, do zwykłego prania Nasta się nie wtrąca. Prawie jak pani z pań, świętej pamięci dziedziczka sarniej ska.

- Wszędzie gdzie służywałam mieli piękne piece: i we dworze, i na plebanii, i u Nadleśniczego, jednak nikt się tam nie przejmował kaflami tak jak my tutaj.

- Są stare i cenne, ale zapłaciłam tylko po dwieście dolarów za sztukę. Okazja - Nasta lubiła błysnąć łatwością, z jaką wydaje pieniądze, jeszcze bardziej podkreślić swoją umiejętność kupowania dobrze i tanio.

- Bez obrazu, po mojemu Nasta wsadziła tyyyli pieniądz jak psu w zadek - Aniela zwraca się do Artystki w trzeciej osobie. Od zawsze wśród puszczańskich obowiązywał ów obyczaj i ostał się jeszcze u starszego pokolenia.

Aniela czuje się znieważona zamianą takich-pieniędzy na okładzinę powleczonej zielonym szklivem. Za bardzo szanuje nominały Zjednoczonych Stanów, żeby mieć zrozumienie dla takich okazji, w ogóle dla takiego nabytku. Dolar to poważny, pewny pieniądz. Prawie tak dobry jak złote imperiały ruskiego cara. Bo jednak co złoto to złoto. Nic jego wartości nie zniszczy. Nie mają nań wpływu ni upadki dynastii, ni zmiany władzy, ni przegrane wojny. Cesarz rosyjski przeminął, armie wyginęły, fronty się przetoczyły, a każdy niszczył Sarnią do podmurówki. Pierwszą wojnę Aniela znała tylko ze wspomnień

240

ojców, drugiej sama srogo doświadczyła. I na jej oczach trzy waluty trzech państw stały się bezwartościowym papierem zdatnym jedynie dzieciom do zabawy. A dolar, a złoty rubel trwały i jak sięgnąć pamięcią wszystko za nie zawsze można było kupić przed wojną, w wojnę, po wojnie i teraz, kiedy inflacja jak czerw stoczyła złotówkę.

Z upływem lat owe niezniszczalne środki wymienne stały się dla Anieli nie tylko siłą nabywczą, lecz trochę dobrem samym w sobie, trochę światopoglądem, a nade wszystko potężnym fetyszem chroniącym przed wszelakim złym dopustem. Można za nie kupić traktor i budulec, gotowy dom i lekarstwo, żywność, opał i materiał na ślubną sukienkę, a jeszcze świeża jest pamięć, kiedy za te pieniądze kupowano życie albo wolność, albo chociaż wybawienie przez nagłą śmierć.

Czasami jednak ogień pali się pod tą bezcenną kuch-

nią. Nad rusztem wypełnionym węglem drzewnym stawia się archaiczny rożen, który trzeba popędzać korbą, żeby pieczone się obracało.

Tak dzieje się tylko z okazji wyjątkowych lub znaczących odwiedzin albo gości, co sami w sobie nic nie znaczą, na przykład studenci, lecz ich obecność u Nasty zyskuje Artystce rozgłos. Wynikiem będzie tytuł w gazecie, albo i w wielu pismach, i nota o muzycznym sympozjum, zakończonym koncertem i uroczystą kolacją.

Zdarza się, zaproszeni Panowie Piszący w podzięcie za starania Anieli, przy okazji sprawozdania o muzyce wymienia potrawę, co szczególnie do smaku przypadła i Anielę ładnie wspomną, gospodynię w kulinarnym kunszcie biegłą nadzwyczajnie, o stół wielce dbałą i na drogę gości w domowe wędliny i ciasta rzadkiej smaczności zaoopatrującą, żeby nie zgłodnieli i po mijanych gospodach nie musieli się karmić byle czym.

Anieli miłe są słowa uznania, po każdej takiej uroczystości zupełnie jak Nasta, prasę przegląda i wycinki składa. Dla wnuków. Niechaj wiedzą jak cenili babkę ludzie po świecie bywali, wysoce kształceni na muzyce znający.

241

Przez to kioskarka w Gawrze odkłada dla nich po dwa egzemplarze każdego pisma. Impresario załatwił. Teczkę dla dworu założył, kioskarkę regularną lafę płaci, na różne święta zagraniczne prezenty posyła. Nasta się do takich spraw nie miesza. Od tego on jest, za ułatwianie jej życia wysoki procent bierze.

Przygotowania do wieczoru z kaflową kuchnią mają ustalony porządek. Najpierw zamyka się Minstrele. Zresztą kiedy są ludzie Minstrel zawsze siedzi na osobności. Przywykł. Aniela na elektrycznym rożnie podpieka do miękkości ciemny drób, albo coś z dziczyzny jeśli akurat sezon, a jeżeli dla młodzieży, to barani comber, na kilka dni przed tym usycony w ziołach, bywa z domieszką prawdziwego wina, zależnie od rodzaju mięsa i fantazji Anieli

- Dzisiaj podam udziec złocisty - zawiadamia.

Nasta się nie wtrąca, nie zna na gotowaniu. Ma ręce wypielęgowane bardziej niż sarniej ska pani, chociaż jej ojciec nie był dziedzicem ani żadnym wielkim panem, tylko organistą. Aniela wie, kiedyś Nasta jej się zwierzyła, chociaż nie lubi opowiadać o swojej przeszłości i przed obcymi jej nie wspomina.

Nasta dawno ustawiła rodzinę w społecznej hierarchii, wtedy jej ambicjom wystarczył organista. Poza tę pozycję społeczną jej wyobraźnia nie sięgała. Później nikogo nie obchodziło skąd się wiezie, jej pochodzenie nie miało wpływu na sławę, pieniądze, kontrakty, a ona żyła się z zawodem przypisanym ojcu. Tak naprawdę, ojciec Nasty miał trochę ziemi i chałupę, nigdy niczego się nie uczył lecz umiał wszy-

stko. Był najlepszym stelmachem w okolicy, znał się na instrumentach. Gdyby chciał grywać na zabawach, rodzina opływałaby w dostatki. Ale nie chciał. Organistę naśladował, lecz takie muzykowanie, chociaż wielce godne, dobre w kościele, uszłoby na konsolacji, ale kto na stypę muzykanta godzi? W Studzianem nie należało do zwyczaju.

Ojciec Nasty każdy instrument rozumiał, potrafił nastroić, zreperować. Piszczalki w organach kościoła parafialnego naprawił, zużyte rasty wymienił, za co organista i proboszcz go chwalili. A jakie koła, osie, niecki, dzieże

242  
chlebowe, jakie obody do kołowrotek, jakie warsztaty tkackie robił. Gdyby pracę lubił, mieliby tłuste życie. Ale nie lubił. Wprawdzie nikogo nie odprawił, stalunku czy reperacji nigdy nie odmówił, ale nie robił nic, jakby samym przyjęciem do cna się wyczerpał.

Ludzie nachodzili, prosili, klęli. Póki nad głową dulczeni, coś tam dłubał, więc całymi dniami przesiadywali pilnując roboty i tak dzień po dniu, póki nie skończył. Dom był wciąż pełen woni tającego błota, juchtowych butów, baranich kozuchów i machorki. Mężczyźni ciskali niedopałki pod komin, popluwali na podłogę i rozcierali obcasem, smarkali pod próg.

Gospodarz z niego też był lada jaki. Ostatni siał, ostatni zbierał, wyorane kartofle na skibach zamarzały. Ludzie się śmieli. Z czasem stał się przestrogą, żywym obrazem lenistwa, niedbalstwa, bylejakości. Jeżeli chciano komuś przy ganić, powiadano: Broniowa gospodarka. Nawet go pełnym imieniem, jak innych, nie nazywano, nie Bronisław tylko Bronio.

Nawet głupiego syna Bronio miał do niczego.

W Studzianem co drugi dom miał swojego idiotę. Rodzili się tu tacy od zawsze. Ludzie ze wsi mawiali, że to krzyż dany biedakom, by łatwiej niebieskiego królestwa dostąpili. Tak się pocieszali, honoru bronili przed szydercami. Inni powiadali z oparu, z torfowisk, z kwaśnych łąk i ze zbyt bliskiego spokrewnienia w małżeństwach wstępujących, idioci w Studzianem częściej niż gdzie indziej na świat przychodzą. Aż jeden profesor wykrył w tamtejszych studniach niedostatek selenu, potasu, cynku i innych mikroelementów. Z tego ubóstwa składników w przejrzystej wodzie rodzą się głuptaki, którym jednak Pan Bóg wynagradza słabość rozumu zdatnymi rękoma i czuciem.

Mieszkańcy Studzianego wcale nie byli radzi odkryciom uczonego. Wyglądało na to, że profesor, wtrąciwszy się nieproszony w zamysły Pana Boga, uzdrowi i odmieni natchnionych wioskowych przygłupów w zwyczajnych chlebobijów.

Tu nikt się swojego przygłupa nie wstydził. Przydatni byli. Różne piękne, pożyteczne rzeczy tworzyli, za ludo-

wych artystów bywali uznawani, tylko u Bronia nie. Nawet broniowy idiota był nieudany, leniwy i bez żadnej ciekawości do jakiegoś zajęcia.

Najlepszą częstką Bóg obdarował broniową córkę. Ledwo od ziemi odrosła, poznał się na niej organista, następnie szkolna nauczycielka. Później oboje zmagali się o rząd dusz nad niezwykłą duszą, co przeważnie skrupiało się na dziewczynie, lecz oboje zgodnie zalecali Naście oszczędzanie rąk.

Aniela nie ma za złe Naście delikatnych dłoni. Takie muszą być, żeby Nasta mogła robić swoje. Artystka! Aniela do gotowania ma taki dryg, jak Nasta do układania pieśni. Zanim tutaj przyszła, u Bogusza trochę gospodyniowała i był to stół, proszę siadać! Lepszy niż u proboszcza.

U Nasty jest jeszcze lepszy, od święta i na przyjęciach, na co dzień jada się oszczędnie. I słusznie, nie po to człek żyje, aby brzuch napychać. Gościom też można by podawać skromniej, ale to już nie jej, Anieli rzecz.

Anieli rzecz pieczone właściwie przyrządzić. Ma się pokryć ciemnozłotą skórką, błyszczącą jak polewa na dzbanie, musi być miękkie, kruche, gdy się je nakłuje ma sikać sok. Tak przygotowane, nawleczone na archaiczny rożen oczekuje swojego entre.

Póki co, Aniela nieci ogień pod kuchnią i szcudrze podkłada grube polana z płatami białej kory, płonące wysokim, żarłocznym ogniem. Szykuje węgle.

Nasta gospodarzy w części jadalnej. Długi stół, przy którym swobodnie mieści się dwa tuziny osób, zaściela adamaszkowym obrusem, rozstawia porcelanę z zamkniętych na klucz szaf wyjmując pudra ze srebrnymi nakryciami.

Serwisów jest cztery.

Miśnia, Vincennes, wyzłocony terażniejszy Ćmielów i Włocławek. Ze wszystkich Aniela najbardziej lubi Ćmielów. Bo tamta zagraniczna porcelana istne skorupki od jajek nie naczynia, nabożeństwo z nimi przy zmywaniu, szczęście rzadko się je dobywa z kredensów. A znowu Włocławek, chociaż gruby, łatwo się szcerbi, trzeba go przed

244  
podaniem wygrzewać inaczej odbiera gorącość potrawom i Nasta odsuwa jedzenie.

Nakryć także jest cztery.

Sztuće bardzo stare, weneckie, najcenniejsze. Stare, i zwyczajne krajowe, srebro dawnej firmy Fraget. Weneckie wydaje się do użycia od największego dzwonu, Stare dla gości średnich, Pragety wyjmują się dla studentów i tym podobnych. Na co dzień je się na fajansach z Włocławka, nierdzewnymi Gerlachami i tego Nasta nie trzyma pod kluczem.

- Aniela, przelicz srebra - Nasta podaje pudło i odtąd

Aniela musi pilnować, aby się zgadzała ilość sztuk, które Nasta porachuje, zanim znowu czyste i wypolerowane przyjmie z powrotem po odjeździe gości.

- Przecież łachudrów Nasta nie zaprasza - broniła się Aniela, próbując z początku uwolnić się od owej arytmetyki. Nadal jej ciąży świadomość odpowiedzialności, ale jak dotychczas samo porządne towarzystwo bywa i nie zdarzyło się aby ukradli bodaj łyżeczkę nawet najmniejszą, lecz zawsze ćmi niepokój i póki nie przywykła, bywało, nie bardzo umiała ukryć, że jak oka w głowie pilnuje stołowizny.

- Wybaczcie mojej gospodyni - pobłażliwie usprawiedliwiała Nasta nietakty Anieli, ale nigdy nie czyniła z tego powodu zarzutów i nie zaprzestała liczenia sreber za każdym razem, zaraz po odjeździe ostatniego gościa.

Wieczorem pośród ludzi Nasta jest nie ta sama. Póki się Aniela nie oswoiła z jej wieloma twarzami, nadziwić się nie mogła, jak Nasta umiała zmienić się z dnia na dzień. Ba! Z godziny na godzinę. Nie zauważała cennych przedmiotów narażonych na najróżniejsze niebezpieczeństwa.

Aniela widziała, jak strącona przez Bardzo Ważną Osobę rozprysła się misa na owoce z kosztownej porcelany, cała z ażurów splecionych wzorem koszy, a Naście nawet brew nie drgnęła, jakby nie jej wypieszczone dobro poszło na straty. Ona nie zauważyła, ujmując pod rękę kogoś z kim właśnie wymieniała grzeczności, swobodnie odpłynęła w inny kąt salonu.

245

Pewno da się zlepić - pomyślała Aniela i pozbierała szczątki. Aniela rozumie skorupy, Aniela jest wdową po garncarzu.

- Stara Miśnia - biadała nazajutrz Nasta.

Układała odłamki w pudle wysłanym ligniną i sprawdzała czy przypadkiem czego nie brakuje. Aż ją rozboleła głowa ze zmartwienia, ale dopiero dostała migreny, kiedy z pomocą zaofiarował się Bogusz. Zatelefonował z samego rana.

- Niech sobie Nasta wydumanych kłopotów nie szuka, prawdziwe Nastę same znajdą. Inna by się cieszyła, że taki ktoś jak Wiktor Boguszów z usługą się naprasza - perswadowała Aniela.

Odkąd Bogusz nie poznał się na kociej misce, łudzącej kopii majoliki z pracowni Delia Robbiów i przy gościach powątpiewał w italski rodowód kafli nadzwyczajnej kuchni, przy każdej sposobności stara się okazać znajomość rzeczy i zażyłość z ludźmi sztuki.

- Nie, nie żadna fatyga. Mam zaprzyjaźnionego muzealnika w Warszawie. I tak jadę służbowo, naprawdę drobiazg.

Nasta nie życzyła sobie żadnych zobowiązań względem Bogusza, ale bardzo dba aby go nie urazić, więc nie znaj-

dując zřęcznego powodu do odmowy, godzi się na zabranie przez niego do Warszawy rozbitej misy. Nic ponadto. Nie będzie nadużywała uprzejmości Łowczego. Zanieść skorupy do sklejenia może każdy, zrobi to jej warszawski doradca. Uprzedzi go telefonicznie. On odnajdzie Bogusza w Związku Łowieckim, albo w Radzie Państwa.

- Dziękuję za pomoc. Przyjemnie mieć świadomość, że w pobliżu znajduje się życzliwy sąsiad. A teraz już wysyłam przez Anielę ową nieszczęsną porcelanę - kończy rozmowę Nasta.

Uniknęła niechcianego spotkania.

- Nuworysz - folguje sobie po odłożeniu słuchawki.

Rozdrażniona szuka dziury w całym.

W Krakowie, marudzi, zrobiliby na pewno lepiej. Tam całe miasto jak cenna stara porcelana. I tradycja wiekowa i szacunek dla antycznych przedmiotów. A Warszawa, cóż!  
246

Nuworysz. I ludzie zbiegli się z całego świata. Skipieli jak szum z rosołu.

- Piana na wywarze swoją wartość ma - błysnęła Aniela.

Nie zaszkodzi przypomnieć, że Aniela, chociaż bez dyplomu, jest świetną kucharką i o walorach jedzenia dużo wie.

- Może i ma, ale jest mętna.

Nasta pielęgnuje zadawnione urazy do Warszawy i nieraz jej przygania. Lecz nigdy wówczas, kiedy obnosi swoją odświętną, albo intelektualną, albo natchnioną twarz.

Warszawa jej najwcześniejszej młodości. Nieistniejące miasto z usypiskiem piargów Starówki i panoramą zamordowanych budowli, zmaterializowana grafika Linkego, powszedniejące popioły po apokalipsie, oswajane dzień po dniu u wylotu praskiej ulicy na pontonowy most, wahadłowy ruch według prostego rozkładu. W połowie godziny ludzie, kosze, riksze, toboły, wozy, konie, ciężarówki ciągnęły z prawego na lewy brzeg, o pełnej godzinie w kierunku przeciwnym. Ze zrujnowanego, nigdy dotychczas niewidzianego miasta, znała tylko ów rozległy widok po drugiej stronie rzeki, wspartą na łodziach przeprawę, ścieżki przetarte skroś kraterów, gór i dolin gruzów Powiśla i niedobitą oficynę widoczną pośród hałdy rumowiska w okolicach Nowogrodzkiej, gdzie przycupnęła klasa wokalistyki szkoły muzycznej koczującej w najróżniejszych miejscach. Warszawa najwcześniejszej młodości to także miomechanika instrumentalna, motoryka i nerwowy układ gry. Uczenie się trudnego rzemiosła. Czynności manualne są repliką impulsów płynących z mózgu, przez nie przemawia talent. Gra polega na złożonej koordynacji ruchów prostych w czym udział bierze system nerwowy, ukrwienie kończyn górnych, barki, ramiona, przedramiona, nadgarstki, palce, wiązania stawów, mięśnie, ścięgna, receptory czucia głębokiego.

- Masz spóźnione ręce - powiedział zniechęcony Maestro nie widząc znaczących postępów w zestroju ruchowym uczennicy.

Niewyćwiczone ręce Nasty miały krótkie palce, dłonie zgrubiałe od pracy, blizny po zacięciach sierpem i zni-

247  
szczone paznokcie nieznające pilnika. Te palce, nieukładane do fortepianu od dzieciństwa, a jeszcze takie krótkie, opornie przyswajały technikę wykonawczą i nie rokowały perfekcyjnej sprawności.

- Nauczysz się tyle, ile trzeba śpiewacze - pocieszała Maestra solfeżu i radziła uczennicy wcieranie gliceryny i kremu w spierzchniętą skórę.

Nasty nie stać było na taki zbytek, na noc smarowała ręce skrawkiem słoniny lub sadła przysyłanych od czasu do czasu okazją przez matkę.

Mieszkała na stacji polecona przez organistę ze swojej parafii. Prała, sprzątała, szorowała, taszczyła wiadra z wodą i wynosiła pomyje, bo dom na przedmieściu nie miał wodociągu ani kanalizacji. W zamian dostawała jedzenie i spanie. Za firanką w kuchni zestawiała cztery krzesła, łączyła je deską do prasowania, na niej kładła siennik wypchany fiokami - zbitymi w kłaki wyczeskami wełnianego runa, przykrywała się derką, później kocem zdobytym dla niej przez Maestrę z darów UNRRY.

Od tamtej pory minęło blisko cztery dziesiątki lat, a Nasta niczego nie zapomniała. Pamięta Warszawie swoje zagubienie, upokorzenia, niedostatek, brak przyjaciół.

Bardzo Ważny Gość elegancko naprawił szkodę. Przyśłał przez Umyślnego nadzwyczajną ażurową paterę. Nasta nazachwycać się nie mogła. Konserwator chociaż warszawski, również stanął na wysokości zadania. Wskrzeszona misa wyglądała, jakby nigdy nie była kupką skorup. Trzeba się dobrze przyjrzeć aby dojrzeć pajęczynę spojeń.

- Nieźle zrobił, ale wziął majątek. Zupełnie przyzwoity serwis można by kupić za koszt reperacji. A klejenie i tak obniżyło jej wartość - wzdycha Nasta, układając owoce na wieczorne przyjęcie.

- Kupić - podchwytuje Aniela.- W Gawrze widziałam dwunastoosobowy. W różyczki, śliczności. A te ceregiele wsadzić za szybę, niechaj brylują.

- Przedmiot stworzony do użytku za szkłem umiera.

Ta Nasta! Mówi niby do rzeczy i nagle jak coś powie. Pewnie się ćwiczy na wieczór, przecież oni wszyscy jak nie próbują śpiewać nowych kawałków, albo grać, to gadają, gadają, a gadają.

- Pora na obiad - Aniela dzieli gotowaną kure, razem z porcją makaronu nakłada do termosów, z szerokimi otworami.

Goście Nasty przeważnie wstają późno i przez cały

dzień robią co chcą. Zdarzają się i tacy, co nie śpią do południa. O świcie rwą do lasu. Jedzenie każdy bierze sobie sam. Służy temu świerkowa jadalnia, nazywana tak od rodzaju drewna jakim jest oszalowana i z jakiego są zrobione sprzęty. Wchodzi się do niej wprost ze sklepionej sieni z kominkiem olicowanym rzeźbionym piaskowcem, skąd prowadzą na poddasze schody z czarnego dębu. Na mansardach lokuje się przybyszów.

W izbie stoją proste meble, rustykalne - nazywa je Nasta, agregat chłodniczy zaopatrywany w miarę potrzeb, na miejscu są fajanse, nierdzewne sztućce, tanie szkło, zlewozmywak, suszarka do naczyń i kran z ciepłą wodą. Tu goście mają obowiązek po sobie sprzątać. Rano i w południe Aniela przynosi dla każdego oddzielny termos i świeże pieczywo. Bardzo Ważne Osoby śniadanie dostają pod nos.

- Pani nas rozpieszcza, Aniela - mówi taka Osobistość, gdy ona stawia mu na kołdrze tacę z krótkimi nóżkami, pełną różnych smacznosci. Lecz obiad także jadają w świerkowej sali, tylko są wyróżniani towarzystwem Nasty, no i nie muszą po sobie zmywać.

- W czerwonym dla Minstrela - przypomina gospodyni.

- On ma na imię Piotr - skanduje Nasta.

Minstrel dostaje udko. W rozumieniu Anieli noga jest najlepszą kurzą częścią, wedle Anieli noga to nie tylko smak, to rodzaj uhonorowania, przywilej domowego mężczyzny. Sarniejski Pan zawsze otrzymywał kurzą nogę, dobrze pamięta. Niechaj więc ten biedak chociaż tyle ma z życia. Siedzi tam, nie przymierzając, jak łańcuchowy pies i będzie tak siedział dopóki ostatnia cudza stopa nie opuści dworu. Anieli żal Minstrela. Chociaż po sprawiedliwości, jaki głupek ma tak dobrze. Zawsze może przejść przez gabinet, sypialnię i szatnię Nasty aż pod drzwi prowadzące

248

249

do wielkiego salonu zasłonięte makatą okrywającą pół ściany od sufitu po posadzkę, i słuchać do woli śpiewania i grania, chociaż Nasta nie lubi jak on te drzwi uchyla. Żyje we własnym apartamencie jak dziedzic. W pokoju oprócz wygodnych sprzętów, dywan i pianino, może sobie ile chce bębnić. Ściany pod tynkiem izolowane, głos nie przenika, chociaż bez Nasty nieczęsto ma ciekawość do instrumentu.

Nie, nie ukrywa się, że jest jeszcze jeden domownik, ale się o nim nie opowiada, nawet nie wspomina bez koniecznej potrzeby. Nie pokazuje gościom ani nikomu. Kiedy zostaje sam, kuchnię przy jego apartamencie zamyka się, żeby nie zrobił sobie jakiej krzywdy.

Nie jest aż tak pomyłony, by pokaleczyć się nożem, wsadzić rękę w kontakt czy płomień. Jednak ostrożności nigdy nie za wiele. Muzyczni goście nie żadne przyglupy,

a Nasta musiała usunąć ze świerkowej sali wszelki sprzęt gotujący, nawet gniazdka elektryczne. Grzałką do wody potrafili wypalać dziury prawie na wylot, a raz omal nie zrobili pożaru. Wtedy kazała zlikwidować dostęp do prądu, obstalowała nowy stół i zaprowadziła termosy. Bezpieczne i niekrepujące. Każdy może w ciągu dnia przyjść i najeść się kiedy chce.

Chleba się nie wydziela, mogą brać wedle woli, śniadania skromne, obiady jednogarnkowe. Inaczej Aniela nie nadałyby z porządkami, gotowaniem i usługą. A i drożyna. Trzeba dobrze głową kręcić, żeby wszystko w wyznaczonym budżecie pomieścić. Z jednej strony żal Anieli wydatków na zbytki, z drugiej lubi, jak ci ludzie po świecie bywali odjeść się nie mogą jej smacznosci.

- Taki już człek jest, z dwóch połówek. Co jedna nawidzi, drugiej nie dogadza - chociaż już przeszło kopę lat żyje na świecie, Aniela nadziwić się nie może niejednorodności ludzkiej natury.

Kolacja jest wspólna.

Chociaż nie zawsze bywa pieczeń z różną, Aniela przyrządza kilka przekąsek i jakąś niezwykłą gorącą potrawę. O siódmej uderza w spiżowy gong zawieszony na portalu w sieni i otwiera na całą szerokość dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do części jadalnej.

Owo wewnątrz jednym się podoba, innym nie, ale robi wrażenie na mieszkańcach ciasnych miejskich kwater. Tutaj wszystko podkreśla przestrzeń. Skarogniade futro wyściełające podłogę, rzeźbione kredensy na tle białych ścian. Belkowana powała jasnobrazowa jak sprzęty, rząd cynowych świeczników zawieszonych nad stołem i także cynowe lichtarze przy nakryciach. Obsadzone w nich świece kładą na obrus świetliste kręgi, zapalają wokół twarzy złocistą mgłę. W drugim krańcu izby pełgają węgle odcieniami karminu, jakby niewidoczne palce przebiegały rejestry ognistej klawiatury, światło po tamtej stronie zarysowuje gęstym cieniem rzeźbę kuchennych kafli, wydobywa z nich opowieść i ożywia barwę. Zielona bryła przydaje miękkości surowej bieli ścian, ciemnemu sufitowi, klinkierowej podłodze i metaliczno-szarej cynie.

Rozdział funkcji zaznacza także rzeźbiony treliarz obiegający strop i ściany, przez co pozostała poza jadalnią część pomieszczenia ujęta ramą wygląda jak malowidło. Przestrzeń nadaje jej głębi i spłaszcza walor.

Wprost z tego obrazu zstępuje Aniela z pieczystym i stawia przed Nastą. Nasta dzieli i nakłada soczyste platy. Dodatkowo do mięsa są kartofle, każdy wielkości włoskiego orzecha, ciemnozłote, lśniące jak polewa i sałata z listków młodego mniszka.

- Po starszej dziedziczce sarniej skiej to mam - odpowiada Aniela na pochwały, głuchnie pytana o przepis.

Zazdrośnie strzeże tajemnicy przyrządzenia owych ziemniaków. Nikt tak nie umie, tylko ona, jedyna spadkobierczyni kunsztów Pani z prawdziwego dworu, która nauki pobierała w Instytucie Błagородnych Panien w Sankt Petersburgu.

- Mleczko to Nasty wynalazek - odżegnuje się Aniela. Jeszcze by kto posądził, że ona pastewne zielsko dobre dla króli, za przeproszeniem, ludziom na talerz tka.

- We Włoszech to bardzo rozpowszechniona sałata - z początku próbowała nawrócić ją Nasta.

250

251

We Włoszech, nie robiło na Anieli wrażenia. Może tam ludzie przywykli, mało to byle czego naród je. Niedaleko szukając, taka kiełbasa na przykład, zwyczajna, kartkowa, w sztucznym flaku. Niech kto Anieli powie z czego ona jest? Na drugi dzień zielona, na patelni rozsypuje się jak trociny. Czym napychają te sztuczne flaki?

W telewizji mówili o imporcie jelit. Nareszcie zostaną rozwiązane trudności w produkcji kiełbas - cieszył się jak dziecko sprawozdawca. Zabił Anieli ćwieka.

Z Chin wnętrzości będą sprowadzać! Przecież od niepamiętnych czasów wiadomo, że obrany ze skóry i kości świniak cały się mieści we własnych kiszkach, no to co oni zamierzają kłaść w chińskie?

12.

A on żył.

Z poszarpanym rdzeniem, do połowy martwy, niezdolny stanąć na nogach, przez resztę swych dni skazany na wózek inwalidzki, jednak żył. Wbrew zwyczajom, prawu i wyrokowi Konsorcjum nie zginął niełojalny goryl, winny uprowadzenia Lalki i samochodu, oszust i złodziej okradający salony gry kontrolowane przez Syndykat.

W ułamku czasu krótszym od najkrótszej myśli, między naciśnięciem spustu, a rażeniem pocisku ów człowiek skazany na śmierć, prawie już nieżywy, uczynił gwałtowny ruch sięgając po karabin podany mu przez patrona na strzelnicy w Wesołym Miasteczku i nagłym pochyleniem tułowia odwrócił i przypieczętował swój los, jakby wymieniał kartę śmierci na kartę życia w ciężkim kalectwie. Kula zamiast w komorę serca trafiła między kręgi. I żył, chociaż wciąż jeszcze leżał w szpitalu, dokąd odwiozła go ta zbiegła La bambolona, zanim w ogólnej panice i zamieszaniu komukolwiek przyszło do głowy zatelefonować po pogotowie i zanim zjawiała się policja.

Co teraz należy zrobić?

La Comte nie zajmował się karaniem, egzekutywa należała do Carla. Od niego dowiedział się o uciekinierach z Genui, zbuntowanej Lalce, która omotała najbardziej

oddanego ochroniarza i nakłoniła do porzucenia służby. Carlo wahał się nad następną decyzją. Poprawić błąd Ręki? W jaki sposób? Ładunek zegarowy, trucizna, paczka z delikatesami, kwiaty? Za duży margines dla pomyłki. Dobić w klinice? Na ogólnej sali. Pomijając niesprzyjające warunki tamten unieruchomiony, ale przecież władający rękoma, mógł mieć broń, a strzelcem był niezawodnym. Jatki, panika, w rezultacie wrzawa prasy, wzburzenie opinii, interpelacja w parlamencie, wściekłość policji, naloty na Domy Lalek, kasyna, cały przemysł rozrywkowy na cenzurowanym, wszystkim się gęby nie zatka, wszystkich się nie kupi. Szpital komunalny w Paryżu był zdecydowanie najgorszym miejscem do naprawiania spartaczonych roboty. Łatwiej o manewr gdy opuści klinikę, z czasem jego wypadek i policyjne dochodzenie odejdą w niepamięć, a w nim stepieje ostrożność. Tylko czy w ogóle warto ryzykować bezpieczeństwo, a może nawet życie powtórnego wykonawcy wyroku i wyzywać przeznaczenie dla ciężko okaleczonego człowieka, który jeśli nawet nie umrze, nigdy nie wyliże się z następstw postrzału.

I jeszcze jedno. Byli przesadni. Skoro uszedł spod lufy, nie zginął od kuli z pistoletu niemal opartego o plecy, jest w tym jakaś wyższa logika. Nawet państwowa sprawiedliwość drugi raz nie posyła na gilotynę, jeśli za pierwszym zaciął się topór.

Carlo był skłonny zaniechać dalszego ścigania. Zbuntowany goryl poniósł straszliwą karę, może nawet bardziej okrutną od śmierci. Przed nim, młodym, silnym mężczyzną wiele lat trudnego życia, odstraszący przykład dla innych. Wystarczy ostrzeżenie, pójdź i zobacz Silenzia. Niechaj więc wegetuje, nikomu nie może zagrozić to pół człowieka z przetrąconym kręgosłupem i martwymi nogami. Pozostawała sprawa łupu. Straty przy czynione salonom gry oszacowano na wiele milionów franków. Te pieniądze należało odzyskać. Silenzio znany był z oszczędno-

252

ści graniczącej ze skąpstwem i z braku zaufania do banków. Przez przeszło pięć lat pracy w Genui uskładane wypłaty zaszywał pod podszewkę niedzielного garnituru.

Tak charakteryzował go genueński Szeff.

Na poddaszu, gdzie gnieździli się z uciekinierką, nic nie świadczyło o dużych dochodach, a w ubraniach dawnego goryla nie znaleziono ani grosza. Na dziewczynę też się nie wykostowywał. Kobiecie, dla której narażał życie, za cały czas ich wspólnej egzystencji zaledwie sprawił sukienkę, tanią kurtkę i dwa swetry, a grube trzewiki, w jakich chodziła dwie zimy, naprawiał sam. Więc co zrobił z pieniędzmi zdobytymi w domach gry?

Suma, chociaż poważna, nie ważyła na bilansie Syndyka-

tu, lecz dbano o zasadę. Zdrajca i oszust nie powinien odnosić korzyści ze swojego przeniwierstwa, nie może się opłacać nielojalność i szalbierstwo. Ale na ich mansardzie urządzonych gratami z pchłego targu nie natrafiono na nic wartościowego, chociaż połamano wszystkie sprzęty, pocięto posciel, zdarto tapety, zbadano każdą deskę podłogi, ramy lukarny, nawet poszycie dachu w pobliżu szklanego sufitu. Sprawdzono źródło zarobków Lalki. Nie kłamała. Myła wystawy, z tego kupowała pomoce naukowe, wносиła czesne oraz wkład do wspólnego gospodarstwa i ciułała na tanie gałganki z wyprzedaży.

Myła sklepowe witryny i chwaliła sobie tę pracę. Nosiła ochronne rękawice, posługiwała się gąbką i wycieraczką z gumową krawędzią zbierającą wilgoć. Osadzone na lekkim aluminiowym wysięgniku oszczędzały ręce.

La bambolona.

Niezwykła dziewczyna. Utalentowana. Nie poznano się na niej, musiał przyznać Carlo. On pierwszy nie spostrzegł jej inności. W ogóle się nie zastanawiał, uznał za taką samą jak legion pozostałych Artystek. Za wiele towaru przeszło przez jego ręce. Rutyna. Człowiek zatracił wrażliwość.

Zbiegłe Lalki karano oszpecceniem. Ale każdy przypadek należało rozpatrywać oddzielnie. Jaki pożytek przyniesie posznytowanie tej dziewczyny? Żaden. Natomiast wykupi się jako pieśniarka i zapłaci za wszystkie szkody powstałe z jej przyczyny, pośrednio i bezpośrednio.

Jeszcze bardziej można ją związać jeśli jej się teraz pomoże. Warto zainwestować. I Carlo zawiesił wykonanie kary, sprawę przejął La Comte. On w dziedzinie kunsztów miał wszystko do powiedzenia.

Lalka, która uciekła i zarabia myciem szyb aby opłacić konserwatorium. Nie przypominał sobie podobnej osobowości. To folblut. Koniecznie chciał obejrzeć i porozmawiać z tą dziewczyną, najpierw jednak zasięgnął opinii uczelni. Zamówił się do Dziekana poprzedzony wizytówką ze swoim świetnym nazwiskiem, otwierającym przed nim każde drzwi.

Jego oficjalny zawód, pozycja towarzyska i tytuły dobrze służyły jawnym i ukrytym obowiązkom. Podobne wierzchołkowi lodowej góry wystawały nad powierzchnię przejrzyste, gładkie, niewątpliwe. Jako szef Medinera, znanej firmy prawniczej, miał wstęp niemal wszędzie. Gdzie mniej znaczył autorytet patrona wziętej kancelarii, liczył się markiz Erardo Galeani, pomagały koneksje albo pieniądze lub jedno i drugie. W tym wypadku wystarczyła pozycja społeczna potomka starej arystokracji i szlachetne intencje.

- Moja firma przeznaczyła pewną sumę dla uzdolnionego słuchacza Conservatoire National. Czy zdaniem Pana, Maestro, imigrantka Nastazja Radziej zasługuje na taką pomoc?

Siedział przed profesorem mężczyzna z fotografii widywanych w gazetach, o powierzchowności południowca, miał ujmujący sposób bycia, nosił angielskie tweedy od krawca z Ulicy Dandysów w Londynie, nie zapalił papierosa dopóki nie zaproponował tego gospodarz.

- Tak. To indywidualność artystyczna. Ma talent, wytrwałość i wolę właściwą ludziom dążącym do wytkniętego celu. O ile wiem, egzystuje poniżej minimum socjalnego. Jej nieuregulowana sytuacja prawna wyklucza jakiegokolwiek wsparcie materialne ze skatupy komunalnej. Stypendium Medinera byłoby bardzo w porę.

- Zajmiemy się także sytuacją prawną, jeśli szkoła zaangażuje swój autorytet w przekonanie Prefektury.

254

255

- Nie mogę podejmować zobowiązań za Rektora, natomiast udzielię wszelkiego poparcia w imieniu Dziekanatu.

- Pańska pomoc, Maestro, w zupełności wystarczy.

Po tym wywiadzie La Comte kazał szoferowi -

Ręce Carla wskazać sobie dawną Lalkę z Genui i zaczął na nią pod uczelnią.

- Przychodzę w sprawie interesującej nas oboje. Musimy porozmawiać - przedstawił się, podał wizytówkę. Doktor Erardo Galeani, czytała nie rozumiejąc, litery skakały jej przed oczyma.

- Zjemy razem obiad - wskazał samochód. Zamierzał zabrać ją do drogiego lokalu w śródmieściu.

- Nie - dziewczyna wyglądała jakby zaraz miała zemdleć.

- Zgoda. Przejdziemy się, widziałem blisko jakieś bistro - ujął ją pod rękę.

Bała się, nie wierzyła obcemu, przerażała czarna limuzyna oczekująca przy krawężniku. Poprzedniego dnia odwiedziła Silenzia, pierwszy i jedyny raz od umieszczenia w klinice.

Wtedy, gdy spotkało go nieszczęście, w drodze do szpitala zmuszony ostatecznością, między długimi chwilami zamroczenia bólem, zawierzył Naście tajemnicę ukrycia karty bankowej. Żądał dostarczenia jej bez względu na swój stan. Póki oddycha potrafi ustrzec swoje pieniądze. Niechaj jednak dziewczynę ręka boska broni przed tknięciem bodaj centyma. Ot, co mu przyszło z anonimowego rachunku, losu nie przechytrzył, unikając wścibstwa flików, Syndykatu, policji skarbowej, popadł w zależność od takiej, takiej La bambolony.

- Nie daj mi umrzeć - błagał w przyływie nieznanego dotychczas strachu. Pewno tak boją się konający, myślał i ten śmiertelny lęk rósł aż zmuszał do krzyku, ale nie miał siły krzyczeć.

Nasta podtrzymywała jego głowę, słuchała bełkotu

przeżycia, polecenia i obelgi, czuła się jak nieżywa. Nie miała prawa pobytu. Nie ujdzie cało. Wypadek Silenzia już nadto blisko był zainteresowań policji. Deportacja. Owa świadomość raniła jakby i o nią otarła się pod strzelnicą tamta kula.

Boże! Dlaczego, dlaczego rzuciła się na ratunek, dlaczego zapomniała o sobie. W powstałym zamieszaniu bez trudu mogła zniknąć wśród tłumu.

I nawet wezwać pogotowie z rozmównicy, podając pierwsze lepsze nazwisko, chociaż i tak ludzie by się nim zajęli. Uciec.

Wyskoczyć z taksówki, wziąć z mansardy partytury i trochę ubrania, przyczaić się na poddaszu innego przedmieścia, byłaby bezpieczna, wolna, od nikogo niezależna. Głupia, skoczyła jak w topiel. Teraz za późno, już nic nie poradzi, a jednak trzeba coś zrobić, bronić się, nie dać zniszczyć. Nikt jej nie pomoże, jeśli nie pomoże sobie sama. Szansa zawsze istnieje, trzeba ją tylko umieć dostrzec. Musi zabrać dokumenty Silenzia, to uniemożliwi, a przynajmniej oddali stwierdzenie jego tożsamości.

- Gwer. Zabierz i ukryj gwera.

Uderzyła w nią kolejna fala strachu. Silenzio nie rozstawał się z bronią. Przywykła i nie pamiętała o jego zwyczaju. Szczęściem, sam przypomniał w porę.

Na lewym boku pod marynarką dotykiem wyczuła kaburę. Uważając na spojrzenia szofera w lusterko nad kierownicą, po omacku odpięła futerał i zatraskowe sprzączki mocujące szelkę z zawieszonym na niej pistoletem.

- Zapasowy magazyn w kieszeni - wychrypiął Silenzio.

Kiedy wreszcie i to wtoczyła do swojej torebki, sięgnęła po jego portfel.

- Uważaj co powiem, Milczek. Po zranieniu zostałeś okradziony zanim ktoś przypadkowy zabrał cię i odwiózł do szpitala. Dlatego biorę od ciebie papiery. Jeśli nawet nie obejdzie się bez flikowa, trudniej im przyjdzie cię umiejscowić, a ja zarobię trochę czasu. Zrozumiałeś?

Ucisnął mocniej jej rękę.

Odetchnęła. Zyska kilka dni na zlikwidowanie gospodarstwa. Nie liczyć na dni, zaraz jutro sprzeda wszystko, także samochód, szczęście w nieszczęściu Silenzio nie miał zwyczaju używania wozu w niedzielę. Z samego

256

257

rana sprowadzi handlarza niech bierze wszystko, nawet ze stratą. I zaraz jutro zmieni dzielnicę bez opowiadania się konsjerżce.

Nie było sposobu ominąć dyżurnego lekarza.

W brązowych oczach doktora dostrzegła ów szczególny wyraz. Tak patrzy mężczyzna. Poczowała się pewniej. Zagrała va banque.

- Musi pan informować policję?
- Muszę - przyznał. Szpital obowiązywało zawiadamianie komisariatu o ofiarach wypadków.
- Jestem imigrantką, nie mam prawa pobytu, studiuje w klasie solfeżu. Jeśli nie uniknę spotkania z policją, przepadłam. Proszę mi pozwolić odejść zanim pan przekaże im wiadomość o pacjencie z postrzałem. Nie uczyniłam nic złego. Czy dramat rodaka musi przekreślić i moje życie? - ze łzami w oczach pokazała kwit za opłacone chesne wolnego słuchacza Conservatoire National de Musique.
- W jakich okolicznościach zraniono tego człowieka, porachunki?
- Nie. Zbłąkana kula w Wesołym Miasteczku. Może terrorysta, może maniak, nie wiadomo kto strzelał. Miała szczęście. W niedzielę pełnił obowiązki personel czarny, czekoladowy, o skórze barwy cynobru, żółty i biały - cudzoziemski. Hinduski lekarz sam do niedawna miał podobne problemy, a dziewczyna była jasna jak światło, delikatna, niebieskooka. I wszystko zależało od jego dobrej woli. Ochroni to śliczne, bezbronne stworzenie. Lekarz nie ma obowiązku martwić się o świadka dla flików. Do szpitalnej ewidencji podał pacjenta o nieznanym personaliach i miejscu zamieszkania, przywiezionego w stanie bardzo ciężkim przez osobę przypadkową.
- Nazwisko, adres pani, madame? - uśmiechnął się porozumiewawczo. Nasta podyktowała fałszywe dane. To wszystko. Może odejść. Komisariat otrzyma informację po zoperowaniu rannego. Jest drugi dzień weekendu, o ile doktor zna zwyczaj, dyżurny komisarz odnotuje fakt i do poniedziałku nie ruszy w sprawie palcem. Zajmie się nią dopiero ktoś z rannej zmiany.

258

Wprost spod rentgena Silenzia zabrano na stół. Pozostawiła go za drzwiami sali operacyjnej i pobiegła na mansardę, gdzie przede wszystkim zadbała o kartę bankową na okaziciela, posiadającą moc wszystkich oszczędności Silenzia. Jeśli on umrze będą moje, pomyślała i na wszelki wypadek, bo mimo wszystko nie spodziewała się tak szybko karnej ekspedycji, wyniosła i ukryła dowód bankowy za licznikiem na korytarzu. Podobnie usunęła z mieszkania pistolet i dokumenty Silenzia. Byle do jutra.

W nocy nawet nie próbowała zasnąć. Wciąż od nowa przeżywała koszmar w Wesołym Miasteczku i mimo rozpaczliwego zaufania do hinduskiego lekarza, strach przed deportacją.

- Policja - nienatoczywe pukanie do drzwi usłyszała od razu.
- Otwieraj.
- Zważyła w obietnicę doktora, ale nie uwierzyła w przyjście policji o drugiej nad ranem do domu poszko-

dowanego, jednak otworzyła. Nie widziała ratunku w oporze za zamkniętymi drzwiami, kimkolwiek byli. Skoro ją odnaleźli, tak czy inaczej postarają się dostać do mieszkania. Rozdrażnieni oporem będą jeszcze gorsi.

Weszli dwaj młodzi mężczyźni. Nieznani, jednak w jakiś sposób podobni do goryli zapamiętanych z Domu Lalek. I to podobieństwo w zachowaniu, rutynie, nawet w sposobie poruszania się, paradoks, lecz złagodziło pierwszy szok. Niebezpieczeństwo znane wydało się mniej straszne, nie tak ostateczne jak policja.

Najpierw usłyszała rady: oddaj, a nic ci się nie stanie.

Milczała sztywna z przerażenia, w głowie kołatała jedna myśl: mam czas, jeszcze mam czas, zawsze zdążę wydać im kartę bankową.

- Gdzie są pieniądze!

- Nie wiem - powiedziała samymi wargami, głos nie chciał wydobyć się z krtani. Teraz zaczną maltretować.

Nie wytrzyma. Poczowała ścisnięcie za przeguby, pchnięta zatoczyła się pod ścianę. I pierwsze przytomne spostrzeżenie: nie uderzył. Nie biją i nawet nie obiecują. To znaczy, 259

podobnie jak w Domu Lalek są na smyczy. Zabroniono im.

Otrzymali wyraźny zakaz. Nie zastanawiała się dlaczego polecono ją oszczędzać, jednak uświadomiła sobie jeszcze jedno: szukają pieniędzy. A zatem nie wiedzą o Banku.

Nie znęcali się nad nią. Odkąd brutalnie przemieszczona przycupnęła w kącie, żaden nawet jej nie dotknął. Za to mścili się na przedmiotach. Łamali, rozbijali, cięli. Tak przeciwstawili się jej milczeniu. Rozszarpali kapę z markizety kupioną jeszcze na stare łóżko, zniszczyli białe czółenka, ubranie.

Jej myśli zapalały się i gasły jak świetlna gazeta. Wszystko co tutaj się znajduje nie warte poszukiwanej sumy, będzie moja, jeśli Silenzio nie wyżyje, nie wyżyje, nie wyżyje, i nie wódź nas na pokuszenie, niechaj nie umiera. Ocałę pieniądze dla niego, każde słowo protestu tylko ich podjudzi, przekonywała siebie opanowując odruch obronny.

Wytrzymała.

Wytrzymała i wówczas, gdy cisnęli jej pod nogi strzępy najlepszej rzeczy jaką posiadała, angorowego swetra. Ale nawet nie drgnęła. I tak wyszedł z mody, pocieszyła się.

Popruje szczałki, powiąże nici, dokupi metalizowanej przędzy i zrobi nowy, teraz się nosi złote akcenty.

Przetrzęsęli pomoce szkolne, ale niczego nie podarli, nie zmięli, nie rozdeptali.

- Posłuchaj, laleczko, jeśli chcesz uniknąć przefasowania buzi tak dokładnie, że później nie pomoże już żadna operacja plastyczna, nie powinnaś nigdzie, ale to nigdzie biegać na skargę ani nikomu się zwierzać, możesz dalej myć wystawowe szyby i uczęszczać na śpiewa-

nie, tego ci nikt nie zabrania. Ale dasz nura w inną dzielnicę. Zapisz adres, rue Menilmontant. Poza osobistymi przedmiotami niczego stąd nie zabierzesz i dokładnie zapomnisz o championie Wesołych Miasteczek. A propos, miał ze sobą broń?

- Nie wiem.

- Nie wiem, nie wiem, niczego nie wiesz chociaż sypiałaś z gościem w jednym łóżku. Mamy w to wierzyć?

- Był bardzo skryty.

260

- Jakbym ci dołał, zaraz byś sobie przypomniała. Tak czy inaczej, rano znikasz. Nie próbuj się dekować i tak znajdziemy, ale możemy się bardzo rozgniewać.

Zrozumiała jedno, jej nauka była strefą chronioną, dzięki niej uniknęła najgorszego, zatem nie zostanie skompromitowana na uczelni. A więc nie przyjdą tam, nikogo nie pobiją, nie zaszantażują, nie zastraszą. Rue de Madrid jak na razie pozostawała miejscem bezpiecznym. Nie miała wyboru, tylko tam mogła ukryć groźne dziedzictwo pozostawione przez Silenzia.

Rano przed pójściem na zajęcia, zza licznika w korytarzu wyjęła kartę bankową na okaziciela, spod przegniłej podłogi obok zlewu, służącego mieszkańcom całej kondygnacji, wydobyla pistolet owinięty w nieprzejrzysty plastik, piętro niżej, zza rezerwuaru ogólnej ubikacji, zabrała dokumenty Silenzia.

Pistolet zawinęła w gruby papier, ubezpieczyła taśmą samoprzylepną, zamaskowała w blaszanym pudełku po herbatnikach. Wszystko w osłonie partytur wyniosła do konserwatorium. Odtąd, po skończonych zajęciach, pozostawiała tekę z nutami wraz z niebezpiecznym depozytem pod kluczem u woźnego.

Zamieszkała jak kazano, we wskazanym miejscu na Menilmontant pośród karawanserajów na godziny, przy turystycznej wersji Dzielnicy Tanich Dziewczyn, podobnej do tamtego przedmieścia, gdzie znajdowała się Au-Clair-de-Lune.

Tu także życie zaczynało się po południu, a ustawało rano, tak samo nie ingerowała policja, niekiedy tylko zdarzały się pokazowe obławy na wysłużone Rogówki szlifujące bruk pod gołym niebem, o czym właściciele tingel-tangłów powiadamiano zawczasu, w hotelach podobnie nie pytano o dokumenty wpisując w rejestr meldunkowy dowolnie podane nazwisko, tak samo opłaty pobierano z góry. Zaułki jak z obrazów Utrilla, spelunki jak z płócien Toulouse-Lautrecka, dziewczyny jak z malowideł wszystkich epok omijała dolina, rabusie i rzezimieszki. Alfonsi rozróżniali tylko dwa rodzaje kary. Wejście na ich terytorium groziło połamaniem kości, recydywa kończyła w Sekwanie.

261

Turysta, zwierzyna chroniona, ma prawo za swoje pie-

niądze do zażywania nawet dreszczu trwogi pośród atrakcji egzystencjalnych mroków dzielnicy rozpusty, ale jest zabezpieczony przed groźbą noża, tępego narzędzia, kradzieży portfela.

Nikt Nasty nie niepokoił.

Znowu znalazła się pośród cienkich, niedyskretnych ścian na poddaszu, znowu w lokalu na dole brała od patrona termos z wrzątkiem, wymieniając pozdrowienia i uprzejmości ze stałą obsadą żyjącą z handlowania miłością.

Nie pozbawiono jej pracy.

Starczało na czynsz, zapłatę dla uczelnianego pedla za przechowywanie jej teki z nutami i groźnej zawartości pudełka po angielskich herbatnikach, starczało na poranne mleko, wieczorną bułkę z czymś, obiad w jednodaniowym barze, na kawę przy cynku.

Odczuła pewien rodzaj wdzięczności wobec okrutnej mocy, która nie skreśliła jej studiów i nie żądała powrotu do porzuconego rzemiosła. Oswajając ćmiący niepokój wobec nieznanego zamiarów owej mocy, byłaby prawie szczęśliwa gdyby nie Silenzio. W swoich najtajniejszych pragnieniach już go pogrzebała.

Do szpitala zadzwoniła z publicznej rozmównicy dopiero w kilka tygodni po wypadku. Przygotowana na wiadomość o śmierci, usłyszała o życiu mimo wszystko. Nie odnalazła w sobie nawet cienia radości, tylko uczucie podobne do zawodu. Odkąd zamknęły się za nim drzwi sali operacyjnej, zgodziła się na jego śmierć, nie okupując tego przyzwolenia rozpaczą czy bodaj rezygnacją. Przeciwnie, przyniosło ulgę. Nareszcie uwolni się od obecności coraz bardziej cięższej, wiecznego przypomnienia Domu Lalek, prostaka uważającego ją za swoją własność, zwyczajnego cyngla, którego od jakiegoś czasu już tylko nie miała odwagi porzucić. Nie były to jednak sprecyzowane myśli, jedynie stan świadomości.

Żył. A więc powinna zwrócić kartę bankową. Rozczarowana, zaczynała odwykać od pieniędzy, wprawdzie jeszcze nie jej, ale już uznanych za bezpieczeństwa.

262

Silni chłopcy pacyfikujący poddasze kazali zapomnieć o istnieniu Silenzia. W szpitalu nie przestało zagrażać spotkanie z policją. Po wszystkim co zniosła nikt nie miał prawa żądać od niej dalszych poświęceń. Tkwiącemu w niej uporczywemu nakazowi zwrócenia depozytu przeciwstawiała argumenty nie do odparcia. Mimo to wiedziała jedno. Jej obowiązkiem jest oddać pieniądze, dokumenty i niebezpieczny przedmiot ukryty w płaskim pudełku po angielskich herbatnikach.

Nie kusić losu.

Znowu zatelefonowała do szpitala. Chciała rozmawiać z hinduskim lekarzem. Dowiedzieć się, czy może już

przyjść bez obawy przed policją. Ufała jego życzliwości. Doktora nie było. Poradzono skomunikowanie się w sobotę. Nie zadzwoniła ani w najbliższą ani w następną sobotę, chociaż od początku pamiętała, że weekendy, święta i noce należą w klinice do kolorowej służby medycznej. Tak okłamywała siebie.

Lekarz przypomniał się sam. Pozostawił wiadomość w Dziekanacie. Oczekuje Mademoiselle Nastazję Radziej z klasy solfeżu podczas najbliższego dyżuru. Dłużej nie można zwlekać z zapłaceniem rachunku za leczenie rodaka. Zdała sobie sprawę, nie była anonimowa. Albo lekarz spisał jej nazwisko z pokwitowania za opłatę czesnego, albo podał je Silenzio daremnie wyczekujący od niej znaku życia. Silenzio póki borykał się ze śmiercią nie myślał o świecie pozostawionym za bramą szpitala. Wszystko uległo zawieszeniu. Wspomnienia, stan posiadania, kobieta, plany na przyszłość dogorywały na marginesie zdrowia, zależne od wysokości słupka rtęci, poziomu tlenu, natężenia bólu. Z przybywaniem sił wszystko zaczęło powracać do dawnej hierarchii, a przede wszystkim sprawa pieniędzy.

Pojawienie się inspektora policji kryminalnej przytłumiło niepokój związany z nieobecnością Nasty. Jeszcze nie powinna przychodzić. Wprawdzie nie wydawało się, aby policję szczególnie ciekawił ten wypadek, jednak z glinami nigdy nic nie wiadomo, należało odczekać. Wiedział co robi, nie zgadzając się na odwiedzin. Broniąc się przed

263  
zwątpieniem w lojalność dziewczyny uwierzył we własną decyzję utrzymania jej z dala od kliniki.

- Niefart, panie komisarzu - Silenzio ułożył zwięzłą opowieść o okolicznościach swojego nieszczęścia i przybycia do Republiki.

Przyjechał na winobranie zaproszony przez tutejszego obywatela. Nazwiska, ani adresu nie może zdradzić, to sprawa honoru, taka była umowa. Po zbiorach pozostał towarzystwo, chciał poznać Francję. Właśnie w tym celu przybył do Paryża. Nie zdążył nigdzie zamieszkać, o nocleg miał się zatroszczyć dopiero wieczorem. Nie widział powodu opłacać hotelu od rana, skoro i tak przez cały dzień miał zamiar być na mieście. Zwiedzając trafił na tę przeklętą po trzykroć strzelnicę. Najprawdopodobniej wygarnął do niego jakiś maniak, albo mierzący do kogoś innego terrorysta. Zanim przygodna kobieta odwiozła go do szpitala, został kompletnie ograbiony.

- Będziesz musiał znieść jeszcze małą niewygodę. Deportację - policjant nie wierzył ani jednemu słowu podejrzanego obcokrajowca.

Cudzoziemiec bez dokumentów, jakiś Nikt. Zostanie odstawiony do granicy natychmiast po zezwoleniu na transport. Pozostanie tylko wówczas, jeśli będzie mógł wy-

legitymować się ważnym paszportem, wiza i prawem pobytu wystawionym przez prefekturę, rzekomo utraconymi na skutek kradzieży.

Zobowiązuje się klinikę do poinformowania kiedy ten:

Nie Wiadomo Kto, będzie na tyle krzepki, aby go na noszach wyekspediować do jego Kraju. Na razie rozpoczęto korespondencję z konsulem. Domagano się ustalenia tożsamości osoby podającej takie i takie personalia, oraz powołującej się na obywatelstwo polskie.

Starania policji niezupełnie współgrały z interesem kliniki, natomiast kłóciły się z dobrem hinduskiego doktora. Pacjent nie miał pieniędzy. Dług obciążał tego lekarza, na którego dyżurze chory został przyjęty.

Owa sprzeczność skłoniła Silenzia do działania. Konsulat otrzymał jego podanie z prośbą o opłacenie pobytu

264  
w szpitalu i słowo w słowo powtórzoną wersją zdarzeń spreparowanych na użytek policji.

Odpowiedź nadeszła nadspodziewanie prędko.

Przed opuszczeniem Kraju powinien się ubezpieczyć.

Skoro tego nie uczynił, wszelkie koszty ponosi osoba zapraszająca, ponieważ tym samym wzięła na siebie obowiązek świadczeń na wypadek losowych powikłań gościa.

Z powyższego jasno wynika brak podstaw do roszczeń obywatela względem szkatuły Peerel.

Nasta nadal nie dawała znaku życia.

Silenzio nie mógł darować sobie chwili słabości, w której zawierzył jej dostęp do karty bankowej, zaufał pistolet, pozwolił zabrać sobie dokumenty i portfel z gotówką. Musiał być chyba konający, skoro aż tak oddał się w ręce tej La bambolony.

Słał do niej listy, odpowiedź nigdy nie nadeszła. Ogarnęła go rozpacz. Cierpliwość doktora także się wyczerpała. Zatelefonował do konserwatorium, pacjent nie potrzebował już szpitala.

Nasta bez zwłoki pośpieszyła na wezwanie.

- Dziwka - przywitał ją Silenzio.

- Nie zasłużyłam na wyzwiska - powiedziała spokojnie chociaż z trudem zapanowała nad urazą. Nigdy jej nie wymyślał, pierwsze obelgi spadły na nią w taksówce gdy wiozła go do szpitala. Położyła na stoliku przy łóżku kartę bankową, portfel i pistolet w płaskim pudełku po angielskich herbatnikach.

- Brałaś coś z konta? - przyjrzał się niepozornej tabliczce, kluczowi do elektronicznej kasy.

- Ani grosza, nie tknęłam nawet tych z portfela. Przeliczył. Nic nie brakowało. Wtedy się rozplakał.

- Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz - pogładziła go po głowie. Był zbiedzony, postarzały, wydawał się bezradny. Boże! A ona ociągała się ze zwrotem pieniędzy ta-

kiemu nieszczęściu.

- Muszę uciekać - odkąd zaczął odzyskiwać siły, myślał o przytułku w Opactwie pod Souvigny, ale Naście zamiaru nie wyjawiał. Nie wiadomo, jak się wszystko dalej pot-

265  
czy, mogą też przyjść do dziewczyny. Lepiej, żeby nie znalazła jego miejsca pobytu. Gdy się już gdzieś urządzi przyśle wiadomość na poste restante. Ona niechaj pisze do niego także na poste restante na pocztę główną do Bordeaux.

Chce na południe, na słońce, może słońce ożywi jego martwe nogi, uleczy jego martwy kręgosłup.

Odprowadził Nastę.

Uregulował rachunek w szpitalu, porozumiał z firmą handlującą sprzętem inwalidzkim i kazał sobie przysłać najtańszy wózek. Zamówienie zrealizowano w poniedziałek. Silenzio zjadł obiad i wyjechał na swój pierwszy spacer poza obręb lecznicy. Więcej się tam nie pokazał.

Z ustronnej kafejki telefonicznie zarezerwował taksówkę na lotnisko i bilet na wieczorny samolot do Bordeaux.

Nasta odczuła ulgę. Zwróciła pieniądze, rozstała z Silenzio. Nawet się nie pożegnał. Poste restante w Bordeaux. Ucieka do przytułku Franciszkanek albo myli tropy. Nie ufa jej. Nie zapytał czy ona miała przykrości. Może się domyśla i nie chce wiedzieć, sam ścigany i bezsilny.

Nazajutrz zastąpił jej drogę ten mężczyzna, doktor Erardo Galeani, tak przeczytała na wizytówce, chociaż litery tańczyły przed oczyma. Wszystko da się wypisać na kartonikach, co tylko kto chce. Jest elegancki, namawiał aby wsiadła z nim do markowego samochodu. Carlo, Szef, także nosili się jak z żurnala i jeździli autami świetnych firm. Miała zapomnieć o Silenzio, nie usłuchała, zwiódł ją spokój Menilmontant. Dostanie za swoje. Na nią spadnie cała złość za ucieczkę Silenzia, za kradzież fiata z Domu Lalek.

Wciąż przyciskając do siebie tekę z nutami usiadła naprzeciwko niego w kafejce. Przypominała popsutą kukielkę, oczy miała nieżywe. To już koniec. Oni nie darują. Może już zabili Silenzia, zabrali jego kartę bankową, wyczyścili rachunek na okaziciela i tyle nacieszył się swoim ciułactwem. Warto się było narażać.

- Przestań się bać, posłuchaj uważnie! Chcę ci pomóc, wiem o twoich kłopotach.

- I o tym co się wydarzyło na strzelnicy?

- O wszystkim.

266

- Mnie też to może spotkać, razem uciekliśmy.

- On ograbiał automaty do gry.

- Ja nie wiem co zrobił z pieniędzmi! - walczyła do ostatka.

- To oddzielna sprawa. Mnie interesujesz ty. Jesteś winna w Genui określoną sumę z odsetkami. Spłacę za ciebie

dług, zapewnię spokój i warunki do ukończenia studiów.

- Co pan za to chce?

- Wystawisz rewers na zaciągniętą pożyczkę i podpiszesz zobowiązanie gwarantujące mój udział w twoich przyszłych dochodach.

- A jeśli ich nie będzie, co wtedy?

- Nic. Podejmuję ryzyko handlowe. Mogę stracić, może się zdarzyć, że mój procent znacznie przekroczy środki za-inwestowane w twoją naukę. Jedno jest pewne, z mycia szyb nigdy nie zwrócisz coś winna i nigdy nie wydobędzie się z dołu w jakim ugrzęzłaś. Dam ci oparcie, ułatwię start, więc wszystko razem warte jest połowę dziesięcioletnich zarobków, czego bez mojej pomocy nigdy nie zobaczysz.

- I tamci nie będą już mieli pretensji?

- Nie będą.

- I nie oszpecą?

- Nie.

Zaczął się zupełnie nowy rozdział.

Z dnia na dzień dziewczyna zamieniła bruki Menilmontant na kolonię parterowych domów w bardzo dobrej dzielnicy, po części pustych ze względu na wysokie czynsze, należących do markiza Galeani, izbę na poddaszu na dwa pokoje z hallem, kuchnią i łazienką z bieżącą wodą. Miała prawo do kawałka trawnika mieszczącego ogrodowy stolik pod parasolem, dwa leżaki, krzew forsycji i grządkę róż, oddzielone żywopłotem od sąsiedniego prostokąta murawy. Dom pod dachem z łupku mieścił jeszcze jeden podobny, zresztą niezajęty, lokal. Mieszkanie otrzymała kompletnie urządzone, a pomieszczenie do nauki wyposażono w pianino dobrej marki, elektroniczny sprzęt do zapisu na taśmie i w lustro zajmujące całą ścianę z poręczą do ćwiczeń baletowych i tych jakie wymaga estrada. Zo-

267

stała posłana na studium dramatyczne i kurs języka francuskiego przy Alliance Française. Raz w tygodniu przychodziła służąca, sprzątała i robiła zakupy.

Erardo Markiz Galeani, szef znanej firmy prawniczej, właściciel akcji, parcel budowlanych, domów czynszowych, majątku na wsi, był samoukiem. Na podstawie kupionego doktoratu prawa i zdobyciu patentu adwokackiego, wyrobił odpowiednie uprawnienia, w przetargu pokonał konkurentów i przejął znaną kancelarię: Mediner.

Wraz z nazwą sprzedali ją spadkobiercy. Niezwiązani z zawodem nie mieli szans otrzymania licencji. Nabył firmę głównie dla tej nazwy, która na swoje znaczenie pracowała przez półtora wieku.

Uchodził za markiza przez zbieżność nazwiska z wygasłym rodem Galeanich, starą korsykańską arystokracją.

W młodości wraz z rosnącym znaczeniem i rachunkiem bankowym, nabywał szlif, erudycji, doskonalił gust. Ja-

ko człowiek dojrzały znał się na dobrej kuchni, rasowych psach, koniach z rodowodem, szykownym ubraniu, kobietach, dywanach, antykach, znał się na interesach, znał na obrazach. Tę dziedzinę sztuki opanował jak wytrawny marchand dzięki znaczkom pocztowym. Zbierał malarstwo najpierw włoskie, później każde. Z upływem lat rosły zbiory i gruntowna wiedza przedmiotu. W klaserach zgromadził jedną z największych galerii świata, jego znajomość materii malarskiej nie ustępowała doświadczeniu liczących się rzeczoznawców.

Przystojny, wysportowany o nienagannym sposobie bycia, swobodnie porozumiewający się w kilku językach, towarzysko i zawodowo plasował się pośród górnej warstwy społecznej. I tylko bardzo niewielu spośród najściślejszego zarządu Syndykatu znało go jako La Comte.

Nastę nauczył alfabetu zbytku, ukazał krainę nieznanych dotychczas przedmiotów. Owszem, istniały, ale ona mijają ją nieświadoma, obojętna, nie dostrzegając ich urody, wyrafinowania, oryginalności.

Erardo nie zauważył kiedy zaczął potrzebować tych modlitewnie wpatrzonych oczu, podziwu, zachwytu, nie-mej adoracji. Dziewczyna lepiej od najlepszego z psów markiza podkreślała zachowaniem jego statusa pana.

Nieobyta wieśniaczka uległa czarowi mężczyzny, który oprócz ofiarowanej na kredyt egzystencji otworzył przed nią świat obrazów El Greco, rokokowych sprzętów, flamandzkich tkanin, wschodnich kobierców, wiedział jak się obrabia szlachetne kamienie, znał grubość ziarna płócien Matisa, ilość węzłów na centymetrze buchary i cechy stylu mudejar, z niezrównaną elegancją usuwał pancerz ze szczypiec homara, obrywał listki karczocha, wybierał ze skorupki morskie jeże, nosił ubrania od londyńskich krawców, prowadził najdroższy samochód.

Z taką samą swobodą Erardo Galeani wziął i tę dziewczynę, bo nie zwykł odmawiać sobie niczego, jeśli akurat miał na to ochotę.

Natomiast dziewczynie zażyłość z podziwianym mentorem wydała się szczęściem. Olśniona, fascynację myliła z uczuciem i wydawało jej się, że bezgranicznie kocha niezwyklego markiza zesłanego jej w nagrodę chyba przez sam los.

Jednak z ich dwojga właśnie La Comte uległ skłonności, której nawet przed sobą nigdy nie nazwał miłością. Epizod, jak sądził, trochę zabawa w Stwórcę, w Opatrzność, w świętego Mikołaja, stała się mu niezbędną, stała częścią życia.

Najpierw nie mógł uwierzyć, później uległ panice, następnie odkupił dziewczynę od konsorcjum i uzależnił tylko od siebie. Była jego cenną własnością, troszczył się o nią niczym o cenną własność i jak nigdy przedtem o żąd-

ną kobietę. Jak gdyby te wszystkie dziewczyny wielokrotnie zdeptane, poniżone, sprzedane i kupione mściły się na nim poprzez tę późną namiętność do zbuntowanej Lalki, zwyczajnej, nieobytej, biednej i utalentowanej.

Właśnie, utalentowanej.

Zdolność twórcza to odrębność, własna droga, a własna droga grozi rozstaniem. Dopóki markiz nie pragnie rozstania, rozstania nie będzie. Zatem żadnej samodzielności.

Przekreślił jej przyszłość jak źle wypełniony czek. Z pozoru

268

269  
nic się nie zmieniło. Nie przeszkadzał w nauce, nie próbował odwozić od projektów, nie rozwiewał złudzeń.

Od dyplomu dzieliły ją dwa roczne semestry. Dla niej dużo. Dla człowieka pięćdziesięcioletniego, wiedzącego wszystko o przemijaniu i nietrwałości uczuć, mało a jednocześnie ogrom czasu. Przez dwa lata może wypalić się w nim opętanie, nim upłyną dwa lata, może się zmienić dziewczyna otoczona zbytkiem niewymagającym pracy.

Wiedział jak demoralizuje dobrobyt otrzymany bez wysiłku.

Może nabrać kosztownych przyzwyczajęń, ulec nałogowi. Właściwie nie miałyby nic przeciwko umiarkowanemu uzależnieniu. Narkotyk, chociażby alkohol albo hazard, wzmocniłyby jego władzę. Ale ona była odporna na tego rodzaju wtajemniczenia. Nie brała do ust papierosa, ani wysokoprocentowych napoi, częstowana winem piła niewiele. Używki szkodzą strunom głosowym.

Przykładna uczennica, istna pensjonarka bez ciekawości pensjonarek do rzeczy zakazanych. Jakby nigdy nie zawadziła o Dom Lalek, jakby nigdy nie mieszkała w Dzielnicy Tanich Dziewczyn. Ani na jotę nie odstępowała od swego programu. W przewidywanym terminie z bardzo dobrą lokatą ukończyła studia i przyniosła dyplom.

- Zmienił się między nami układ, zmieniłem zdanie, nie chcę dla ciebie estrady.

- Będzie jak postanowisz.

Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tej uległości bez nuty zawodu. Udaje, aż tak można, udawać? Okazało się, można, Nasta czegoś się nauczyła na studium dramatycznym. Sama się dziwiła, że ta zaskakująca, okrutna decyzja nie zwała jej z nóg, nie wywołała wybuchu wściekłości czy chociaż rozpacz. Gdzieś na innej płaszczyźnie rozumienia trwała myśl o trawie przyginanej wichrem. Wyprostuje się, gdy przejdzie huragan. Brała przykład z trawy. Jednocześnie nic nie mogło zmącić jej szczęścia z dyplomu. Paliło się jak złote światło, pomagało znieść wszystko. Kiedyś patent uczelni wydawał się nieosiągalny. Do stanie się i na scenę, nie wie jeszcze jak. Będzie musiała oswoić, pokonać, albo zniszczyć nieprzewidziane przeszkody. Wtedy po raz pierwszy tknęła ją myśl o nagłej

śmierci kochanka. Tak mu życzyła.

- Nie żal ci? - nie ufał jej uległości.

- Żal. Ale to przecież tobie zawdzięczam wszystko. Ty jesteś ważniejszy, mój Maestro.

Cóż bardziej naturalnego, woli mężczyznę zapewniającego byt i poczucie bezpieczeństwa od niepewnej, jeszcze niezaczętej kariery, przekonywał siebie Erardo i nie mógł uwierzyć w jej szczerość. Przecież nie pozostawił jej wyboru. Ona jest nieprawdziwa, jej reakcja jest nieprawdziwa, wszystko w niej nieprawdziwe.

Źle rozegrał swoją partię. Należało inaczej. Jak? W jaki sposób bez uciekania się do przymusu, utrzymać w zależności młodą dziewczynę, przygotowaną do samodzielnego życia. Nigdy nie brał kobiet poważnie, nigdy mu na nich nie zależało. Co za różnica, ta czy inna. Wszystkie do siebie podobne. Pragnęły pieniędzy, krzątały zapobiegliwie aby zgromadzić jak najwięcej zanim je porzuci.

On sam niewiele je obchodził, tak samo jak one jego.

Oczywiście, był to określony gatunek. Głupie, wyrachowane dziwki. Lecz nie absorbowały. Nie spodziewał się po nich przywiązania ani intelektu, nie szukał też kobiet innego rodzaju. Odpowiadały takie właśnie związki. Umowa. Z grubsza wiadomo czego można oczekiwać, co się w zamian otrzymuje i czego się nie dostaje.

Z tą, tutaj, nic nie wiadomo. Właściwie zupełnie jej nie zna, co o niej wie? Córka wiejskiego organisty z Polski. Skąd? Wszystkie ich prowincje mają podobne brzmienie, trudno się w nich rozeznąć. Mniejsza, z tym. W jej paszporcie wpisano miejscowość o nazwie nie do wymówienia. Nie jest to w każdym razie większe czy nawet średnie miasto. Paszport.

Gdyby od razu zrozumiał jak się przyzwyczai do tej dziewczyny, związały ją fałszywym certyfikatem. I pomyśleć, tamten zbuntowany cyngiel, przez przeszło cztery lata, chociaż pod koniec miał dość pieniędzy, nie zorganizował jej żadnych papierów. Bez nich nie otrzymałaby dyplomu. Jednak pozostawianie dziewczyny w nieskoń-

270

271

czoność bez dowodu tożsamości nie wchodziło w rachubę. Nie powinna czuć się więźniem, więzienie prowokuje ucieczki. Łańcuch musi być dostatecznie długi, powinien dawać złudzenie swobody.

Jej polski patent odebrany w Genui, po odkupieniu dziewczyny przez markiza, dawno utracił ważność. Należało postarać się o dokument konsularny.

Poszło łatwiej niż się spodziewał. W dużej mierze pomogła uczelnia. Pismo Dziekana z rue Madrid miało swoją wagę, pomysł ze stypendium też. Radca konsularny przede wszystkim chciał wiedzieć dlaczego los jakiejś pol-

skiej dziewczyny zajmuje osobiście patrona Medinera. Proste. Firma zadeklarowała środki na utrzymanie zdolnej uczennicy, a tego rodzaju świadczenia potrąca się z podatków, kancelaria nic nie traci, natomiast wspieranie talentów podnosi w oczach opinii publicznej. Pomoc niesiona kunsztom to stary obyczaj Medinera, na poczekaniu dorobił tradycję kilku pokoleniom skrzętnych kazyperdów. Uczelnia wybrała na stypendystkę tę cudzoziemkę. Markiz pomaga Dziekanowi w zdobyciu dokumentu dla utalentowanej studentki i prawnym zalegalizowaniu jej na rue de Madrid.

Wstawiennictwo szkoły i Medinera miało decydujące znaczenie. Dziewczyna otrzymała ważny paszport i tylko reprimendę za samowolne przedłużenie pobytu, oraz zmianę Włoch na Francję. Rozparty za biurkiem Radca konsularny nawet nie zaprosił, aby usiadła. Stała w swojej skromnej sukience z jasnoniebieskiego płótna, lepszego ubioru na tę okazję nawet Erardo nie umiałby jej doradzić, wyglądała bardzo młodo, naiwnie, wzruszająco. Wystraszona i wdzięczna, z pokorą przyjmowała łajanie, arogancję i zwyczajne chamstwo urzędnika.

Po dyplomie Erardo zabrał ją na Majorkę.

Skrawek skalistego lądu wyniesiony nad bezkres oceanu, wtopiony na horyzoncie w okrąg firmamentu, jakby sklepienie niebieskie brało początek u stóp wyspy. Architektura po Maurach i wczesnych Hiszpanach, wokół katedry Marrani, stare rody szlifierzy diamentów, zamieszkali

272

od czasów Izabeli Kastylijskiej. Żyją w domach po nadziadach ocalałych od stosów Świętego Oficjum. W tych samych domach z mroczną sienią i patiem, za ciężkimi drzwiami okutymi metalem, w domach przytulonych do starego tumu przekazują z ojca na syna wciąż ten sam zawód. Jubilerstwo.

Wąskie sklepy z kamienną podłogą, niepozorne, ciemne i chłodne ze ściennymi szafami z czarnego drewna, pamiętającymi piąte stulecie. Za pancernym szkłem staroświeckie manekiny. Bezgłowe biusty, same tylko szyje i torsy opięte aksamitem. Na czerni weluru uroda kamieni, szlachetność kruszców i kunszt oprawy.

Stamtąd pochodzą jej diamenty.

Zatapiała palce w biczach pereł, przebierała w broszach, zapinkach, brylantowych soliterach przejrzystych jak krynica, rozmieniających barwy tęczy i pragnęła mieć.

- Chcesz ten naszyjnik? - nad jej ramieniem pochylił się La Comte.

- Za drogi.

- Cena jest rzeczą względną - ofiarował jej zbyt kowną ozdobę, opanowany i wytworny jak przystało na czterdziestego szóstego diuka Galeani, wychowanka Oxfordu.

Kupował jej biżuterię przedstawiającą nieraz wartość najlepszego samochodu lecz nie podarował auta, chociaż zadbał o instruktora, który nauczył ją rzemiosła, a ona zdała egzamin uwieńczony prawem jazdy. Mimo to nigdy nie poprosiła bodaj o wypożyczenie wozu z przedsiębiorstwa wynajmu.

- To dla ciebie - podawał jej czek, kładła do torebki nie interesując się wysokością kwoty.

Kieszonkowe zawsze było takie samo, ani razu nie wspomniała się o więcej, jednak nie wchodziła w układy z dostawcami ni ze służącą, by zawyżać rachunki i dzielić się tym sposobem zdobytymi pieniędzmi, nie próbowała zastawiać klejnotów ani sprzedawać szlachetnych kamieni zastępując je strassem, jak przeważnie czyniły jego dawne kobiety.

Nasta prędko zrozumiała niedopowiedziany warunek.

Wspaniałe precjoza były rekwizytem niezbędnym dziewcz-

273  
czynie obdarzonej względami markiza Galeani, podobnie jak angielskie obroże jego chartom. Na jej potrzeby przeznaczał ściśle określoną sumę, niezniszczalne - jak inne przedmioty chociażby auta - kosztowności stanowiły depozyt dany jej tylko w użytkowanie i zawsze mogły powrócić do prawdziwego właściciela.

Daleka już od oczarowania życiem na kredyt, dotkliwie odczuwając szczególnie rodzaj niewoli, w jakiej się znalazła, zaczęła przeżywać markiza jak przeszkodę. Bała się też aby nie naprowadzić go na ślad Silenzia. Galeani zagradzał jej drogę nawet do przytułku u Panien od Świętego Franciszka pod Souvigny.

Nie tęskniła do Silenzia, nic ją nie obchodził. Nigdy nie darzyła go uczuciem, nigdy nie łączyła z nim swojej przyszłości, pamiętała mu każdą małość i sama nie zdecydowała się od niego uciec tylko z obawy przed jego zemstą i swoją samotnością.

Nowe życie za sprawą Erardo i sam Erardo sprawiły, że nie myślała o Silenzium, wolna nawet od wspomnień. Nie miała sobie nic do zarzucenia, byli skwitowani. Rannego zawiozła do szpitala, ocaliła jego oszczędności, dokumenty i broń. Czuli się szlachetna, wielkoduszna, bezinteresowna. Pamięć nie zachowała tamtej nadziei na odziedziczenie pieniędzy w razie śmierci Silenzia.

Wkraczając w nowe życie z olśniewającym protektorem, nie rozpamiętywała niejednoznaczności przyczyn kierujących jej zachowaniem wobec dawnego kochanka. Dopiero przypadkiem mijając pocztę przypomniała sobie o poste restante.

Czekało na nią kilka listów. Każdy na połówce kartki z kajetu w kratkę z mozolnie wypracowanymi literami, uskładanymi w kilka zdań ciężkich od nadziei, udręki, rozpacz, szaleństwa bezsilności.

Dopiero ten zwielokrotniony, bezgłośny krzyk obudził

litość i przesądny niepokój, aby cierpienie tamtego nie rzuciło złego uroku na jej świetnie zapowiadającą się przyszłość. Jak ofiarę na przebłaganie mściwej potęgi, w piątkowy wieczór wykupiła czarter do Bordeaux. Soboty i niedziele miała wolne.

Soboty i niedziele markiz Galeani poświęcał rodzinie i przyjaciółom. W soboty i niedziele był wyłącznie mężem i ojcem, doskonałym panem domu. Na te dni za progiem posiadłości pozostawiał dwie trzecie swojego życia. Mieli wolne cyngle, pracownicy Medinera, jego służba, jego szofer i jego kochanka.

Po Silenzium spodziewała się radości ze spotkania, usłyszała wymówki, groźby, zniewagi, wściekłość.

- Musiałam uskładać pieniądze na drogę - na poczeka-  
niu wymyśliła powód długiej nieobecności.

Co on sobie wyobraża, przecież nie przykuje się razem z nim do wózka, nie rzuci szkoły i nie zamieszka w przytułku albo w Souvigny utrzymując ich oboje z mycia szyb. Długo jej nie zobaczy, wcale jej nie zobaczy. Nigdy już tutaj nie przyjedzie. Z jakiego powodu ma znosić chamstwa oprawcy z burdelu. I warto było wykosztowywać się na bilet lotniczy, wydawać kieszonkowe na prezenty, nie wspominając już o przeprawie z markizem, gdyby się nie daj Boże dowiedział, jak spędziła weekend.

- Pojedziemy na spacer, napijemy się wina w Souvigny.

Wywiozła Silenzia na drogę pośród winnic, niechaj się awanturuje w polu, niechaj nikt nie słyszy tego poliglotty paryskich hal, genueńskiego nadbrzeża i kurnej wioski z końca świata. Ale nie powiedziała nic przykrego. Szła po stronie cienia rzucanego przez zbocze obsadzone szlachetną łąką, toczyła przed sobą fotel z okaleczonym mężczyzną i podawała uśmierzające słowa nadziei o przyszłym życiu, zwiedzaniu świata, domu pod gontami w Sarniej.

Minstrele spotkali na gościńcu. Wracał z Souvigny dwukółką, wiozł z marketu telefoniczne zamówienie siostry szafarki. Na widok Silenzia w towarzystwie nieznaney pani zatrzymał muła i okręcił lejce wokół uchwytu drewnianego hamulca.

- Mieszka ze mną. Zabrakowany na rozumie, ale potrafi grać na organach. Zagraj coś dla Nasty - ułagodzony Silenzio prezentował muskularnego wyrostka.

Minstrel zarumienił się pod spojrzeniem dziewczyny.

Nie znalazła piętna upośledzenia na jego twarzy. Może coś

274

275

w oczach? Brązowych, smutnych, jak oczy krótkowidza lub zwierzęcia.

Chłopak nie dał się prosić, wciąż zapatrzony w Nastę wyciągnął z zanadrza ustną harmonijkę i... popłynęła pieśń, jakiej Nasta nie spodziewała się usłyszeć od czło-

wieka ze słabym umysłem.

- Pięknie. Jaki tekst towarzyszy tej muzyce, skąd znasz te śliczne frazy? - zanuciła końcowy akord.

- Ja sam. Powstały w mojej głowie, ale słów nie ma.

Jak chcesz możemy pójść do hospicjum, tam jest pianino.

- Umiesz komponować, nie wierzę!

- Umiem. Siostra Agnes nazwała mnie Minstrel. Bardzo ładnie, nieprawdaż, czy wiesz co oznacza to imię, po kim je dostałem? - wówczas nic nie wiedziała o rybałtach przemierzających trakty i bezdroża średniowiecznej Europy. Nasta całym istnieniem odbierała świat harmonii, ale nie potrafiła go kreować. Już wiedziała, zdolna jest tylko odtwarzać, tworzyć nigdy. Między ambicją a możliwością otwierała się przepaść. I na nic wola, cierpliwość, szaleńcza pracowitość. Roniły się motywy jak martwe embriony, niedokształcone, banalne, wtórne, nijakie. Nie miała niczego do powiedzenia w twórczym języku muzyki. Odałaby nieśmiertelność za umiejętność stworzenia tego, co na poczekaniu z pomocą ustnych organków zaimprovizował ten chłopiec.

Silenzio nigdy się nie domyślił czemu zawdzięcza zawsze w jego odczuciu za rzadkie odwiedziny Nasty. Z czasem zaczął być zazdrosny o względy okazywane przez nią Minstrelowi, nie podejrzewał jednak, że tylko dzięki niemu w ogóle ją widuje. W tajemnicy przed protektorem wykra- dała się do dalekiej Akwitanii dla boskiej iskry dostrzeżonej w pieśniach chłopca, który nigdy nie nauczył się i nie zanotował ani jednej nuty.

Ona już biegle pisała a vista. I oto sam los przywiódł ich ku sobie, sprawił aby się spotkali. On obdarzony kunsztem lecz niezdolny utrwalić stworzonej kompozycji, z nią posłaną niezbadanymi drogami, by zatrzymała ulotne frazy, dała im barwę i głos.

I tak się stanie. Nie dopuści do zmarnowania daru chłopca, uchroni przed zniszczeniem talent ograniczany w cieniu kruchty ascezą despotycznej zakonnicy.

To była wzajemna niechęć od pierwszego spojrzenia.

Nastę drażniła charyzma sędziwej mniszki i na jej zło składała swoją bezwzględna walkę z jej wpływem na wychowanka. Siostrę Agnes niepokoiło samo pojawienie się Nasty, jej obraz w świadomości Minstrele, do tego w jakiś sposób przywodziła na myśl jego matkę, chociaż o ile siostra Agnes jeszcze pamiętała, one wcale nie były do siebie podobne, jednak posiadały pewien wspólny rys.

Tamta dziewczyna zastukała do furty w deszczowy wieczór roku nielaskawego dla wina. Nastął czas zbiorów, z wielu stron ciągnęli żeńcy różnych nacji i różnej kondycji. Widywano tu już i Polaków, przeważnie nieliczne grupy studentów, chociaż w latach sześćdziesiątych zaczęła się pojawiać młodzież nie tylko akademicka.

Dziewczyna mówiła szybko, gwałtownie, niezrozumiale. Dla ucha siostry odzwiernej polski brzmiał ludzaco podobnie do japońskiego. W jej mniemaniu oba szeleściły niczym siano zadawane owcom. Posłała więc po siostrę Agnes, która nie tylko umiała rozróżnić lecz i porozumieć się w obu tych zda się bliźniaczych językach.

- Niech będzie pochwalony - bezgłośnie nadeszła siostra Agnes.

- Na wieki wieków - z ławy w parlatorium podniosła się dziewczyna ogarniając fałdy za dużego na nią, przemocznego prochowca.

- Słucham - zakonnica ukryła dłonie w rękawach habitu. Nazywa się Jadwiga, przyjechała ze wsi na świętokrzyskim pogórze, zaproszona przez dalszą rodzinę od trzech pokoleń osiadłą w Pas-de-Calaise. Zawiedli oczekiwania, korzystali z jej pracy, nie pomogli, ani nie pozwolili, aby sama poszukała zarobku. Kiedy się uparła, wymówili dom, dali pieniądze na bilet do kraju i kazali się zabierać. Nie chciała pokazywać się w swojej wsi z pustymi rękoma. Francuz z sąsiedztwa doradził robotę przy winobranii, akurat nadeszła właściwa pora, i podał

276

277  
kilka miejsc w okolicach Bordeaux, jedno z nich to właśnie Opactwo Franciszkanek.

Do Poitiers przybyła nad ranem. Gdy przeczekując resztę nocy zasnęła na dworcowej ławce, ukradziono jej walizkę, dokumenty i pieniądze. Od Poitiers do Souvigny jechała stopem, z miasteczka przyszła piechotą. Tutaj już było łatwo. Wystarczyło wymienić nazwę klasztoru panien od świętego Franciszka, a ludzie od razu rozumieli i wskazywali drogę. Z gołymi nogami, w podartych czółenkach na wysokich obcasach, dygotała zatulając się w przesiąknięty wilgocią płaszcz i przyciskała do siebie lada jaką, chudą torbę, ubrana za lekko na tę pogodę, w obuwiu nienadającym się do marszu, zwłaszcza przez polne gościńce, niezabezpieczona przed słońcem. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

Siostra Agnes zaprowadziła ją do hospicjum.

Dziewczyna, nie chciała jeść, od razu poszła do kabiny natrysków w tym swoim za dużym prochowcu, bo nie miała nawet piżamy czy szlafroka, i zanim inne kobiety korzystające z noclegów powróciły z kolacji w refektarzu, ona już wokół swojego posłania zaciągnęła zasłonę, w jakie wyposażone były wszystkie łóżka, ustawione rzędami w olbrzymiej, gotyckiej sali.

Przełożona hospicjum przyniosła dla niej z kuchni grzane wino i gorącą zupę cebulową. Gdy uchyliła firankę zastała dziewczynę z twarzą pałającą, gorączką, ze zbiegłymi palcami zaciśniętymi na niklowych prętach zagłówka, bezgłośnie skręcającą się z bólu.

Wezwano siostrę lekarkę, pacjentka kurczowo trzymała przykrycie, broniła się przed badaniem. Ale siostra doktorka już się zorientowała co dziewczyna tak beznadziejnie pragnie ukryć.

- Potworne! - nie mogła opanować zgrozy siostra medycza na widok tego co zobaczyła po ściągnięciu koca z dziewczyny. Tak ujawniła się prawdziwa przyczyna wymówienia jej domu przez krewnych z Pas-de-Calais. Ona miała na sobie gorset, okrutną konstrukcję z gumy i nylonowych fiszbinów, bezlitośnie uciskającą ciężarny brzuch. Pewno rzadko zdejmowała ów pancerz, udręczone ciało nosiło ślady otarć i odparzeń. Zarządzono przeniesienie położnicy do infirmary i bez zwłoki wezwano doktora-akuszerza z Souvigny.

Dziecko urodziło się nad ranem.

Kiedy siostra Agnes przyszła zapytać matkę jak chce nazwać chłopca, do tamtej już nie docierało, umierała. Nieprzytomna, do ostatniej chwili wołała Gniewosza, i tylko siostra Agnes wiedziała, że jest to słowiańskie imię rzadko nadawane mężczyznom nawet w Polsce.

Surowa zakonnica między potępieniem dla poczęcia bez sakramentu, litością nad sponiewieranym ledwo zaczęłym, a już gasnącym życiem, szacunkiem zaprawionym grozą dla tej kobiecości nawet w chwili śmierci pogańsko przyzywającej kochankę, przyjęła noworodka z rąk siostry infirmerki i skropiła wodą jego głowę.

- Ja ciebie chrzczę, synu Jadwigi, w imię ojca, syna i ducha i nadaję ci imię Gniewosz.

Później jeszcze tylko powtórzyła to miano w kaplicy, podczas ceremonii sakramentu udzielonego dziecku przez kapłana i przestała się małym zajmować. To należało do klasztornej sierocińca.

W cztery lata później opuszczając chór natknęła się na dziecko Jadwigi. Bezwiednie wydobyła się z niepamięci pogardliwa nazwa w najpierwszym języku siostry Agnes, nadawana dzieciom urodzonym przez panieńskie matki: bachor. Bachor, wciśnięty w kąt stopni schodów wiodących na emporę, w półmroku wyglądał jak bryła bardziej zagęszczonego cienia, skąd nieruchomo spoglądała para błyszczących oczu ni to ludzkich, ni to zwierzęcych, ni to lalczynek. Niedorozwinięte dziecko. Tyle obito się jej o uszy.

- Co tutaj robisz?

Milczał nieruchomy jak złożone tralki balustrady, między które się wtulił. Gdy się przestraszył albo w inny sposób przejął, popadał w jakiś wręcz kataleptyczny bezruch i zupełną niemotę.

- Nie bój się - niezdarnie pogładziła zwilgotniałe włosy i spocone ze wzruszenia czoło. Mógł się przeziębic, w świątyni z kamiennego ciosu panował wieczny chłód. Zdjęła

z ramion chustę, otuliła bachora i odprowadziła do przełożonej sierocińca.

- Dlaczego nie pilnujecie małego?

- Nie można go utrzymać. Biegnie na głos dzwonów, sygnaturki, nawet terlików owiec, a dopóki grają organy, nie daje się wyciągnąć z kaplicy. Później naśladuje.

- Naśladuje, czteroletnie, opóźnione w rozwoju dziecko?

- Tak, nuci.

Dopiero z trudem zaczynał mówić, lecz bezbłędnie powtarzał każdy usłyszany dźwięk, jak gdyby w tę istotę tchnięto absolutny słuch, poczucie harmonii i potrzebę muzyki tak wielkie, że zabrakło miejsca na zwyczajną ludzką normalność.

Jeśliby pozwolono, po całych dniach mógłby przebywać na chórze urzeczony głosem organów, cichy, niekłopotliwy, z pokorą spoglądający na zakonnicę oddanymi, psimi oczyma, zafascynowany jej kunsztem, wdzięczny za dobrodziejstwo przebywania w jej pobliżu.

Przylgnęła do niego sercem, nigdy więcej nie pozwoliła sobie pomyśleć o nim bachor, za zgodą ksieni roztoczyła opiekę nad utalentowanym matolkiem.

Troszczyła się o małego, wychowywała, strzegła i znalazła piękne przezwisko, bo nie mogła się zdobyć na wołanie chłopca imieniem kochanka grzesznej dziewczyny, jakie nadała dziecku chrzcząc go z wody, w chwili litości dla konającej matki. Nauczyła go wypowiadać się z pomocą dźwięków zamkniętych w instrumentach i często mówiła do niego w swoim najpierwszym języku należącym także do jego matki, języku będącym jedynym dziedzictwem syna Jadwigi.

Nasta nie mogła być w Opactwie tak często, jakby chciała. Myśląc o bezpowrotnie traconych nutach ulatujących w przestrzeń podczas jej nieobecności, czuła się z nich okradana przez La Comte'a, bandytę, markiza, alfonsa.

Wzywała na niego wszelkie plagi, życzyła nagłej śmierci, nieustannie myślała nad sposobem wyzwolenia, starannie ukrywając swoje uczucia, zawsze podczas spotkań w dobrym nastroju, wdzięczna za jego dobrodziejstwa, przywiązanie, opiekę.

Wspomagana dyscypliną codziennych ćwiczeń, żyła z dnia na dzień, lecz krzepiła nieprzemijającą radość z dyplomu, nosiła ją w sobie jak najcenniejszy klejnot.

W to zawieszenie, w tę próżnię spadła depesza z domu.

Z domu w odczuciu Nasty tak dalekiego, aż wydawał się nierzeczywisty. Nagle przybliżony i konkretny domagał się uwagi poprzez skrawek papieru z zawiadomieniem o śmierci ojca.

Markiz przyjął wiadomość ze zrozumieniem, nie licząc się z kosztami dał pieniądze na podróż, kazał kupić rodzinie prezenty i odwiózł Nastę na Orły.

Wieczorem wysiadła z samolotu na warszawskim Okęciu, wynajęła taksówkę, po północy zajechała na kolonię w Studzianem. Kierowcy nie odprawiła. Zabrała ze sobą swoje najelegantsze paryskie obuwie zupełnie nieodpowiednie na kwietniowe rozmiękle drogi rodzinnej wioski, nie miała zamiaru go zniszczyć.

Na tle bezksiężycowej nocy chata zaznaczała się głębszym cieniem, migotliwym, żółtym światłem jaśniało okno, nad wejściem musnęła twarz czarna chorągiew zwiastująca spod okapu, wybiegła na spotkanie strofa żałobnej pieśni pamiętanej od zawsze.

Zmarły człowiecze dzisiaj cię żegnamy

Tyś już tam doszedł my jeszcze idziemy

Na grób swój świeży przyjmij trochę gliny

Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny...

Przestępując próg odruchowo pochyliła głowę, wydało jej się, że wyprostowana zawadzi czołem o te, przez lata nieobecności, zmalale drzwi.

- Niechaj będzie pochwalony - przywitała zgromadzonych tutejszym obyczajem i ową formułę wyrzekła bez namysłu, jak gdyby nigdy nie знаła innego pozdrowienia.

Wciąż ta sama jedna izba wydała się Naście jeszcze mniejsza i jeszcze niższa, nie chciało się wierzyć, że tutaj urodziła się ona, jej siostry i bracia, tutaj gnieździł się w siedmioro. Wszystko w tym jedynym pomieszczeniu od nowości niewykończonych chaty.

Teraz żegnała tu ojca.

280

Leżał na marach w uroczystym czarnym ubraniu, sprawione do ślubu nakładane do kościoła w niedzielę i święta, nieużyte doczekało ostatniej posługi. Po obu stronach śmiertelnego posłania paliły się gromnice, woskowe świece robione domowym sposobem z pszczelego plastra, obsadzone w wysokich drewnianych lichtarzach pomalowanych srebrną farbą. U wezłowia stał krzyż i czarne chorągwie, takie same jak zatknięte u wejścia. Działo się nocne czuwanie. Na ławach pod ścianami siedzieli stłoczeni ludzie i śpiewali pieśni zapamiętane od najwcześniejszego dzieciństwa. Przewodzący głosom stary człowiek ślinił palec, przewracał następną kartkę wiekowej kantyczki ze startymi do okrągłości rogami i podawał wers kolejnej strofy.

Pachniało jedliną, świecami, kwaśną wonią rzadko wietrzonych izby pamiętającej niezliczone dzieje z chlebowym zaczynem, twarogi dojrzewające w ciepłe kuchennej płyty, sagany kapuśniaków, buraczane barszcze zaprawiane serwatką albo fermentem z żytniej mąki, szczawiowe polewki kraszone podśmietankiem, pachniało świeżą czerniną przyrządzaną na stypę, zupą z krwi rozbełtanej kwasem z rązówki, żeby juszka nie zbijała się w grudy, pachniało karto-

flami w łupinach warzonych w sieni na karmę wieprzom. Nasta zauważyła nowy parnik, zaczątek ładu Maryny. Z czasem najstarsza z Radziejów przekształci zaniedbaną, pozbawioną elementarnego sprzętu i budynków zagrodę w starannie uprawiane gospodarstwo. Ale na to Maryna z mężem oddadzą trzydzieści pięć lat życia. Zapłacą kalectwem i przedwczesną starością. Czas, niezrównany księgowy, podliczy im wszystkie ciężary dźwigane ponad siły, wszystkie zarwane noce, wszystkie odjęte od ust kęsy, wszystkie dni znoju od świtu po późną nocną godzinę. Kiedy przekażą rządy córce, świat odmieni się nie do poznania. Młode pokolenie nie zgodzi się na odmierzanie swoich dni wschodami i zachodami słońca, zapragnie maszyn i wolności po ośmiu godzinach pracy. Więc kiedy przekażą ster córce, bo synowie uciekną do miasta, będą inwalidami, chociaż żadne z nich jeszcze nie przekroczy 282

sześćdziesięciu lat życia. Oboje ze starganymi kręgosłupami, w gorsetach po kres istnienia.

Ale wówczas, gdy spotkali się wszyscy przy śmiertelnym ojcowym posłaniu, wszystko jeszcze było przed nimi. Maryna dopiero przygotowywała się do zameścia. Przyszły mąż nalegał, aby korzystając z obecności całej rodziny uczynić działą. Zanim złączy się dozgonnym ślubem, chciałby wiedzieć ile przypadnie Marynie i jak długo przyjdzie im pracować na spłacenie rodzeństwa.

Nazajutrz po pogrzebie zasiedli wokół stołu. Najstarszy brat, mechanik, chciał założyć warsztat samochodowy, siostra z mężem, magistrzy, pragnęły mebli i Wartburga, Maryna myślała o młockarni i weselu, Nasta o uwolnieniu od markiza, matka o zabezpieczeniu na starość i znośnym życiu dla Idioty.

Przy drugim końcu stołu taksówkarz ze stryjem Nasty, bratem zmarłego, przepijali do siebie zagryzając pozostałą ze stypy kiełbasą domowej roboty. Na żałobny poczęstunek Maryna poświęciła wieprza i dwuletniego bukata. Do przyszłej Wielkanocy nie ujrzą mięsa w garnku, ale ojca pożegnali godnie, po gospodarsku, jak kazał obyczaj. Maryna z przyszłym mężem skrupulatnie odliczali kosztą szkół, stancji i wyżywienia uczonego rodzeństwa, tamci się targowali. Idiota rwał kęsy z trzymanej oburącz pajdy kołacza i wydawał się zupełnie szczęśliwy.

- Piotra zabiorę do siebie - powiedziała Nasta. Na tle głosów handryczącego się rodzeństwa, jak motyw muzyczny zarysował się plan. Niedopracowany, lecz konkretny i postanowiony.

- A jego część? - badała Maryna, gotowa do walki o Idiotę, byle zachować należną mu schedę.

- Zostanie przy tobie, ale moją spłacisz zanim odjadę.

- Takaś potrzebująca po tych zagranicach - kłóliwie

zaczął najstarszy brat.

- Żyję ze zwrotnego stypendium. A jeszcze nie zaczęłam zarabiać.

- Nawet wyglądasz biednie, futrzana kurtka, taksówka na kiwnięcie, wszystko z nędzy, tak?

283

- Ty mi nie dałeś.

Potrzebowała pieniędzy. Mglisty pomysł przekształcał się w projekt, realizacja wymagała środków. Miała trochę oszczędności z kieszonkowego, ale mogły nie wystarczyć. Żyła w zbytku, lecz bała się dysponować nawet osobistymi rzeczami. Nigdy nie opuściło jej uczucie, że zostały tylko wypożyczone na czas nieokreślony. Pod jej nieobecność do mieszkania mógł wejść każdy człowiek wysłany przez markiza, otworzyć wmurowane w ścianę ogniotrwałe pudro i sprawdzić czy kosztowne prezenty, cenna biżuteria, są na swoim miejscu.

- Ja nie mam gdzie pożyczyć - jątrzył się brat.

- Pozostawiam część Idioty. Mało?

- Maryna z tego nie popuści nawet zagona - odął się brat.

Na odwieczny pojechała do wsi. Kierowcy kazała czekać przed opłotkami. Sama niespiesznie ruszyła przez Studziane. Szła ostrożnie, przeskakując kałuże, balansowała na krawędziach wyżłobionych w błocie kolein, otulona kurtką ze srebrnych lisów, w przejrzystych rajstopach bez szwów i czółenkach na szpilce z delikatnej skórki egzotycznej żmii, barwą dobranych do koloru wąskiej spódnicy i srebrzystego nalotu na ciemnym futrze.

Kwietniowy wiatr przywiewał od łągów zapach wikliny i podmokłej łąki, stawiała stopy jakby były z najkruchszego szkła, chroniąc swoje paryskie pantofle kupione na Champs Elisees i udawała, że nie widzi twarzy patrzących zza zazdrostek, przyklejonych do szyb, wychylających się z poza węglów.

Niosła siebie jak cenny klejnot, pozdrawiała nielicznych, mijała dziedzinę za dziedziną, siedlisko za siedliskiem, pośród klangoru gęsi, poszczekiwania psów, ryku krów powracających z pastwiska na wieczorny udój, synkopowanych brzękiem blaszanych wiader i kumkaniem żab na mokradłach. I jakby nogi same wiedziały dokąd zdążają zatrzymała się przed chatą Zielarki.

- Pochwalony.

- Na wieki wieków - z popielnika w półmrok izby padała czerwona smuga, na płycie wrzała zacierka, stara ko-

284

bieta przycupnięta na zydlu z rękoma o zgrubiałych stawach łamała chrust, kładła w ognistą czeluść paleniska.

Przygasał na chwilę płomień, cienie modelowały wypracowane nadgarstki, dłonie wyglądające jak rzeźba z grubsza wyrobiona w brunatnej glinie.

- A czyjaś ty, poznać nie mogę - stara kobieta odwróciła głowę ku Naście.
- Najmłodsza od Radziejów, z Kolonii.
- Ta co we świecie?
- Ta sama. Anastazja.
- Chciałaś wiedzieć czy żyję? A żyję, żyję, śmierć o mnie zapomniała, albo omija.
- Jeszczeście babko krzepka, niestara.
- Stara, stara. Starsza od twojego ojca, wieczne jemu odpoczywanie. A patrz, on już za księżą oborą, a ja wciąż na tym padole.
- Czemuście na konsolacji nie byli?
- Wolę chrzciny od pogrzebów.
- Korowaja wam chociaż przynieśli?
- Przynieśli, ale korowaja na wesele się piecze, na odejście ze świata pieroga się ładzi, zapomniałaś? Ale ty czegoś chcesz, mów!
- Pomóście, bo ginę.
- Jeśli ci pisane moja moc zguby nie odwróci. Losu swojego nie unikniesz, co ci przeznaczone nie ominie. Dole swoją każdy w sobie nosi, jako zmija swoją pręgę na grzbiecie. Każdy człowiek niczym gad naznaczony jest wstęgą Kaina i ty także masz swoją, tylko tobie przyrodzoną i z czasem wypełni się ona do ostatniego rysunku.
- Odprawiacie mnie, babko, nawet bez wysłuchania!
- Nie odprawiam. Po coś przyszła?
- Po ziele.
- Ziele leczy, ziele szkodzi, jakiego ziela potrzebujesz, na zdrowie, na radość czy na kochanie?
- Ni na zdrowie, ni na radość, ni na kochanie. Złego ziela potrzebuję.
- Dla kogo ziela potrzebujesz, dla siebie czy kogo drugiego?
- Dla siebie.

285

- Jakiego ziela potrzebujesz na poronienie, niepamięć, boleść czy śmierć?
- Na śmierć.
- Jaka ona ma być, powolna i cicha jak majowy zmierzch czy ciężka w męczarni przewlekłej, może prędką podobną błyskawicy i gromowi?
- Zwyczajna, byle nikt nie rozpoznał umyślnego zadania.
- Za jaką krzywdę?
- Za okrutną.
- Mężczyzna czy kobieta?
- Mężczyzna.
- Tutejszy czy we świecie?
- We świecie dalekim.
- Tutejszym złego ziela nie daję, sąsiadów by zabrakło. Człek jest omylny i złości w nim wiele. Tylko w dalekie strony jady daję i pilnie słucham przyczyny. Więc cóż ci

uczynił, dziecko bez sakramentu, majątności pozbawił, chorobą rozpustną zaraził?

- Niczego takiego nie uczynił.

- Za co więc najstraszniejszej pomsty szukasz?

- Człowieka co chciał mnie poślubić okrutnie okaleczył, a teraz czyha aby go zabić, mnie niegodnym związkiem pohańbić.

- Udzielę ci ziela. Dasz wszystko na raz, w tydzień ze świata zejdziesz. Jeśli po szczypcie, najlepiej o wschodzie i o zachodzie codziennie, w rok się z żywotem pożegna. Przed odjazdem do mnie wstąp, wtedy dostaniesz, wcześniej nie.

- Będzie jak każecie, babko.

- A teraz zapłać i na krzyż przysięgnij! - zdjęła ze ściany krucyfiks - że nigdy w żadnej dobie nie powiesz, kto ci złe ziele dał, ja zaś klnę się na mękę pańską twoją tajemnicę po grób zachować.

- Amen - odpowiedziała Nasta.

Nazajutrz wybrała się z matką do miasta, poprzez zrzeszenie prawników wybrała adwokata.

- Liczy się czas, panie mecenasie - obie z matką podpisały pełnomocnictwo. Nasta musiała uzyskać przejęcie praw opiekuńczych nad Idiotą, inaczej nie mogła wywieźć go z kraju.

Potrzebowała pieniędzy, dostała je od Maryny. Ku oburzeniu pozostałego rodzeństwa otrzymała spłatę od ręki. Oprócz swojego działu pozostawiła najstarszej siostrze schedę przynależną Idiocie, lecz za jego dziedzictwo nie zażądała ani grosza.

Wróciła do Warszawy, nie zwlekając większą część sumy otrzymanej za swoją ojcowiznę zamieniła na dolary u cinkciarza pod stołecznym hotelem i zamówiła rozmowę z Paryżem.

- Przejmuję opiekę nad upośledzonym bratem. Nie przekonuj, już się z nim nie rozstanę - zawiadomiła Erardo, który jeszcze nie zdążył wyrazić żadnej opinii. Pod desperacką stanowczością ukrywała niepokój.

Markiza zatkało.

- Będzie miał nareszcie ludzkie życie, a ja kogoś bliskiego przy sobie - zagadywała tę nagłą ciszę w słuchawce.

- Co ty sobie wyobrażasz, kto poniesie koszt? - nie zdzierzył w skórze czterdziestego szóstego diuka Galeani, wychowanka Oxfordu z nieporównaną klasą umięjącego znieść każdą, najbardziej zaskakującą sytuację.

Przemówił człowiek trzeźwy i rozgniewany.

- Posłuchaj, mała, nie ściągaj mi na kark krewnych.

W żadnym razie nie mam zamiaru utrzymywać członków twojej rodziny. Uprzedzam, na brata nie dam ani centima.

- Nie proszę o pomoc, chciałam cię tylko zawiadomić, że nieprędko powrócę. Muszę zdobyć środki na koszty cywilne, wyprawkę i podróż chłopca. Po powrocie do Paryża również

postaram się nie być ciężarem. Zarobię na sobie i Piotra. Po tamtej stronie znowu zapadło milczenie. Nasta złą-  
kła się, że przeciągnęła strunę.

Zarobić! Ona chce się wyrwać na scenę, dlatego cała ta heca z ukochanym bratem, o którym przedtem nie słyszał jednego słowa. Jeśli nie jest kompletnym kretynem, za-  
pracuje na swoje utrzymanie, jeżeli głęboko upośledzony, umieści się go w przytułku, postanowił markiz i ustąpił.

- Zgoda. Możesz zabrać brata. Otrzymasz pieniądze na przyśpieszenie formalności.

286

287

Połączył się z Genuą. Carlo przekazał zlecenie do War-  
szawy. Miał rozliczenia z impresariem Państwowej Agencji  
Sztuki, a prywatnie naganiaczem Artystek, ów zacny me-  
cenas estrady bezzwłocznie dostarczył zleconą sumę pod  
wskazany adres.

Nasta smakowała swobodę, ale przez myśl jej nie prze-  
szło pozostać tu na stałe. Postawiła na Paryż gęsty od  
wielkich, dużych i małych scen, tylko tam widziała swoją  
szansę, chociażby po trupie markiza Galeani.

Warszawa wydała się uboga. Nieciekawe wystawy,  
skromny wybór dóbr, mało samochodów, drogie i rzadkie  
lokale, niegościnne wieczory przygniecione mrokiem, jak-  
by nie chciały świecić apatyczne latarnie, zniechęcone pu-  
stką z rzadka zakłócaną odgłosem pojazdu, krokami za-  
późnionego przechodnia, krzykiem pijaka. Oglądała mia-  
sto z perspektywy widza, dobrze sytuowanego przybysza  
ze stolicy świata.

Na ulicach panował uniform w barwach granatu i czer-  
ni. Po brukach, asfaltach, wądołach wiecznie rozkopanych  
jezdni, zrywanych i znów kładzionych nawierzchni, bez  
względu na pogodę ławicami sunęły ortalionowe płaszcze  
szyte z przemycałej, kradzionej, pokątnie zdobywanej tka-  
niny niedawno wylansowanej przez Włochów. Kosztował  
taki deszczowiec średnią miesięczną pensję, nie przepu-  
szczał powietrza, szeleścił jak żagiel puszczonej na łopot.  
Śródmiejskie deptaki zaludniały Bardotki z długimi wło-  
sami zebranymi w pędzel, kopie Zofii Loren, Lolobrygidy.  
Ubierały się w szerokie spódnice na krochmalonych halkach,  
brak modnej bluzki zastępowały trykotowym podkoszulkiem  
wykrawając głęboki dekolt i domowym sposobem farbując na  
kolor sadzy. Nosiły trumniaki, płytkie pantofle bez obcasów  
zdobywane na bazarze przy Skaryszewskiej pośród stert ła-  
chów kipiących z płacht rozścielanych na bruku. Przeważnie  
dary amerykańskich krewnych i stowarzyszeń dobroczyn-  
nych, skupowane przez handlarzy w Nowym Targu, Rzeszo-  
wie, Suwałkach. Dziewczyny niezamożne polowały na teni-  
sówki, wycinały je w kształt czółenek i barwiły na czarno, rą-  
bek obszywały tasiemką albo bizowały skórą.

Sklepy jak gdyby z innego świata, nie przyjmowały do wiadomości mód, upodobań i snobizmów chodzących ulicami, miały do sprzedania wciąż to samo obuwie o fasnach wiecznych, z kiepsko wyprawianych surowców, takie same smętne przyodziewy zwisały z wieszaków jak odrzucone oprędy nieudanych motyli.

Elegancka Nasta nosiła swoje olśniewające stroje z najświeższego żurnala i zbierała jak pamiątki zawistne spojżenia dziewczyn ubranych w biedne, pomysłowe, sztywne szmatki.

13.

W Puszczy ukazał się najpiękniejszy jeleni, jaki kiedykolwiek przebiegał leśne ostępy. Uosobienie wszystkich zabitych, ulepiony z ich bezcielesnych bytów.

Zwierzęce dusze są nieukształcone, maleńkie, mniejsze od ziaren piasku, bezsilne i nieme zalegają na niebieskim wygonie, wołają o sprawiedliwość usypując się w wydmy. Nawarstwione stają się klepsydrą oznajmającą bezlitosne trzebienie. Wtedy z ich dawnych, ziemskich postaci Bóg łądzi najdoskonalszego rogacza i posyła tam, gdzie krzywda stworzeń przebrała wszelką miarę.

Cudownie piękny, niematerialny byk, poza niezwykłą urodą, niczym się nie odróżnia od żywego. Ale nie można go schwytać, nie mają się go sidła, ni paści, ni breneki. Nie, nie jest łagodnym towarzyszem Świętego Huberta, naznaczonym krzyżem między rozgałęzieniem korony, czyniącym go nietykalnym, tylko mścicielem, groźnym fantomem, karą na łowców, z zatraconym sumieniem.

Chyży jak wiatr, przez mgnienie miga gniadym kształtem, przepada, myśliwy nie zdąży się złożyć do strzału - to ostrzeżenie. Wodzi po lesie, po gęstwinie, odsłonięty przystaje na wykrocie, niedosiężny znika na topieli - pozostawia szansę ratunku. W trzecim przypadku niesie zgubę. Wabi nieruchomy na odkrytej przestrzeni. Pocisk odbija się od niezniszczalnej zjawy, razi

289

łowcę. Umierając widzi ogromniejącego jelenia wieńcem sięgającego niebieskiego stropu.

Tak bają pośród Puszczańskich.

Klechda, co zdawało się zesła do grobu wraz z najstarszymi ludźmi, znowu odżyła, nieśmiertelna jak boży rogacz. Przez Bogusza. Postrzelił się w rękę. Podobno przy czyszczeniu flinty. Nikt nie wierzy. Za stary praktyk na taką niezręczność.

Prześmiewcy powiadają, boży jeleni zląkł się rzeźnika i spudłował. Teraz minie znowu z pół wieku, zanim wypełni się klepsydra i pojawi karzące widmo. Wcześniej Bogusz wystrzelał w Puszczy wszystko co się rusza, nawet mrówki. Prawda o wydarzeniu nigdy Boguszowi nie przejdzie

przez gardło. Najpierw w świetle księżyca ukazał się samiec. Objawił ruchem, kołysaniem nagich krzewin, szelestem gałązek podszytu i niespodzianie ożył doskonałym, niepowtarzalnym kształtem w smudze bladej poświaty leżącej na przesiece pośród starodrzewu. Zastygł na krawędzi urwiska wyciętego w równinny mursz u zaczątków bagna. Czarna sylweta na tle jaśniejącej tarczy. Uniósł głowę, niuchał wiatr. Dorodny kozioł, od dojrzałego rogacza odróżniały go tylko parostki na zgrabnym łbie.

Wiało od olsu.

Wszystko to Bogusz odebrał jednocześnie z szybkością migawki, odbezpieczył i wycelował dryling, ale nie zdążył spuścić kurka. W tym samym momencie gwizdnęła kula. Strzelono do mnie - pomyślał i upadł gdzie stał. Jednocześnie wypaliła jego strzelba.

Nigdy nie zapomni dojmującej świadomości posiadania głowy, pleców, wystających pośladków, z jaką wtulił się w ziemię, wczepił w podszycie. Z pełnymi garściami wydartego mchu skoziolkował z pochyłości i runął aż klasnęło u podnóża stromizny w mokradło, zarosłe turzycą, wikliną, karłowatą sosną.

Wszystko ujrzał niezwykle wyraźnie. Zabarwiony miedzią księżyc zawadzający brzegiem tarczy o garb porosły skrzypem, jak narysowane tuszem kontury węzłów, rozczłonkowanie łodygi i falbany przy zgrubieniach rośliny,

rozrzedzone cienie podmalowane światłem cynobrowego dysku, wpisany w jaśniejący okrąg nagi konar olszy. Wysoko nad nim czaił się widmowy ogrom starodrzewu.

Ustał czas. Oczekiwanie na ostateczność miało inną miarę. Miarę grozy.

Przetrwał pogłos salwy, aż echo wessała topiel, podniósł się oszołomiony upadkiem, odszukał zwierzęcą ścieżkę łagodnymi zakosami prowadzącą ku górze i znowu znalazł się na wierzchołku skarpy bardziej odkryty niż przed chwilą, gdy straciwszy oparcie stoczył się na kępy moczaru. Jeśli strzelec z Czarciej chciał, mógłby go teraz zabić.

Odnalazł dryling i dopiero zobaczył farbę na rękawie. Jestem ranny! Zbiegł ze skłonu wzniesienia, oddartym podółkiem koszuli opatrzył rękę, obejrzał flintę. Pamiętał, mierząc do samca odwiódł spust, w tym samym czasie, krótszym niż mgnienie, nad jego głową przeleciał pocisk. Padając, tak niefortunnie odrzucił albo upuścił broń, że wypaliła raniąc go w ramię. Próbował rekonstruować wydarzenia, ale ich nie pamiętał. Strach wymazał wszystko ze świadomości poza światem kuli, która przemknęła nad nim i utkwiała w pniu sosny. Wiało od olsu. Strzał padł z olsu.

Dlaczego samiec nie wyczuł ukrytego tam człowieka.

Powinien zbiec zanim Bogusz zdążył go zobaczyć. Niemożliwe, aby dziki kozioł czując nieznaną zapach stał spokoj-

nie. Nie ma samca nie uciekającego przed obcym cuchem. Strzelec ukryty na bagnach nie celował w kozła, mierzył do Bogusza. Chybił albo straszył. Chciał rzucić go brzuchem na ziemię. Znowu poczuł swoje wystające poślądki i dręczący wstyd równy przeżytej grozie. Oto kim jest, tchórzem z wypiętą dupą. Dlatego nie opowie nikomu co przeżył na Czarci.

Tamten też nie opowie, a jeśli zawiedzie go instynkt i nie utrzyma w tajemnicy kogo zmusił do padnięcia na płask, Bogusz go dostanie. Sam nie wie co woli. Aby jego hańba pozostała w cieniu czy żeby strzelec się zdradził. Powrócił na Czarcią, dokładnie obejrzał miejsce.

Na skarpie stromo opadającej w mursz zarośnięty turzycą, wikliną garbatą siewką, odnalazł skaleczoną sosnę

291  
z płatami odłupanej kory i odszczepioną warstwą łyka. Z twardzieli wydłubał stożek szarego metalu. Rozpoznał karabinowy pocisk.

Od dwóch dziesiątków lat nie strzelał w Puszczy żaden karabin. Dwadzieścia lat temu z takiej broni zabito gajowego na Pohorze. Zemsta kłusownika. Wykryto zabójcę, odnaleziono urzyn, przeróbkę z karabinu. Od tamtej pory nikt w Puszczy nie użył takiej strzelby. Aż do teraz.

Kto? Z pamięci wywołuje znajome twarze, myśl zatrzymuje się przy Anieli. W ich domu był karabin zdobyty przez ojca, później z pewnością najcenniejsze dziedzictwo Milczka, odludka, championa tarcz na jarmarkach i odpustach, kłusownika. Jeśli samopał przetrwał w ukryciu, teraz bez wiedzy, lub za zgodą Anieli mógł trafić w ręce brata Artystki, szaleńca.

Bogusz nie posądza gospodyni o złe zamiary wobec siebie, ale w Puszczy mężczyzna nawet przygłupi, plus cyniel, równa się świeże mięso. Aniela dobrze o tym wie.

W takim razie to osiłek ze dworu rzucił Bogusza twarzą na ziemię w odwecie za swój strach i upokorzenie, gdy Łowczy przyłapał go na niszczeniu paśnika i trzykroć, raz za razem wypalił mu pod nogi. Podejrzenie umacnia zamysł Bogusza: przegnać tę parę z Sarniej.

Najpierwszą przyczyną stał się dwór.

Kiedy wspomnienie po pańskiej sadybie poczęło przyoblekać się w cios, cegłę i drewno, jeszcze nie obchodziło Bogusza co się wyprawia na morenie nad przełomem Rzeki. Gdyby tam pojawiła się jaka flinta, co innego, ale nie interesowała Artystka z nieznanym Boguszowi nazwiskiem. Artystek sławnych i znanych w Warszawie nie brakowało. Passe-partout do wszystkich teatrów miał w biurku. Gdyby chciał, mógł codziennie w łoży zasiadać.

Nie zasiadał, chyba w związku z jakąś oficjalną galą. Czasu nie starczało, a kiedy uwalniał się od zajęć, uciekał z miast na Błota. Tak mawiał z nawyku. Jego siedziba, domek

myśliwski, jak lubił go nazywać, stała nad Rzeką w Sarniej. Później, kiedy objął dyrektorską tekę z uprawnieniami ministra, przydzielił sobie helikopter i mógł tam bywać, jeśli pozwoliły obowiązki, nie tylko niedzielami ale i w tygodniu. Jednak zawsze żałował czasu na bezowocne spacery. Nie interesowała go dworska ruina i poniżej swojej godności uważał pójście i gapienie się na budowę niczym pierwszy lepszy.

Helikopter oprócz wygody przydawał ważności. Nikt pochodzący stąd nie osiągnął stanowiska równego Boguszowi, nikt nie rozporządzał takimi środkami lokomocji. Stalowa ważka dopiero brzęczała nad linią przewodów znaczących się łysym pasem wyciętych drzew, a już ludzie biegli skrótem przez las i oblegali sztachety grodzące boguszową dziedzinę.

Póki nie zaczął przylatywać, nigdy tu z bliska nie widziało helikoptera, lecz nie sama tylko maszyna ze śmigłem młynkującym nad dachem zapewniała lądowaniu stałą asystę. Za każdym razem sprowadzał ludzi helikopter z Boguszem w środku, przemieszczający go z ministerialnych gabinetów, warszawskiej willi, do domu nad Rzeką. Sprowadzała magia sukcesu osiągniętego przez człowieka stąd. Jedni Bogusza nienawidzili, drugich zżerała niczym nieukojona zawiść, inni go szanowali, jeszcze inni schlebiali, szukając przy nim własnych korzyści. Nie znalazło się dwóch puszczańskich z jednakowym zdaniem o potężnym ziomku.

Nieużyty, pomoże pchnąć dziecko do szkół, rządzi się jakby Puszcza należała do niego, zadba o lepszą pracę dla krajana, pyszny, zarozumiały, da poparcie na zagraniczną robotę, za jelenia człowieka zgnoi, w nieszczęściu wesprze, nie ścierpi odmiennego zdania, zdarzało się z kryminału wyciągnie.

Co by jednak nie mówili, stanowił żywy przykład społecznego awansu. Tęga głowa, sprytny, obrotny, przecież jednak tutejszy. Swojak. W dzieciństwie tak samo chodzili boso w podobnie łatanych portkach, przeważnie donoszanych po starszych braciach. Jego matka, jak i ich matki, len siała każdej wiosny, przędła całą zimę, nad krosnami ślęczała do sadzenia kartofli, jednak nigdy nie miała z czego utkać tyle partu, żeby wszystkim mężczyznom w rodzinie starczało co roku na nowe spodnie.

292

293

Jeśli powiodło się jemu aż sięgnął wysokich godności, chociażby skromniej może powiedzie się ich dzieciom, a jeśli nie dzieciom, przynajmniej wnukom.

Bogusz wydobywał się z brzucha metalowego owada i pozdrawiał zgromadzonych przy płocie podniesieniem ręki, jak nieprzymierzając pokazywany w telewizji pierwszy sekretarz, albo amerykański prezydent co przyleciał odpo-

cząć w wikient na swoim ranczo. Podchodził do parkanu, witał się jak swojak, częstował zagranicznymi cygaretkami, sam także zapalał, pytał o zbiory, albo o zasiewy, zależnie od pory roku, gasił na wpół wypalonego papierosa i szedł do mieszkania. Kto chciał mógł zaraz oglądać jak rozdżiany, tylko w krótkich majtkach, albo gdy chłodno w eleganckim dresie golarką do trawy strzygł łąkę w jaką zamienił zbcze moreny, naturalnymi tarasami obniżającej się ku Rzece.

Odkąd wśród znaczących albo posiadających duże pieniądze mieszkańców miast nasiliła się moda na wiejskie domy, kiedy dacje prócz wygody zaczęły świadczyć o powodzeniu, kilka osób pobudowało się w Sarniej. Sadzili róże, irysy i inne hodowlane kwiaty, a Bogusz nie, tylko darnią umacniał osypiska i przycinał murawę ilekroć się pojawił. Prędko też krzyż pański zaczęli z nim mieć ci od ozdobnych roślin, bo gminie dyktował czego ma zabraniać daczownikom. Miała zabraniać kopania i upraw na stokach, najwyżej mogli kłaść darniowe łaty na łysinach, brzegi osłaniać cukrową różą.

Karbowy. Złościł ludzi. Jeszcze wtedy żyli z głęboko zakorzenionym przekonaniem: nie było nas był las, nie będzie nas będzie las, i na swój sposób pragnęli upiększać krajobraz, który wydawał im się zbyt surowy, zbyt biedny, zbyt pospolity, nie dorównujący statusowi, ich aspiracjom. Pewnego dnia Bogusz opuściwszy sztuczną ważkę ze zdumieniem zdradzonego władcy nie zastał za sztachetami stałej publiczności. Nikogo. Zdziwił się, aż tak go obezszło? I zaraz niepokój, czyżby oni, tutajsi, dowiedzieli się o nim czegoś, czego sam jeszcze nie wiedział. O jakichś niekorzystnych przetasowaniach kadrowych. Bogusz się zachwiał i sarniejacy odbiegli? Oto co warta przychylność tłumu. Motłoch. Ciemnota.

Nonsens. Ostatnio zrobił się zbyt nerwowy, gdyby miał spaść to w innej aurze, najpierw więksi od niego musieliby runąć. Najwięksi. Z samego wierzchołka.

W domu zastał obiad upchnięty do lodówki i lakoniczną kartkę od Anieli. Ma sobie sam podgrzać i usłużyć, ona dzisiaj nie przyjdzie, pilnie zajęta we dworze do późna. Kolnęło go, cóż ona tam takiego robi, kosztem jego, Bogusza, wygody. Gotów był natychmiast ją odprawić, za dobrze u niego miała, rogi jej urosły. Nazajutrz niedzielnym rankiem zarzucił flintę na ramię i poszedł w górę Rzeki. Po drodze spotkał jednego z Boguszów.

- Też idzie obejrzeć budowę? Wczoraj wieniec zatknęli, do szarówki majstry się gościli, wasza Aniela poczęstunek szykowała - doniósł błotniański krajan.

Z początku rekonstrukcja dworu nie wzbudziła we wsi szczególnej ciekawości. Od blisko czterech dziesięcioleci był martwy, nie istniał. Czas kruszył budynki, a i pu-

szczańscy walnie się przyłożyli odkąd pozostał niczyj. Stał na uboczu, z dala od ludzkich oczu, niepilnowany, kto przechodził skubnął. Rame, futrynę, mosiężne zawiasy, cegłę, aż wyskubali ze szczętem. Dopiero po nowym podziale administracyjnym znowu pojawił się konserwator i znowu spisywał zabytki. Własną ręką umocował następną tablicę w miejsce zardzewiałej i już nieczytelnej: obiekt chroniony, podlega Kulturze, później odbyła się sesja Rady Narodowej dotycząca ratowania dziedzictwa, stwierdzono brak środków i na tym się skończyło zainteresowanie szczątkiem dworu. Prawdę mówiąc wtedy już nie bardzo było co ratować.

I tak pozostało. Resztkę czegoś zamierzonego zasnuwała Puszcza i niepamięć. Odkąd jednak stało się wiadome, że Artystka nie zwyczajny letni dom, ani willę szykuje, tylko pańską sadybę na dawny strój odtwarza, z Sarniej, Pohory, Błot Szlacheckich, z Gawry, a nawet dalszej okolicy ludzie tutaj ciągnęli popatrzeć jak się buduje dwór. Moda taka powstała, w święto zwłaszcza, przespa-

294

295

cerować się do starego mostu. Szli starzy i młodzi, rodziny z dziećmi, panny z kawalerami, wszyscy ciekawi jak się od nowa stawia zabytek. Tak się Bogusz dowiedział kto mu odebrał publiczność i Anielę.

Dwór.

Stał w świetle poranka oślepiająco biały, z dachem pokrytym czerwoną karpiówką, tęczywały wymyte szyby, nad szczytem powiewała wiecha. Prezentował szlachetność proporcji, budulca, kunszt rzemiosła i bezbłędne wkomponowanie w krajobraz, jakby w tygodniu boskiego ładu kształtował się wraz z pagórem bujającym mdrzewiami, Rzeką w dzień roztapiającą światło słońca, wieczorem dymiącą oparem, nocą rozszczepiającą w nurcie odbicie księżyca. Wraz ze skarpą, Puszcza, głazami oczekiwał na szósty dzień stworzenia, aby przyjąć pod dach pierwszą parę człowieczą.

Po co było dziedzica wyrzucać, pozwolić do cna zniszczyć budynkom, żeby teraz jakaś nowobogacka mogła się bawić w jaśnie panią? Poczul Bogusz pierwsze tknienie zawiści. Nie był odosobniony w owym uczuciu. Inni już się ruszyli. Niby patriotyczne oburzenie, obłudna troska, demagogia, opory ideologiczne wylały się na papier i popłynęły do urzędów. Anonimowo. Komitet, Prokuratura, administracja wojewódzka, centralna doświadczyły szczególnej obywatelskiej troski. W niepodpisanych listach donosono, że zasoby budowlane gminy pochłania dwór. W czterdzieści lat po parcelacji powstaje nowa warstwa obywateli ziemskich, gorsza niż pan z panów, dorobkiewiczów. W masywie sarniej skim zakup Artystki był wydarze-

niem bez precedensu. Bogusz niby się zgadzał z nową formą ratowania zabytków, niby podzielał: opinię ludzi, którym barbarzyńskie wyniszczenie historycznych budowli nie było obojętne. Stanowiły dziedzictwo narodu, świadectwo przeszłości, ciągłość tradycji. Skoro państwu brak środków na odbudowę, niechaj kto może dźwiga, je własnym sumptem.

Wszystko wydawało się oczywiste, właściwe i dobre, póki dotyczyło innych, nieznanych, niewidzianych, ale ten zabytek został wskrzeszony w Sarniej i zaczynał boleć. Po powrocie z dworskiej moreny Bogusz długo przyglądał się swemu domowi obcymi oczyma, krytycznie, jakby go dopiero zobaczył. Patrzył i posepniał. Trapił żal, nie mógł sobie darować, że budując nie potrafił wyjść poza modne wówczas schematy, określony standard różniący się od innych podobnych zaledwie detalami.

Wzniesiony był z pięknych, starannie dobranych mdrzewiowych bierwion, usłużnie zakwalifikowanych przez Nadleśnictwo jako wiatrołomy, co zredukowało wartość przedniego budulca do ceny opałowego drewna.

Jego dom miał gonty smołowane, ściany złote pod matowym, bezbarwnym lakierem sprowadzonym z zagranicy, odnawiany pieczołowicie nie siwiał od deszczów. Oparty o ścianę starodrzewu, frontowymi oknami przyglądał się łące opadającej tarasami ku Rzece, szczytem obrócony do wjazdu obsadzonego północną jarzębiną. Od sierpnia płonęła czerwonymi kiściami na tle ciemnej, jodłowej zieleni. Zimą obisały ją ptaki pożywiając się uwarzoną mrozem jagodą. Na czubie wzniesienia stały lipy, drzewa owocowe, młode orzechowce. Cukrowa róża gęstwą oplatała ogrodzenie i przemycała pędy do warzywnika, gdzie amarantami kwitła grządka maku zasianego przez Anielę. Kiedyś to wszystko napawało dumą, dawało radość posiadania, było piękne, odkąd jednak Bogusz ujrzał dwór, utracił swój dom i nigdy nie odzyskał, nigdy nie zobaczył takim jak dawniej. Przybłęda zawładnęła puścizną po panach Sarniejskich.

Jeśli już komuś należała się tamta oślepiająco biała budowla, to jemu. Rozgoryczony nie chciał pamiętać, że do tej pory nawet nie pomyślał o odbudowie ruiny. I za ten brak wyobraźni, co nie sięgnęła ziemiańskiej siedziby, póki nie zajął się nią ktoś inny, także winą obarczył Artystkę.

Pomniejszyla go ta komediantka, obieżyświat podejrzanej prowienienencji. Ileż czasu on, wysoki urzędnik, dwadzieścia pięć lat na kierowniczych stanowiskach, człowiek elity władzy, dorabiał się swojej drewnianej zagrody, natomiast jakaś diva, w kilka miesięcy z pomocą wysoko opła-

niej mosiężnej klamki. Więc jak to jest?

A ludzie jakby się uwzięli, donosili o zwożonych parkietach, posadzkach, glazurach. Opowiadali jak się układa pawimenty, szlifuje sztablatury, odtwarza sztukaterie, zwłaszcza rozetę w wielkim salonie, ustawia antyki, rozściela kobierce, zawiesza obrazy i kryształowe meluzyny. Wszystko obrażało. Odkładała się niechęć do Artystki. Sama świadomość jej obecności w pańskiej sadybie zaczęła przeszkadzać. Dlaczego właśnie ona. A cóż to za ważna osobistość! Nie mieli innych chętnych, jakiejś instytucji, bodaj funduszu wczasów.

Artystka długo nie przyjmowała do wiadomości istnienia najważniejszej osoby w Sarniej. Nie zaprosiła na osiedliny ani w żaden inny sposób nie wyraziła chęci nawiązania znajomości. Dopiero po roku, może nawet później przysłała zaproszenie. Szyk. Zagraniczna papeteria robiona na zamówienie. Perfumowany welin koloru lawendy, w wąskiej kopercie tej samej barwy. Otrzymał ją na adres przedsiębiorstwa, drugą wyjął ze skrzynki na listy w Sarniej.

Nadała w dwa miejsca, żeby na pewno dotarły na czas. Zastanawiał się czy powinien tam pójść. Nie jest pierwszym lepszym aby biec na skinienie, ale ona również zadzwoniła i zaprezentowała się ujmująco. Bogusz nie miał sumienia odmówić sobie obejrzenia z bliska pani na mienie i dworu ode środka.

Może byłoby zdrowiej, gdyby nigdy nie przestąpił tamtego progu. Wtedy wszystko na dobre się zaczęło, męczące, prawie fizyczne odczucie z czasem sprecyzowało się w myśl: lepiej gdyby dworu nigdy nie odbudowano. Ale ponieważ już mocno stał na podmurówce z kamiennego ciosu, niechaj nie ma go nikt, niechaj będzie państwowy, spółdzielczy, bezpański, albo znowu zniszczone, rozsypie się w ceglany piarg, byle nie pozostał przy niej. Ona musi wynieść się z Sarniej, należy ją z tego dworu wysiudać, jak mawiano w Błotach za jego młodości.

Kręcąc bat na Artystkę, wiele razy siadywał przy jej stole z innymi gośćmi w słynnej kuchni. Jak z flamandzkiego obrazu zstępowała Aniela z półmiskami, mijając treliarz dzielący olbrzymią izbę na dwie części.

Cierpiał.

Czuł się ograbiony. Wymówił Anieli pracę tego samego dnia, w którym zobaczył ją przy odbudowanym dworze, podająca jedzenie majstrom murarskim. Zaraz zrozumiał jak ułatwił jej sytuację. Podkupiona przez Artystkę, niebawem sama by odeszła. Przynajmniej zachował twarz. Jednak świadomość odprawienia nielojalnej sługi nie koła poczucia straty, bolał, jakby mu ukradziono coś bardzo cennego. Podczas pierwszego wieczoru Bogusza u Nasty, przy kolacji mówiono o licującej kuchennym trzon renesansowej glazurze. Bogusz pamiętał stary, dworski piec zbudowany

z podobnych kafli. Także miały wypukłe ornamenty i kolor grynszpanu. Aniela z pewnością ich nie zapomniała, jakżeby, przecież już podlotkiem należała do czeladzi, rozpałała ogień, wygarniała popiół, nosiła drwa.

- Aniela pamięta piece Sarniejskich, były identyczne i pewno nawet wie gdzie się podziała tamta okładzina - nie wytrzymał Bogusz.

- Trzeba by w willach nad Wielkim Jeziorem poszukać

- roześmiała się Aniela.

Żmija. Bogusz ukrył złość. Jaka harda, jaka bezczelna zrobiła się ta chamka, lokajska jej dusza. Odkąd przestała jeść jego obrok, śmie odpowiadać. Pewno myśli, że jak sprzedała się Artystce za nową, kalenicę, nikt już jej rogów nie przy trze.

Nad Jeziorem stoją modrzewiowe domy, podobne domowi Bogusza, jakby wyszły z jednej formy, własność ludzi władzy z Grodziszczu. Kiedy oni się budowali we wczesnych latach siedemdziesiątych, dwór już dawno był rozkradzony.

Kolacja dobiegła końca, Nasta dała znak do wstania od stołu, powiodła gości ku otwartym drzwiom Wielkiego salonu. Płynęła w długiej sukni z mory koloru dymu, światło ruchomymi falami przesuwano się po raporcie splotu sztywnego jedwabiu, wpięte w uszy chwiały się turkusy oprawione w srebro, turkusy oplatały nadgarstki, szyję,

298

299

palce. Intensywnie niebieskie kamienie, podkreślały barwę oczu, przypominających jeszcze jedną parę kaleitów. Aniela obnosiła tacę z koniakiem, goście zalegali fotele i wyściełane berzery.

- Nie za wieczną młodość sprzedał siebie Faust, za cenę duszy pragnął kupić nieprzemijającą miłość, nigdy nie zubożeć, nie zatracić wrażliwości. Nie zmarszczki tylko chłód serca, wystygłe ciało jest przekleństwem homo sapiens, przesądza o ostatecznej starości - mówiono obok. Takie ple, ple, ple - myślał z pobłażaniem. Szacowanie otaczającego zbytku nie przeszkadzało słuchać o czym rozmawiano.

Gadanie. Starość jest starością i żadna świeżość, często schorowanego mięśnia, nic nie pomoże. Jak był w Espe, dawne czasy, a jednak wydają się dopiero minione wczoraj, więc kiedy był młody i jeździł kopać kartofle, zbierać siano, kosić żyto, metr ziemniaków brał na plecy bez wysiłku, a teraz nie weźmie, nie jest jeszcze stary, nie czuje się stary, a nie dźwignie i nie zarzuci na ramię worka pełnego ziarna czy bulw, od tamtej pory minęło ponad cztery dziesiątki lat i tyle co wówczas, bez szkody dla siebie, nie uradzi, chociaż trzyma się dobrze i nie wygląda na swój wiek, dla mężczyzny najważniejsze jest zachować

czuprynę, nie zarosnąć tłuszczem, dbać o mięśnie nóg, zwiotczałe łydki, wyschnięte uda mówią o latach. Mijane lustro w rzeźbionej ramie odbija prostą sylwetkę w granatowym garniturze. Bogusz odruchowo przygląda włosy. Ze swojego wyglądu jest zadowolony. W ogóle jest z siebie rad. Długo jeszcze będzie mógł zjeść i wypić, polować i podobać się kobietom. Lubią mocnych mężczyzn, którzy do czegoś w życiu doszli. Bogusz doszedł. Artystka też. Ciekawe ile ona ma lat, nie pierwszej młodości niewiasta. Widać. Może mieć ze czterdzieści albo i sześćdziesiąt zaklepane tymi tam błaszami, odmłodzone chirurgią plastyczną, one to potrafią wszystkie bez względu na pochodzenie i zawód. W jej profesji aparycja należy do warsztatu, chociaż na przykład taka Piaf była niepozorna i pokręcona reumatyzmem, zwłaszcza ręce przypominały kle-

300  
szcze kraba, sam widział w Paryżu, wtedy przywiózł żonie lakierki, modne były lakierki na szpilce, u nas zawsze się spóźniali z tym co się akurat nosiło na świecie, stąd te nieprzytomne pogonie za ciuchem o nowej linii.

Rzemiosło nawet nadażało, tylko przemysł lekki nie, istny zółw na krajowy rynek, zawsze najpierw liczył się eksport. Wówczas nie stać go było na prywatnych szewców, ile się diet naoszczędzał, cienko odmierzali stawki za Gomułki, dopiero podwyższyli w latach siedemdziesiątych, na występ Piaf by nie poszedł, ale bilet odpalił znajomy z konsulatu, też nie kupił, wziął z gratisów przysyłanych do urzędu, Piaf była mała i chuda, nieładna, a publiczność za nią szalała, może ludzie wolą idola przeciętnej urody, większość widowni jest przeciętnej urody, nie trapi ich wtedy poczucie gorszości.

Artystka jeszcze piękna, chociaż niemłoda, jednak zmarszczek nie widać, zaszpachlowane tymi jakimiś pudrami w kremie, w kamieniu w płynie, zaciągnięte smarowidłem, one to nazywają mastyks czy jak, wiek zdradzają cienie pod oczyma i pergaminowa skóra na skroniach, widocznie nie daje się zapolituować kosmetyką.

To światło pomaga ukryć czas. Złote, ciepłe, ruchliwe tuszuje mankamenty, świece z pewnością woskowe, pachną patoką, piękne świeczniki, stylowe srebro, ciekawe, podrabiane czy prawdziwe z epoki, pełno tu starych, cennych sprzętów, dobrze, bardzo dobrze wyglądają poczerwieniałe ze starości mahonie na tle białych ścian wyprawionych sztablaturą, dawni panowie wiedzieli co piękne, interesujące czy to jej gust, pewno miała znających się na rzeczy doradców, koncertowy fortepian też w cynobrowym nahoniu, berzery, stoliczki, fotele, nic więcej w tym olbrzymim salonie, tutaj w bardzo ładnym kominku olicowanym piaskowcem rytym w ornamenty tak samo jak portale, nie rozpala się ognia ze względu na przeszklone kryształem szyfoniery, same będąc majątkiem, prze-

chowują jeszcze większy majątek, zbiór unikalnych partytur i kolekcję instrumentów muzycznych, czy może odwrotnie, nigdy nie potrafił zapamiętać różnicy między kolekcją a zbiorem, chociaż wie, nie są to pojęcia wymienne.

301

Ujmuje go pod ramię Artystka wiedzie od witryny do witryny, objaśnia.

Olifant, Fletnia Pana, Szałamaja, dzwonki, cynki z koci słońowej i cynki skromne, obciążone skórą drewnianą... vina, kot, tayuc, monochord, instrumenty egzotyczne: er-hu, szemisen, sansjan, datur, pierwszy raz widziane kształty, słyszane nazwy.

Musiały kosztować, nigdy by nie utopił pieniędzy w czymś takim, chyba w szczerolotym i komu służą, kto ogląda poza jej gośćmi, kto ma z tego korzyść poza jej snobizmem? Nawet jeśli stanowią dobrą lokatę są kłopotliwe, wymagają konserwacji, odpowiedniego klimatu, miejsca, stałej temperatury i nawilgocenia powietrza utrzymywanych w gablotach. Wewnątrz antycznej obudowy mają specjalne urządzenia ochronne, istne muzeum, stać ją na muzeum, ma lepiej i więcej od niego, przyćmiła go nawet tutaj, w Sarniej, pomniejszyła. Znowu doświadcza uczucia podobnego uderzeniu w splot słoneczny. Nigdy jej tego nie daruje.

Przyjął z jej rąk kieliszek koniaku, odprowadził do fortepianu. Siadła i odkryła klawiaturę. Zaczął się popis.

Naprzeciwko instrumentu wielki szpaler okrywał ścianę od białego fryzu pod sufitem aż po posadzkę. Stary gobelin o harmonijnie spleźnych barwach przedstawiał Orfeusza, Hermesa i Eurydykę. Oczy postaci zdawały się zawsze zwrócone na patrzącego, bez względu gdzie stanął, ale nie kunszt tkacki, ani wiek flamandzkiej opony, ani motyw, zresztą nic wówczas Boguszowi niemówiący, przyciągnęły uwagę.

Podążył za wzrokiem Artystki. Znad klawiatury, akompaniując sobie przy śpiewaniu, śledziła trochę gniewna, trochę niespokojna, a trochę rozbawione owe utkane osoby. Po ciężkim kobiercu przebiegały drgnienia podobne płytkim kręgom na wodzie, tuż przy rogu materia poruszyła się, jakby zakłęśła, Bogusz poczuł lekki prąd powietrza. Pod makatą są drzwi, wtedy jeszcze nie pomyślał: ukryte, drzwi uchylono, stąd ten powiew. Zauważył to tak samo zwyczajnie, jak rejestrował inne przedmioty, mahonie, świeczniki czy partytury za szybami. Dopiero później, nie wiadomo pod wpływem jakiego impulsu, począł się zastanawiać nad rozplanowaniem pomieszczeń i z czasem, wciąż jeszcze nie rozumiejąc dlaczego, ułożył sobie ich rozkład. Siedząc w fotelu, ogrzewając w dłoni kieliszek z koniakiem udawał, że słucha. W dziedzinie muzyki nigdy nie czuł się pewnie, nie znał jej smaku, nie odbierał barw, nawet nie był osłuchany. Wiejska kapela na zabawach tanecznych we wsi jego dzieciństwa i rytmy popularnych

piosenek lat pięćdziesiątych płynące z głośników przezywanych kolchożnikami, później modne przeboje z płyt i galowe koncerty, podczas których nie umiał skupić uwagi, to cała jego edukacja i obcowanie z ową gałęzią sztuki. Pieśni Nasty do niego nie trafiły, przeszkadzało nieobycie muzyczne i uprzedzenie do śpiewaczki.

Ona pewno znowu pojedzie gdzieś zagranicę na kolejny recital, znowu przybędzie kolejny plakat, fotos, program, czym wytapetowany jest sąsiedni pokój nazywany Małym salonem. Podobno swoją sypialnię kazała wybić adamaszkiem kupionym w Milanówku, jakieś resztki z zamówień pałacowego muzeum, Wilanowa czy Łańcuta, może nawet warszawskiego zamku.

Stare przedmioty z pewnością skupowała po całym świecie, chociaż tutaj biorąc pod uwagę kurs dolara, kalkulowało się najtaniej. Zna się na antykach albo ma tylko dobrych doradców, na jedno wychodzi, zgromadziła solidne, drogie, wartościowe rzeczy.

Kiedy on wreszcie zwrócił uwagę na starocie, już bardzo poszły w cenę. W tej dziedzinie ma się dużo gorszy start od ludzi ze starych inteligenckich rodzin. Spóźniony o dobre dwadzieścia lat, wiadomości o sztuce, języki obce, czytanie, poprawność wysławiania i bycia, ileż musiał nadrabiać żeby się nie odróżniać od przeciętnego rówieśnika z kindersztubą. Pewnych obszarów nigdy nie opanował, zawsze nie starczało czasu, a i nie odczuwał potrzeby. Pewno pies pogrzebany właśnie w tej potrzebie, potem, gdy osiągnął wysoką pozycję tym bardziej brakło czasu ale również niedostawało zainteresowania, bo już ustały bodźce.

Ona swojej oglądy także nie wyniosła z domu, wszystkiego musiała się nauczyć, jak nauczyła praw rządzących

302

303  
sceną, lecz opanowała bezbłędnie, jakby erudycję, umiejętność zachowania i szczególny talent towarzyski wyssała z mlekiem matki.

On tak nie potrafi. Kiedy u niego w domu pod ciężarem okryć zerwał się wieszak zrobiony z parostków sarńców, nie zważając na nic zabrał się do naprawiania uszkodzonego zaczepu, chociaż powinien przejść nad tym do porządku, ubrania ulokować gdzie indziej, żeby się nie walały po ziemi i zająć ludźmi nie szaragami. Artystka umiała nie zauważyć strąconej misy z cennej porcelany, prawdziwej Miśni, sam widział gmerk na odwrocie odłamka, który prysnął mu pod nogi. Odkąd nabrał szacunku dla wciąż drożących antyków, wie, dwa skrzyżowane błękitne miecze są znakiem Miśni.

Być może wszystko jest prostsze, sposób bycia określa nie wychowanie czy później przyswojona ogląda, tylko pieniądze tak wielkie, że strata najdroższego przedmiotu nie

jest żadnym uszczerbkiem i łatwo ją zrekompensować rzeczą równie kosztowną. Posiadał dużo, jednak nie czuł się aż tak bogaty, żeby nie zmartwić się zniszczeniem drogiego wieszaka, Artystka z pewnością miała znacznie więcej i pewno owo więcej stanowiło o dystansie do stanu posiadania.

Do siebie powrócił chory od cudzego zbytku. Własny dom wydał się ubogi. Nie cieszyły nawet panoplia nad kominkiem w otoczeniu rosochów, wieńców, łopat, ślimów i parostek, panoplia dyskretnie, jak mu się zdawało, podkreślające jego rodowód. Nie powiesił portretu pradziada kupionego w Desie, ani skałkowych pistoletów czy ułańskiej szabli antenata z tego samego źródła, nie powiesił żadnej kopii Kossaka, jak wielu jego kolegów na stanowiskach i nie powiesi. Smak trzeba mieć. Wyczucie trzeba mieć. On ma. Jemu wystarczą panoplia. Bogusz-Boguszewicz z Błot Szlacheckich nie musi szukać przodków po antykwariatach, wiecie się ze szlachty zagrodowej, lecz autentycznej. Jak sięgała pamięć, poczucie lepszości czerpał ze swojego pochodzenia, ale mieszkańcy miasta nie rozróżniali takich subtelności. Już sama nazwa Błota Szlacheckie prowokowała niewybredne żarty i wyzwiska: ciulu, chanie, maso zastodolna, skrucie przypolny, nieraz słyszał od świeżej daty mieszczan.

Zaczął się wstydzić swojej wiejskości.

Na początku lat pięćdziesiątych przestał się chwalić szlachectwem. W życiorysach i ankietach personalnych pisywał, syn małorolnego albo krótko, biedniak.

Stary Bogusz o ten tytuł dla rodziny się postarał. Żeby uciec przed piętnem kułaka, synom drogi do lepszego życia nie grodzić, rozpiął był ziemię pomiędzy wszystkie dzieci, a kilka hektarów wystających ponad obowiązujące kryteria stanu posiadania biedoty, zafirmowała Aniela Garnarczowa, córka ciotecznej Boguszówny, która się kiedyś za Pocziwego wydała.

W czasach młodości starego Bogusza i ojców Anieli, ksiądz zapowiedzi ogłaszając, o szlachcicu wyrażał się Wielmożny, o mieszczaninie Sławetny, o chłopie Pocziwy. Ze związku Wielmożnej z Pocziwym, Aniela Garnarczowa swój początek wzięła. Ale chłopianka czy nie, powinowata Boguszów Błotniańskich, a chociaż z gałęzi oddalanej, biednej i nieświatnej, w trudnym czasie solidarnie przy swojakach stanęła i w potrzebie nie zawiodła. I tak, ziemia z fikcyjnym tytułem własności uprawiana nadal przez starego Bogusza przetrwała przy bezrolnej Anieli aż po rok pięćdziesiąty szósty, kiedy to oficjalnie powróciła do prawowitego właściciela.

Wtedy już młody Bogusz pisał o sobie w ankietach: inteligent z wiejskim rodowodem, teraz zaś podczas towarzyskich zgromadzeń, gdy mowa o pochodzeniu, wtrąca niby żartem: szlachcic zagrodowy.

Podobno Artystka, przyglądając się panopliom nad ko-

minkiem w domu Bogusza podczas jakiegoś przyjęcia, miała rzec:

- Śmieszny snobizm. I jeszcze: z naganiacza na Łowczego. A po odrzuceniu jego zaproszenia na polowanie: mogę śpiewać w Chicago ale nie pójdę oglądać rzeźni. Doniesiono mu każde słowo. Brał poprawkę na nadgorliwość, plotkę, przekręcenie sensu, nawet złośliwość czy premedytację informatora. Może w ogóle niczego takiego nie powiedziała, chociaż nie ma dymu bez ognia. Zapro-

304

305  
szenia jednak nie przyjęła i to był fakt. Jego opowiadanie o łowieckich obyczajach, o strojeniu ubitego dzika gałazkami jedliny, skwitowała arogancko:

- Kiedyś człowiek walczył inteligencją, oszczepem, łukiem, mięśniami, przeważnie oko w oko z silniejszym drapieżnikiem. Wówczas te świerkowe łapki, jakimi honorowano pokonanego przeciwnika, pewno miały sens, teraz są pustym gestem, żeby nie powiedzieć obłudnym, wobec słabszego, który nie ma żadnych szans wobec drylingu, breneki, a nawet zwykłego samopału.

Jakaś zwariowana ochroniarka, pomyślał ze złością. Może tu zacząć robić zamieszanie, tylko tego brakowało. I wówczas przypomniał sobie ukryte drzwi pod flamandzkim gobelinem. Odtąd coraz bardziej chciał je przekroczyć, nie zastanawiając się, co też takiego może tam zobaczyć, ale posiadłości strzegły tresowane dogi, ogrodzenie, brama z domofonem i fotokomórką.

Koncept przyszedł mu do głowy nagle, gdy sącząc koniak siedział w salonie i udawał, że słucha jak ona śpiewa. Symulował nagły atak choroby kręgosłupa, zresztą od dawna wypraktykowany, dobry na niepożądane spotkania, dyplomatyczne uniki i zwykłego kaca. I ani się spodziewając zdobył argument do rozprawy z Artystką. Nie pomyślał, szantaż.

14.

Idiota przyzwyczajony do przestrzeni rodzinnych opłotków nie umiał przystosować się do kawałka trawnika z jednym krzewem. W mieszkaniu był nieznośnie ruchliwy, wyrządzał szkody, działał na nerwy i bardzo przeszkadzał. Nasta nie miała w usposobieniu nic z Samarytanki, ani też cienia uczucia do tej istoty niezrozumiałej i obcej, zdolnej wyłącznie do podstawowych funkcji fizjologicznych. Znosiła go jak dopust i marzyła o możliwie najprędszym pozbyciu się nieudanego brata, najpierw jednak musiała dopracować szczegóły zamierzenia.

- Nie mogłam Piotra pozostawić, traktowali go nieludzko - bez trudu wcieliła się w kochającą siostrę, prawdziwe łzy przysłoniły szaroniebieskie oczy, zatrzymały na rzęsach podobnych do kłosów jęczmienia. Chwył wyuczony

na studium dramatycznym rozbroił Markiza.

Erardo rozumiał uczucia rodzinne. Silne więzy łączyły go nawet z dalekimi krewnymi, dzieci kochał bezkrytycznie, za nic nie opuściłby żony, co nie przeszkadzało mieć zawsze jakieś inne kobiety. Dopiero teraz ugrzązł przy tej dziewczynie i jakby mniej obchodziła żona. Więc rozumiał Nastę, przypisując jej sentyment, jakiego nie żywiła.

- Potrzebujesz pieniędzy? - sięgał po książeczkę czekową.- Dziękuję. Mamy wszystko co potrzeba.

Nadal bardzo oszczędnie korzystała z pomocy, przyznawał Erardo. Nawet wyprawkę Idioty przywiozła stamtąd, zwykłą, seryjną konfekcję, co, zważywszy kurs franka, kalkulowało się znacznie taniej, niżby nabyła ją tutaj. Doceniał jej starania, chociaż nic nie znaczyła dla niego owa skrętność, podobnie jak nie znaczyła suma wydana na sprowadzenie Idioty.

Nie prosiła o prywatny zakład dla brata. Musiałby odmówić. Nie zwykł podejmować długotrwałych zobowiązań wobec swoich kobiet, a chociaż i ów koszt był drobiazgiem przy jego możliwościach, miałby uczucie, że te pieniądze odejmuje własnemu potomstwu.

Markiz nie wywierał nacisku, nie pytał o zamiary. Wystarczyło pozostawić sprawę własnemu biegowi i trochę poczekać. Rezerwę wobec jej kłopotów uważał za wychowawczą, niechaj poniesie konsekwencje wymuszonego na nim przyzwolenia. Sprawę brata powinna rozwiązać sama. Nie przyszło mu na myśl, że dziewczyna najbardziej obawiała się jego pomocy.

Sztuka po sztuce przejrzała ubrania brata i wypruła polskie znaki fabryczne, usunęła najmniejszy ślad mogący świadczyć o pochodzeniu odzieży. W soboty i niedziele, samochodem branym z wypożyczalni, przemierzała podmiejskie osady według spisu placówek opiekuńczych. Z bezpiecznej odległości, nie opuszczając pojazdu, badała

306

307  
topografię zakładów dla upośledzonych, aż wybrała położony najdalej od ludzkich siedzib klasztor Franciszkanek w Corentin-Sur-Marne pod Paryżem.

W kolejny piątkowy wieczór znowu zatelefonowała do przedsiębiorstwa wynajmu, podała Idiocie środek uspokajający, a gdy podstawiono wóz, jeszcze raz przebiegła oczyma kartkę z tekstem wyklejonym literami wyciętymi z gazety: Nazywam się Erardo. Wyznania rzymsko-katolickiego. Mam siedemnaście lat. Jestem synem korsykańskich biedaków. Zatarła wszystko co wskazywało rodowód Idioty, nie mogła zmienić jego mowy. Bełkotał po polsku. Lepiej więc nie określać narodowości, niż podawać nieprawdziwą. Usunęła ostatnie zdanie, chociaż istniało niewielkie prawdopodobieństwo rozpoznania jego języka przez obcych,

skoro nie zawsze rozumieli go bliscy.

Ten oszczędny życiorys wsunęła między odzież do worka z żaglowego płótna z wyprawką brata. Dodała stary śpiwór kupiony jeszcze przez Silenzia po ich ucieczce z Domu Lalek. Zrobiła dla Idioty wszystko. Zaopatrzyła starannie. Ona nie otrzymała od swoich, gdy wyprawiali ją w świat, nawet części tego co dała Idiocie, a przecież nie była kretynem i jechała do szkoły, nie do przytułku. Nie miała sobie nic do wyrzucenia.

W zagajniku, niedaleko upatrzonego klasztoru, doczekała zmroku, wypuszczając Idiotę tylko za potrzebą. Później dostał środek uspokajający i torebkę czekoladek. Ocieęzały, pozbawiony zwykłej ruchliwości jadł słodczyce, wydawał się szczęśliwy.

Z zapadnięciem nocy skierowała wóz w pobliże zabudowań. Obarczonego bagażem brata przyprowadziła pod parkan otaczający teren zakładu, z dała jednak od furty i nakazała czekać. Posłusznie usiadł na worku mieszczącym jego dobytek. Znowu zabrał się do pralinek. Zajęty bez reszty jedzeniem nie zwrócił uwagi na odejście opiekunki ani na odgłos ruszającego auta.

Wyrzucając po drodze gazetę, skąd wystrygła litery, klej oraz pędzelek, nie zastanawiała się dlaczego obdarzyła Idiotę imieniem swojego protektora. Pozostała jej me-

308  
tryka brata, prawo opieki i wpis w paszporcie. Teraz należało wyzwolić się spod władzy markiza i wykraść Minstre-

la. Jeszcze nie wiedziała jak tego dokona.

Rano poleciała do Bordeaux.

Tu także wynajęła samochód i w okolicach Poitiers odnalazła potrzebne jej Opactwo. U furtianki dowiedziała się o warunkach, obejrzała kaplicę, dom opieki, urządzenia rekreacyjne o wysokim standardzie. Tutaj przyjmowano tylko głęboko upośledzonych, obowiązywała wysoka opłata, ulg nie stosowano.

- Umieściłam brata w bezpłatnym schronisku u zakonnic pod Poitiers. Daleko, ale bliżej żadna placówka o takim charakterze nie dysponowała wolnym miejscem. Pannie z opieki społecznej radziły brać i zaraz odwiedzić Piotra - zawiadomiła Markiza.

Teraz mogła znacznie częściej zapisywać kompozycje Minstrela, nie ukrywając swoich podróży tak bardzo jak dotychczas. Legenda o Idiocie w przytułku niedaleko Poitiers uzasadniała wyjazdy do Akwitanii.

Istniało znikome prawdopodobieństwo, że markiz zechce odwiedzić Idiotę lub w jakiś inny sposób wyda się mi-styfikacja. Jednak na wszelki wypadek przygotowała dramatyczne wyznanie.

Nie wytrzymała już czuwania dniem i nocą, strzegąc przed Idiotą zapalek, pianina, kranów, kurka z gazem, ma-

gnietofonu i aparatury nagłaśniającej, kontaktów i innych źródeł prądu elektrycznego. Bała się jakiegoś nieszczęścia. A także coraz trudniej przychodziło jej nadużywanie dobrej woli i pieniędzy markiza. Porzuciła więc brata pod furta domu opieki klasztoru Poitiers, przeznaczonego dla ludzi bogatych, Gdzie nie ma miejsc bezpłatnych, jak skłamała. Mimo wszystko nadal pozostała obawa przed wydaniem stę jej związków z Opactwem Franciszkanek, kryjówką Silenzia. Żyła w nieustannym strachu, coraz częściej myślała o zamkniętym w blaszanym pudełku ciemnozielonym proszku przypominającym przyprawę o zwiędłym zapachu, otrzymanym na odjeździe od zielarki w Studzianem.

309

Wystarczy przez sześć tygodni podawać o wschodzie i o zachodzie szczyptę pyłu barwy malachitu mężczyźnie, który jej przeszkadzał, nie pozwalał żyć jak chciała, handlował dziewczynami, sypiał w jej łóżku, jadał przy jej stole i w każdej chwili mógł ją strącić na najpodlejsze z podłoch dno.

O wschodzie i o zachodzie.

Obyczaje markiza wykluczały przepis wioskowej wiedzy. Nasta nie widywała go codziennie. Często upływało wiele dni między spotkaniami. Lecz nawet wówczas, gdy bywał, a nie zabierał jej do miasta, zamówioną kolacją zajmował się kelner przybyły wraz z zaopatrzeniem.

Nie czuła się na siłach zadać śmierć, ani jednym ciosem ani na raty. A jednak musiała znaleźć sposób. Inaczej zmarnuje swój talent, zaprzepaści wszystko czego się nauczyła w konserwatorium, roztrwoni młodość i doczeka dnia, kiedy markiz odrzuci ją jak niepotrzebną rzecz.

Minęło wiele miesięcy, zanim znowu, po raz pierwszy odkąd wróciła z pogrzebu ojca, mogła pojechać do Opactwa. Z Souvigny jak zwykle poszła pieszo. Po usypanej białym szutrem drodze pośród winnic z rzadka przemknęła klasztorna furgonetka, dwukółka zaprzężona w osła, samochód dostawczy, auto z odwiedzającymi.

- Nasta!

Ze wzniesienia zbiegł ku niej mężczyzna. Dopiero z bliska rozpoznała Minstrela. Bardzo się zmienił, wyrósł, jeszcze bardziej zmężniał.

- Myślałem, że już nigdy nie przyjedziesz.

- Nigdy tak nie myśl. Zabiorę cię, przysięgam! Już niedługo. A ty powinienes wychodzić na drogę w każdą sobotę. Pamiętaj!

- Wychodzę, nawet jeśli nie chce Silenzio.

- Masz wychodzić sam, bez nikogo, po spacerze z Silenzem, kiedy on pije albo odpoczywa, albo śpi. Zapomniałaś co mówiłam?

- Pamiętam każde słowo. Ale jeśli Silenzio nie śpi po obiedzie, jest niezadowolony gdy go opuszczam.

310

- Trudno. Musisz i to znieść. Tylko z dala od klasztoru będziesz mógł pojechać ze mną. Dobrowolnie siostry cię nie oddadzą, więc musimy po prostu uciec.

- I zawsze już będziemy razem.

- Zawsze. A jak się ma Silenzio?

- Jest zły.

To była wielka, pełna rozpaczny złość. Posypały się wymówki, przekleństwa, wymysły. Oto związał się z dziwką, sprzedając, podłą, a kiedy przez nią utracił zdrowie opuściła go w nieszczęściu pozostawiając na tym śmietniku. Wie, do śmierci pozostanie na wózku, lecz nie jest tak zupełnie do niczego, żeby spędzić resztę życia w przytułku między półgłówkami, potrafi robić coś lepszego od szycia waliz i podróżyńnych toreb. Właśnie kupił samochód przystosowany do jego kalectwa, zdecydował się powrócić do Paryża i znowu zamieszkać razem z nią. Nastała ma wyszukać odpowiednie dla jego inwalidztwa mieszkanie, najlepiej na dalekim przedmieściu w okolicach Porte de Bagnolet albo na Montreuil.

- Zabijają cię!

- Przyszło, ponad trzy lata tu siedzę.

- Nic nie przyszło, musiałam podpisać umowę z ich impresariem. Przez dziesięć lat zobowiązałam się oddawać połowę dochodów, a jeszcze nawet nie stanęłam na estradzie. Nadal myję okna - kłamała. Dawno nie tknęła żadnej szyby nawet w swoim mieszkaniu, ale na użytek Silenzia pozostała sprzątaczką.

- Kiedy cię odnaleźli?

- Nie musieli szukać. Wieczorem, zaraz po twoim wypadku przyszli na mansardę, weszli za pieniędzmi i bronią.

- I dopiero teraz o tym mówisz?

- Przecież mówiłam.

- O impresariu zataiłaś.

- Nie chciałam cię niepokoić.

- Pytali o mnie?

- Nie.

- Orientują się gdzie jestem?

- Nie wiem. Nigdy o tobie nie wspominali. Ja także nie.

311

- Kto ci wystawił kontrakt?

- Patron Medinera. Mecenas. Szef słynnej kancelarii.

Prywatnie markiz.

- Śpisz z nim?

- Nie. Ale robię wszystko co każe. Boję się - bała się także Silenzia. Miał pistolet, ogarnięty zazdrością stawał się niepoczytalny. A teraz jeszcze przeraził zapowiedzią powrotu.

- Skąd wiesz, że to italiańska smuga?  
- Od razu wystawił rachunek za ucieczkę z Domu La-  
lek. Poza tym widziałam z nim Carla.

Nie zapomniała tamtego wieczoru. Markiz zabrał ją na kolację do miasta. Po drodze wstąpił do biura na Bulwarze, ona czekała w samochodzie. Jedyne raz sprzeniewierzył się swojej zasadzie. Ani przedtem, ani później nie załatwiał żadnych spraw w obecności dziewczyny. Nawet nie to, aby szczególnie przed nią miał się na baczności, raczej wieloletnia rutyna, nawyk już prawie niekontrolowany.

Wtedy, siedząc w aucie, pewno nie zwróciłyby uwagi nawet na nazwę ulicy, gdyby nie spostrzegła na niej Carla. Niemal zderzył się z markizem pod bramą Medinera i razem weszli do budynku. Wówczas ostatecznie wyzbyła się wątpliwości kto się nią zajął w Paryżu. Nadal pozostawała uzależniona od tej samej siły, ale nigdy więcej nie zobaczyła markiza z kimś znanym jej z Genui i nigdy więcej nie znalazła się w pobliżu Medinera. Teraz, na użytek Silenzia, zmieniła okoliczności w jakich zobaczyła Carla.

- Ciekawi mnie mecenas. Mów co jeszcze zauważyłaś albo usłyszałaś. Niczego nie ukrywaj.

Opowiedziała wszystko co było jej wiadomo o szefie Medinera.

- Gdzie on mieszka? - badał Silenzio.

- Nie powiedział, a ja nie pytałam i nie zapytam.

- Kłamiesz!

- Znam tylko adres Medinera.

- Znajdę go w każdej książce telefonicznej. Podaj rozkład dnia i wygląd Galeaniego.

Nakreśliła rysopis markiza i szofera noszącego uniform, cechy i markę samochodu. Nie potrafiła rozeznaczyć w swoich intencjach. Czy mówiła to wszystko ze strachu przed Silenzium, czy ukrywając sama przed sobą judziła, starając się sprowokować okaleczonego cyngla do rozprawy z Erardo. Jedno było pewne, nie życzyła śmierci dawnemu kochankowi, lecz już nie chciała ani jego, ani markiza. Najlepiej, gdyby obaj zniknęli z jej życia. Nie rozważała jak by się to miało dokonać. Nie brała poważnie gróźb Silenzia miotanych na sprawców jego nieszczęścia. Spowszedniały, wysłuchiwanie podczas każdych odwiedzin, gdy tylko pozostawali sami, z dala od zakonnic i społeczności przytułku, zwłaszcza gniewnych starców, zgorzkniałych i zawistnych, lubiących podsłuchiwać i skarżyć. Więc nie wierzyła ponurym zapowiedziom kaleki coraz bardziej ulegającego szaleństwu, może już nawet z pomieszaniem rozumem, a mimo wszystko z Opactwa powróciła z nadzieją na odmianę swojego losu. I znów nie było to konkretne przekonanie, tylko pewien stan świadomości.

Upływał czas mierzony bezwiednym oczekiwaniem.

Zwlekała z kolejnym wyjazdem pod Souvigny, nieobecnością jątrząc tego strzelca nad strzelcami. Silenzio nie dawał znaku życia. Zadzwoiła do Opactwa. Silenzia nie zastała. Po raz pierwszy, odkąd tam przybył ruszył się z przytułku. Wyjechał nad morze i zabrał ze sobą Minstrela. Siostra furtianka proponowała Naście adres.

- Nie, dziękuję.

Wydała się sobie żalosna, naiwna, głupia. Jak mogła budować jakieś nadzieje na rojeniach dożywotniego pasażera inwalidzkiego wózka. W jaki sposób ten ciężko okaleczony człowiek z przetraconym kręgosłupem i bezwładnymi nogami mógł usunąć z jej drogi markiza Galeani.

Prostak. Nawet nie zawiadomił, żeby na próżno nie przyjeżdżała do Opactwa. Urażona nie zanotowała numeru telefonu do tego jakiegoś pensjonatu w Prowansji dającego posezonową zniżkę, dokąd wybrał się Silenzio z chłopcem fundując i jemu pobyt nad wielką, nigdy niewidzianą wodą.

312

313

Pozwolenie zabrania ze sobą Minstrela kosztowało Silenzia piętnaście procent kosztów dwóch skierowań na czterotygodniowy pobyt. Pokwitowanie opłaty pobranej przez biuro podróży w Souvigny wystarczyło, aby klasztorne opiekunki nie stawiały przeszkód wyjazdowi Minstrela. Niechaj chłopiec zobaczy morze, a Silenzio skorzysta z jego pomocy w warunkach nieprzystosowanych dla osób niepełnosprawnych.

- Teraz musisz mi pomóc. O nic nie pytać i tylko słuchać. Minstrel nie pytał, chociaż przybyli i zamieszkali w ogromnym mieście, hałaśliwym, dusznym i męczącym, wprawdzie rozsiadłym nad wodą, lecz niepodobną do morza znanego z ilustracji.

- To jest Paryż - zawiadomił Silenzio.

Zatrzymali się w tanim hotelu na Belleville, Silenzio starannie omijał swoje dawne szlaki. Minstrel pełnił zwykłe i wynikające ze zmiany warunków posługi. Wytaczał wózek z windy, zawoził do kąpielowego, tam prznosił przyjaciela pod prysznic wspólny dla wszystkich gości piętra i znowu do pokoju i znowu na dół do samochodu i znowu świeżymi monetami karmił automaty odmierzające takse za parkowanie.

Silenzio polował.

Nie opuszczając auta zasadzał się w pobliżu firmy markiza Galeani. Zachowując ostrożność, przede wszystkim właściwą odległość od wejścia, gdy trzeba przybliżając widok lornetą, trwał czujny, cierpliwy, zdecydowany.

Jeśli brakło miejsca na postoju, snuł swoją pajęczynę krążąc po nieregularnym prostokacie ulic, mającym za podstawę odcinek Bulwaru z budynkiem Medinera. Prę-

dziej czy później zwalniało się dogodnie stanowisko dla samochodu i Silenzio powracał na posterunek. Nie zrażały żadne przeszkody, nie doznawał lęku, niepokoiła tylko wątpliwość czy rozpozna człowieka z opisu Nasty.

Chwilami myślał o sobie jak o szaleńcu. Rozpoczął rozprawę na śmierć i życie mając wyłącznie adres i zewnętrzne cechy osobnika, podane z drugiej ręki. Nie tyle jednak liczył na zidentyfikowanie markiza, ile na zobaczenie ja-

314  
kiejś znanej już twarzy z czasów swej służby w Genui i związanych z nią wyjazdów.

Sprzyjały okoliczności.

Rozpoznał La Comte'a. Widział go w Rzymie znad kierownicy, towarzysząc w podróży Szefowi Domu Lalek. Teraz spostrzegł markiza wsiadającego do samochodu prowadzonego przez szofera w uniformie odpowiadającego charakterystyce podanej przez Nastę, i podążył w ślad za czarnym rolls-royce'm.

Markiz wracał, co na ogół zdarzało się rzadko, prosto do domu, willi z ogrodem w Dzielnicy Bogaczy. Gdyby nawet Silenzio był sprawny fizycznie, w pojedynkę - Minstrela nie brał pod uwagę - nie mógł poważnie myśleć o akcji na tym terenie. Posiadłość z pewnością chronił system czujników świetlnych i dźwiękowych, o czym należało coś wiedzieć, nie mówiąc już o parkanie, psach i chociażby tej liberii za kierownicą, w której na odległość wyczuł Rękę. Dzielnica także nie sprzyjała przedsięwzięciu. Enklawa cichych, pustych i wąskich uliczek, przypominała labirynt pokazywany w Wesołym Miasteczku z biegającym aż do ostatecznego wyczerpania oszalałym ze strachu szczurem potykającym się o przeszkody, strącanym przez zapadnie, zsuwającym się z równoważni w daremnym poszukiwaniu nieistniejącego wyjścia.

Silenzio nie chciał podzielić losu osaczonego gryzonia, Silenzio pragnął żyć, ale najpierw musiał zabić markiza Galeani, jednego z tych, przez których stał się cierpiącym nadwoziem fotela na kółkach. Lecz jakby krzywda była jeszcze zbyt mała, sięgnęli po jego dziewczynę.

Silenzio zżył się z wyobrażeniem swoich poświęceń dla Nasty. Pokierował i płacił za studia, wyprowadził na ludzi, przez nią stracił zdrowie i nikt oprócz niego nie ma prawa do pieniędzy, jakie ona wreszcie zacznie zarabiać. I nigdzie nie jest powiedziane, że jeżdżąc na wózku nie można zostać impresariem. W każdym razie on zostanie. Lecz aby odzyskać prawa, musi unieszkodliwić markiza Galeani. Po tym od razu podąży do Genui i weźmie jeszcze dwie głowy, Szefa oraz Carla. Nikt się go tam nie spodziewa. Zaskoczenie jest jego

315  
sprzymierzeńcem, przypadek jest jego sprzymierzeńcem, kalectwo jest jego sprzymierzeńcem, nikt i nigdzie przed nim

się nie strzeże, nie odczuwa lęku, nawet nie myśli, może tylko czasami wspomni jak żywcem pogrzebanego.

Na miejsce rozprawy wybrał Bulwar.

Ruchliwy punkt z pobliską przeczną, krzyżujący się z inną wielką arterią, z nieregularnym prostokątem ulic w odwodzie, stwarzał znacznie większą szansę ucieczki niż Dzielnica Bogaczy o wąskich, pustych alejkach dojazdowych przypominających szurzy labirynt.

Uda się, musi się udać! Cierpliwie obstawiał wybrane miejsca. Dawno uznali go za półtrupa, za nieszkodliwy szmelc, za ledwie żywy dodatek do inwalidzkiego wózka i nawet nie chciało im się poszukać, żeby go dobić. Teraz im pokaże. Ukryty za swym kalectwem lepiej niż za przebraniem doczeka sposobnej chwili. Lecz szczęście jakby się wycofało. Markiz znikł i nigdzie nie było go widać. Żyj prędko, limit się kończy - myślał Silenzio i ani na jeden dzień nie zaniechał obserwacji Bulwaru pod Medinerem.

Wszystko zdecydowało się w jednej chwili.

Podprowadzając wóz w pobliże budynku firmy zobaczył na szczelnie wypełnionym miejscu w zatoczce pod taryfikatorami znajomego rolls-royce'a, z którego wysiadł szofer markiza. I jednocześnie myśl: ich wóz jest szybszy od mojego, i ostry, ruchomy obraz na pierwszym planie: Ręka w szoferskim uniformie otwiera tylne drzwiczki, do samochodu zbliżają się Erardo Galeani w towarzystwie Carla.

Citroen Silenzia wolno toczy się skrajem strumienia pojazdów kierowanych przez ludzi rozglądających się za miejscem na postój, markiz pochyla się wsiadając do auta, Silenzio przybliża się do rolls-royce'a i strzela przez otwarte skrzydełko bocznej szyby. W ulicznym zgiełku nie słychać odgłosu wyciszonego tłumikiem.

Galeani w tym swoim pochyleniu jeszcze bardziej się przygina i miękko osuwa na ziemię - nie mogę mierzyć w plecy szkoda - znowu strzela - Carlo okręca się jak w piruecie pada na płyty chodnika - trzeba poprawić - uwaga! goryl - 316

Silenzio z szybkością naciskanego spustu jednocześnie widzi i myśli na kilku planach. Uprzedza strzał Ręki- przyspiesza, w zgodzie z rytmem gęstwiny pojazdów na zmieniające się światła - skręca w przeczną przeciwioną jak cała okolica od wielu dni - z rogu skrzyżowania jeszcze raz mierzy do Carla - nie wie czy skutecznie osiągnął! Rękę- powtórzyć już nie może, uwięziony i zamaskowany pośród ławicy blachy, szkła, chromu, nagłony zbiorowym ruchem do przodu.

Wydostaje się na inny bulwar, w lusterku nad kierownicą pojawia się audi, trzyma się wciąż w jednakowej odległości, jak uwiązane na sznurku. Wóz Carla - domyśla się Silenzio, zna zwyczaje dawnych szefów, ale nie traci zu-

chwalebnej rozwagi, chociaż nie zdążył przemyśleć takiej sytuacji decydując się na wykorzystanie nagłej sposobności pod Medinerem. Zresztą gdyby nawet przewidział dalszy rozwój wypadków, nie poniechałby okazji zobaczenia tamtych dwóch osuwających się na ziemię. Od razu dwóch! Nie bał się nikogo i niczego. Szczęście było z nim, nic złego nie mogło się wydarzyć dopóki nie wypełni się miara. Nie bardzo rozumiał czym jest owa miara, upojony ciemną mocą dokonanej rozprawy. Porachował im kości, właśnie on, zlekceważone pół człowieka - tego co siedzi na zderzaku trzeba zgubić w mieście - audi jest szybsze, na autostradzie dogoni nie najnowszy model cytryny - w mieście chyba nie odważy się strzelać - jeśli dopadnie - zabije - - Połóż się na podłodze i nie wstawaj dopóki nie pozwolę - powiedział do lusterka nad deską rozdzielczą, przypominając sobie o Minstrelu skulonym na tylnym siedzeniu. Kluczył po Paryżu dopóki nie zniknął ścigający go samochód. Triumfował, władająca nim groźna siła przysłała pamięć o telefonach w autach Syndykatu.

Wyjechał na obwodnicę, kierując się na południe ominął autostradę, zdążył lokalną szosą. Spojrzał na strzałkę paliwa - znacznie ubyło przez gonitwę po mieście - w mieście zawsze spala się więcej - jednak z tym co pozostało w baku odwinie dobry kęs, później przystanie i napełni zbiornik, to nie zabierze dużo czasu, zapas paliwa ma ze 317

sobą, po co obnosić twarz po stacjach benzynowych, jeśli ma się jeszcze do spełnienia niebezpieczne zadanie. Rad ze swojej przezorności stara się myśleć o czymś nieważnym, takim w sam raz żeby odetchnąć, ale się nie udaje. Teraz do Genui, zapolować na Szefa - może jego, Silenzia, wyprzedzi wiadomość o wypadkach na paryskim Bulwarze - tym lepiej - nikt tam nie będzie się go spodziewał - jeśli nawet, w co wątpi, został rozpoznany ze ścigającego wozu, zaczną poszukiwania po mysich dziurach w Republice, a nie pod samym nosem w genueńskiej Dzielnicy Cienistych Ogrodów - najbezpieczniej w paszczy lwa - wymierzy im sprawiedliwość - odda z nawiązką - jeśli tylko audi nie wydzwoniło - nie wydzwoniło - nie wydzwoniło - Dalej wszystko dzieje się błyskawicznie.

W lusterku narasta sylweta mercedesa, nagle citroen przestaje słuchać Silenzia, oszalałym ślizgiem toczy się w bok, zjeżdża, przewala poboczem, pikuje ze stromizny. Dostałem po oponach - audi wytelefonowało mercedesa i przekazało pościg - proste - na marginesie świadomości wie, przez cały czas o tym wiedział, ale nie chciał wiedzieć - tylko dlaczego nie słyszałem strzałów - i ta słabość - dziwna - pewno strzelali z broni maszynowej - kanistry z benzyną - wybuchną - spalimy się żywcem - może to i lepiej - lepiej - le... -

Obcy wyciągają Minstrela. Niedraśnięty, chociaż Silenzia przecięło przez pół czternaście kul z automatycznego pistoletu. Więc niedraśnięty, lecz bez kontaktu z otoczeniem. Pod wpływem kolejnego wstrząsu, na widok skrważonego przyjaciela popada w zupełne matolectwo litościwie izolujące od rzeczywistości. Obcy myślą, że on udaje. Biją. Wrzucają do mercedesa, jeden zostaje, chociaż Minstrel nie jest zdolny nawet pomyśleć o ucieczce.

Teren niezbyt dogodny, odkryty, citroen z ciałem Silenzia widoczny z szosy, niedogodne warunki do rozprawy. Ręka nawet nie obszukuje auta, przetrząsa tylko kieszenie zabitego i sprawdza zawartość kufra. Nieuszkodzone pojemniki z paliwem. Zlewa wnętrze citroena, przeczekuje nadjeżdżające samochody i w przerwie w ruchu na 318

asfalcie, wrzuca płonąca zapalną przez uchyloną boczną szybę, biegnie do mercedesa. Widoczny przez tylne okno, towarzyszy im oddalający się słup ognia i niknie za wzniesieniem opadającej w dół drogi.

Nikt z jadących szosą nie zatrzymał się, aby spojrzeć z bliska na gorejące ognisko pod kępą drzew. Dopiero patrol drogowy. Wtedy płomienie już dogasały, wybuch pozostałych pełnych kanistrów przemieszał żarzące się resztki wozu ze szczątkami kierowcy.

Obcy wywekli Minstrela nad korytem starorzecza w osłonach wikliny i rosochatych bukietów palmowej wierzb, drzewa ronily liście o wysrebrzonych podbrzuszach, liście zaścieniały nieruchome lustro zasnute rzęsą przetkaną grązelami. Obcy pławili go w rozlewisku o woni mułu i rozkładu, podtapiali, pozwalali na jeden oddech i znowu topili, znowu wyciągali. Nie rozumiał czego żądają.

Ze smakiem błota w ustach, zachłyśnięty wodą, z wodorostami w zaciśniętych dłoniach, rzucony na nadbrzeżne kępy stracił świadomość pod ciosami noża.

Oprawców spłoszył tętent konia. Umknęli pod osłoną długich warkoczy iwy, zanim jeździec zdążył ich zobaczyć.

O wypadku na Bulwarze Nasta dowiedziała się wieczorem. Otworzyła telewizor pod koniec wiadomości. Na ekranie w zwolnionym tempie nieskończenie długo osuwał się na ziemię markiz, nieskończenie długo padał okręcając się wokół własnej osi Carlo. Wreszcie, gdy ich postaci leżały płasko rozciągnięte na płytach chodnika, w kadrze konały ich powiększone twarze z przedśmiertnym grymasem, uchwycone w interwale, już nie żywe, a jeszcze niezupełnie martwe. Ostatnie sekundy okrutnej pantomimy zanotowane kamerą reportera, przypadkowego świadka krwawej rozprawy. Poprzez groźbę obrazów dokumentujących nagłe umieranie informacja o dramacie pod budynkiem Medinera z trudem przeniknęła do świadomości dziewczyny, jakby nierzeczywista.

Ta groza udzieliła się Naście i pozostała jedynym od-  
czuciem długo potem, kiedy inne kroniki starły z ekranu  
widok tamtych śmierci, panikę przechodniów, ciekawość  
319

gapiów, ławicę pojazdów, pośród nich migawkę maski ci-  
troena z niewyraźną za szybą twarzą mężczyzny.

Właściwie niewiele dowiedziała się o przebiegu wypad-  
ków, wyszła po gazety, później już codziennie kupowała  
dwa wydania, poranne i popołudniowe. Pisano mniej wię-  
cej to samo, różnice występowały w sposobie relacjonowa-  
nia wydarzeń.

Szef Medinera, doktor Erardo Galeani został zastrzelo-  
ny po wyjściu ze swojego biura tuż przed zajęciem miejsca  
w rolls-royce'ie. Towarzyszył mu Carlo Malapesta, włoski  
antykwarium z Genui. Obaj zginęli na miejscu. Ciężko  
ranny szofer markiza zmarł po przewiezieniu do szpitala  
nie odzyskując przytomności.

I w kilka dni później:

Zabójstwo capo di tutti capi. Afera, skandal, korupcja,  
łapówki, terror. Czterdziesty szósty markiz Galeani na  
czele gangu kontrolującego hazard, nierząd, szolbiznes od  
morza Tyrreńskiego po Pireneje.

Jestem wolna! Pierwsze co sobie uświadomiła po oswo-  
jeniu grozy doznanej pod wpływem sekwencji z widokiem  
tamtego umierania. Prędko jednak pomyślała o wynikają-  
cych stąd następstwach, także dla niej. Po niedługim cza-  
sie inne sensacje zepchnęły wydarzenia przed Medinerem  
na dalsze strony gazet, lakoniczne wzmianki nie przynosi-  
ły nic nowego, i Nasta przestała kupować prasę, wycho-  
dziła z domu coraz rzadziej, przeważnie rano przemukała  
po mleko i pieczywo, później i tego zaniechała. Już nie  
czuła się wolna. Chora ze strachu oczekiwała Silenzia, po-  
licji, dziennikarzy, nieznanym współtowarzyszy markiza,  
na pojawienie się Ręki.

Zaczęły się dzwonki do drzwi, alarmował telefon. Wyłą-  
czyła aparat. Uszkodziła instalację dzwonka, nazajutrz  
pukano, pukano codziennie o coraz wcześniejszych godzi-  
nach. Słyszac tamtych na zewnątrz, nakrywała głowę  
poduszką i czekała aż odejdą.

Wreszcie wyłamią drzwi - myślała. Nie zastaną jej ży-  
wej. Wydobyła zielony proszek podobny do zwietrzałej  
przyprawy z utartych ziół i wsypała do wina.

320

Losu swojego nie unikniesz, co przeznaczone nie omi-  
nie, dołę każdy nosi jako żmija swoją pręgę na grzbiecie.  
Człowiek niczym gad naznaczony jest wstęgą Kaina -  
przypomnienie wieszczby zabrzmiało jak strofa cmentar-  
nego chorału.

Uniosła kielich pod światło, wino nie zmieniło barwy,  
jednak utraciło klarowność, zmaćcił się i zapach, poprzez

woń szlachetnego grona piołunem i macierzanką, powojem i miodem przebijała miedza nagrzana słońcem. Oparła krawędź szkła o wargi. Nie! Nie teraz. Jeszcze nie. Wypije kiedy posłyszysz trzask łamanych zawiasów. Widocznie pisane jej zginąć z własnej ręki za zamiar zabicia człowieka. Za sam zamiar. Dobry Jezu, przecież to niesprawiedliwe! Litościwa pamięć wymazała z przeciążonej świadomości judzenie Silenzia, zabrakło miejsca na poczucie winy z powodu dawnego kochanka. Zjawilo się znacznie później i pozostało. Rosło, trawiło powoli jak nieuleczalna choroba, w miarę upływu lat oddalających w czasie tamtą śmierć, której teraz zaledwie się domyśliła z lakonicznej dziesięciowierszowej wzmianki zamieszczonej w kronice policyjnej u dołu ostatniej strony popołudniowego pisma. Jeszcze tylko po wieczorne gazety wykradała się z mieszkania kupując przy okazji trochę sera i chleba. Sprawa ucichła, ustały przyczyny opuszczania domu. Strach był silniejszy od głodu. Zresztą nie odczuwała potrzeby jedzenia, wystarczyło co miała w zapasie, mleko w proszku, herbatniki, suche bułki.

Jak długo można tak żyć? Wreszcie będzie musiała wyjść, rozejrzeć się chociażby za zarobkiem. Wtedy już wiedziała, nie wypije wina zmieszanego ze złym ziele. Kochała siebie, kochała życie, kochała swoją sztukę, będzie stawiała czoło tamtym, zza zamkniętych drzwi. Gdy znowu zabrzmiał dzwonek, przemogła się i otworzyła. - Niech będzie pochwalony... - za progiem stała szarytka. To one od kilku dni telefonowały i dobijały się do mieszkania Nasty.

Czteryście kilometrów od Paryża, w przyklasztornym infirmaryum zakonu tej samej reguły zmagal się ze

321  
śmiercią Minstrel. To nie egzekutywa Syndykatu nachodziła jej mieszkanie. Odkąd zajął się nią capo di tutti capi markiz Galeani, poza nim i jego gorylem nie stykała się innymi ludźmi konsorcjum. Obaj nie żyli. Gdzieś tylko być może pozostał kontrakt, lecz narazie nie znaczył nic, ponieważ Nasta była nikim.

Tutejsze zgromadzenie, zobowiązane przez siostry Franciszkanki, pytało o Silenzia i Nasta dowiedziała się jak pod pozorem wakacji nad morzem zabrał ze sobą Minstrela, którego znalazł nad starorzeczem Masztalerz powracający z pastwiska.

Koń pod nim uskokczył i zarył w ziemię, chrapał, skórę przebiegało drzenie, zwróciło uwagę jeźdźca niezwykle zachowanie spokojnego wierzchowca obeznanego tutaj z każdym krzakiem i nierównością gruntu. Pośród rozkrzewionej łoży, pod warkoczami palmowej wierzby, na kępie nadwodnej roślinności znalazł skrwawionego chłopca. Odwiózł rannego do szpitala u Szarytek. Znajdował się

najbliżej, z pomocy zakonnice nieraz korzystali pracownicy stadniny. Kiedy na pacjencie rozcinano ubranie, na podszewce kurtki zauważono wypisany niezmywalnym tuszem adres Opactwa i prośbę o powiadomienie, jeśliby podopieczny nie mógł trafić do miejsca pobytu.

Szarytki zatelefonowały do Franciszkanek pod Souvigny, zawiadomiły o wypadku i prawie beznadziejnym stanie Minstrela. Opactwo zasięgnęło informacji w pensjonacie nad morzem. Nigdy nie pojawił się tam mężczyzna na wózku z upośledzonym chłopcem.

Zanim Franciszkanki zdecydowały się złożyć doniesienie na posterunku w Souvigny, najpierw prosiły Szarytki o skomunikowanie się z Nastą, ale Nasta także niczego nie wiedziała o Silenzium.

Policja w Souvigny ustaliła, że skierowanie do pensjonatu w Prowansji Silenzio po dwóch dniach od wykupienia, zwrócił do tej samej zresztą jedynej w miasteczku, filii biura podróży, z czego potrącono piętnaście procent.

A bywalcy austerii zapamiętali inwalidę z Opactwa odjeżdżającego nowym samochodem szosą na Poitiers.

Po odejściu Szarytki Nasta wyjechała z Paryża. Wzięła ze sobą kasetę z kosztownościami i trochę osobistych rzeczy. Oddała klucze konsjerżce, lecz nigdy nie zgłosiła opuszczenia lokalu, i nigdy do niego nie powróciła.

Zamieszkała w klasztorze i przez z górą pół roku choroby Minstrela pielęgnowała go z wielkim oddaniem, swój pobyt wypłacając pracą. Grała na organach, śpiewała w kaplicy podczas mszy, świąt i pogrzebów, robiła siostrom szale i spencery na drutach, w zamian otrzymywała jedzenie, dach nad głową, trochę pieniędzy i poczucie bezpieczeństwa, jakiego dawno nie zaznała.

Pożegnała Szarytki kiedy ozdrowiały Minstrel powrócił do Opactwa. Zanim się rozstali, odnowiła swoją obietnicę.

- Teraz już bardzo prędko przyjadę po ciebie, tylko w każdą niedzielę musisz wychodzić na drogę aż za Souvigny.

15.

- Czy popełniłeś to wszystko co on ci przypisuje?

Milczenie.

- Minstrel, proszę cię, muszę wiedzieć. Zaprzecz jeśli ten człowiek kłamie.

Milczenie.

- Zniszczyłeś paśniki, dlaczego?

- Żeby nie miał gdzie zwabiać i zabijać zwierząt. I mojego przyjaciela, kozła.

- Rozumiem. Z tego samego powodu pobiłeś Henryka Boguszów?

- Tak. Nie zrobiłem mu krzywdy. Dostał tylko lanie.

- Co zrobiłeś ze zwierzyną zabraną z furgonetki?

- Wywiozłem do lasu, wyrzuciłem w zaspę.
- Dlaczego?
- Żeby nie mieli pożytku z mordowania.
- Znalazłeś samopał Silenzia?
- Skąd wiesz?

322

323

- Domyśliłam się. Nie wiedziałam, że tobie także o nim opowiadał. W jaki sposób dostałeś się do Gawry za tym wozakiem?
- Samochodem Anieli. Nie patrz tak na mnie, umiem poradzić sobie z autem.
- Boże! Jak ja nic o tobie nie wiem.
- To są męskie sprawy.
- Siostry cię tak wyszkoliły?
- Silenzio.
- Człowieku! Minęło trzydzieści lat, a ty pamiętasz nauki Silenzia.
- Pamiętam. Był moim przyjacielem.
- A czy pamiętasz czym się ta przyjaźń skończyła? Gdybyś wówczas nie ukrywał przede mną zamiarów Silenzia, może do tego by nie doszło.
- Jemu o tobie też nie mówiłem. Oboje byście się pozabijali!

Mogła sobie wyobrazić do czego jeszcze zaprawiał go Silenzio. Jak mało wiedziała o ludziach, nawet o tym najbliższym, psio oddanym. Uosobiona łagodność. Od powiśnięć układany przez mniszki, od urodzenia otoczony staraniem pobożnych kobiet wpajających odrazę do przemocy, nienawiści, podstępów, kłamstwa, krzywdy drugiego człowieka, zawsze wolny od trosk materialnych, pozbawiony zupełnie żądzy posiadania, znaczenia, honorów, władzy. Chorobliwie reagujący na krew i zabijanie, z przychyny jednego kozła strzela, napada, bije, niszczy.

Nie ma w nim obłudy, jeśli chciał zabić Łowczego, albo zatnie się w milczeniu, albo się przyzna. Jej powie, tylko nie należy się złościć, nie wolno podnosić głosu, ani niecierpliwić.

- Strzelałeś do Bogusza?
- Nie. Tylko przestraszyłem, żeby uratować kozła.
- W jaki sposób przestraszyłeś?
- Posłałem mu nad głowę szerszenia.
- Szerszenia? Opowiedz zwyczajnie. Ja nie rozumiem co znaczy szerszeń, proszę, Minstrel.
- Kula.

324

- Boże!
- Nie bój się, umiem celować. Umiem dobrze strzelać, uczył mnie Silenzio. Chodźmy do lasu, sama zobaczysz. Właśnie odzwyczajalem przyjaciela kozła od siebie i ludzi.

- W jaki sposób?
  - Wołam go i strzelam. On się boi huku i ucieka.
  - Zabierz mnie ze sobą, popatrzę na kozła. Pewno urósł. Pewno jest piękny.
  - Jest piękny. Naprawdę chcesz pójść?! Tylko on nie zawsze przychodzi, czasami długo się nie pokazuje. Wtedy nigdy nie wiem czy nie zmienił ostoi. '
  - Będziemy chodzili aż go spotkamy. Nauczysz mnie strzelać.
  - Nauczę, nauczę wszystkiego co sam umiem.
  - To ładnie z twojej strony - nie wspomina, że wcześniej od niego była uczennicą Silenzia.- Ale co zrobimy jeśli spotka nas Bogusz?
  - Nie spotka. Mam kryjówkę, będziemy cicho, w lesie w ogóle należy być cicho.
  - A jeśli Bogusz weźmie nas za kłusowników, może nam zrobić krzywdę.
  - Nie bój się. Ja pierwszy go usłyszę i przepłoszę. Mam uszy jak leśne zwierzęta, sama się przekonasz.
- Rozpoczęli wędrówki nad uroczysko Czarцей w pobliżu schronienia obdarowanego wolnością kozła.
- Dzisiaj nie odganiaj samca, chcę go zobaczyć - prosiła zanim ruszyli na pierwszą wyprawę. Nie używać broni bez potrzeby, jeszcze kto usłyszy. Sama przed sobą wzdragała się nazwać ową potrzebę.
- Miejsce spotkań Minstreła z kozłem było daleko. Wiódł zwierzęcymi ścieżkami, na przelaj przez gęstwinę, krawędzią bagien. Przez cały czas nie spotkali człowieka. Nie dowierzając jego orientacji, próbowała pozostawiać za sobą skrzyżowane gałązki, kawałki wełny wyskubane z szala, rysować strzałki na ziemi
- Nie rób tego, nie zbłądź - zdejmował zaczepiony na krzaku moherowy kłaczek, rozrzucał patyki, zacierał znaki. - Nikt nie musi wiedzieć, że tędy ktoś szedł.

325

Nie rozumiała jak człowiek nie ogarniający miary czasu, dawał sobie radę z przestrzenią, kierunkiem, stronami świata, on jednak nie mylił się. Przestała znaczyć ślad. Wspięli się po łagodnym wzniesieniu, kończącym prostopadłym urwiskiem wciętym w mursz. Porośnięte starodrzewem, przypominało rufę żaglowca o zielonym takielunku wpływającego na moczary Czarцей. Tutaj, wysoko, w pniu spróchniałego buku, Minstrel przechowywał urzyn wydobyty z krokwi nad piwnicą ojcowizny Milczka.

- Kto cię nauczył gdzie masz ukrywać strzelbę, skąd to wszystko wiesz - zdumiewała się Nasta.
- Silenzio.

Jak wyrzut odbierała przypomnienie tamtego imienia, od lat prześladowającego ją w bezsenne noce. Spośród drzew pełznął mrok gdy omijali uskok skarpy

ginącej u początku mokradła i między bezlistnymi siewkami olszy, między zasiekami bylin, między kępami garbanych iglastych płonek, ubezpieczani więźbą korzeni przemykali ku kryjówce Minstrela wymoszczonej wewnątrz wielkiego krzewu jałowca o baniastym kształcie cerkiewnej kopuły.

Pod osłoną giętkich kłujących gałązek noc wydawała się Naście mniej straszna, później wschodził księżyc i łagodniała groza uroczyska. Żeby jednak zdążyć przed najgłębszą ciemnością, z domu wychodzili za widna. Ona po zmierzchu byłaby bezradna na tych ścieżkach.

W środku żywego szałasu, na podściółce z uschniętych mchów przyniesionych przez Minstrela, wraz z oczekiwaniem ustawał czas, ale tym okrutniej przyśpieszał później, gdy wraz z oparem podnosił się nad bagnem bezbarwny przedświt, a ona miotała się między zawodem i ulgą, że jeszcze nie wydarzyło się nic nieodwracalnego.

Nie mogła żyć z dręczącą świadomością nadciągającej katastrofy, odmierzanej fazami księżyca. Upłynęło już dwa z kilku darowanych miesięcy, Bogusz nie pokazywał się w pobliżu ostoi sarńca wyhodowanego przez Minstrela.

Czas płynął.

W młodości traktował ją łaskawie, czekał wraz z nią na przyszłość, sławę, pieniądze, czekał na uwolnienie od markiza, Silenzia, na pierwszy sukces. Wraz z przybywającymi latami biegł szybciej, coraz szybciej, a teraz umykał jak szalony i dzień za dniem zabierał kawałek życia.

Ale najtrudniejszy czas odmierzył jej Bogusz.

Zapowiedział się niespodziewanie, tonem kategorycznym jakby wydawał polecenie osobie od siebie zależnej.

Odłożyła milcząca już słuchawkę.

Dlaczego pozwoliła narzucić sobie spotkanie. Nikt nie miał przywileju wpadania do niej ot, tak sobie, zwłaszcza nie miał on. Nie było ważniejszych spraw ponad jej pracę. Skutecznie też chroniła się przed znudzonymi samymi sobą próżniakami. Dlaczego nie poczekała aż telefon odbierze Aniela?

Zadzwoić i wymówić się chociażby bólem głowy, jednak tego nie zrobiła. Nie musiała Bogusza zachęcać do odwiedzin, nie mogła odprawić niemal spod drzwi.

Nigdy się nie narzucał, lecz odkąd odmówiła udziału w wielkiej fecie myśliwskiej, zachowywał rezerwę i coraz częściej wymawiał się od jej zaproszeń. Z czym teraz przychodziła ta urażona osobistość, dlaczego mu tak pilno, co się nagle stało?

Podeszła do lustra, namyślała się nad zmianą ubrania i makijażem. Nie, pozostanie jak jest, w domowej sukni z lekko upudrowaną twarzą, nieumalowana. Siedziała beczynnie, nie mogła powrócić do ćwiczeń, wtargnięcie

Bogusza w jej uporządkowany rozkład dnia zburzyło koncentrację. Dłużyło się oczekiwanie. Odbiera mi dzień, bezcenny dzień przeznaczony na pracę, myślała z rosnącym rozdrażnieniem i pretensją do tego człowieka nie liczącego się z wymaganiami jej sztuki.

- Nie chcę pani w Sarniej - powiedział bez wstępów.

Nie usiadł, przechadzał się po salonie jak po własnym gabinecie, kiedy wyrzucał z przedsiębiorstwa nieodpowiedniego pracownika.

Nasta nie rozumiała.

- Opuści pani Sarnią.

326

327

- Żarty - oszołomiona na nic innego nie potrafiła się zdobyć, chociaż od pierwszego słowa wiedziała, on mówi poważnie.

- Nie chcę was w Sarniej.

- Z takim samym skutkiem my możemy nie chcieć pana.

- Nie. Jestem silniejszy, a pani musi się liczyć z następstwami.

- Szantaż?

- Nieważne jak pani to nazwie.

- Ale dlaczego?

Dlaczego, dlaczego, ludzie są śmieszni z tym swoim dlaczego. Zupełnie jak dzieci. Przecież nie będzie wyjaśniał. Cóż miałby jej powiedzieć? Ona stanowi zagrożenie. I jeśli jej teraz nie usunie, najprawdopodobniej nie usunie nigdy. Czas pracuje przeciwko niemu, jej dając przewagę. Jej i jej pieniądзом. Taką prawdę nawet samemu sobie ciężko wyznać i trzeba do tego się przymusić.

Już nie jest taki młody, już nie jest taki mocny, najlepsze jego lata, także w zawodzie w polityce, poza nim. Wykrusza się zaplecze. Odchodzi generacja, rodzina, koledzy. Niedawny wstrząs polityczny wymieszał, przetasował, po części odrzucił zastaną kadrę. Rozluźniły się więzi splecione zależnościami i wspólnym celem. Dążyć wzwyż. Nie dać się zepchnąć na pośledniejsze pozycje.

Ubywa znajomych. Mrą, wypadają z szeregu, tracą znaczenie zsyłani na renty, pozostali zajęci są sobą aby nadażyć w tym ciągłym ruchu ku górze. Opustoszałe miejsca wypełniają Nowi. Nowi ciążą ku Nowym układom, nie ufają zasiedziałym.

Bogusz minął już swój zenit i teraz pragnął tylko zachować dotychczasowy stan. Lecz poprzestając na osiągniętym, nie wiecieczemu zstępuje w dół. Od czterech dziesięcioleci łaskawy mu nurt, burzący się krótko po każdym przesileniu politycznym, znów brał go na swój cierpliwy grzbiet i niósł. Tym razem jednak Bogusz utknął, chociaż na razie tego nie widać.

W Sarniej jeszcze nikt nawet nie przeczuwa jego powol-

nego zmierzchu, ale Puszczańscy nigdy nie będą niebez-  
328

pieczni. Na ich miarę zawsze pozostanie kimś, rozdawcą różnych łask. Mimo wszystko są z nim, i co by się nie wydarzyło jest jednym z nich. Tutejszy. Lecz nic nie zabezpiecza przed Artystką, zwariowaną ochroniarką, bogatą i niezależną. Według niej Bogusz to kłusownictwo, urzędnicza samowola, człowiek stojący ponad prawem. Niegroźna, póki Bogusz siedzi na swoim wysokim urzędzie. Do czasu.

Kowboj węszący po lesie niby wsiowy kundys, Leśniczy na Wigajnach, który nie poluje, a jego filmy o zwierzętach kupują już nawet zagraniczne agencje. Zaczyn. Przeciwnicy. Przy Artystce urosną, gdy Bogusz podupadnie. A ona coraz bardziej będzie się wtrącać w jego, Bogusza Puszcze, bo Puszcza już ma to do siebie, że nikt, kto obok niej żyje, nie pozostaje wobec niej obojętny.

Kiedy malejące wpływy Bogusza jeszcze bardziej się skurczą, gdy Bogusza przedwcześnie odprawią ze stanowiska albo gdy niezadługo stanie się seniorem, wiekiem poprodukcyjnym, wiekiem trzecim, pogodną jesienią, weteranem pracy, to znaczy nieważnym Starym, któremu, jak całej rzeszy Starych, różne czynniki po gazetach będą wypominały kawałek łaskawego chleba, dobrodziejstwo danej emerytury, jak gdyby nie przepracował blisko czterdziestu lat życia, nie płacił ubezpieczenia, wtedy ona przeorośnie Bogusza i za jej przyczyną on, Bogusz, utraci Puszcze. Teraz jeszcze może i musi jej się pozbyć.

- Ja dyktuję warunki - głośno powtarza Bogusz.

- A jeśli ich nie przyjmę?

- Ludzie sami pani tutaj nie zechcą. Wyszczują te same baby, które podały panią do zeszytu Grażyny - nie może jej przebaczyć nawet przypisania do kawowej listy.

Artystkę zgłosiły kobiety, a jego, Bogusza, tylko rozumiejąca się na rzeczy sklepowa. Ludzie nawet przytaknęli, ależ tak, to przecież nasz Bogusz. Nie przecenia ich.

Zna. Rzuca się z początku na powaloną wielkość, kiedy już przestaną czuć mores, kiedy ustanie oślepienie władzą, jakie bez przymusu czy starań wyzwalało w nich kundla, poddańcze ugięcie grzbietu, merdanie. Teraz bę-  
329

dą sobie odbijać własne łaszenie, lokajstwo, swój brak odwagi, charakteru, godności. Nie wszyscy oczywiście. I na tych pozostałych Bogusz będzie mógł się oprzeć kiedy już przestanie być osobistością.

- Co pan przez to rozumie?

- Pani szczególnego rodzaju przywiązanie do swojego szaleńca.

Poczuła jak drętwieje pod maską obojętności. Dlaczego nie powiedział brata. Ominął tę nazwę świado-

mie? Nie ochłoneła jeszcze z zaskoczenia niespodziewaną napaścią, gdy dosięgło najgorsze. Co on wie? Nie przerażało pomówienie o nienaturalne skłonności, najstraszniejsze byłoby odkrycie prawdy. Zniszczenie jej wizerunku kobiety utalentowanej, natchnionej odtworzyni własnych kompozycji, która poświęciła się sztuce i upośledzonemu bratu. Najbardziej cenila sobie ów obraz. Utracić latami doskonałą twarz to gorzej niż tę z ciała i krwi.

- Wymysł. Moje życie nigdy nie budziło zastrzeżeń. Egzystowała jak nomada, istny tabor cygański. Nigdy u siebie, nawet w wynajętej willi. Niezliczony ciąg obojętnych hoteli, pensjonatów, obcych domów. Nie kończące się turnee po całym świecie. Zawsze czas dla prasy, zawsze miła, zawsze trochę smutna. Umysłowo chory brat, jeśli nawet wyszperali, czego zresztą nie ukrywała, to nie był dobry temat na pierwsze strony gazet. To nie był w ogóle temat do wywiadu z gwiazdą. Gdzieś, czasami, jakaś wzmianka w stylu łzawo samarytańskim o kosztownych klinikach i szlachetnym uporze w leczeniu, mimo braku nadziei. Ale o czym on mówi?

Obserwując jej reakcję wspomniął o wyróżnianiu przez nią przytułku dla upośledzonych w Coirentin-Sur-Marne pod Paryżem.

Co on wie? Że porzuciła Idiotę pod murem klasztoru Franciszkanek w Coirentin, bo potrzebowała jego tożsamości dla Minstrela. I zrobiłaby to jeszcze raz, gdyby znowu była u początku swojej drogi, tylko pieniądze dla niedorozwiniętych przesyłałaby bezimiennie.

Dlaczego nawet czynione dobro obraca się przeciwko niej? Nie powinna była świadczyć na Coirentin, na wszystkie inne zakłady upośledzonych tak, oprócz tego jednego. Sławna, bogata, coraz sławniejsza i bogatsza, wydawała się sobie już poza osądem, bezpieczna. Jednak kiedy po dwudziestu latach w Coirentin-Sur-Marne, składając pierwszy czek na utrzymanie najbiedniejszego z podopiecznych, nie rozpoznała Idioty pośród zgromadzonych przy stole w refektarzu, nie miała odwagi wymienić imienia Erardo nadanego bratu przez naklejenie na kartkę papieru wyciętych z gazety liter. Ale poza nią nikt o tym nie może wiedzieć. Nawet Idioty nie zdawał sobie sprawy ze zmiany w swojej sytuacji. Miał wtedy siedemnaście lat. Teraz nie rozpoznałaby go nawet rodzina. Może jedynie intuicja matki. Ale matka nie będzie szkodzić Naście. Pozostali też nie. Nawet jeśli by mieli jakieś wątpliwości, przysięgliby, że Minstrel jest ich synem, bratem, bratankiem. Przetrwało w nich jeszcze poczucie wspólnoty, są dumni z jej sławy, otrzymują prezenty i liczą na spadek.

Poczuła się pewniej.

Wreszcie dociera do niej interpretacja Bogusza o jej

świadczeniach wobec Corentin. Ukryła tam upośledzone dziecko z kazirodczego związku. Zakon albo o tym nie wie, albo kryje za sute czeki.

- Nawet prasa brukowa nie wymyśliłaby o mnie takich bredni.

- Prasa wymyśliła inne wiadomości.

- Na przykład?

- Na przykład: zastrzelenie arystokraty pod progiem jego własnej firmy. Zabójców nigdy nie odnaleziono.

- Nie widzę związku.

- Afera, skandal, korupcja, łapówki, terror, Czterdziesty szósty markiz Galeani na czele gangu kontrolującego hazard, nierząd, szołbiznes od Morza Tyrreńskiego po Pireneje, to mniej więcej tytuły z Paris-Soir, paryskiej popołudniówki.

- I co ja mam z tym wspólnego?

- O ile zdołałem się zorientować początki pani startu sięgają kontraktu do klubu w Genui, a ten klub, jak i kil-

330

331

ka innych, miał swój udział w skandalu, po gwałtownej śmierci capo di tutti capi i jego naganiacza.

- Horror. Proszę opowiedzieć to u Grażyny w sklepie, zrobi pan karierę - odrzekła, już opanowana, tylko serce śpieszyło głuchym, nierównym rytmem. Huczało jak dzwon, aż dziwne się wydawało, że nie słyszał go Bogusz. Nie odczuwała do niego nienawiści, jak kiedyś nie odczuwała do patrona Au-Clair-de-Lune, tylko nie chciała go widzieć. Przeszkadzał, męczył samą obecnością, jak grudy sypane na trumnę dudniły słowa. Gdyby mógł zniknąć, wyparować, przemienić się w martwy przedmiot - martwy przedmiot - martwy przedmiot - martwy - Wtedy wyłożył, jak sądził, najmocniejszy atut. Nie do przebicia. Fakty. Szaleństwo Minstrela: samopał. Kradzież ubitej zwierzyny z furgonetki. Pobicie Henryka, wozaka. Strzelanie do Bogusza.

- Biorąc pod uwagę jego postęпки, moje żądanie jest umiarkowane. Chcę sprawę załatwić bez rozgłosu. Nie zależy mi na zniszczeniu pani legendy. Nie zależy aby zapisać się w pamięci jako ten, co wyrzucił stąd uznaną Artystkę, jeśli jednak pani nie opuści Sarniej, nie cofnę się przed niczym i dopilnuję, żeby ten szaleniec trafił na stałe do zakładu psychiatrycznego.

- Nie. Tylko nie to - ukryła twarz w dłoniach. Milczała. Wreszcie odjęła ręce. Bogusz ujrzał oblicze pokonanej. Uwierzył.

- Muszę się oswoić z nową sytuacją i mieć czas na zlikwidowanie nieruchomości. Nie da się sprzedać takiego domu z dnia na dzień - w jej tonie brzmiała pokora. Myślała, dużo nazbierałaś o mnie wiadomości, człowieku, ale nie wiesz, że dostaję wszystko co postanowię osiągnąć,

a z posiadanego nie rezygnuję. Nigdy nie sprzedam dworu, nigdy, chociażbym musiała cię zabić.

- Może pani wielkodusznie podarować społeczeństwu, albo upośledzonym w Corentin - nie mógł sobie odmówić złościwości.

- Proszę pana, każdy ma jakąś miarę, poza którą zaczyna mu być wszystko jedno. Nie pozwolę się ograbić,  
332

proszę mnie dobrze zrozumieć, zanim zaczniesz pan rozdać mój majątek - powiedziała bardzo spokojnie.

- Dobrze. Dam pani ten czas, ale nie więcej niż pół roku - wiedział, że nie należy ludzi doprowadzać do ostateczności.

Nad Czarcia wzeszedł i przetoczył się księżyc, kozioł nie przyszedł na wezwanie przyjaciela. Przed świtem, kiedy z przedrannej pomroki zaczęły wynurzać się kontury drzew, ruszyli z powrotem.

- Zabierz ze sobą samopał, postrzelamy w piwnicy - powiedziała Nasta. Zdażyli wrócić przed przyjściem Anieli. W niedzielę, dzień wolny gospodyni, Nasta kazała Minstrelowi wypełnić worki nadrzecznym piachem i dostarczyć do nieużywanej komory w rozległym podziemiu dworu.

W nocy zamknęli się na dole, Nasta umocowała na osłonie kartonową tarczę i podała karabin Minstrelowi. Strzelał celnie. Ona chybiła. Pocisk trafił w skraj piaskowej poduchy. Wysłuchiwała objaśnień Minstrela o właściwościach urzyna i pouczeń jak powinna trzymać broń. Odtąd ćwiczyła co wieczór z uporem człowieka przyzwyczajonego do systematycznej pracy. Z dziur po kulach cienkimi strzałkami osypywał się suchy piasek, kabek z uciętą lufą wyrzucał zużyte łuski, wyciąg pochłaniał prochowy dym, lecz postępów nie poczyniła.

Nie mogła pracować, nie mogła spać, nie mogła jeść.

Każdego dnia zabijała Bogusza, karabin topiła w trzęsawisku, przeciw tropiącym psom na drodze ucieczki rozsypywała, zwyczajem kłusowników, utarty piołun, miętę, pieprz lub rozlewała benzynę. Z domu usuwała obuwie, w jakim chodzili nad Czarcia, piasek z piwnicy, paliła worki, ciskała w błoto zapas naboju i wystrzelone podczas ćwiczeń łuski, potem wracała do rzeczywistości i znowu szła z Minstrelem do lasu.

Kozioł ukazał się jeden raz lecz nie pośpieszył na wołanie Minstrela i zaraz zniknął w zaroślach Czarciej. Znajdowali się od nawietrznej, spłoszył go obcy sarnicowi zapach Nasty. Później skończyły się księżycowe noce, przestali chodzić na moczary.

333

Upływał czas.

Po raz drugi pokazał się kozioł, wiatr niósł się na ich kryjówkę, sarniec jadł chleb z ręki Minstrela, Nasta sie-

działa bez ruchu wsparta o baniasty jałowiec. Bogusz nie pojawiał się nad Czarcią.

Ocknęła się z tego duru bez jakiejś szczególnej przyczyny. Jakby się obudziła z ciężkiego amoku. Spojrzała na siebie otrzeźwionymi oczyma, widną nocą pośród dzikiej równiny uroczyska. Fluoryzowała jak pociągnięta ręcą. Po niskim łuku wspinał się księżyc, kładł wydłużone cienie, uludny, martwy blask rzeźbił kępy turzycy, garbate siewki, zawężłone korzenie, oświetlał widmowo krajobraz z innego wymiaru. Od wielu nocy tkwiła uwięziona pośród oparu diabelskiego bagna, jakby otruta jego wyziewami, zauroczona, opętana, porażona złym zamiarem. Doprawdy można uwierzyć w Złe popychające do Złego na Czarcej. Pewno bywają takie niesamowite, przekłete miejsca; Co chciała uczynić?

Patrzyła na siebie tamtą inną, sprzed paru zaledwie chwil. Ależ to jakiś obłąd. Jak mogła bodaj przez moment uwierzyć w powodzenie szalonego zamiaru. Nie, nie miała wyrzutów sumienia, niech szcześnie Bogusz, ale nie z jej ręki. Na razie uciekną za granicę. Wyjadą stąd, posiadłość pozostawi na opiece Anieli i Kowboja. Bogusz nie jest wieczny na swoim dygnitarstwie, z czasem może stać się mniej ważny w Sarniej. Ona przeczeka, dworu nie sprzeda nigdy, zostanie jej własnością, chociażby nie miała tu więcej powrócić, chociażby musiała osadzić na zawsze Marynę. Niech Bogusz spróbuje wyrzucić Stępora i jej męża. A samopał po Silenzium zaraz ciśnie w topiel, niechaj przepadnie. - Idziemy - podniosła się i zatuliła w swój puchowy skafander.

Nagle pchnięcie strąca ją na ziemię, pada poniżej wzniesienia kępy, twarzą ryje błoto, woń ziół, rozkładu, terpentynowy zapach ledum, wiuuu, wiuuu, wiuuu w morderczym obrotowym pędzie śpiewa breneka, obcina gałązki na swoim torze, mokradło wchłania echo dwóch niemal jednoczesnych strzałów i bezwiedny krzyk Nasty. Nasta przywarła do ostrej trawy, wibrujący głos świdruje uszy i wsiąka w bagienną poduchę, dociera do jej świadomości, to krzyczy ona sama. Gdyby nie pchnięcie Minstrela, już by nie żyła, pocisk otarł się o rękę Minstrela, poszarpany rękaw nasiąka krwią.

Nasta przytomnieje.

Ściąga z siebie bawełnianą bluzkę, drze, myśl niczym ekran podsuwa obrazy sprzed lat. Jak wyświetlane widzi rysunki z lekcji pierwszej pomocy na kursie samochodowym. Zakłada ucisk, bandażuje ranę, gdy ustaje broczenie znowu czuje strach. Osacza uczucie wrogiej obecności, zaczajonej za krzakami, obecności mogącej być wszędzie.

- Wziął ciebie za kozła - szepcze Minstrel.

Nasta zaczyna rozumieć co się stało. Sam ruch kiedy wstała spod krzewu, może kolor kurtki w księżycowej po-

świacie mignął barwą zwierzęcej okrywy, i ona wydała się tamtemu strzelcowi oczekiwaną zdobyczą. A więc niekoniecznie zasadził się na nich, pewno, o nich nie wiedział, a Minstrel usłyszał go w ostatniej chwili.

- Jest tam kto? - odważa się Nasta na głośnie pytanie.

Bagno wchłania głos, nikt nie odpowiada. Powtarza wołanie kilkakrotnie, aż do bólu gardła i przypomina sobie o strunach głosowych. Może jednak tamten zaczął się na nich, podobnie jak ona na Bogusza. Jakim mieczem wojujesz - płacze się po głowie.

- Wiem skąd był strzał - znowu nachyla się nad jej uchem Minstrel.

- Idziemy- decyduje się Nasta i podnosi z ziemi samopał. Wszystko lepsze niż siedzenie tutaj, a Minstrel potrzebuje porządnego opatrunku, może nawet interwencji lekarza. Wyczulonymi zmysłami badają przestrzeń zanim uczynią kolejny krok. I znów się zatrzymują. Wtedy słyhać jak gada bagno. Szelestem płonek, westchnieniami fermentującego błota, prądem powietrza odgarniętego bezgłośnie lotem puhacza.

Bogusz leży jak upadł, pod plecami ma podszyt z roślin uczeponych korzeni czarnej olchy, pod nogami trzęsawisko. Ciągły chłód powoli przywraca świadomość.

334

335

Czarcia łapa. Tropił dzikiego kozła, gdzieś tutaj musiał mieć ostoję, na olsie lub w pobliżu śródleśnych jezior albo na grądzie, dokąd wiedzie niewidzialna grań, Zwierzęca ścieżka, zdradliwy diabelski szlak pośród topieli. Przez cały wieczór nie mógł pozbyć się uczucia, że patrzą na niego jakieś oczy, wodzą się za nim po Puszczy.

Kiedy poruszyło się w chaszczach, zamajaczył kształt, poderwał do strzału dryling pamiętając o płucach zwierzęcia mieszczących się tuż za szczytem łopatki, o sercu znajdującym się nieprawdopodobnie nisko.

Bogusz nacisnął spust o ułamek sekundy za późno.

I zaraz uroczysko rozbrzmiało krzykiem, głuchym, nie odrodzonym przez echo, wessanym przez moczary.

Takim głosem nie przemawiają zwierzęta. Tak krzyczy człowiek w niebezpieczeństwie. Boguszowi krew uderzyła do skroni, mroczy świadomość. Kiedy się ocknął nie czuł połowy siebie. Niewidzialna granica dzieliła twarz i biegła wzdłuż korpusu.

Dostałem wylewu - porażająco rozbłysło zrozumienie.

Od jak dawna tu jestem?

Stracił rachubę czasu Leży tu od zawsze z głową i barkiem wsparty o kępę z karłowatą siewką. Wydłużone cienie kładą się od garbów porośniętych błotnym skrzypem, z boku wisi miedziany dysk przekreślony gałęzią. Z zarosła wynurza się postać, zatrzymuje przy leżącym.

Bogusz rozpoznaje Artystkę i nawet nie umie się zdziwić jej obecnością o tej porze na uroczysku Czarciwej. Ty draniu, ty cholerny draniu - rzuca się ku niemu. Nasta. Urzyn trzyma w opuszczonej ręce, razem z nią pochyla się i karabin.

Mierzy we mnie - myśli ze zgrozą Bogusz. Chce się bronić, chce do niej przemówić, nie może ruszyć ręką by ująć dryling z ust wydobywa się tylko słaby, nieartykułowany dźwięk i zaraz druga, potężna fala podobna do tej jaka go powaliła zmiata świadomość.

- Nie mam zamiaru nawet cię dotknąć - mówi kobieta i jeszcze nie wie, że Bogusz stracił przytomność ale przeżyje, bo ona sprowadzi pomoc.

336

W okrag księżyca, jak w ekran, wchodzi kozioł, doskonale piękny samiec sarny i tylko parostki odróżniają go od dorodnego jelenia. Czarna sylweta jak w magicznej latarni przesuwają się przez tło jaśniejącej tarczy i gorejący dysk podbarwiony cynobrem znowu przecina tylko naga gałąź olchy.

Helena Sekuła

Wstęga. Kaina

Nota redakcyjna

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawy. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły, miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry, w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Została napisana w połowie lat 70., czyli mniej więcej w tym czasie, co takie powieści Autorki, jak „Piąta barwa asa” i „Figurka z drzewa tekowego”. Niestety „Wstęga Kaina” nie miała szczęścia. Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990 (zamieszczamy oficjalny druk potwierdzający ów fakt), kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym na łamach dziennika „Kurier Polski”. Obecne wydanie jest pierwszym wydaniem książkowym powieści.

Oto jak sama Helena Sekuła komentuje przypadek

„Wstęgi Kaina”:

„Półkownik\* - tak nazywano książkę, której maszynopisu, ze względów cenzuralnych, nie kierowano do druku. Latami stosowano uniki, wymawiając się brakiem papieru. Ten maszynopis przeleżał w Państwowym Wydawnictwie „Iskry” piętnaście lat. Skierowano go do druku, kiedy już nic nie mogło uratować zbiurokratyzowanego wydawnictwa.

Pomysł wydawania Serii z Warszawy zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyj-

nej MOrd. Zapraszamy na stronę internetową Klubu:  
[www.mord.of.pl](http://www.mord.of.pl)

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest przede wszystkim do miłośników starych polskich kryminałów.

338

Dotychczas wydane książki Heleny Sekuły:

1. Tęczowy cocktail (1962, Klub Srebrnego Klucza; 2006, Seria z Warszawą)
2. Dziewczyna znikąd (1964, Klub Srebrnego Klucza)
3. Pułapka (1965, Biblioteka Błękitnych Tarcz)
4. Naszyjnik z hebanu (1967, Klub Srebrnego Klucza)
5. Orchidee z ulicy Szkarłatnej (1971, Jamnik)
6. Ślad rękawiczki (1972, Ewa wzywa 07...)
7. Kartka z notesu (1972, Ewa wzywa 07...)
8. Pierścień z krwawnikiem (1973, Jamnik)
9. Siedem diabłów dziadka Osiornego (1974, Ewa wzywa 07...)
10. Piąta barwa asa (1975, Jamnik)
11. Srebrna moneta (1975, Ewa wzywa 07...)
12. Figurka z drzewa tekowego (1976, Jamnik)
13. Ośmiu gwardzistów w czarnych bermycach (1979, Ewa wzywa 07...)
14. Demon z bagiennego boru (1981, Jamnik)
15. Barakuda (1984, Jamnik; 1991, Art „B” Press)
16. Noc bliskiego księżycy (1988, Ewa wzywa 07...)
17. Siedem domów Kuny (1988, wyd. Czytelnik)
18. Pierścień kalifa (2000, wyd. ANTA)
19. Ślad węża (2004, wyd. ANTA)
20. Kieliszek Bordeaux (2007, Seria z Warszawą)

Książki wydawnictwa „Wielki Sen”

do nabycia na stronie internetowej

[www.Mord.of.pl](http://www.Mord.of.pl)

„Pierwsza seta”

- pierwsza setka

recenzji peerelowskich

kryminałów.

„Druga seta”

- druga setka

recenzji peerelowskich

kryminałów.

„Tęczowy cocktail”

- pierwsza powieść

kryminalna Heleny

Sekuły, nigdy dotąd

niewznawiana.

„Kieliszek Bordeaux”

- pierwsze wydanie

książkowe gazetowej

powieści kryminalnej

Heleny Sekuły.